


Karin Alvtegen CIEŃ

MA. CELOWNIKU



*Promienne pasmo
sukcesów,
a w tle straszliwe
tajemnice, zdrady,
kłamstwa i śmierć*

Świat Książki

Dzięki Karin Alvtegen Szwedzi pozyskali w literaturze nowy, wyjątkowy głos.

Cień to thriller psychologiczny, który opowiada o drugiej stronie medalu i cenie, jaką niektórzy są gotowi zapłacić za nieśmiertelność.

Noblista Axel Ragnerfeldt ma wszystko, o czym kiedykolwiek mógł marzyć. Uwielbiany, podziwiany i szanowany za swoje książki pisarz w jesieni życia może spojrzeć za siebie na długą drogę pełną sukcesów. Dzięki talentowi i pracowitości chłopiec z robotniczej rodziny stał się bożyszczem całego narodu szwedzkiego.

Syn Axela Jan-Erik żyje w cieniu sukcesów ojca. On, jego matka Alice, żona Erika i córka Ellen wspólnie pielęgnują wizerunek literackiego geniusza, póki śmierć starej, opuszczonej kobiety nie uruchomi fatalnego w skutkach łańcucha wydarzeń...

Karin Alvtegen jest szwedzką autorką psychologicznych powieści sensacyjnych. Wielokrotnie nagradzana i nominowana do prestiżowych nagród literackich, w tym za najlepszą powieść kryminalną. Świat Książki wydał jej dwie książki: *Zaginiona* i *Zdrada*.

www.swiatksiazki.pl



Cena 29,90 zł | Nr 6467

Karin
Alvtegen
CIEŃ

Ze szwedzkiego przełożyła
Alicja Rosenau

Świat Książki

Tytuł oryginału SKUGGA

Redaktor prowadzący

Ewa Niepokólczycka

Redakcja

Halina Ruszkiewicz

Redakcja techniczna

Lidia Lamparska

Korekta

Jadwiga Piller

Elżbieta Jaroszuk

Copyright © Karin Alvtegen 2007

Published by agreement with Salomonsson Agency

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Świat Książki, 2009

Świat Książki Warszawa 2009

Świat Książki Sp, z o.o, ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie

Kolonel

Druk i oprawa

Nasza Drukarnia Sp, z o.o.

ISBN 978-83-247-1173-4 Nr 6467

Mojej rodzinie, jedynej osto

„Kiedy usłyszysz ten dźwięk, pling plong, kiedy go usłyszysz, pamiętaj, że masz przewrócić kartkę. A więc zaczynamy”.

Głos na taśmie się zmienił. Teraz brzmiał prawie jak głos pana, choć chłopiec wiedział, że to mówi pani. Jeszcze raz otworzył na pierwszej stronie książkę o Bambim i wsłuchał się w opowieść z magnetofonu. Znał ją na pamięć. Już od dawna, ale dzisiaj słuchał jej tyle razy, że głos pani wydawał mu się grubszy.

Zaczęło się ściemniać, teraz już nie przechodziło tędy tyle mamus i tatusiów z dziećmi i balonami co przedtem. Był głodny. Buleczki, które dostał, zdążył już zjeść, a od wypitego soku chciało mu się siku, tylko że ona powiedziała, żeby się stąd nie ruszał, więc nie miał odwagi nigdzie iść. Przyzwyczał się do czekania. Ale naprawdę bardzo chciało mu się siku i jeśli ona zaraz po niego nie przyjdzie, to może się zsikać w majtki. Nie chciał, żeby mama patrzyła na niego takim wzrokiem, od którego czuł ból, i żeby musiał siedzieć sam po ciemku. Dotknął ręką obolałego miejsca, które pojawiło się wczoraj, kiedy chciał z nią iść. Jej oczy zrobiły się bardzo złe i powiedziała, że jest niegrzeczny. A potem zabolalo go na plecach. Ona często chciała jechać do tamtego domu. Niekiedy zabierała go

tam ze sobą. Najpierw jechali autobusem, a potem szli spory kawałek piechotą. Czasami zostawiała go w ogrodzie, żeby nie przeszkadzał, długo jej nie było. W ogrodzie był dziwny dom ze szkła, można się tam było fajnie bawić, ale nie ciągle i nie samemu. Był tam jeszcze mały domek pełen drewna, z którego można było coś wystrugać, choć mama nie pozwalała bawić się nożem. Czasami robiło się ciemno, a ona nie wracała. W takich chwilach do domku zakradali się złodzieje i duchy. Wtedy nóż z drewnutni był jego jedyną obroną. I w podłodze magiczna deska z ciemną plamą, która wyglądała jak oko. Kiedy stał na tej desce z nożem w dłoni i śpiewał: „Gwiazdko, gwiazdko, pięknie świeć”, oni nie mogli go dopaść. Przedtem mama mówiła czasami, że kiedyś będą mieszkać w tym domu, nie w tym ze szkła ani tym z drewnem, ale w dużym, i on dostanie własny pokój. I wszystko będzie, jak ma być. Tak mówiła.

Rozejrzał się dokoła. Siedział na samej górze szerokich schodów, za nim był staw i ptaki. Przez chwilę zastanawiał się, czy odważyłby się odejść ze swojego miejsca i podejść tam, żeby popatrzeć, ale pamiętał, co mu powiedziano, i został. Zrobiło mu się zimno od siedzenia na kamieniach. Głos z taśmy mówił coraz wolniej i brzmiał tak, jakby mówiący miał za chwilę zasnąć. W końcu przycisk wyskoczył i głos ucichł na dobre. Chłopiec nagle poczuł się samotny. I coraz bardziej chciało mu się sikać. Nie wiedział, gdzie są toalety, i zrobiło mu się trochę smutno. Nie chciał dłużej tu siedzieć. Czekał już tak długo i teraz musiał się wysikać, a potem chciał stąd iść.

- Cześć.

Drgnął na dźwięk tego głosu. Przed nim stał pan w zielonym ubraniu. Wyglądało trochę jak strój policjanta, choć miało inny kolor, ale na piersiach były jakieś litery, jak u policjantów.

- Jak masz na imię?

Nie odpowiedział. Mama mówiła, żeby nie rozmawiał z dorosłymi, których nie zna, więc spuścił wzrok i wpatrywał się w stopnie schodów.

- Zaraz zamykamy, wszyscy powinni iść do domu. Gdzie twoja mama i tata?

W jego głosie nie było złości, brzmiał całkiem miło, ale chłopiec nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie chciał też być niegrzeczny, a teraz właśnie był, więc już zupełnie nie wiedział, co ma zrobić. Dwie duże krople spadły koło jego stóp i zrobiły ciemne plamki na kamieniu. I jeszcze dwie.

- Czy jesteś tu z mamą i tatą?

Potrząsnął powoli głową. Nie musiał mówić.

- No to z kim tu jesteś?

Wzruszył ramionami.

- Nie martw się. Mam na imię Sven i jestem strażnikiem w Skansenie, i to do mnie może przyjść każdy, kto tu potrzebuje pomocy, jeśli ktoś zgubił swoich rodziców albo zablądził, albo chce o coś zapytać.

Na chwilę zapadła cisza.

- Ile masz lat?

Chłopczyk ostrożnie wyprostował palce lewej dłoni i za pomocą drugiej ręki zgiął mały palec i kciuk.

- Masz trzy lata?

Potrząsnął lekko głową.

- Nie, cztery.

Zasłonił ręką usta. A jednak z nim rozmawiał. Co będzie, jeśli ten pan powie o tym mamie?

Siedział w milczeniu ze wzrokiem nadal wbitym w ziemię. Potem odwrócił głowę i zerknął na mężczyznę, żeby zobaczyć, czy to jest taki ktoś, co mógłby naskarżyć. Mężczyzna uśmiechnął się do niego.

- Jeśli chcesz, możesz pójść ze mną do tamtego małego domku na dole, tam pracuję i poczekamy, aż oni przyjdą.

Chciało mu się siku. Zaraz zsika się w majtki, a wtedy mama się jeszcze bardziej zezłości.

- Muszę siku.

Mężczyzna kiwnął głową i nadal się uśmiechał.

- Ubikacje są tam. Biegnij, a ja popilnuję twoich rzeczy. Widzisz tamte drzwi?

Tylko przez chwilę się zawahał, a potem zrobił to, co mu powiedziano.

Sven Johansson został na schodach i zatroskanym spojrzeniem odprowadził chłopca, który popędził do toalety. Zauważył go już po południu i teraz zaczynał domyślać się najgorszego. Gdy chłopiec zniknął, mężczyzna przykucnął i obejrzał rzeczy małego. Magnetofon, książka o jelonku Bambim, przezroczysta plastikowa torebka z okruszkami i mała butelka z żółtą zakrętką z resztką napoju gazowanego. Otworzył książkę, żeby sprawdzić, czy nie jest podpisana. Na ziemię wypadła złożona kartka papieru. Pełen złych przeczuć rozwinął ją - potwierdziły się jego najgorsze obawy. Krótka wiadomość-prośba była napisana pięknym charakterem pisma:

„Zaopiekujcie się tym dzieckiem. Wybaczcie”.

Klucz do mieszkania policja przysłała w kopercie z bąbelkami. Drzwi z brązową okleiną na staroświeckiej klatce schodowej nadgryzł ząb czasu. Kiedy pielęgniarzka społeczna znalazła ciało, Gerda Persson nie żyła od trzech dni. Miała dziewięćdziesiąt dwa lata i nieco ponad trzy miesiące, gdy po raz ostatni wciągnęła do płuc powietrze. To było wszystko, co Marianne wiedziała. Poza tym, skoro stała przed tymi drzwiami, znaczyło to, że ani, policji ani pielęgniarce społecznej nie udało się odnaleźć żadnych krewnych, którzy mogliby się zająć tym, co jest do załatwienia, kiedy kończy się czyjeś życie. W takich wypadkach sprawa trafiała na biurko Marianne Folkesson. Klucz do obcego nieznanego życia, którego przeszłość miała odtworzyć.

Bywała już przedtem w tej części miasta. Wielu mieszkańców domów czynszowych, pełnych małych mieszkań, miało kontakt z wydziałem pomocy socjalnej do spraw seniorów. Czasami, gdy umierał jakiś starszy człowiek, nie było się do kogo zwrócić. Pozostawał dzielnicowy pełnomocnik do spraw likwidacji majątku, Marianne Folkesson.

Otworzyła torbę i wyjęła cienkie rękawiczki foliowe, ale nie włożyła maseczki ochronnej na usta. Nigdy nie wiedziała,

co ją czeka za zamkniętymi drzwiami, choć z szacunku dla osoby zmarłej starała się nie uprzedzać. Czasami mieszkanie było czyściutkie jak domek dla lalek, pozostawione potomnym bez jednej płamki. Troskliwie pielęgnowane przedmioty, o które nikt nigdy nie zapyta. Gdy przebywała pośród sprzętów, które tworzyły dom zmarłego, pojawiało się niekiedy niewytłumaczalne wrażenie czyjejs obecności. Jej przyjście było swoistym wtargnięciem osoby niepożądaney, nie chciała więc potęgować jeszcze tego uczucia. Woląa widzieć swoją rolę jako swego rodzaju sprzymierzeńca, przybywającego, by godnie i z szacunkiem zamknąć bilans życia, które ukryte za obcym nazwiskiem znalazło się na jej biurku. Posprzątać i posortować rzeczy, zgromadzić pamiątki i jeśli to możliwe, odszukać kogoś, dla kogo będą miały wartość. Śmierć już od dawna jej nie przerażała. Po dwudziestu latach pracy takiej pogodziła się z tym, że śmierć jest po prostu częścią życia. Nie szukała już sensu istnienia, choć nie mogła powiedzieć, żeby go znalazła. Skoro wszechświat podejmował wysiłek egzystencji, musi być po temu jakiś powód. Tym się zadowalała, i znajdowała spokój w zawierzeniu tajemnicy.

Życie. Mała kropeczka między dwiema wiecznościami.

Nie wszystkie sprawy, którymi się zajmowała, świadczyły o samotnym ludzkim życiu, nawet jeśli z biegiem czasu kontakty towarzyskie się przerzedzały, a ostatnie lata upływały w samotności. Ale zdarzały się mieszkania, które były przeciwieństwem uporządkowanych domków dla lalek, a bałagan i brud były tak przytłaczające, że odrzucały od progu. Pozrywane tapety i porozbijane meble, które krzyczały o depresji, na jaką cierpiał zmarły. W tych przypadkach w wyniku dochodzenia uzyskiwała najczęściej obraz człowieka o niestabilnej psychice, bez kontaktów z otoczeniem, który

radził sobie tak długo, jak długo otrzymywał pomoc psychologiczną, może mieszkając razem z kilkoma innymi podopiecznymi, ale kiedy z czasem mu się polepszyło, został uznany za na tyle zdrowego, by nie zajmować jednego z nielicznych miejsc, jakie społeczeństwo przeznaczyło dla takich ludzi. Później miał radzić sobie sam i dlatego dostał własne mieszkanie, gdzie izolacja wkrótce pomogła chorobie odzyskać utracone obszary. Samotny człowiek, który potrzebował opieki, ale kiedy mu jej odmówiono, nie był w stanie o nią zebrać czy prosić. W takich przypadkach to jej, Marianne Folkesson, obowiązkiem było zadośćuczynienie. Uczynienie wszystkiego, co było w jej mocy, by odszukać choćby jednego krewnego, który przynajmniej pojawiłby się na pogrzebie. Czasami nie znajdowała nikogo. Wtedy tylko ona, pastor, przedsiębiorca pogrzebowy i kantor odprowadzali zmarłego na miejsce wiecznego spoczynku. Na podstawie fotografii i pamiątek musiała stworzyć jakieś wyobrażenie o zmarłym, żeby w miarę możliwości nadać pogrzebowi cechy indywidualne. A kiedy stojąc samotnie przy trumnie, kładła na niej kwiat, przeproszała za nieudolność społeczeństwa. Że zdradziło i dopuściło do tego, by tacy ludzie borykali się ze swoim nieszczęściem bez jakiegokolwiek pomocy.

Odwróciła się i dała parę rękawiczek swojej towarzysze. Nigdy nie wchodziła do mieszkań sama. Za pierwszym razem powinien być obecny także ktoś z ramienia gminy. Nikt nie powinien kwestionować faktu, że wszystko odbyło się prawidłowo. Towarzyszyli jej różni koledzy z pracy, ten, kto akurat miał czas. Tym razem była to jedna z asystentek z wydziału do spraw seniorów. Marianne знаła jej imię, ale nie mogła sobie przypomnieć nazwiska.

Solveig naciągnęła rękawiczki, a Marianne wsunęła klucz do zamka. Podłoga w przedpokoju była pokryta ulotkami

reklamowymi i kilkoma egzemplarzami bezpłatnej gazety lokalnej. W nozdrza uderzył zapach zastalego powietrza, mieszkanie wymagało wietrzenia. Przejrzała szybko listy, złożyła je na kupkę i umieściła na półce na kapelusze. Jak się zorientowała, nie było niezapłaconych rachunków ani prenumeraty prasy, którą należało opłacić lub wypowiedzieć. Tylko jeden list był adresowany osobiście do Gerdy Persson.

Oferta dostawcy szerokopasmowego internetu.

Mieszkanie wyglądało na uporządkowane, ale cieniutka warstewka kurzu pokrywała jak błona wszystkie nieużywane powierzchnie. Od pielęgniarki społecznej wiedziała, że Gerda otrzymywała pomoc przy sprzątanii co trzeci tydzień i przy zakupach spożywczych w każdy poniedziałek. Poza tym nie życzyła sobie pomocy, chciała sama dbać o swoje sprawy. Kurz na pewno nie był oznaką niedbalstwa, lecz raczej świadczył o słabym wzroku. Marianne widziała już takie mieszkania. Mieszkania starych ludzi, gdzie wszystko było uporządkowane, ale kurz mógł bez przeszkód zbierać się, gdzie chciał.

W kuchni w zlewie leżały talerz i szklanka. Poza tym zlewozmywak był pusty. Na kaloryferze wisiała ścierka kuchenna, a mały stolik z dwoma krzesłami był uprzątnięty, na ceracie w drobne kwiatki stał tylko koszyk na chleb, wykonany z kory brzozej. Marianne otworzyła lodówkę. Gdy buchnął z niej smród zgnilizny, sięgnęła po reklamówkę, którą zabrała ze sobą. Od śmierci Gerdy minęły dwa tygodnie, a gdy sanitariusze zabierają ciało, opieka społeczna nie ma prawa wstępu do mieszkania. Napoczęty karton chudego mleka, kostka masła, pasta kawiorowa i rozmiękły ogórek zaraz trafiły do reklamówki, którą Marianne szybko zawiązała i wystawiła za drzwi wejściowe.

- Zobacz. Ona trzymała książki w zamrażarce.

Gdy Marianne wróciła do kuchni, Solveig stała przed

otwartymi drzwiami lodówki. Książki obrosły cienką warstwą lodu, owinięte w plastikowe worki, leżały w czeluści zamrażarki ułożone porządnie jedna na drugiej. W jednej z szuflad Marianne znalazła łopatkę do smażenia i posługując się nią, uwolniła książki z ich więzienia. Plastik był oszroniony, poskrobała paznokciem grzbiet jednej z książek. *Niechaj przemówią kamienie* Axela Ragnerfeldta. Jednego z największych. Nie była to jego najbardziej znana powieść, lecz wszystkie dzieła tego pisarza uznawane były za klasykę.

- Może między kartkami schowane są pieniądze.

To była myśl koleżanki, chyba całkiem sensowna. Marianne wiele razy znajdowała banknoty poukrywane w najdziwniejszych miejscach, ale książka była pusta. Pozostałe też. Wszystkie były autorstwa Axela Ragnerfeldta, kobiety z pewnym zdziwieniem odkryły, że wszystkie były opatrzone własnoręcznymi dedykacjami autora. *Dla Gerdy z oddaniem* i *Dla Gerdy z najgorętszym podziękowaniem*. I zamaszty podpis nad wydrukowanym nazwiskiem. Marianne zrobiło się ciepło na sercu. Jak zawsze w takich sytuacjach cieszyła się z każdego znaku, że zmarły kiedyś w życiu miał związki z jakiegoś rodzaju wspólnotą. Że jego życie nie zawsze było całkowicie samotne. W tym wypadku zadowolenie było podwójne. Nie znaleziono żadnych pieniędzy ani przedmiotów wartościowych, małe zatem były szanse na piękny pogrzeb. Książki z osobistą dedykacją Axela Ragnerfeldta na pewno dałoby się korzystnie sprzedać. Marianne mogłaby dopilnować, żeby możliwie największa kwota została przeznaczona na przystrojenie kościoła i piękny nagrobek. Jako ostatni wyraz szacunku dla człowieka, którego życie właśnie się skończyło.

- Nie wygląda na to, żeby zamrożenie im zaszkodziło. To muszą być naprawdę cenne egzemplarze.

Marianne skinęła. Stroniący od ludzi noblista osiągnął w

szwedzkim życiu kulturalnym z nikim nieporównywalną sławę, ale rzadko udzielał wywiadów. Marianne nie pamiętała żadnego szczegółu z jego prywatnego życia.

- Gerda Persson miała dziewięćdziesiąt dwa lata. Powinni chyba być rówieśnikami?

- Nie sądzę, żeby on był taki stary. Naprawdę tak myślisz?

Marianne nie wiedziała. A okładki książek nie zawierały żadnych wskazówek. Zostały wydrukowane jeszcze przed epoką kultu jednostki, kiedy słowa pisarzy były bardziej interesujące niż ich twarze.

Mieszkanie składało się z dwóch pokoi i kuchni. Wyszły do przedpokoju, minęły pokój dzienny i znalazły się w sypialni. Na podłodze leżał przewrócony balkonik. Nocny stolik też się przewrócił, a pościel była wyciągnięta z łóżka. Na pozwijanym dywanie leżały rozrzucone ubrania przemieszane z gazetami. Przewrócona szklanka z wodą, tubka maści Helosan, paczka tabletek Valeriana natt. A w środku tego wszystkiego budzik, który uporczywie tykał dalej. Marianne podniosła nocny stolik i postawiła na nim nocną lampkę. W szufladce znajdowało się mnóstwo wycinków z gazet, tabletki na ból gardła, Biblia, łańcuszek, kilka kopert i mały kieszonkowy kalendarzyk. Otworzyła go na chybił trafił. *Obudziłam się o 6. Ziemniaki z klopsikami. W telewizji Hedda Gabler.* Większość wycinków gazetowych dotyczyła chorób serca, a daty wskazywały na to, że zbierano je przez dłuższy czas. Było też kilka wierszy z nekrologów z odciętymi nazwiskami. Pierwsza koperta zawierała darmowy kupon na pedicure sprzed piętnastu lat, druga - kartkę z życzeniami z okazji 75, urodzin od przyjaciół z Biblioteki Związku Emerytów, trzecia była grubsza i bardziej zniszczona. Marianne zajrzała do środka. Solveig w tym czasie

otworzyła szafę, ale zaraz ją zamknęła, gdy okazało się, że są tam tylko ubrania.

- Ile tego jest?

Marianne wyjęła plik banknotów i przeliczyła.

- Jedenaście tysięcy pięćset siedemdziesiąt.

Zamknęła szufladę, ale kopertę z pieniędzmi zatrzymała. Po zakończeniu przeglądu mieszkania powinny wypełnić formularz inwentaryzacyjny, w którym należało wpisać meble i przedmioty wartościowe oraz podać sumę znalezionej gotówki. Środki ze spuścizny zmarłego miały zostać przeznaczone przede wszystkim na pogrzeb i nagrobek, w drugiej kolejności na likwidację mieszkania, a gdyby coś pozostało - dla ewentualnych wierzycieli.

Solveig szybko przejrzała drugą szafę, Marianne poszła do pokoju dziennego. Solveig pośpieszyła za nią. Duży pokój był umeblowany głównie starymi sprzętami. Kredens, regał i nieco bardziej nowoczesna sofa, nic, co mogłoby zasilić mienie spadkowe dużymi sumami. Przed telewizorem było ustawione łóżko, na stoliku obok leżał dodatek telewizyjny, dwie puste zdrapki i wyjątkowo duża ilość lekarstw. Leżały na stole rozłożone na kratkowanym papierze opatrzonym ręcznie napisaną datą. Marianne odczytała etykiety: imbur, trombyl, bisoprolol, plavix, plendil, cipramil, pravachol.

Czego społeczeństwo nie czyniło, by utrzymać ludzi przy życiu. Nie mówiąc już o przemyśle farmaceutycznym.

W tym staroświeckim umeblowaniu stojący na małym stoliczku przy drzwiach czerwony telefon z przyciskami wyglądał jak wykrzyknik. Marianne podeszła do niego i przejrzała mały stosik papierów. Ręcznie napisana lista numerów kont; abonament rtv, telefon, ubezpieczenie. Wezwanie na badania do szpitala Södersjukhuset. Ulotka reklamowa ze sklepu ICA. Ulotka informująca o stosowaniu

bisoprololu. Na samym dole leżał podniszczony notes z telefonami. Marianne otworzyła go na literze A. Garść nazwisk i numerów telefonów zapisanych różnymi długopisami, wszystkie oprócz dwóch przekreślone. Suma życiowej wspólnoty zebrana w jednym notesie, w którym kanały łączności ze światem znikwały jeden po drugim i były wykreślane. Notesy z telefonami były dla niej najlepszą pomocą przy szukaniu krewnych. Zawsze dzwoniła do wszystkich osób, których nazwiska znalazła, w nadziei, że uda się kogoś ściągnąć na pogrzeb. Gdy umierał ktoś stary, numery często były wyłączone, czasem minęło już tyle czasu, że zostały przydzielone nowym abonentom.

Coś ją tknęło, żeby otworzyć notes na literze R. W pierwszej linijce znalazła to, czego szukała. Ragnerfeldt. Nazwisko nie było przekreślone.

- Tu są też zdjęcia.

Marianne odwróciła się do koleżanki. Solveig stała przed starym kredensem i trzymała w rękach brązową kopertę. Marianne odłożyła notes do torby, podeszła i rzuciła okiem do wnętrza szafki. Stosy uprasowanych obrusów, kryształowe kieliszki różnych kształtów, chiński serwis do kawy. Czerwony tekturowy skoroszyt z napisem *Gospodarstwo domowe* na grzbiecie. Marianne wyjęła go i też schowała do swojej torby.

- Ciekawa jestem, czy to jest ona? To chyba z jakichś urodzin.

Solveig obejrzała zdjęcie z drugiej strony.

- Nie ma żadnego opisu.

Podąła zdjęcie Marianne. Wyblakła kolorowa fotografia. Odświętnie ubrana kobieta siedzi w fotelu w otoczeniu wazonów z kwiatami. Włosy zaczesane do tyłu i upięte w kok. Poważny wyraz twarzy, jakby nie czuła się dobrze w centrum zainteresowania.

Solveig znów zajrzała do koperty i wyjęła drugą fotografię.

- Popatrz, to przecież on. To on, prawda?

Marianne spojrzała na zdjęcie. Czarno-białe. Axel Ragnerfeldt siedzi przy ogrodowym stole ze spojrzeniem skierowanym w dal i filiżanką kawy w dłoni. Przy tym samym stole siedzi także kobieta w zbliżonym wieku i dwoje małych dzieci, wszyscy patrzą w obiektyw. Dziewczynka i chłopiec. Chłopiec kilka lat starszy. Marianne skinęła głową.

- Oczywiście, że to on. Nie wiedziałam, że ma rodzinę.

- Może to nie jego.

- To wygląda jak rodzinna fotografia.

Marianne włożyła zdjęcia z powrotem do koperty i ją też dołożyła do torby. Solveig dotarła do regału z książkami.

- Tu jest więcej jego książek.

Marianne dołączyła do niej.

- Z autografami?

Solveig otworzyła jedną książkę na pierwszej stronie. Zamaszysty podpis wił się nad wydrukowanym nazwiskiem, lecz nie było osobistej dedykacji. Marianne wyjęła kolejną książkę i przerzuciła kartki, przytrzymując je kciukiem, zaskoczona, wstrzymała oddech, kiedy zobaczyła, że każda stronica była przekreślona na krzyż grubymi czerwonymi kreskami. W niektórych miejscach tekst musiał szczególnie oburzyć właściciela długopisu, bo tam strony były przekreślone z taką siłą, że słowa stały się nieczytelne, a papier został uszkodzony.

- Mój Boże, dlaczego ona to zrobiła?

Sprawdziły wszystkie książki jedną po drugiej, każdą spotkał ten sam los. Czerwone kreski jarzyły się z kart książek jak krew, tu i ówdzie długopis porobił dziury.

- Hm - mruknęła Marianne mimo woli. Nie miała zwyczaju wydawać opinii. Zwłaszcza o tym, co działo się w czterech ścianach czyjegoś domu i nikomu nie szkodziło. Lecz, łagodnie mówiąc, wydało jej się dziwne, że ktoś z premedytacją zniszczył książkę podpisaną przez Axela Ragnerfeldta. Zwłaszcza jeżeli była to osoba, której mieszkanie wskazywało na to, że przydałyby się jej dodatkowe dochody, jakie mogłaby uzyskać ze sprzedaży wartościowych przedmiotów. Marianne zdziwiona wstawiła książkę z powrotem na miejsce.

- I co myślisz? Czy masz już wszystko, czego potrzebujesz na początek?

Marianne otworzyła torbę i wyjęła teczkę z blankietami inwentaryzacyjnymi.

- Musimy tylko wypełnić to.

Po wypełnieniu formularzy Solveig poszła, a Marianne stała jeszcze chwilę przy oknie w dużym pokoju. Chłonęła widok, który oglądała Gerda Persson. Drzewo, kawałek trawnika, w tle szarozielona fasada domu. Codzienne życie innych ludzi i ich tajemnice. Wszystko, czego potrzebowała Marianne, leżało spakowane w jej torbie. Jeśli po publikacji nekrologu nie zgłosi się nikt z rodziny, będzie musiała zwrócić się do krajowego archiwum i sięgnąć do ksiąg parafialnych. I do nazwisk w notesie telefonicznym. Postara się znaleźć tyle kawałków puzzli, ile potrzeba, żeby uhonorować Gerdę Persson na pogrzebie. Teraz zaczynała się jej właściwa praca. Pogoń za przeszłością Gerdy Persson.

Jedno nazwisko już znalazła.

Axel Ragnerfeldt.

- Żaden człowiek nie wywarł takiego wpływu na mojego ojca i jego pisarstwo, jak pewien mężczyzna nazwiskiem Joseph Schultz.

Trzymając palec na nazwisku w notatkach, Jan-Erik Ragnerfeldt zrobił efektowną pauzę w odczycie i obrzucił wzrokiem licznie zgromadzoną publiczność.

- Nie pamiętam, ile miałem lat, kiedy ojciec po raz pierwszy opowiedział mi o Josephie Schultz, ale historia o jego wyborze i losie towarzyszyła mi od wczesnego dzieciństwa. Joseph Schultz był dla mojego ojca wzorcem, przykładem wielkiego człowieka. Pamiętam też, że ilekroć ojciec o nim opowiadał, za każdym razem coraz lepiej rozumiałem, że z pewnością dobrze jest mieć dobre myśli, lecz prawdziwe dobro rodzi się z czynów.

Światło reflektorów go oślepiało. Dostrzegał osoby siedzące w pierwszych rzędach, ale wiedział, że inni też tam są. Anonimowi ludzie, w skupieniu oczekujący na jego dalsze słowa.

- Kimże więc był ten wyjątkowy Joseph Schultz? Czy ktoś z państwa zna jego nazwisko?

Przyłożył dłoń do czoła, by osłonić się przed światłem. Z przodu, na ukos od sceny, siedziała dziewczyna. Zdążył ją

zauważyć już wcześniej, ale teraz skorzystał z okazji, żeby przyjrzeć się jej nieco dokładniej. Pięknie rzeźbione rysy. Piersi wypełniające błyszczącą bluzkę, zapiętą na desperacko walczące guziki. Mała szczelina w miejscu, gdzie się poddały, ciemna szpara, która rozbudziła jego zainteresowanie. Opuścił rękę.

- Joseph Schultz to młody żołnierz niemiecki walczący w drugiej wojnie światowej. Dwudziestego lipca 1941 roku wraz z siedmioma towarzyszami znajdował się w miejscowości Smederevska Palanka. Opór partyzantów krzyżuje plany Niemców, żołnierze mają rozgromić buntowników. Jest środek lata, żniwa w pełni, Schultz i jego koledzy zostają wysłani, jak sądzą, na rutynowe zadanie.

Ragnerfeldt stał w całkowitym bezruchu. Nagłe poruszenie mogłoby zakłócić nastrój, który udało mu się wytworzyć. Coraz lepiej mu to wychodziło, doświadczenie przydało mu pewności siebie, tak że teraz mógł sterować publicznością, jak chciał. Przywilej sukcesu. Im większa pewność siebie, tym większa charyzma.

Przeniósł wzrok i skierował spojrzenie na jej oczy. Dokonał wyboru. To ona miała go nieść przez wieczór, pokazał to tak wyraźnie, że powinna zauważyć. Że została wybrana. Poczul ów upragniony dreszczyk podniecenia, że oto stoi na scenie i ma władzę, żeby wybierać, a ona mogła się tylko poddać jego woli.

- Po krótkim marszu zrozumieli, że ich zadanie wcale nie polega na tym, do czego przywykli, bo nagle Joseph Schultz i jego oddział otrzymują rozkaz, żeby się zatrzymać.

Dziewczyna spuściła oczy, ale za późno. Już się odkryła. Zbłąkany uśmiezek zdradził, że jego zainteresowanie sprawiało jej przyjemność. Jak wszystkie spotykane kobiety była pod wrażeniem jego pozycji.

Gra się rozpoczęła.

- Miejscowa ludność właśnie zbiera siano, przygotowuje się do zimy, nawet w czasie wojny ludzie muszą jeść, trzeba wykonywać codzienne czynności. Przed jednym ze stogów, które wyrosły przed południem, stoi czternastu cywilów. Wszyscy mają ręce związane na plecach, oczy zasłonięte przepaskami, a Schultz i jego koledzy nagle pojmują, że mają być plutonem egzekucyjnym.

Opierała się, nie chciała sprawiać wrażenia łatwej. Nie patrzyła mu w oczy, lecz w coś obok niego.

- Ośmiu młodych ludzi, którym prawo munduru nakazuje zabić czternastu niewinnych bliźnich.

Ktoś odkasznął. Ragnerfeldt z irytacją stwierdził, że magia przestała działać. Poruszenie na widowni wskazywało, że kilka osób wykorzystało okazję, żeby zmienić pozycję. Ale jej wzrok powrócił. Tym razem pewniejszy siebie, powstała więź. W sali wypełnionej trzystuosobowym tłumem oboje wiedzieli, że kontakt został nawiązany. Oczekiwanie rozbudzone. Ukierunkowanie, podrażnienie, podniecenie.

Które nigdy nie znajdzie ujścia.

- Siedmiu z ośmiu żołnierzy patrolu nie waha się, są gotowi wypełnić rozkaz i unoszą karabiny. Ale Joseph Schultz nagle czuje, że nie może. W ciszy, jaka zapanowała, rzuca broń na ziemię, powoli podchodzi do stogu siana i staje obok skazanych na śmierć.

Kliknięciem uruchomił PowerPoint. Na ekranie za jego plecami ukazało się czarno-białe zdjęcie sceny, która rozegrała się sześćdziesiąt pięć lat temu.

- Prawdopodobnie nikt nie wiedziałby o Josephie Schultzu ani o jego bohaterskiej decyzji, gdyby jego koledzy nie sfotografowali tego wydarzenia. Jak to możliwe, że człowiek może dokonać takiego wyboru? Jaka szczególna cecha odróżniała Josepha Schultza od pozostałych żołnierzy oddziału? Od tych, którzy byli gotowi rozstrzelać nie tylko

czternastu nieznanym cywilów, lecz także swojego towarzysza?

Oddał na chwilę głos ciszy, żeby się napić wody. Spojrzenie dziewczyny spoczywało na nim przez cały czas, dodawało mu skrzydeł, sprawiało, że rósł. Obok niej nie siedział żaden mężczyzna, ale to nie znaczyło, że żadnego nie ma. Zwykle na imprezy literackie w kraju przychodziło więcej kobiet, zjawiały się w grupkach, podczas gdy mężowie zostawali w domach. Ale na szczęście doświadczenie podpowiadało mu, że pozostawiony w domowym zaciszu mąż wcale nie musiał oznaczać przeszkody. Magia sceny działała cuda i była w stanie otworzyć drzwi, które nigdy przedtem nie były otwierane. Miał nadzieję, że ona jest jedną z takich kobiet. Jej spojrzenie przemawiało za tym, że ten występ zaprocentuje.

- To jest właśnie pytanie, które ojciec starał się stawiać w całym swoim piarstwie, proszę zwrócić uwagę, że nie powiedziałem, że starał się odpowiedzieć na to pytanie. Siłą napędową mojego ojca jako pisarza było dążenie do upowszechnienia istoty czynu Josepha Schultza. Co sprawiło, że Joseph nie dał się zaślepić myśli, że nasze wybory są bez znaczenia, że zrozumiał, iż to właśnie nasze wybory tworzą różnicę. Co sprawiło, że nie poddał się tym więzom strachu i egoizmu, których wszyscy nienawidzimy, lecz które ciągle zdają się decydować o naszych wyborach.

Zamilkł na chwilę. Zwykle robił tak w tej części opowieści i jak zwykle słuchacze siedzieli jak zaczarowani jego słowami - właściwie słowami nie *jego*, lecz jego ojca, ale teraz to on, Jan-Erik, je przekazywał. On i ojciec mieli podobne głosy, a że przez lata wygłaszania odczytów udało mu się jeszcze zatrzeć indywidualne różnice, teraz były prawie nie do odróżnienia. Legendarne nagrania jego ojca znajdowały się w każdym domu, jego głos stał się skarbem

narodowym. Te cenne taśmy to było wszystko, co pozostało po głosie Axela Ragnerfeldta. Udar mózgu sprzed pięciu lat skazał go na milczenie, teraz Jan-Erik przejął zadanie upowszechniania spuścizny. Książki były tłumaczone na całym świecie i co roku pieniądze z praw autorskich spływały do rodzinnej firmy, która przez lata rozrosła się w małe imperium, z fundacjami i funduszami dobroczynnymi. I z przyzwoitym wynagrodzeniem dla Jana-Erika, który był prezesem i pilnował, żeby wszystkie sprawy dalej się kręciły. Dostawał więcej zamówień na odczyty, niż czas pozwalał mu przyjąć, a i tak musiał przyznać, że wygłaszał ich wiele. Lubił podróżować. Tak opisowo można by określić jego niezbyt silną potrzebę przebywania w domu.

Rozwijał się wraz ze swoim zadaniem. Rozwijał się i czuł się ważny.

- Może Joseph Schultz zrozumiał, że śmierć i tak go dopadnie, nawet jeśli pozostanie wśród swoich i naciśnie spust karabinu. Może zrozumiał, że jeśli wybierze najłatwiejszą drogę i wypełni rozkaz, wtedy oprócz tych czternastu mężczyzn zabije także w sobie to coś, co czyni go człowiekiem. Zniszczy tę ostatnią małą przestrzeń, która musi pozostać nienaruszona, abyśmy po przebudzeniu mogli spojrzeć na siebie w lustrze. Może zrozumiał, że wtedy jego życie, aż po śmiertelny kres, będzie już tylko wegetacją.

Jej spojrzenie było jednym wielkim zaproszeniem. Kliknął myszką i zdjęcie heroicznego czynu Josepha Schultza zniknęło z komputera. Na jego miejscu pojawiło się zbliżenie twarzy Axela Ragnerfeldta, jego ojca, jedno z niewielu zdjęć, jakie w swoim czasie pozwalał wykorzystywać wydawnictwom.

- Czyn Josepha Schultza nie zmienił losów żadnego kraju. Nie uratował ani jednego życia, zamiast czternastu zginęło piętnaście osób. Jego niesłychane męstwo i odwaga

cywilna nigdy nie zostały nagrodzone medalem za waleczność. Jego nazwisko pozostało nieznanie większości ludzi, podczas gdy następne pokolenia w podręcznikach do historii czytają o Hitlerach, Goringach i doktorach Mengele. Ale może najbardziej zaskakujące jest to, że sześćdziesiąt pięć lat później decyzja Josepha Schultza budzi większe zdziwienie niż wtedy wśród jego towarzyszy broni z oddziału. Że jego czyn jest tak wyjątkowy, mimo iż to, co zrobił, większość z nas uznaje za słuszne. Bo gdybyśmy mieli wybierać, kim chcielibyśmy być: Josephem Schultzem czy jednym z pozostałych członków patrolu?

W ciszy omieść wzrokiem salę.

- Kto oprócz mnie chciałby być taki jak Joseph?

Jan-Erik wyczuwał falę, która poruszyła morze słuchaczy. Światło reflektorów ogrzewało mu twarz. Każdy por jego ciała był otwarty na oścież i Jan-Erik rozkoszował się uczuciem, które go wypełniało. Jak zwykle w tej części prelekcji zostawił manuskrypt na mównicy, przeszedł powoli na środek sceny, zatrzymał się w miejscu, które wcześniej sobie wyznaczył, i opuścił oczy na podłogę. Pozornie nagi i bez ochrony, jaką daje mównica, przyłączył się do publiczności i powoli podniósł wzrok.

- Mój ojciec i Joseph Schultz rozumieli, że nasze czyny są jak nasze dzieci, żyją dalej i niezależne od nas i naszej woli działają nadal. Joseph Schultz i mój ojciec należą do tej mniejszości, która uważa, że nagrodą za dobry uczynek jest jego dokonanie. To wielkie, bardzo wielkie. Dowiedli, że poprzez pokonanie własnego strachu odnosimy zwycięstwo także nad naszym największym wrogiem. Jestem nieskończenie wdzięczny losowi, że mam takiego ojca jak Axel Ragnerfeldt, że mam zaszczyt dalej głosić jego przesłanie.

Oklaski były spontaniczne, jak zawsze. Obnażył się i uczynił osobiste wyznanie, dzięki temu oni uwierzyli, że w

gruncie rzeczy są podobni i właściwie stanowią jedną wielką rodzinę. Ale jeszcze nie skończył.

- Przywiódło mnie tu dziś pragnienie upowszechniania przesłania. Pójdźmy więc śladem mojego ojca i uczynimy Josepha Schultza naszym wzorem.

Posłał jej badawcze spojrzenie, wszystko dotarło. Z zadowoleniem stwierdził, że jej oklaski różniły się nieco od innych. Były trochę wolniejsze, bardziej powściągliwe, bardziej w stylu: *jesteś wspaniałą, lecz nie myśl sobie, że możesz dostać wszystko, czego chcesz*. Właśnie ten sygnał świadczył o tym, że może dostać dokładnie wszystko, czego chce. Uśmiechnął się wewnętrznie uradowany sukcesem.

Nadeszła pora na pytania. Na widowni zapaliły się światła, teraz mógł zobaczyć swoją publiczność. Niezidentyfikowana masa nagle uzyskała twarz, a Jan-Erik wycofał się na swoje miejsce na mównicy. Zamknął oczy i próbował rozkoszować się sekundą, chwilą należącą do niego, zanim jego ojciec, który fizycznie przebywał w szpitalu, znów znajdzie się w centrum uwagi.

Axel Ragnerfeldt osiągnął taki sukces, jakiego większość rodziców życzy swoim dzieciom.

Starszy mężczyzna w tyle sali podniósł rękę i Jan-Erik udzielił mu głosu. Nie pokazuj palcem jak baba. Używaj całej dłoni.

- Chciałem zapytać o powieść *Cień*.

Mężczyzna mówił z obcym akcentem. Powieść, o którą pytał, przyniosła autorowi Nagrodę Nobla. Jan-Erik zwykle dostawał najwięcej pytań na jej temat. Ostami w szeregu triumfów literackich, który definitywnie przekonał Akademię Szwedzką. W roku dwutysięcznym Simone, główna bohaterka *Cienia*, stoczywszy ostrą walkę z Kris-tiną z *Emigrantów* Moberga, została uznana za literacki portret kobiety dwudziestego wieku.

- Jak wszyscy wiedzą, napisano o tej książce mnóstwo

artykułów, ale mnie fascynuje to, że autorowi udało się opisać wszystko tak wiernie. Miałem czternaście lat, kiedy zostałem wyzwolony z Buchenwaldu i trudno mi, jako że przeżyłem obóz koncentracyjny, zrozumieć, że człowiek, który tam nie był, potrafił z taką dokładnością go opisać. Pański ojciec z pewnością przeprowadził gruntowne badania, gdyż książka jest pełna faktów zgodnych z rzeczywistością. Chciałbym wiedzieć, jaką drogą do tego doszedł?

Jan-Erik uśmiechnął się. Właściwie odpowiedź była prosta i zwięzła. *Nie mam pojęcia*. Ale nie mógł tak odpowiedzieć. Trzeba było czegoś więcej, żeby zadowolić zainteresowaną literaturą publiczność.

- Mój ojciec strzegł pilnie tajemnic swojego warsztatu. Nigdy nikomu nie opowiadał, skąd czerpie pomysły. Nigdy nie zdawał relacji ze swoich badań. Okres pisania nazywał „stanem, w którym się znajdował”, kiedy słowa po prostu przychodziły do niego, postrzegał siebie raczej jako rodzaj odbiornika.

To była prawda, ale jako odpowiedź na pytanie niewystarczająca. Sam zresztą też się zastanawiał nad kwestią poruszaną przez słuchacza.

Posypały się pytania. Nie różniły się od tych, na jakie zwykle odpowiadał. Teraz unikał jej spojrzenia. Chciał, żeby zaczęła się zastanawiać. Obawiać się, że go straciła. Ale przez cały czas miał świadomość jej obecności. Odnotowywał każdy ruch na skraju pola widzenia.

Zawsze na zakończenie spotkania czytał fragment prozy. Wiedział, że podobieństwo ich głosów było najlepszym sposobem, by stworzyć złudzenie. Światła przygasły, wyłączył portret ojca w tle. Jedynym oświetleniem sceny była niewielka lampka przy mównicy. Często czytał ten sam fragment. Dokładnie przysłuchiwał się interpretacji ojca i

przyswoił sobie jego intonację. Od czasu do czasu podnosił wzrok i spoglądał na nią sponad okularów. Na co dzień używał szkieł kontaktowych, ale podczas odczytów nie - okulary zwiększały jego podobieństwo do ojca.

Ostatnie zdania znał na pamięć. Czytał je tyle razy, dlatego teraz mógł spojrzeć na widownię.

- Lecz kiedy czyn się spełnił i nadszedł wieczór, pewność ją opuściła. Jak dusza potępiona chyłkiem nadciągnął lęk i usiadł przy tym samym ognisku. Twój czyn, zły lub dobry, rozchodzi się jak kręgi na wodzie. Będzie wędrował po rozległych równinach i zawsze znajdzie nowe ścieżki. Dlatego wpływ twój jest nieskończony, tak samo jak i twoja wina.

Jan-Erik powoli zamknął książkę. Światło reflektorów znów nabrało mocy. Kiedy jego głos przebrzmiał, zapadła cisza, w którą wśliznął się jego strach. Zawsze powracający lęk, że właśnie tym razem to się może zdarzyć. Publiczność wstanie i ogłuszającym rykiem da wyraz swojemu rozczarowaniu. Z powodu jego nieudolności. Jego przeciętności.

Ulga, kiedy pojawiły się brawa, ożywczy impuls popłynął w jego żyły. Odgłos oklasków rozentuzjasmowanych rąk objął go jak miłosny uścisk.

Był wspaniały, wszyscy go podziwiali.

A potem tęsknota za odprężeniem, które mógł mu dać jedynie minibar w hotelowym pokoju.

Zanim zszedł ze sceny, posłał jej długie spojrzenie. *Przyjdź potem do garderoby.*

W poczcie głosowej miał trzy wiadomości. Pierwsza od córki Ellen. Przypomniawszy sobie, że obiecał zadzwonić i nie zrobił tego. Druga od żony. Louise była zła, że zapomniał zadzwonić do Ellen. Trzecia od niejakiej Marianne Folkeson, która niezwłocznie chciała się z nim skontaktować. W

sprawie Gerdy Persson. Nieustannie obecna gosposia z dzieciństwa. Minęło wiele lat, odkąd ostatni raz się z nią widział, ale firma Ragnerfeldt AB nadal wypłacała jej co miesiąc pewną sumę, coś w rodzaju emerytury za długą wierną służbę, tak można by to określić, na wyraźne polecenie ojca. Zapisał numer do Marianne Folkesson i właśnie zamierzał wystukać numer telefonu komórkowego córki, gdy usłyszał dyskretne pukanie do drzwi.

Wyłączył komórkę i otworzył.

Wszystkie słowa niedawno oklaskiwane wreszcie były zbędne. Na scenie, którą teraz miał do dyspozycji, to on miał być gwiazdą

Nie będzie musiał męczyć się w nocy sam.

Wyśmienie. To słowo pierwsze przeszło jej przez myśl, kiedy rozbudzona otworzyła oczy, żadną miarą nie umiałaby wyjaśnić dlaczego. Gdyby słowem tym było „znużony” albo „zirytowany”, albo coś równie nieprzyjemnie brzmiącego, nie byłaby tak zaskoczona, ale to było „wyśmienie”, już od dawna czuła potrzebę użycia tego słowa.

Louise Ragnerfeldt siedziała przy kuchennym stole, jadła śniadanie i słuchała odgłosów porannej toalety swojej córki.

Z bliska stopniowe zmiany wyglądały jak zastój. Dopiero gdy z oddalenia wszystko nabierało ostrości, dawało się zauważyć powolny rozpad. Bo tak właśnie było, rozpad, dłużej nie można było przymykać na to oczu.

Naturalna kolej. Właściwie mogło być gorzej. Takie nastawienie już nie wystarczało. Nie wtedy, kiedy wkrótce skończy się czterdzieści trzy lata, przypuszczalnie za sobą ma się pół życia i świadomość, jak prędko to zleciało. Jej dwunastoletnia córka była tego żywą miarą, dowodem, jak szybko minie reszta. W takiej sytuacji potrzebne było od

czasu do czasu słowo „wyśmieniecie”, ale żeby się liczyło, powinno pochodzić prosto z serca.

Z westchnieniem po raz kolejny wysłuchiwała nagranego głosu z jego poczty głosowej, rozłączyła się, nie zostawiając wiadomości. Czasami wydawało się jej, że słyszy swojego teścia, tak podobny stał się głos Jana-Erika. Za każdym razem budziło to w niej przestraszenia. Przypominało jej, że mąż pozostawał dla niej człowiekiem równie obcym, jakim był i miał pozostać jej teść. Może to jej wina, że przed udarem teścia nie zdążyła lepiej go poznać, ale było to raczej niezamierzone. Ona, która zwykle umiała rozmawiać ze wszystkimi, w obecności Axela Ragnerfeldta kurczyła się, stawała się milcząca i nudna i tak starannie dobierała słowa, że w końcu żadne nie nadawało się do wypowiedzenia. Kiedy czasami udawało się jej przemóc, zdania były posiekane przez „że tak powiem” i „być może”, większość brzmiała raczej jak pytania niż stwierdzenia, a ostatecznie jego przenikliwe spojrzenie sprawiało, że milkła. Sama była zdziwiona swoimi reakcjami. Myślała, że może to czysto fizyczne oderwanie się od domu rodzinnego, dzieciństwa w Hudiksvall, zajęło jej więcej czasu. Była pierwszą osobą w rodzinie, która zdobyła wykształcenie. Rodzice wspierali ją, choć czuła ich niepewność, kiedy musieli jej bronić przed ludźmi, którzy twierdzili, że zrobiła się zarozumiała. W domu rodzinnym słowa służyły jako konkretne narzędzia, których nie marnowano. Myśli były czymś, co zachowywano dla siebie, i ogólne przekonanie było takie, że wszystko będzie dobrze, jeśli tylko nie zacznie się o tym mówić. Książki były czymś, co czytali ludzie wykształceni, z jakiejś innej warstwy społecznej, trochę lepszej niż własna. Jak nauczyciele, lekarze i szefowie. Szacunek dla zwierzchności był dziedziczony od pokoleń jako naturalny składnik egzystencji. Z dawnego przyzwyczajenia trzymano się sobie podobnych, co nie wymagało poszerzania horyzontów. Nie

rodziło to goryczy; poczucie wspólnoty z innymi rodzinami z okolicy było silne i nawet jeśli czasem było biednie, ludzie pomagali sobie, jak tylko mogli. W soboty upijano się w sztok, żeby naładować baterie. Ale zawsze istniało pewne poczucie niższości wobec ludzi, którzy zawarli przymierze ze słowami. Pochylona głowa i czapka w garści na wywiadówce w szkole i u lekarza. A osoba, która szukała miejsca poza swym środowiskiem, pokazując w ten sposób, że nie jest dość dobre, uznawana była za kogoś w rodzaju zdrajcy. Pisarz był czymś tajemniczym i dalekim, mglistym obrazem czegoś wzniosłego, jak magik, który potrafi to, czego inni nie pojmują, który dotyka nieosiągalnego i opisuje to, czego nikt inny nie widział.

Pamiętała, jaka dumna była początkowo, że nosi nazwisko Axela Ragnerfeldta. Kiedy się o nim mówiło, w oczach jej przyjaciół pojawiał się blask rozmarzenia, chcieli wiedzieć o nim wszystko. Lecz kiedy widzieli jej niezdecydowanie i nie słyszeli oczekiwanych entuzjastycznych opowieści, zaczynali patrzeć na nią nieufnie, jakby jej słowa poddyktowane były zazdrością. Nikt nie chciał słuchać niepochlebnych opinii na temat świętości narodowej, Axela Ragnerfeldta. Człowieka, który z całą swoją wiedzą o dobru i złu wyrzeźbił w języku szwedzkim tak wspaniałe opowieści. Przestała więc mówić, co myśli, i z udawanym zaangażowaniem zaczęła przyłączać się do chóru wielbicieli. Tak było prościej. Ów niesłychany szacunek, jaki miała dla swojego teścia, paraliżował jej język, nigdy więc go nie poznała. Teraz to on stał się niemy i choć nigdy w życiu by się do tego nie przyznała, czasem odczuwała to jako ulgę.

- To ja już lecę!

Louise wstała od stołu i mocniej zawiązała pasek szlafroka.

- Czekaj chwilę!

- Ale zaczynam za dziesięć minut.

Przebiegła przez mieszkanie i zdążyła złapać córkę w przedpokoju. Przytuliła ją szybko i zasunęła zamek kurtki.

- No to cześć. To ma być o siódmej, prawda? Czy tata dzwonił?

- Nie.

Louise przełknęła ślinę i zmusiła się do uśmiechu.

- Na pewno zdąży, zobaczysz.

Ellen nie odpowiedziała. Drzwi się zatrzasnęły, Louise stała nieporuszona. Zamknęła oczy i przeklinała to wszystko, czego częścią się stała. Jej cierpienie było niczym w porównaniu z tym, które widziała w oczach córki. Błaganie o uwagę. Żeby choć raz ją zauważył.

Od ich pierwszego spotkania minęło trzynaście lat. Miała wtedy trzydzieści lat, Jan-Erik trzydzieści siedem, ją przed dwoma laty, po ośmiu latach związku, rzucił mężczyzna, którego uważała za miłość swojego życia. Zegar biologiczny był ustawiony na drzemkę, smutek i upokorzenie. To, że on ją zostawił, uczyniły ją podejrzliwą. I wtedy spotkała Jana-Erika. Jego zaloty dowodziły, że wielka, prawdziwa miłość przychodzi nagle jak piorun z nieba. Jego zdecydowanie ją oszołomiło. Nic nie było zbyt kosztowne, żadna droga za daleka, żadna rozmowa telefoniczna nie była zbędna. Goriwy, niemal jak opętany, zagrzewał ją do biegu, zostawiając za sobą wszystkie wątpliwości i namysły, jak gdyby brali udział w sprincie. Jego pośpiech odbierała jako dowód prawdziwej namiętności. Dni były pełne niespodzianek, nocą spał u jej boku. Zachowywał się jak dziecko - bał się, że ona zniknie, jeśli nie będzie jej trzymał. Jego żarliwe uwielbienie zawróciło jej w głowie, po tym, jak została porzucona i wykreślona, znów poczuła swoją wartość - zajęła

centralne miejsce we wszechświecie Jana-Erika Ragnerfeldta.

Nieco ponad rok od ich spotkania urodziła się Ellen.

Teraz, mając w dłoni klucz, Louise rozumiała, że on zdobywał ją tak jak pośrednik w handlu nieruchomościami który niecierpliwie przepędza ewentualnego klienta przez pokoje w rozwalającym się domu.

Poszła do łazienki. Włożyła rękę do kabiny prysznica, odkręciła kurek i stojąc na ciepłej posadzce, czekała, aż woda będzie miała odpowiednią temperaturę. Łazienka była świeżo wyremontowana. Jan-Erik dał jej wolną rękę, żeby zdecydowała, jak chce ją urządzić. Ona zaś wolałaby, żeby zdecydowali razem, ale Jan-Erik nie miał czasu, a Louise za mało go znała, żeby wiedzieć, co mu się podoba. To było jak zakłęty krąg. Koszty ich życia wymagały, by pracował dużo, ale im więcej pracował, tym wyższe były koszty. Spojrzała na trzy robione na zamówienie emaliowane imienne wieszaki na ręczniki. Ellen, Jan-Erik, Louise. Gdyby sądzić po pozorach, można by pomyśleć, że to trzy imiona osób, które tworzą rodzinę.

Zdjęła szlafrok i weszła pod prysznic.

Może Jan-Erik uznał ją za cenną zdobycz. Kiedy on zjawił się w jej życiu, właśnie miała swoje piętnaście minut w blasku reflektorów. Lub przynajmniej w snopie światła skierowanym na nią ze świata kultury, do którego tak bardzo chciał należeć, jak się później okazało. Po dramatycznym rozstaniu ze swoim byłym nagle poczuła potrzebę przelania na papier wszystkich swoich uczuć, ona, która przedtem nigdy poważnie nie zajmowała się pisaniem. W chwilowym przypływie pewności siebie wysłała swoje dzieło do wydawnictwa. Tomik wierszy wzbudził duże zainteresowanie, a pozółkłe teraz wycinki z gazet były pełne pochwał. Wybitny debiut, pisano o niej. Obiecujący talent. Ale w ciągu następnych trzynastu lat jej istnienie, jak i talent

literacki popadły w zapomnienie. Jeśli w swej naiwności sądziła, że nowe nazwisko ułatwi jej realizację literackich ambicji, już wkrótce miała się przekonać, że się oszukiwała. Jej twórczość została wessana przez czarną dziurę, jaka wytwarzała się wokół szacownego nazwiska Axela Ragnerfeldta, wszelka uwaga, która mogłaby konkurować z jego sławą, była skutecznie wypychana za kulisy.

Zakręciła kran i sięgnęła po ręcznik. Wytarła się do sucha, potem starannie nasmarowała się kremem nawilżającym.

Z perspektywy czasu trudno było zauważyć rozstaje. Które małe, maleńkie kroki nieubłaganie doprowadziły ich do obecnej sytuacji. Miała wrażenie, że zainteresowanie nią Jana-Erika słabło w tym samym tempie, w jakim jej nazwisko zniknęło z łamów prasy. Może była trofeum, jakiego szukał, żeby przyozdobić salon rodziny Ragnerfeldt, lecz po bliższym przyjrzeniu okazało się, że nie pasowało ono do szlachetnego gatunku drewna regałów. Z centralnego punktu we wszechświecie Jana-Erika została przeniesiona na miejsce dozorczy w jego imperium.

Obejrzała swoje piersi w lustrze. Krągłe i odpowiedniej wielkości, dokładnie takie, jakie zawsze chciała mieć. Blizny były już niewidoczne. Cena była umiarkowana, bo operowała ją przyjaciółka, a Jan-Erik o niczym nie wiedział. Dlaczego miałyby mu opowiadać? Jej piersi były dla niego równie interesujące jak świnka morska syna sąsiadów.

Pamiętała, jak było na początku. Każda okazja doprowadzała ich do wybuchu namiętności na dywanie w pokoju dziennym, na kuchennym stole albo gdziekolwiek indziej. Był cudownym kochankiem. Zaskakiwało ją jego pragnienie, by sprawić jej rozkosz, by za wszelką cenę ją zadowolić. Kiedy próbowała to odwzajemnić, zaraz znów

przejmował inicjatywę i czasami miała wrażenie, że jej rozkosz sprawia mu większą przyjemność niż własne spełnienie. Był jak cyrkowy artysta na arenie, zręcznie prezentujący swoje sztuki, wydawało jej się, że jej orgazmy były dowodem na to, że go kocha. Oddawała się rozkoszy bez zahamowań, niemal wstydziła się swojej namiętności. Ale coraz częściej zauważała, że ich rozmowy stają się rzadsze, i choćby uprawiali seks nie wiadomo jak często, miała wrażenie, że dystans między nimi się powiększa. W końcu nabrała podejrzeń, że komunikacja zachodzi tylko między ich strefami erogennymi. Próbowwała wtedy rozmawiać z nim, ale się nie udawało. Wszelkie posługiwanie się słowami było trudne, gdy chodziło o seks, sprawa stawała się beznadziejna. Jej niepewne uwagi odbierał jako krytykę swojej wydolności, a jedynym sposobem, by dowieść czegoś przeciwnego, było zakończenie rozmowy stosunkiem. I tak pewnego razu, pamiętała, że był to jeden z wieczorów, kiedy chciała rozmawiać, nie miał wzrodu. Zapewniała go, że to nie ma znaczenia, chciała go objąć, lecz jej słowa były zbędne. Najmocniej zapamiętała wściekłość w spojrzeniu Jana-Erika, kiedy jak zraniony pies odsunął się od niej i zamknął w swoim gabinecie. Miesiące, które potem nastąpiły, były ciche pod każdym względem. Najpierw myślała, że słowa, które mogłyby im pomóc, gdzieś się pogubiły, ale wkrótce uświadomiła sobie, że nigdy ich nie było. Pomyliła silne poczucie przynależności, które powstawało, kiedy się kochali, z miłością. Właściwie go nie znała. Nie do głębi. Bez tchu czekała na jego powrót. Jego niechęć była wyraźna i dotkliwa, jego wrogość doprowadzała ją do rozpacz. Próbowowała wszystkiego. Romantyczne kolacje przy świecach, piękne stroje, bilety do teatru. Nic nie zdołało ich do siebie zbliżyć, wręcz przeciwnie, jej nieudane próby nasiliły problem, a dystans między nimi jeszcze się zwiększył. Lecz po

jednej kolacji z teściami, dawno po tym, jak porzuciła nadzieję, nieoczekiwanie przekradł się na jej połowę łóżka. Bez słowa, przy zgaszonej lampce, niezdarnymi z powodu wypitego wina palcami przygotował sobie drogę, by potem agresywnymi pchnięciami doprowadzić się do wytrysku.

To był ostatni raz. Od tego czasu minęło jedenaście lat.

Dostosowała swoje oczekiwania do nowej sytuacji, w której bliskość fizyczna wyrażała się co najwyżej w klepięciu w ramię, kiedy nie dało się tego uniknąć.

Patrzyła na siebie w lustrze. Oglądała swoje nagie ciało. Trochę starsze, bardziej dojrzałe, ale dobrze utrzymane po operacji piersi i ostrych treningach.

Przez nikogo niepożądane.

Z każdym mijającym dniem jej pragnienie było coraz trudniejsze do opanowania. Pragnienie, by jeszcze raz poczuć pasję namiętności. Przez krótką chwilę balansować na ostrej krawędzi, najbliższej życia.

Nakryła piersi dłońmi i zamknęła oczy. Móc się zapomnieć. Ulec przymusowi, podporządkować się życiowej sile namiętności i oddać się jej. Potem odpocząć w ramionach, które dałyby jej pewność, że jest godna pożądania.

Równo o godzinie dziesiątej po szybkim spacerze włożyła klucz do zamka w drzwiach Boutique Louise na Nybrogatan. Najemcą lokalu była firma Ragnerfeldt AB. Jan-Erik urządził go dla niej za pozwoleniem Axela przed siedmiu laty, kiedy jej talent literacki ewidentnie wygasł, tak samo nagle, jak się pojawił. Ekskluzywne markowe ubrania dla zamożnych klientów, przeważnie mieszkających w pobliżu. Starła się, jak mogła, żeby przyswoić sobie styl życia, jakiego się po niej spodziewano, choć jej dusza płaciła za to

coraz wyższą cenę. Skończyła studia inżynierskie o specjalizacji informatycznej, ale po urlopie macierzyńskim nie wróciła do zawodu. Wobec szybkiego rozwoju w dziedzinie komputerów wkrótce została w tyle. Poza tym Jan-Erik uważał, że właścicielka butiku jest czymś lepszym, a może i ona na chwilę dała się temu zwieść. Prawda natomiast była taka, że butik stanowił luksusowe hobby. Dochody były niewielkie i nie wносиły prawie nic do budżetu domowego. Ale miała coś swojego, tak że Jan-Erik z czystym sumieniem mógł się zajmować własnymi sprawami. I ilekroć mówiła, że on za dużo pracuje, słyszała, że tego wymaga sytuacja finansowa ich rodziny. Była całkowicie uzależniona od Jana-Erika i rodzinnego przedsiębiorstwa Ragnerfeldtów.

Powiesiła płaszcz w małym magazynie za ladą i wyjęła komórkę. Jan-Erik nadal się nie odezwał, mimo że nagrała mu wiadomość i przypomniała o przedstawieniu teatralnym córki. Westchnęła ciężko i wystukała numer do Alice Ragnerfeldt. Musiała odczekać wiele sygnałów, ale to było normalne. Jej teściowa cierpiała między innymi na chorobę niedokrwienną serca i twierdziła, że doktor polecił jej zakrętkę whisky co rano jako najlepsze lekarstwo. Louise nie wiedziała, jak duża była zakrętka butelki doktora, ale whisky jej teściowej musiała mieć gigantyczny kapsel. Zgłosiła się po dwunastym sygnale.

- Alice Ragnerfeldt.

- Mówi Louise. Jak się dzisiaj czujesz?

W słuchawce zapadła cisza. Louise pożałowała swoich słów, bo przecież знаła już odpowiedź.

- No cóż, dziękuję, raczej jak zwykle.

Zanim teściowa zdążyła przedstawić szczegółowy raport, Louise rzuciła szybko:

- Chciałam zapytać, czy miałabyś ochotę wybrać się ze

mną dziś wieczór do szkoły Ellen na przedstawienie teatralne?

- Dziś wieczór?

- Tak. O siódmej.

W słuchawce zapadła dłuższa cisza. Louise słyszała ciężki oddech teściowej. I nieuniknione pytanie:

- Czy Jan-Erik też będzie?

- Nie wiem, czy zdąży. Wczoraj miał odczyt w Goeteborгу i wróci pociągiem dziś po południu lub wieczorem.

Udzielając tej odpowiedzi, zaczęła się zastanawiać, dlaczego nie powiedziała, jak było naprawdę. Dlaczego zawsze instynktownie go broniła. Tak jakby zawsze, gdy miała do czynienia z teściami, w jej głowie przesuwawa się jakaś dźwignia. Pozory, które trzeba było zachowywać, żeby uniknąć konfliktów, żeby dowieść, że się nadawała do swojej roli. O ile jej kontakt z Axelem praktycznie nie istniał, to związek z Alice był bardziej nacechowany emocjonalnie. Teściowa, która początkowo nie ukrywała niezadowolenia, z czasem poddała się i zaakceptowała okoliczności. Jej akceptacja, choć powściągliwa, była lepsza niż nic, a Louise bardzo jej pragnęła. Pragnęła stać się prawdziwą częścią rodziny Ragnerfeldtów, a nie tylko stać z boku i grzać się w ich blasku. Albo przypominać odłożony na bok ozdobny drobiazg, który zbiera kurz gdzieś na półce w magazynie.

Alice Ragnerfeldt nie mogła w tej chwili udzielić odpowiedzi i poprosiła Louise o drugi telefon po południu.

Zgodnie z przewidywaniami Louise, Jan-Erik nie pojawił się na przedstawieniu. Jej matczyne serce przepełniał gniew, kiedy widziała wyczekujące spojrzenia córki, która co chwila szukała go wzrokiem na sali, i jak przygasły jej oczy, gdy miejsce ojca pozostało puste. Louise przygnębiała

myśl, co będzie potem, kiedy będzie musiała zbagatelizować zdradę i złagodzić rozczarowanie Ellen. Złość i bezsilność nie pozwalały zachwycać się przedstawieniem.

Tak nie można żyć. Absolutnie nie. Nie, jeśli jeszcze kiedykolwiek chciało się użyć słowa „wyśmienicie”.

Pojawił się w domu dopiero koło jedenastej. Ellen już spała, a Louise siedziała ze szklanką środka znieczulającego w fotelu przy wykuszu.

- Czołem! - rozległ się radosny głos w przedpokoju.

Żałowała, że nie poszła spać. Nie schowała się w ciemnościach odwrócona plecami, żeby uniknąć spotkania z nim. Była tak bardzo zmęczona tą narzuconą sobie rolą.

Słyszała, że kroki się przybliżają, potem pojawił się w salonie. Wyglądał na znużonego. Twarz miał obrzmiałą.

- Cześć.

- Cześć.

Opuściła wzrok i strzepnęła coś niewidocznego z podłokietnika fotela.

- Przykro mi, że nie zdążyłem na przedstawienie Ellen. Pociąg się spóźnił.

- Masz naprawdę pecha z pociągami. Zdawało mi się, że odczyt miał się odbyć wczoraj wieczorem.

Podszedł do połączanego stoliczka zastawionego butelkami. Odwrócony do Louise plecami, nalał sobie whisky. Ostatnio robił to coraz częściej. Nalewał whisky. Czasami w nocy, kiedy wracała do sypialni z ubikacji, uderzał ją znajomy zapach jego oddechu. Ale biorąc pod uwagę to, co sama trzymała w dłoni, nie mogła wystąpić z pretensjami.

- Miałem zaplanowanych na dzisiaj kilka spotkań z firmami z Goeteborga. W sprawie zbiórki funduszy dla przychodni lekarskiej w Somalii. Czy coś się wydarzyło w domu?

Nie. Pomijając fakt, że po raz kolejny złamałeś serce swojej córce, tak chciała odpowiedzieć. Ale powtarza się to tak często, że Ellen już nawet nie okazuje rozczarowania.

Bo nie zrobiła tego. Ani jednym słowem nie skomentowała faktu, że ojciec znów ją zawiódł.

- Jakiej przychodni?

Odwrócił się do niej zdziwiony.

- Nie wiesz? Przychodni, którą otworzyliśmy w zeszłym roku.

- Nie, nie wiem. Skąd miałabym wiedzieć, skoro nic mi o tym nie mówiłeś?

Jej głos był twardy i ostry. Nienawidziła tej goryczy, która ją osaczyła. Tak powoli i bezgłośnie, że zauważyła ją dopiero wtedy, kiedy była już jej częścią.

- W takim razie przepraszam. Myślałem, że opowiadałem o tym, a może też nie sądziłem, że mogłoby to cię szczególnie zainteresować.

Wyjrzała przez okno. Ponad koronami drzew w stronę wieży kościoła Świętej Jadwigi Eleonory. Było tak, jak mówił, nie była szczególnie zainteresowana. Wiedziała, że są uzależnieni od jego pracy i że przynosiła ona korzyści, fundacje i domy dziecka utworzone w imieniu Axela ratowały życie ludziom gdzieś w odległych zakątkach, ale gdyby się zainteresowała jego wysiłkami, to byłoby tak, jakby legitymizowała własnego kata. To, że zawsze była stawiana na drugim miejscu. Że coś innego zawsze było ważniejsze i miało pierwszeństwo przed tym, co ona i Ellen mogły zaofiarować. Może była egoistką. Gdyby była lepszym człowiekiem, może odsunęłyby na bok szczęście swojej córki

i własne problemy na rzecz większej sprawy. Ale nie była lepszym człowiekiem.

- Pytałam twoją matkę, czy nie wybrałaby się z nami na to przedstawienie.

- To miło z twojej strony.

- Nie, nieszczególnie. To nie ze względu na nią, tylko na Ellen. Ale nie mogła. Musiała zostać w domu i zająć się swoją chorobą, bolącym biodrem i szumem w uszach.

Jan-Erik opróżnił szklankę i znów nalał sobie whisky.

- To nie takie proste. Przecież ona w tym roku kończy osiemdziesiąt lat. Miejmy nadzieję, że za rok będziemy mogli pójść wszyscy troje.

Znów popatrzyła przez okno. Marzyła, by znaleźć się za jednym z okien po drugiej stronie ulicy.

- Tak, byłoby miło. Ellen na pewno by się ucieszyła, że choć raz nie byłaby osobą, która przyciąga najmniej publiczności.

Nienawidziła każdego słowa, które wypowiadała. Nienawidziła siebie za to, że ostatnią szansą na rewanż jest przyznawanie sobie prawa do ich wypowiedziania. Często chodziło o drobiazgi, właściwie nic nieznaczące, które wykorzystywała, by dać wyraz swemu niezadowoleniu. Jak stawiał buty w przedpokoju, jak ustawił porcelanę w zmywarce, jak ułożył poduszki na sofie. A najbardziej nienawidziła tego, że Jan-Erik nie dawał się wyprowadzić z równowagi. Jakby był jedną z tych nieśmiertelnych postaci w komputerowych grach Ellen, podnosił się bez szwanku po każdym śmiertelnym ciosie, zawsze gotów przyjąć następny. Jego pobłażliwy spokój doprowadzał ją do szału. Nawet nie potrafiła sprowokować kłótni, może nie była dla niego dość ważna.

Odstawił pustą szklankę na blat stolika.

- Pójdę się położyć. Muszę jutro pojechać do mamy. Umarła Gerda Persson.

- Tak? A kto to jest Gerda Persson?
Przez sekundę wyglądał na zaskoczonego.

- Nasza dawna gosposia.

Gerda Persson. Nigdy przedtem nie słyszała tego nazwiska.

- Dzwonił ktoś z gminy w sprawie pogrzebu. Przypuszczam, że jesteście najbliższymi osobami, jakie ma. To znać miała. Była u nas w domu przez cały okres mego dorastania, chyba aż do siedemdziesiątego, osiemdziesiątego któregoś roku, więc to naturalne, że pomożemy, jak się tylko da. Mama znała ją lepiej, więc muszę z nią o tym porozmawiać.

Zniknął z jej pola widzenia i po chwili usłyszała, że zamyka i starannie blokuje drzwi łazienki. Jakby chciał mieć pewność, że ona nie wtargnie tam nagle, żeby go wykorzystać.

Żyła z obcym człowiekiem. Przez całe dzieciństwo w jego domu mieszkała niejaka Gerda Persson. Nigdy o niej nie wspominał. Jeszcze jeden dowód na sukces jego strategii trzymania Louise z dala od swojego życia. Od teraźniejszości i przeszłości. Co myślał o przyszłości, nie miała pojęcia.

Wszystko było podzielone na dwie przegródki. Jedna to były pragnienia, by dawne marzenia zrealizować. Druga pełna goryczy z powodu obrotu spraw, całkowitej obojętności Jana-Erika. Miała wrażenie, że dwa kamienie młyńskie miażdżą wszystko, co dla niej ważne, mięką na drobny pył, który powoli pokrywa coraz grubszą warstwą jej życie. Oczywiście istniało wyjście. Wybierało je wielu przed nią. Liczba rozwodów była tak wielka, że w sklepach tworzyły się kolejki po kartony po bananach, używane do przeprowadzek. Ale pomiędzy *właściwie to chciałabym* i *chcę* była przepaść nie do pokonania. Ellen znajdowała się w środku tej przepaści. Decyzja o rozwodzie wpłynęłaby na jej los.

Miałaby także poważne konsekwencje finansowe. Wszystko, co ich otaczało, co miało jakąkolwiek wartość, należało do Ragnerfeldt AB, do Axela Ragnerfeldta. Mieszkanie, samochód, butik. W razie rozwodu zostałyby bez grosza przy duszy. Ale tylko póki Axel żył. Myślała o tym ostatnio coraz częściej. Że sytuacja zmieniłaby się z chwilą podziału spadku. Wiedziała, co tak naprawdę kryło się pod jej zgorzknieniem, czasem miała wrażenie, że dławi ją jakaś twarda dłoń. I ten ogromny smutek z powodu ich niewybaczalnej klęski.

Jeśli nic się nie zmieni, rozwód będzie dla niej jedynym wyjściem, gdy tylko Axel umrze.

Była jednak inna możliwość: pozostać i na zawsze wymazać ze swej świadomości słowo „wyśmienicie”.

Nauczył się oddychać tak, by się wydawało, że śpi. Leżał w piżamie na swojej połowie podwójnego łóża i słuchał odgłosu bosych stóp Louise, stąpających po ułożonym w motyw jodelki dębowym parkiecie. Słyszał, jak zdejmuje i wieszka szlafrok, siada na krawędzi łóżka, zdejmuje łańcuszek, pierścionki i kolczyki, słyszał brzęk biżuterii, którą wrzucała do małej kryształowej czarki na nocnym stoliku. Słyszał, jak otwiera szufladę, odkręca pokrywkę kremu nawilżającego i wreszcie jak dokładnie smaruje dłonie. Codzienna wieczorna rutyna. Gdyby trzeba było zwizualizować słowo nuda, mógłby to być doskonały przykład.

Poprzedniej nocy nie spał zbyt długo, a jednak dziś nie mógł zasnąć. Serce waliło mu nieprzyjemnie, marzył o tym, żeby wymknąć się niepostrzeżenie i łyknąć jeszcze jedną whisky. Poza tym, choć Louise na pewno nie uwierzyłaby, że jest do tego zdolny, miał wyrzuty sumienia z powodu nieobecności na przedstawieniu Ellen. Znowu. To nie było zamierzone. Chciał pojechać wcześniejszym pociągiem. Ale ona prosiła go, żeby został jeszcze kilka godzin, mówiła, że weźmie wolne w pracy, a on nie był w stanie się oprzeć. Jak zwykle jego rozsądek łądował między nogami i przez kilka

godzin w zachwycie obserwował efekty swoich umiejętności, czuł zadowolenie, kiedy doprowadził ją do skowytu rozkoszy. A kiedy tamto się skończyło, niemal natychmiast przepełniło go obrzydzenie. Niesmak tak silny, jakby nagle się okazało, że tamta kobieta miała wąsy.

Ale na pociąg nie zdążył.

Usłyszał, że oddech Louise stał się głębszy i pomyślał, że zasnęła. Ale może udawała, tak samo jak on. Powinni mieć osobne sypialnie, wtedy mogliby przynajmniej wieczorami trochę czytać w spokoju. Ale żeby do tego doprowadzić, konieczne było jasne postawienie sprawy, a on nienawidził otwartych konfliktów, które mogły niepostrzeżenie wykroczyć poza przewidywane ramy.

Odczuwał trudne do opisanego wyrzuty sumienia. Jego dom był miejscem, w którym nie mógłby wytrzymać, gdyby tak często z niego nie wyjeżdżał. A jednak przy każdym powrocie odczuwał tę samą ulgę. Niemal bliski płaczu, z sumieniem obciążonym winą, ponad wszystko pragnął pojednania. Jak worek bokserski cicho przyjmował cios za ciosem, wysłuchując jej zjadliwych komentarzy. Wiele razy obiecywał sobie, że wszystko się zmieni, stanie się lepszym człowiekiem, z umiarem sięgającym po alkohol, panującym nad swoim kutasem. Ale mimo najlepszych chęci wkrótce znów dopadał go niepokój i mrowienie w ciele stawało się nieznośne. Wtedy wychodził się napić. Jedynie to przynosiło ulgę.

Podparł się łokciem i wypił łyk wody ze szklanki na nocnym stoliku. Smuga światła ulicznej latarni przeniknęła między drewnianymi żaluzjami i położyła się w poprzek na podwójnym łóżku. Odwrócił się na bok i spojrzał na Louise, która, jak się zdawało, spała, odwrócona plecami do niego.

Wtedy, przed trzynastu laty, miał całkowitą pewność. Większą niż kiedykolwiek. Po niezliczonych przelotnych

romansach i jednorazowych przygodach wreszcie znalazł kobietę, której szukał. Która miała zagłuszyć to dojmujące poczucie pustki, dać mu spełnienie. Próbował już wcześniej uporządkować swoje życie. Tym razem wszystko miało być inaczej. Zmęczył się życiem, które prowadził, coraz częściej dostrzegał to szczególne spojrzenie młodych kobiet - był żenujący. W wieku trzydziestu siedmiu lat nadszedł najwyższy czas, by skończyć opóźniony bunt nastolatka, który zaczął się przed szesnastu laty, kiedy wrócił z Ameryki. Noce w knajpach, narkotyki, pieniądze rozplywały się równie szybko, jak się pojawiały. Kobiety leżące u jego boku, kiedy się budził rano, nigdy nie były tak pociągające w świetle poranka jak na nocnym rauszu. Louise miała być zbroją, jakiej potrzebował. Miała sprawić, że będzie chciał nadać swemu życiu jakąś strukturę i wreszcie udowodnić, że potrafi coś więcej niż tylko grzać się w ciepłe swego sławnego nazwiska. Doskonale pasowała do szablonu. Inteligentna, piękna i uznana poetka. Jego ojcu powinno to zaimponować. Matka i tak nigdy nie byłaby zadowolona.

Uniósł lekko koldrę, czujnie wpatrzony w plecy żony i powoli wstał, żeby jej nie obudzić. Nie poruszyła się. Włożył szlafrok i cicho zamknął za sobą drzwi. Bosymi stopami przemknął po skrzypiącym parkiecie. Drzwi pokoju Ellen były uchylone, paliła się czerwona lampka. Chwilę stał i przyglądał się córce, sam nie wiedząc dlaczego. O wiele łatwiej było dopuścić do głosu miłość, jaką odczuwał, kiedy spała. Koldra się zsunęła, nim wyszedł, starannie otulił dziewczynkę.

W gabinecie miał butelkę whisky schowaną za książkami. Wstąpił tam i pociągnął prosto z butelki, przejrzał korespondencję do Ragnerfeldt AB, ale jej nie otwierał. Dwie koperty wyglądały na listy od czytelników. Jego ojciec nadal dostawał po kilka takich listów tygodniowo.

Jan-Erik zwykle odpowiadał, wysyłając fotografię Axela i faksymile podpisu.

W łazience umył zęby. Szorował je starannie, żeby usunąć zapach alkoholu. Potem zwilżył kawałek papieru toaletowego i starł białe kropki z lustra. Dzięki temu prostemu zabiegowi mógł uniknąć bury.

Wrócił do sypialni i wśliznął się do łóżka.

Wszystko zaczęło się tak dobrze. Nie mógł się nią nasycić. Pierwszy raz w życiu wydawało mu się, że znalazł kobietę, która jak magnes ściągała te jego spojrzenia, które zawsze szukały innych. Była jego wielką namiętnością. Owiana tajemnicą, najpierw odrzucała jego awanse, jej opór rozpałał go do granic szaleństwa. Jan-Erik jakby rzucił się w wir. Wszystko w niej potęgowało jego zachwyty. Chciał zawsze być blisko niej, wiedzieć, co myśli, gdy milczy, wdychać jej zapach, kochać ją, trzymać mocno w ramionach i nigdy nie wypuszczać. W końcu skapitulowała przed siłą jego uwielbienia.

Tym razem wróg pojawił się nieco później. Czasami pokazywał pazury, by się zaraz wycofać. Jan-Erik myślał, że wreszcie udało mu się wygrać. Nie zauważył, jak powoli i nieuchronnie wróg zacieśnia krąg, aż wreszcie znów znalazł się w okrążeniu. Zaczęła żądać za dużo, rozpychać się. Odczuwał coraz większą potrzebę odsunięcia się od niej. Telefony, kiedy się ich najmniej spodziewał. Intymne kolacje przy świecach, podczas których po wścibsku grzebała w poszukiwaniu tajemnic i nieproszona dzieliła się własnymi. Drobne prezenty niespodzianki, którymi wymuszała jego wdzięczność. Musiał pokonywać coraz więcej małych codziennych problemów, zanim znów mógł się wykazać wydolnością w sypialni. Jego podejrzliwość narastała, widział wyraźnie, jak próbuje coraz głębiej wcisnąć się w jego życie

za wszelką cenę, by stać się niezbędną. I wszystko się skończyło. Jak zwykle tajemnica przerodziła się w wiedzę, emocje w rutynę. Jej intrygująca bielizna, która potrafiła zajmować jego fantazję po całych dniach, suszyła się nagle na sznurku w blasku jarzeniówki, kiedy goił się rankiem przed lustrem. Jej uroda, która tak go zachwycała, leżała w łazienkowej szafce zapakowana w małe pudełka i buteleczki opatrzone etykietkami. Jej myśli, które tak go zastanawiały, okazały się równie pospolite jak myśli innych ludzi. Była jak dalekie miasto nocą. Z oddali światła jarzyły się niczym magiczne klejnoty, kusily i czarowały obietnicami i możliwościami. Z bliska zaś wyglądało jak każde inne. Domy wymagające remontu i śmieci na chodnikach. Nie przyjaźni szukał; potrzebował ognistej namiętności i nieokiełznanego seksu, był na nią wściekły, że go oszukała. Jego zakochanie po raz kolejny zmierzało ku rozczarowaniu. Jak kokainowy odlot. Był na haju przez chwilę, by później bezpowrotnie pogрузьć się w niepokój.

Chciał zakończyć to wszystko bez wyjaśnień. Wyjść po papierosy i nigdy nie wrócić. Tego wieczoru, kiedy podjął taką decyzję, poprosiła go, by usiadł na sofie, ujęła jego rękę i z uśmiechem szczęścia powiedziała, że spodziewa się dziecka.

Obudził się przed sygnałem budzika. Po cichu podkrađł się do nocnego stolika Louise i wyłączył alarm, potem poszedł obudzić córkę. Chciał pobyć z nią chwilę sam, żeby mieć okazję przeprosić za swoją nieobecność na przedstawieniu. Przez chwilę stał i przyglądał się pogrużonej we śnie córce. Taka duża, a jednak jeszcze dziecko.

- Ellen.

Poruszyła się.

- Ellen, pora wstawać.

Położył dłoń na jej głowie i poklepał niezręcznie. Otworzyła oczy, spojrzała na niego.

- Cześć.

Była wyraźnie ucieszona, zaczęła się przeciągać. Jan-Erik uśmiechnął się lekko, chciał coś powiedzieć.

- Zrobię śniadanie. Co zwykle jadasz?

- Tylko mleko i kanapkę. Z serem.

Zamierzał ją przeprosić, ale teraz nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Przez chwilę stał i jeszcze ich szukał, wreszcie poddał się i wyszedł z pokoju. Znów uderzyło go, jakie to trudne - zachować się właściwie. Kochał córkę, ale też budziła w nim lęk. Jej wyraźną zależność i pragnienie kontaktu odczuwał jako presję. Jakby musiał się przed tym bronić. Nie był w stanie dać jej tego, czego od niego oczekiwała. Po prostu nie miał tego w sobie. Była nieustającym przypomnieniem jego niedoskonałości. Mówiąc całkiem szczerze, przygnębiała go.

Posmarował jej kanapkę i wyszedł do przedpokoju po poranną gazetę. Kiedy wrócił, dziewczynka siedziała przy kuchennym stole, usiadł naprzeciwko niej. Teraz. Teraz ją przeprosi.

- Jak tam w szkole?

- Dobrze.

Jadła dalej.

- Macie dużo sprawdzianów?

- Tak sobie. Nie za dużo.

Dopiła mleko i poszła po więcej. Zrozumiał, że ma coraz mniej czasu. Jeszcze raz zebrał się w sobie.

- Chciałem tylko powiedzieć, że hmm, że jeśli chcesz jeszcze jedną kanapkę, mogę ci posmarować.

- Nie, dziękuję. Gdzie jest mama?

- Śpi.

- Nie mogę znaleźć mojej zielonej spinki.

Jednym haustem wypila kolejną porcję mleka, potem wstawiła szklankę do zlewu. Zanim zdążył powiedzieć coś

jeszcze, odeszła w stronę ich sypialni, usłyszał gwar głosów. Poufne rozmowy, z których zawsze był wykluczany.

Ellen była jednym z powodów, dla których został. Straciłby ją, gdyby się rozstali. Więzi, jakie zdołał nawiązać, były zbyt kruche, by zmierzyć się z łańcuchami, jakie udało się stworzyć Louise. Ale był jeszcze jeden powód, tak ukryty, że tylko on i jego ojciec go znali. Chodziło o pozory.

W rodzinie Ragnerfeldtów nie było rozwodów.

Kiedy urodziła się Ellen, jego ojciec nie miał zbyt dobrego mniemania o talentach małżeńskich Jana-Erika i nawet jeśli w tej chwili jego krytyka mogła się wyrażać jako błysk pioruna w oku, to mogłaby się okazać o wiele bardziej odczuwalna z chwilą jego śmierci, gdy dojdzie do podziału majątku. Nie mógł zanegować praw syna do spadku, ale potrafił się dogadać z prawnikami. Swoim zręcznym piórem zadysponował, że część przypadająca Janowi-Erikowi mogłaby być najmniejsza z możliwych, gdyby w dniu otwarcia testamentu nie prowadził przyzwoitego trybu życia. Jan-Erik przeczytał ten dokument. Był datowany na pierwsze urodziny Ellen, a jego ojciec nienagannym fachowym językiem sformułował swoją przewagę. W słowach zionących pogardą przeznaczył duże kwoty dla Louise i Ellen. Póki małżeństwo trwało, wszystko miało pozostać bez zmian. Jan-Erik nadal miał zarządzać majątkiem z obowiązkiem przedstawiania sprawozdań przed komisją rewizyjną. Ale w razie rozwodu wszystko wyszłoby na światło dzienne, a Louise cieszyłaby się wielką wygraną. - To ze względu na Ellen - tłumaczył jego ojciec. - Ona jest naszym dziedzictwem na przyszłość. - Wrócili potem do stołu, a Jan-Erik spił się winem z dobrych roczników. Obojętnie uczestniczył

w nieistotnych rozmowach, które maskowały jego wściekłość, że tak ważne dla przyszłości dziedzictwo pominęło jedno pokolenie.

Tego wieczoru próbował się przemóc i zbliżyć do Louise. Czuł się tak, jakby pieprzył dozorcę własnego więzienia.

Alice Ragnerfeldt nie potrzebowała budzika, żeby wstać o świcie. To nie był jej wybór. Wręcz przeciwnie, zawsze mówiła, że woli noc. Uwielbiała zajmować dla siebie tę przestrzeń, którą pozostawiali po sobie śpiący. Ale niespanie i bezsenność to nie to samo. Teraz nie marzyła o niczym innym, tylko o śnie, lecz tabletki nasenne zdawały się działać zaledwie kilka godzin. W godzinie wilków budziły ją skurcze. Ciężar w okolicy serca, jakby wszystkie lęki świata ulokowały się w jej piersi. Starość była jedną długą męką. Twarz obcej staruchy w lustrze. Młodzieńcze oczekiwanie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zamieniło się w zdumienie starością. Wszystko minęło tak szybko i tak mało pozostało. Incydentalne zjawiska, które niepostrzeżenie przeszły w stan nieodwracalny. Decyzje, które rozstrzygały o wszystkim, choć nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek je podejmowała. Ludzie, którzy przychodzili i odchodzili, dotrzymywali jej towarzystwa przez chwilę, by potem pójść własnymi drogami.

Wszystko się rozproszyło, ale nic nie zostało zgubione. To, co najważniejsze, trwało dalej, jak zakonserwowany owoc z minionego sezonu.

Ale tego ranka obudziły ją nie dolegliwości, lecz ból w prawej łydce. Wiedziała, co to może być, spodziewała się tego. Prostując stopę, żeby uwolnić się od skurczu, zapaliła lampę i wyjęła z nocnej szafki plik gazetowych wycinków. Wyciągnęła je z plastikowej koszulki i przewertowała, aż odnalazła właściwy. „Expressen” z piętnastego września. *Dziewięćset tysięcy Szwedów dotkniętych chorobą nerek - większość tego nieświadoma. Prosty test ujawnia niewydolność nerek.* Przejrzała test, poranny ból głowy, zmęczenie - to pierwsze i najczęstsze objawy, świąd, obrzęk nóg, w późnym stadium mdłości i wymioty, właśnie o to jej chodziło. Pamiętała, że gdzieś to widziała. *Częste są też skurcze nóg, przypuszczalnie powodem jest zakłócona gospodarka solna.* Poprosi Jana-Erika, żeby zawiózł ją do szpitala Sophiahemmet. Zadzwoi i ustali termin. Zażąda, żeby zrobili nowe badanie, nawet jeśli miałyby za nie zapłacić.

Wstała i podniosła rolety. Za oknem było nadal ciemno. Włożyła kaptcie, szlafrok i wyszła do kuchni. Zerwała kartkę z kalendarza i naląła wody do ekspresu do kawy. Dzisiaj więcej niż jedna filiżanka; około dziesiątej mieli przyjść Jan-Erik i jakaś Marianne Folkesson i właściwie mogła zaparzyć kawę już teraz. Poza tym musiała sprawdzić, czy ma coś uprasowanego, skoro mieli przyjść obcy ludzie i oglądać żonę Axela Ragnerfeldta.

Gerda Persson.

Nie rozumiała, co mogła mieć wspólnego z pogrzebem tamtej kobiety, ale Jan-Erik nalegał. Naląła wody do szklanki i połknęła lekarstwa, zrezygnowała dzisiaj z whisky, zwykle pozwalała sobie na łyk ze względu na serce, ale nie chciała, żeby Jan-Erik poczuł od niej alkohol. Nie odwiedzał jej zbyt często, był zajęty swoimi sprawami. Teraz odzywała się głównie Louise. Pomyśleć tylko, że miał już pięćdziesiąt lat. Jej Jan-Erik. Jak ten czas zleciał. W takim razie Annika miałyby czterdzieści pięć. Zacisnęła szczęki.

Coraz rzadziej się to zdarzało, ale od czasu do czasu wspomnienie pojawiało się nieproszone. Tyrania starości. Powolność dnia terażniejszego dodawała tempa przeszłości.

W młodości chciała mieć wszystko. Była zdecydowana i wybredna, miała określone wyobrażenia o tym, jakie powinno być życie. Ukształtowana przez ruch kobiecy z Elin Wagner na czele nie zamierzała podążać tymi samymi ścieżkami, którymi szedł ktoś przed nią. Nowoczesna kobieta powinna być silna i brać odpowiedzialność za to, co robi, wymagać więcej od siebie samej, ale także od mężczyzn. Razem, mężczyźni i kobiety, powinni stworzyć lepszy świat. Tak pisała Elin, a Alice zgadzała się z każdym jej słowem.

Jako trzecia z piątki rodzeństwa posłusznie pomagała w pracach gospodarskich, z czystego instynktu samozachowawczego usiłowała znaleźć swoje miejsce w małej społeczności, gdzie porządek był ustalony, a przyszła droga właściwie jasna. Ale potajemnie zawsze przeczuwała, że nadejdzie coś ważniejszego. Różniła się od wszystkich w swoim domu rodzinnym. Dziwiła się, dlaczego nie może zadowolić się tym, co wystarczało jej rodzeństwu. Dlaczego jej uwagi nie przykuwały rzeczy w polu widzenia, lecz zawsze kierowała swoją tęsknotę poza horyzont. Jak najdalej od zgrzytu żwirowanej drogi pod kołem roweru, odległych krzyków z piłkarskiego boiska. Jak najdalej od zapachu świeżo skoszonego siana i znanych twarzy na ulicach miasteczka. Uciec od poczucia bezpieczeństwa w powracających czynnościach kolejnych pór roku.

Jej ucieczką stała się literatura. Odliczała dni do momentu, kiedy będzie mogła wyjechać i ruszyć do wielkiego miasta z jego wszystkimi możliwościami.

Nalała sobie filiżankę kawy, resztę przelała do termosu, usiadła na krześle i przyglądała się swoim nogom. Zawsze

były trochę opuchnięte, zwłaszcza prawa łydka, w której łapał ją skurcz. Zadzwoń, gdy tylko zaczniesz pracować rejestracja szpitala. Rzuciła okiem na zegar kuchenny. Za trzy godziny miał się zjawić Jan-Erik. Powinna nakręcić kilka papilotów, żeby wyglądać ładnie, kiedy on przyjdzie. Tak ładnie, jak to tylko możliwe w jej wieku. Jej gęste kasztanowe włosy też należały do przeszłości, ale przynajmniej mogła się pocieszyć wspomnieniem o nich.

Wtedy, w drugiej połowie lat czterdziestych, nosiła długą grzywkę podpiętą małą spinką. Ponieważ skończyła dwadzieścia jeden lat i była już pełnoletnia, rodzice nie mogli jej dłużej zmuszać do pozostawania w domu, ale jej wyjazdowi towarzyszyła wielka awantura, a na drogę dostała same ponure proroctwa. Wynajęła pokój u starszej zgryźliwej damy w dzielnicy Vasastan i wyruszyła na poszukiwanie pracy, nieważne jakiej. Przede wszystkim chciała pisać, godziła się na wszelkie poświęcenia, ponieważ wiedziała, dokąd zmierza, i miała pewność, że tam dotrze. Chciała pokazać rodzinie, że dokonała słusznego wyboru. Już na drugi dzień dostała pracę asystentki w damskim salonie fryzjerskim Wassberga w Citypalatset przy Norrmalmstorg. Do jej obowiązków należało mycie klientkom włosów, parzenie kawy i dbanie o narzędzia fryzjerów, żeby zawsze były czyste i bez włosów. Większość obowiązków mogła wykonywać w pobliżu owych pełnych treści rozmów, jakie zwykle prowadzą fryzjerzy i klienci. Czasami były inspiracją dla historii, które pisała nocami, w najlepszym razie stanowiły temat notatek, które można było sprzedać w redakcji jakiejś gazety.

Mimo że nowa w wielkim mieście, szybko dowiedziała się, gdzie można znaleźć bratnie dusze. Ludzi o wielkich marzeniach i z pustką w portfelu, którzy wkrótce mieli ujawnić swój geniusz. Tych, którzy byli darem dla świata,

których wyjątkowość miała zostać zapisana w historii kultury złotymi wykrzyknikami. Młode kobiety i mężczyźni przesiadujący nad kieliszkami w kwartale miasta zwanym Klara, brać artystyczna i ewentualni partnerzy do łóżka. Wojna się skończyła, a przyszłość jawiła się jako długa, prosta droga pełna możliwości. Tennstøpet, W6, Pilen i Löwet. To tam spędzali wieczory, pałac gauloise'y i tęskniąc za Paryżem. Chętnie w pobliżu stolika, przy którym dziennikarze z pobliskich liczących się pism topili swe smutki w alkoholu. Axel był jednym z wielu, początkowo nie budził jej zainteresowania, on też nie poświęcał jej szczególnej uwagi.

Wstała i podeszła do lodówki. Upewniła się, czy jest mleko. Jan-Erik pił zawsze kawę z mlekiem. Sama piła czarną. Przyzwyczajenie z czasów, kiedy kawa miała pomóc jej zachować przytomność, choć oczy zamykały się ze zmęczenia. Kiedy dni były wypełnione włosami, a noce stukaniem w podręczną używaną maszynę do pisania marki Royal, którą kupiła w sklepiku na Hantverkargatan za 17 koron. Przynajmniej do czasu, kiedy zgryźliwa dama zabroniła jej posługiwać się tą diabelską maszyną i zmusiła do pisania ręcznie. Kosz pełen pogniecionych papierów i manuskryptów odesłanych z wydawnictw i redakcji pism. Wieczorami w Klarze można było dzielić się smutkami i topić je w czerwonym winie, ale one i tak wracały z następnym odesłanym rękopisem. Na listy do domu nie przychodziły żadne odpowiedzi, mimo iż czasem pisała, że wszystko jest dobrze. Jeden jedyny raz dostała życzenia od starszego rodzeństwa. Kartka z gotowym tekstem życzeń wesołych świąt i szczęśliwego Nowego Roku. Kiedy jej było najciężej, tęskniła czasem za tym, by klęczeć na obolałych kolanach wśród chwastów na zagonach buraków lub czuć łaskotanie potu przy przewracaniu siana. Widoczny rezultat wysiłków dnia pracy zamiast błędnych ścieżek niekończących się myśli.

Już miała się poddać, kiedy to się wreszcie zdarzyło. Kilka zdań w liście, które potwierdzały, że jej zagon rzepy został wplewiony i siano zebrane w stogi.

Uśmiechnęła się do tego wspomnienia. Pamiętała, jak wkroczyła do Tennstopet niczym królowa i powiedziała, że jej nowela została przyjęta do druku. Poczła wręcz fizycznie, jak wznosi się ponad tłum, staje się kimś lepszym, bo to właśnie jej starannie dobrane kombinacje liter oceniono jako bardziej udane niż innych. Przed nią otwarły się drzwi, podczas gdy inni nadal musieli w nie łomotać. Uśmiechy. Kilka szczerych, dzielających jej radość, ale większość podszyta nieufnością. Czy to możliwe, żeby świat był tak urządzony, że nie dostrzegał ich wielkości, a zauważył jej niepozorne dzieło? Nagle z przeciwnej strony stołu poczuła palące spojrzenie oczu Axela i na chwilę zabrakło jej tchu. Był jedynym, który się nie uśmiechał. Który nie stuknął się kieliszkiem i nie gratulował. Tylko patrzył na nią spojrzeniem, które krzychało, że chce ją mieć. Wziąć ją tu i teraz, gdyby tylko mogła wyrwać się spośród tego motłochu, który ją otaczał, i poszła z nim. Od tej myśli zakręciło jej się w głowie. Żeby choć raz zlekceważyć wszystkie powinności i po prostu dać się ponieść fali. Wreszcie żyć życiem, do jakiego była stworzona. Po tym wieczorze zawarli pakt. Przede wszystkim sztuka. Razem mieli zrealizować swoje marzenia i dać światu to, za czym zawsze tęsknił, nic nie może stanąć im na drodze. I z pasją, która prawie kosztowała ich życie, zabrali się do dzieła.

Początkowo wszystko było wspaniałe. Zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Pamiętała, że często myślała właśnie tak, że to było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Jak gdyby wszystkie jej marzenia z czasów dorastania o tym, jak życie ma wyglądać, nagle się ziszczyły.

Pisała długie listy do domu i opowiadała o wszystkim, ale nadal nie dostawała odpowiedzi.

Przestali chodzić do Klary. Odcięci od świata, poświęcili się swojej twórczości. Dostała małą zaliczkę z wydawnictwa, czasami udawało się jej sprzedać jakiejś redakcji wiersz lub notatkę, co uzupełniało ich skromny budżet domowy. Dzięki kontaktom Axela wynajmowali mały domek, dwa pokoje z kuchnią tuż za miastem. Każde miało dla siebie pokój z biurkiem i łóżkiem. Wspólnota dodała im odwagi, a to, co przedtem było samotne i podatne na zranienie, stało się bronią przeciwko przeciętności. Dwoje sprzymierzeńców, którzy dniami siedzieli zamknięci, każde w swoim świecie, lecz nocami jednoczyli się w ogniu namiętności.

Znów usiadła przy kuchennym stole i obejrzała swoją filiżankę. Kupiła ją Gerda gdzieś w latach pięćdziesiątych. Może mogłaby opowiedzieć wszystko tamtej osobie z gminy, by wykorzystała na pogrzebie. Zawsze to coś. Kiedy po udarze Axela przeprowadziła się do tego mieszkania, a nie zabrała ze sobą wiele. Właściwie nie wiedziała, dlaczego te filiżanki tu przyjechały. Siedziała przy łóżku męża, więc Jan-Erik razem z Louise spakowali większość rzeczy. Może dlatego. Bo przy bliższym przyjrzeniu się były właściwie dosyć brzydkie.

Dotknęła obrączki ślubnej. Ściągnęła ją z palca i przyjrzała się wgnieceniu, jakie zostawiła. Była na jej palcu od pięćdziesięciu czterech lat i coraz głębiej wrzyniała się w ciało. Na ceremonii byli tylko oni dwoje i pastor, nie było gości. Nawet rodziców Axela. Wiedziała, że potem tego żałował, ale ponieważ jej rodzice nie chcieli przyjechać, jego matki i ojca też nie powinno być. Dla wszystkich po równo.

Tak wtedy mówił.

I żeby zmanifestować swoją jedność, porzucili własne nazwiska i połączyli się w utworzonym wspólnie - Ragnerfeldt.

Nazwisku, które miało nieść ich słowa przez świat. Oboje opublikowali po jednej powieści, najpierw ona, zaraz potem on, a ich nowe nazwisko coraz bardziej zdomawiało się w działach kulturalnych gazet. Ich młodość skłaniała krytyków do rezerwy, lecz w recenzjach znajdowało się coraz więcej pochwał. Z żywym zainteresowaniem uczestniczyli nawzajem w swoich procesach twórczych. Towarzyszyli sobie na zawitych drogach myśli, robili uwagi, kiedy były potrzebne, i wspierali się zachęcającymi okrzykami, gdy drugie natrafiało na przeszkody. Gdy każde opublikowało kolejną powieść, ich przynależność do świata kultury została ugruntowana, lecz wraz z prawem do nazywania się pisarzem wzrastały także oczekiwania. Książki obojga nie sprzedawały się w zbyt wysokich nakładach, a oni byli uzależnieni od zaliczek, które wydawnictwa wypłacały lub nie. Większa presja sprawiła, że pisanie stawało się coraz trudniejsze. O ileż łatwiej było być kimś nieznanym i zaskakiwać niż spełniać rosnące oczekiwania. Oboje dotknął paraliż twórczy. Coraz bardziej koncentrowali się na własnych sprawach i obojętnieli na twórczość drugiego. Mniej słów było zapisanych, kiedy spotykali się wieczorami, a ich połączeniu brakowało zaangażowania, gdyż każde z nich w myślach przeżywało frustrację z powodu niezrealizowania zamiarów. Ale nawet nasienie wysiane bez zaangażowania przynosi plony. Po roku kupili dom w Naćka i urodził się Jan-Erik. Kontakty z przyjaciółmi z czasów Klary ustały całkowicie, ich nowe mieszczańskie życie budziło raczej niechęć. Zaczęła się nowa era. Miejsce swobodnego tworzenia zajęły nieprzespane noce i zamglone dni. Nowy członek rodziny wymuszał nowe nawyki, które kolidowały z wymaganiami wydawnictwa. Tam gdzie przedtem okazywano wyrozumiałość, teraz nagle trzeba było bronić swojego rewiru. Wymyślone postacie z powieści znienacka wkraczały

w rzeczywistość i konkurowały z płaczącym dzieckiem, które wymagało nieustannej uwagi. Nie wystarczały im te chwile, kiedy Jan-Erik spał, ani grafik godzin pisania, który w końcu opracowali, żeby uniknąć dyskusji. I jako próba rozwiązania tego problemu w ich życiu pojawiła się Gerda. Żeby sprzątnąć przynajmniej największy brud, ugotować coś do jedzenia i zająć się innymi codziennymi sprawami, które wpędzały ich w sytuację niepozostawiającą miejsca na kreatywność.

Gerda Persson.

Znów poczuła lekką irytację, że ktoś czegoś od niej oczekuje. Dziwne to zamieszanie, dlatego że umarła. Przy takim braku pieniędzy, jaki ostatnio panował wszędzie, gmina powinna zająć się innymi sprawami. Alice nie wiedziała o Gerdzie wiele, mimo że mieszkały pod jednym dachem prawie dwadzieścia pięć lat. Od czasu, kiedy urodził się Jan-Erik, aż do dnia, w którym Gerda skończyła sześćdziesiąt siedem lat i sama raczej potrzebowałaby gosposi. Zresztą to mogłoby się jej przydać już wcześniej, prawdę powiedziawszy, była dość niedbała, ale Axel nie chciał jej nikim zastępować i wpuszczać do domu obcych ludzi. Twierdził, że Alice przesadza w krytyce. Ona zaś nie rozumiała, co to za różnica, wymienić jedną obcą osobę na drugą. Zresztą było dla niej tajemnicą, jak Axel mógł w ogóle mieć jakiegokolwiek zdanie na temat gospodarstwa domowego, kiedy po całych dniach siedział zamknięty w gabinecie. Gerda była stale obecna, przemykała się po domu jak kot, ale się nie znały. Granica między państwem i służbą była oczywista i obie starały się utrzymać ten dystans. Ale Gerda siedziała w pierwszym rzędzie i widziała wszystko z bliska. Była świadkiem przemiany Alice z partnera Axela i artystycznego druha w reprezentacyjną małżonkę, jakiej oczekiwano u jego boku, z dumą i szczęściem patrzącą, jak on odbiera nagrody. Gerda przeszła z nimi całą drogę i Alice

nienawidziła jej za to, że Gerda wiedziała, że wiedziała to, co wiedziała.

Bo w końcu wszystko zamieniło się w walkę o dominację. Ale wtedy już Annika rosła w jej brzuchu, a po narodzinach córki walka była skończona. Rozdarcie, które Alice czuła, stłumiło w niej resztki kreatywności i na zawsze postawiło ją w cieniu Axela. Próbowała opanować swoje instynkty. Nie potrafiła rozróżnić, czy pochodzą z jej wnętrza, czy były narzucone z zewnątrz. Podczas gdy Axel czuł, że jego przeznaczeniem jest realizowanie swoich marzeń, ona musiała porzucić swoje. Dzieci i to, co w niej budziły, było zagrożeniem dla jej przeznaczenia. Ich krzyki, które przeszkadzały jej w innych zajęciach. Ich łzy, które powinna osuszać. Ich zależność ją pętała.

Alice Ragnerfeldt przełknęła ślinę, jej spojrzenie powędrowało w dal. Tylko nieustanne tykanie kuchennego zegara było dla niej terazniejszością.

Bo to, co wtedy omal jej nie zniszczyło i było do znudzenia oczywiste, w gruncie rzeczy okazało się tylko mgnięciem. Błyskiem, który czterdzieści pięć lat później chciałaby za wszelką cenę móc przeżyć jeszcze raz.

Mieć możliwość zrobić wszystko lepiej.

Jan-Erik siedział jeszcze nad poranną gazetą, kiedy do kuchni weszła Louise. Ellen poszła do szkoły, matka pożegnała się z nią w przedpokoju. Potem długo była w łazience, wyszła umalowana i z ręcznikiem owiniętym wokół głowy. Wodził za nią wzrokiem, gdy nie patrząc na niego, podeszła do zamrażarki, wyjęła paczkę bułek, dwie włożyła do kuchenki mikrofalowej. Skuteczne ruchy i krótkie, twarde stuknięcia, kiedy materia styka się z materia.

- Znalazłyście spinkę?

Wymruczała coś, co zabrzmiało jak tak, i podeszła do lodówki. Stała przy jej otwartych drzwiach, lecz zaraz je zamknęła, kiedy odkryła ser na blacie kuchennym.

Przewrócił stronę w gazecie, nie czytając jej.

- Kawa gotowa, jest w ekspresie.

Idiotycznie powiedziane. Gdzie niby ma być? Louise nie odezwała się. Wzięła z szafki kubek, naląła sobie kawy, kiedy zabrzmiał dzwonek, wyjęła z mikrofalówki bułki i nie smarując masłem, położyła ser. Usiadłszy przy stole, przysunęła sobie gazetę, otwartą na dziale kulturalnym, i ugryzła kawałek bułki.

To było jak jednodniowy lód. Krucha powierzchnia nad

głęboką wodą, którą trzeba przekroczyć, ale każdy krok musi być poprzedzony ostrożną próbą. Dwoje ludzi, tak bardzo ze sobą zżytych, że w szlafrokach jedzą razem śniadanie, lecz dystans między nimi jest tak wielki, że próba pokonania go oznacza śmiertelne zagrożenie. Nie było nic do powiedzenia, zupełnie nic. Nawet gdyby się wysiłił. Z każdym był w stanie nawiązać rozmowę, z każdym, tylko nie z nią, osobą, która w szlafroku siedziała naprzeciwko niego przy kuchennym stole.

Czuł mrowienie niepokoju w ciele. Do następnego wyjazdu jeszcze dwadzieścia cztery godziny.

Przewróciła stronę w gazecie. Napila się kawy. Zgarnęła dłonią okruszki ze zjedzonej bułki i uformowała je w małe kopczyk.

Cisza była paraliżująca. Przyprawiała go o łomot serca. Poczuł palącą potrzebę powiedzenia czegoś, żeby zmienić atmosferę. Ale nie było nic do powiedzenia. Absolutnie nic. Kiedy już nie mógł wytrzymać i właśnie miał wstać od stołu i uciec, jego spojrzenie przypadkiem padło na kopczyk z okruszków, jeszcze przed chwilą suchy i czubaty, teraz mokry i płaski. Przerażony nie ruszał się z krzesła, nie mogąc oderwać wzroku od okruszków. W następnym momencie jego obawy się potwierdziły, tuż obok tamtych wylądowały dwie nowe łyżki. To, co jeszcze przed chwilą było dla niego nie do zniesienia, teraz wydawało się niczym. Louise płakała. Jego chłodna żona, która nigdy nie okazywała innych uczuć niż różne stopnie irytacji, siedziała naprzeciwko niego i płakała. Przerażało go, że to on był osobą, która powinna ją teraz pocieszać. On, który nie wiedział, jak się zachować w sytuacjach takich jak ta, kiedy potrzebne były umiejętności, jakich nie posiadał. Miał tylko świadomość, że jej łyżki właśnie stopiły ten jednodniowy lód, który przed minutą jeszcze wyglądał zdradliwie, lecz - teraz to rozumiał - zasłaniał to, co było pod nim, co było jeszcze okropniejsze. To, co

w sposób nieunikniony musiało ujrzeć światło dzienne, gdy tylko się przyzna, że zauważył jej płacz.

Przez chwilę siedział bezradnie i rozważał, jak się zachować. Z jej opuszczonej twarzy kapąco coraz więcej łez i wkrótce nie będzie mógł udawać, że nic nie widzi, i po prostu odejść. Ale nie zdążył dokonać wyboru. Nie podnosząc oczu, Louise po omacku wyciągnęła rękę po kawę i zawartość kubka wylała się na stół. Przypadek pozbawił go wszelkiej możliwości ratunku.

- Niech to szlag!

Płacz, który jeszcze przed chwilą usiłowała ukryć, teraz ogarnął ją całą.

Jego reakcja była instynktowna i nieprzemysłana - zaśmiał się krótko.

- Przecież to tylko trochę kawy.

Ukryła twarz w dłoniach i zaniosła się szlochem.

Siedział bez ruchu, wyczekująco. Nigdy przedtem nie widział jej płaczącej, nie miał pojęcia, co to oznaczało, ani jak powinien się zachować. Mijały minuty. Minuty, podczas których ona płakała, a on rozpaczliwie próbował odnaleźć się w tej sytuacji. Oczywiście powinien wstać, zrobić kilka kroków wokół stołu i objąć ją. Spróbować złagodzić jej cierpienie. Ale nie potrafił. Jej błaganie sprawiało, że coś w nim zaciskało się w węzeł. Miał wrażenie, że w jego stronę po stole pełźnie lina, by go złapać.

- Nie możemy tak dłużej żyć.

Wstrzymał oddech. Po omacku przeszukiwał swoje doświadczenia, ale nie znalazł żadnego, które mogłoby stanowić wskazówkę. Najchętniej wstałby i ruszył, udając po prostu, że nic nie słyszał, w swoją stronę.

- Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi.

Podniosła oczy i poszukała jego wzroku, przestraszył się tego nagłego kontaktu.

- Jak to nie rozumiesz? Czego nie rozumiesz?

Szybko wytarła policzki i przeciągnęła dłonią pod nosem, pośpiesznie, jakby właśnie rzuciła odbezpieczony granat i zdawała sobie sprawę, że czas, który jej pozostał, jest ograniczony. Mimo to widział, że się zawahała. Że chciała powiedzieć więcej, ale coś ją powstrzymało.

- Nie dam rady tak dłużej żyć.

Przełknął ślinę. Rozlana kawa wsiąkała w papier gazety i barwiła wiadomości na brązowo. Chciał przynieść ścierkę, ale nie miał odwagi się ruszyć.

- Nigdy nic razem nie robimy, nie rozmawiamy ze sobą. To tak, jakbyśmy mieszkały same, Ellen i ja, ciebie nigdy nie ma w domu. A kiedy jesteś, to... My...

Przerwała. Spuściła wzrok i zasłoniła twarz dłońmi jak parawanem. Wstała, wzięła trochę papierowych ręczników. Wytarła nos, potem przesunęła palcem pod oczami. Zawsze przywiązywała wagę do swego wyglądu, teraz była w rozsypance, obnażona, widział jej cierpienie.

Do jej złości był przyzwyczajony. Nagłe wybuchy gniewu uzasadniały jego dystansowanie się i utrzymywały tarczę na właściwej pozycji. Teraz po prostu przeszła na drugą stronę. Przestała walczyć i przyznała się do słabości, błagała o pocieszenie i zrozumienie.

Wolał już jej złość.

Wróciła do stołu. Łzy przestały płynąć, ale twarz była opuchnięta. Białe ślady biegły wzdłuż policzków, tusz do rzęs rozmazał się pod oczami.

- Nigdy się nawet nie dotykamy.

Jej głos brzmiał nieśmiało. Jan-Erik zobaczył, że poczerwieniała, na szyi pojawiły się czerwone plamy, spuściła oczy. Wymanikiurowanym paznokciem rozgrzebywała mokry kopczyk okruszków, a on przeklinał siebie, że kiedykolwiek zwrócił na niego uwagę. Czuł głośne bicie serca. Wszystko, co przez lata udawało mu się przemilczać, wyrosło teraz nagle w ogromne ognisko, które gorzało między

nimi na stole. Rozpaczliwie zastanawiał się, co mógłby powiedzieć, żeby jakoś wyplątać się z tej sytuacji. Zmieszany uniósł rękę i spojrzął na zegarek, i choć wzrok Louise był skierowany na blat stołu, zauważyła ten gest.

- Śpieszysz się?

- Nie, wcale nie.

Podniósł swoją filiżankę, zauważył, że jego dłoń drży.

Po drugiej stronie stołu Louise zaczerpnęła głęboki oddech, jakby zbierała się do skoku.

- Ze względu na Ellen jestem gotowa walczyć, ale sama nie dam rady.

Minęło kilka sekund milczenia. Przykrość, jaką sprawiała mu ta sytuacja, była tak wielka, że poczuł mdłości.

- Mam propozycję.

Teraz pojawiło się przerażenie. Że zostanie na siłę zaciągnięty do sypialni i zmuszony do odbycia z nią stosunku.

- Chcę, żebyś zaczął chodzić na terapię.

- Co?

Zwrot był tak nieoczekiwany, że strach na chwilę go opuścił.

- Terapię? Jaką terapię? Dlaczego miałbym to robić?

Nie odpowiedziała na pytanie. Tylko popatrzyła na niego o moment za długo, ale potem jej spojrzenie powróciło do kopczyka okruchów,

- Ja chodziłam przez pół roku, i mnie pomogło. Może dla ciebie to też byłoby dobre.

Był autentycznie zaskoczony.

- Chodziłaś na terapię?

- Tak.

- Dlaczego o tym nie mówiłaś?

- Chyba myślałam, że to cię specjalnie nie zainteresuje,

w tej rodzinie nie mamy zwyczaju opowiadać o swoich sprawach. Rzadko jesteśmy razem w jednym miejscu, a telefonów nigdy nie odbierasz.

Uszczypliwość przeniosła ich na znany teren, gdzie natychmiast poczuł grunt pod stopami. Te nieustanne pretensje. Urabiał sobie ręce, żeby zapewnić im dostatnie życie, a jednak nigdy nie była zadowolona. Obszerne pięciopokojowe mieszkanie na Östermalm, które właściciel sprzedał im o wiele taniej tylko dlatego, że nosili nazwisko Ragnerfeldt. Zapomniała chyba, jaka jest różnica między prawem do czegoś a przywilejem. Udawała mu się sztuka zarabiania na chleb dzięki propagowaniu ważnych przesłań i uruchamianiu instytucji poprawiających świat. Jego praca była pożyteczna. Zarówno dla świata, jak i dla jego rodziny. To była jego zasługa, że wybitna proza Axela Ragnerfeldta była teraz kojarzona z inicjatywami humanitarnymi. To, o czym pisał ojciec, dzięki Janowi-Erikowi zmieniało się w konkret, to z jego inicjatywy realizowane były projekty pomocowe. Stał się kimś, słuchano tego, co miał do powiedzenia, i przyjmowano z szacunkiem. Udowodnił, że jest kimś, z kim należy się liczyć. A mimo to w domu spotykały go jedynie nieustanne oskarżenia i kwaśne miny.

- Inne wyjście jest takie: pójdziemy na terapię razem, do poradni małżeńskiej. Jeśli tak wolisz.

Nie, nie woli. Naprawdę nie. Nie chciał w ogóle chodzić na żadną terapię, siedzieć i zajmować się swoim wnętrzem i grzebać w nocniku dzieciństwa.

- A jeśli nie zechcę, co wtedy?

Chyba usłyszała jego tłumioną złość, bo aż drgnęła na ten nowy ton. Jej głos jednak nadal był opanowany i spokojny.

- No tak, wtedy nie wiem. Wtedy może się okazać, że nie uważasz, żeby było o co walczyć. Nie wiem naprawdę, co wtedy będzie.

Został złapany. Przykuty łańcuchem, za ręce i nogi. Gniew opanował go bez reszty gniew na nią, za to, że potrafiła tak siedzieć ze swoim ultimatum, nawet nie mając pojęcia o swojej broni. Za to, że nie miał wyboru, choć ona próbowała przedstawić to inaczej. Złość przesłoniła mu wyrzuty sumienia, wstał. Z całym opanowaniem, na jakie było go stać, przysunął krzesło do stołu.

- Okej. Zastanowię się nad terapią. Ale to wcale nie znaczy, że mam na nią ochotę albo uważam, że tego potrzebuję.

Wyciągnęła rękę po torebkę, która wisiała na oparciu krzesła. Wyjęła portfel i podała mu wizytówkę.

- Dostałam ją od mojej terapeutki. Nie możemy chodzić do tego samego lekarza, ale to jest osoba, którą ona mi poleciła, specjalizuje się w...

Przerwała i spuściła wzrok.

- W czym?

- W takich problemach, które ty, to znaczy my, chciałam powiedzieć, może mamy.

Zatrzymał się w połowie ruchu i spojrzął na wizytówkę. Powoli wyciągnął rękę, wziął kartonik, opuścił wzrok, żeby przeczytać. Robert Rasmusson. Licencjonowany psychoterapeuta i seksuolog. I mniejszymi literami: terapia par, separacje, porady w problemach seksualnych i problemach z erekcją.

Zacisnął szczęki.

Bez słowa opuścił kuchnię i poszedł do łazienki. Starannie zamknął drzwi i stał chwilę na środku pomieszczenia. Jego uczucia oscyływały między palącym gniewem i czymś, czego nie odczuwał wcześniej. Pragnienie powrotu do kuchni i wykrzyczenia jej prawdy prosto w twarz było tak silne, że musiał podejść do umywalki i ochłodzić twarz zimną wodą. *Nie mam, do diabła, żadnych problemów z erekcją! To ty jesteś problemem! Staje mi przy pierwszej lepszej, jeśli tylko nie jest tobą!*

Spojrzał na siebie w lustrze i jeszcze raz opłukał twarz.

Wizytówka w portfelu. Znalazła się pod ręką akurat tego ranka, kiedy nie mogła już powstrzymać łez. Oszukała go, jeszcze raz. Sięgnęła po najstarszą kobiecą sztukę na świecie, żeby zmusić go do wysłuchania jej. Przeczytał wizytówkę, a jego mokre palce zostawiły ciemne plamy na słowach, powściągnął impuls, żeby spuścić kartonik w toalecie. Wszystko nagle okazało się strasznie pogmatwane. Zegar pokazywał pięć po. Będzie musiał zająć się tym wszystkim później, spróbować wypracować jakąś strategię.

Za dwadzieścia pięć minut powinien być u matki.

W fatalnym nastroju zdecydował, że nie skorzysta z windy, tylko wejdzie po schodach na drugie piętro do mieszkania Alice Ragnerfeldt. Marianne Folkesson miała zjawić się nie wcześniej niż za pół godziny. Chciał być na miejscu wcześniej, zanim wpuści do mieszkania obcą osobę, i upewnić się, że matka jest trzeźwa. Po dwóch krótkich dzwonek zaczął szukać klucza, ale nie zdążył go wyjąć, bo matka otworzyła drzwi. To był dobry znak. Była ubrana, uczesana i na pierwszy rzut oka trzeźwa.

- Cześć, mamó.

Wszedł do przedpokoju i zdjął płaszcz. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Wyciągnął w jej stronę torbę z bułeczkami cynamonowymi, które kupił po drodze.

- Chodź, muszę ci coś pokazać.

Nie wzięła od niego bułek, tylko poszła do kuchni. Jan-Erik schylił się, zdjął buty i poszedł za nią. Kiedy przekroczył próg kuchni, matka siedziała na krześle.

- Popatrz.

Podciągnęła nogawki spodni do kolan i spojrzała na niego wyczekująco. Obejrzał jej stopy i łydki.

- Widzisz?

- Ale co?

- To nic nie widzisz?

Pochylił się nad nią i przyjrzał nieco dokładniej.

- Ale co mam widzieć?

- Jest opuchnięta. Prawa łydka. Nie widzisz tego?

Wskazała palcem. Skierował wzrok na linoleum na podłodze i usiłował nie dać poznać po sobie, jak bardzo ma dość tej sytuacji. Matka puściła nogawki, które opadły, zasłaniając jej łydki, i wyciągnęła rękę po wycinki leżące na kuchennym stole. Wręczyła mu je triumfalnie. Syn wyprostował się i szybko przejrzał wycinki.

- Przecież już badałaś sobie nerki, nic nie znaleźli.

- Ale to było cztery miesiące temu. Czuję, że teraz coś się tam dzieje. Wszystko się zgadza, jak w tym teście. Sam zobacz. Ból głowy rano, zmęczenie, świąd, opuchnięte nogi. Wiem, że coś tam szwankuje.

Odwrócił się, podszedł do blatu kuchennego i położył torbę z buleczkami.

- Umówiłam się na wizytę w Sophiahemmet.

Zwrócony plecami do matki zamknął na chwilę oczy. Wiedział już, co może oznaczać kolejna wizyta. Dzielne wysiłki personelu, żeby ukryć irytację na Alice Ragnerfeldt i jej nieustanne domaganie się nowych badań, które zabierały czas potrzebny dla naprawę chorych pacjentów.

- Mam nastawić kawę?

- Jest już w termosie. Mam termin jedenastego o godzinie ósmej pięćdziesiąt. Mógłbyś mnie podwieźć?

Z szafki wyjął trzy filiżanki i tyle samo talerzyków.

- Muszę sprawdzić w moim kalendarzu...

Miał zamiar dokończyć zdanie, mówiąc, że w razie potrzeby

zwrócić się do Louise, i natychmiast wrócić do niego poranna rozmowa. Sama myśl o niej przyprawiała go o kołatanie serca.

- Jeżeli nie, to zapytamy Louise. Ale wolałabym, żebyś to ty mnie zawiózł.

Nie odpowiedział. Otworzył torbę i wyjął bułeczki.

- Gdzie masz koszyczek na pieczywo?

Marianne Folkesson zadzwoniła do drzwi dokładnie o umówionej godzinie. Przez te kilka minut między znalezieniem koszyczka na pieczywo i dzwonkiem domofonu zajęli się kwaśnym zapachem spod wanny. Matka twierdziła, że pojawia się zawsze, gdy woda spływa rurami, i że jej chore biodro odmówiło posłuszeństwa, kiedy chciała tam posprzątać. Jan-Erik podjął kolejną próbę przekonania matki, że powinna mieć pomoc do sprzątania, lecz Alice jak zwykle nie wyraziła zgody. Nie chciała, żeby jakaś obca osoba kręciła się po jej domu. Uważała, że wystarczy jej pomoc Jana-Erika i Louise, kiedy sama sobie z czymś nie radzi. Przecież mieszkali tak blisko.

Alice siedziała na sofie w pokoju dziennym, kiedy Jan-Erik wprowadził Marianne Folkesson. Chyba była w jego wieku. Całkiem niezła, choć trochę za stara jak na jego gust. Poza tym jego tereny łowieckie nigdy nie zahaczały o obszary zamieszkałe przez jego rodzinę.

Alice nie wstała, kiedy podawały sobie rękę, siedziała wyraźnie zdystansowana i czekała, co będzie dalej. Jan-Erik poprosił Marianne, żeby usiadła w fotelu i podał jej kawę. Jego matka, kiedy termos zbliżał się do niej, nakryła swoją filiżankę dłonią, pokazując, że nie będzie piła. Trudno było ją namówić na udział w tym spotkaniu. Nie uważała, żeby

mieli powód zajmować się śmiercią Gerdy Persson. Sam Jan-Erik nie bardzo wiedział, co ma zrobić. Oczywiście zgodził się, kiedy Marianne zapytała, ale niezbyt chętnie. Gerda należała do minionego czasu, do którego wolał nie wracać. Jak dom, który obecnie stał pusty, tak jak go zostawili, lecz ciągle wymagał dozoru i utrzymania. Decyzja o jego losie stale była odsuwana z wytłumaczeniem, że Axel przecież żyje. Sprzedać, przekształcić w muzeum, samemu tam zamieszkać - wiele było rozwiązań do wyboru. To był wspaniały dom. Zbudowany w 1906 roku, miał dziewięć pokoi i dwie kuchnie, po jednej na każdym piętrze. Działka o powierzchni trzech tysięcy metrów kwadratowych, blisko. Kiedy Jan-Erik wrócił ze Stanów, jego rodzice mieszkali każde na swoim piętrze. Zawsze podejrzewał, że to miało coś wspólnego ze śmiercią Anniki, ale nigdy o to nie zapytał, jak o wiele innych rzeczy. Po wypadku samochodowym jej pokój został przerobiony na kuchnię dla Alice. Rodzice zrobili wszystko, by nie musieli się spotykać, poza oficjalnymi okazjami, kiedy występowali jako zżyta para. Albo przy rzadkich rodzinnych obiadach z Janem-Erikiem i Louise. Ale na rozwód się nie zdecydowali. W rodzinie Ragnerfeldtów tego się nie robiło.

W czasach jego dzieciństwa Gerda Persson była jedyną osobą w domu, o której wiadomo było, czego się można po niej spodziewać. Nie mówiła dużo, ale jej milczkowość gwarantowała bezpieczeństwo. Solidne i stabilne.

Marianne upiła łyk kawy ze swojej filiżanki.

- Muszę na początek powiedzieć, że oczywiście czytałam wszystkie książki Axela Ragnerfeldta. Są naprawdę wspaniałe. Proszę mu to przekazać i powiedzieć, że dziękuję za niezwykle przeżycia, jakich dostarczyła mi lektura.

- Tak, uczynimy to. Na pewno wyjdzie z siebie z radości.

Jan-Erik łypnął na matkę i odchrząknął głośno, kiedy zobaczył czerwony płomień na policzkach Marianne Folkesson.

- Tata miał poważny udar mózgu i teraz nie wiemy nawet, ile rozumie z tego, co do niego mówimy. To właśnie mama miała na myśli.

- Och, to przykre, naprawdę przykre. Nie wiedziałam.

Jan-Erik miał nadzieję, że spojrzenie, które posłał matce, zdoła ją uciszyć. Z torby na ramię Marianne wyjęła notatnik w czarnych okładkach i długopis.

- Przyszłam do państwa, bo moim zadaniem jako pełnomocnika do likwidacji majątku jest między innymi odszukanie krewnych Gerdy Persson, czyli ewentualnych uprawnionych do spadku członków rodziny, ale też zorganizowanie pogrzebu, jeśli nie pojawi się nikt inny, a na razie tak właśnie jest. Może wiedzą państwo, czy miała jakąś rodzinę?

Jan-Erik czekał na odpowiedź matki. Sam nic nie wiedział na ten temat.

- Nie. Nie wiem zbyt wiele o Gerdzie Persson. Nie kontaktowałam się z nią od początku lat osiemdziesiątych. Wydaje się, że powinien się znaleźć ktoś inny, kto potrafiłby lepiej odpowiedzieć na pani pytania.

- Tak, tak się wydaje. Ale, niestety, nie zawsze jest ktoś taki i wtedy trzeba zrobić to, co się da w tej sytuacji.

Marianne Folkesson odgryzła się. Jan-Erik czuł coraz większe zniechęcenie wobec obrotu, jaki przybierała rozmowa. Alice pogładziła dłonią bordowe aksamitne poduszki sofy. Nigdy się nie przyzwyczyił do widoku tych mebli w mieszkaniu. Ich miejsce było na piętrze domu w Naćka i choć przy jego pomocy je przestawiano, tu zawsze wyglądały jak zabłąkane. Jakby tęskniły do domu i nie chciały się dopasować do nowego otoczenia.

- Ona pochodziła z Ölandii, tak mi się wydaje, albo może

z Kalmaru. W każdym razie na pewno miała siostrę, która umarła gdzieś pod koniec lat pięćdziesiątych. Ty wtedy byłeś jeszcze mały. Jan-Erik skinął głową.

- Pamiętam, że otrzymała tydzień wolnego, żeby się zająć pogrzebem. Siostra też była niezamężna, o ile mnie pamięć nie myli.

- I oprócz tego nie wie pani o żadnym innym rodzeństwie?

Czubek długopisu Marianne Folkesson spoczywał na drukowanej linii w czarnym zeszytcie.

- Nie, w każdym razie nie przypominam sobie, żeby o tym mówiła.

- Nie miała dzieci?

- Nie.

Marianne zmieniła pozycję i przewertowała kilka kartek.

- W odpowiedzi na nekrolog w prasie niejaki Torgny Wennberg zgłosił chęć przyścia na pogrzeb.

- Torgny Wennberg?

W głosie matki wyczuł wyraźną nieufność.

- Tak. Czy to jakiś znajomy państwa?

Alice prychnęła.

- Znajomy albo i nie. To obrzydliwy pokurcz, który ciągle nachodził Axela, żeby wygrzewać się w jego blasku. Sam opublikował kilka powieści, których nikt nie czytał, za to lubił spoufalać się z bardziej znanymi pisarzami. Ale co on mógł mieć wspólnego z Gerdą, nie mam pojęcia, nie wiedziałam nawet, że się znali. Oczywiście musieli się widywać, kiedy on bywał u nas w domu, ale to ponad trzydzieści lat temu.

Jan-Erik przypominał go sobie. Rudobrazowa broda i hałaśliwy śmiech, który nie brzmiał naturalnie. Szmer głosów za zamkniętymi drzwiami gabinetu ojca i co jakiś czas ten śmiech. I najdziwniejsze było to, że czasem także

towarzyszył mu śmiech ojca, który rzadko wyrażał radość w ten sposób. Im późniejszy wieczór, tym więcej się śmiali.

- W każdym razie on chce przyjść na pogrzeb.

Alice znów prychnęła.

- No, pewnie myśli, że Axel też tam będzie, żeby mógł się dalej spoufalać.

- Mamo.

Łagodnie i prosząco. Przedtem martwił się tylko wtedy, gdy była nietrzeźwa. Teraz nigdy nie miał pewności, jak się zachowa. Podobne zachowania, które przedtem pozostawiały w kręgu rodzinnym, teraz zdarzały się jej coraz częściej, nawet przy obcych. Zamierzał wziąć ze sobą Axela na pogrzeb. Posadzić go na wózku i zawieźć tam, niechby nawet poruszał małym palcem, który obecnie był jego jedynym środkiem komunikowania się. Ale wolał nie dyskutować o tym z matką w obecności pełnomocnika Marianne Folkeson.

- Jeśli potrzebuje pani pomocy przy pogrzebie, to my oczywiście postaramy się pomóc.

Jan-Erik uśmiechnął się zyczliwie do Marianne.

- Gdyby państwo mogli zastanowić się nad odpowiednią oprawą muzyczną, byłabym bardzo wdzięczna, jeśli wiedzą państwo, jaką muzykę lubiła. Albo może jest coś innego, co mogłoby nadać bardziej osobisty charakter uroczystości. Może na przykład lubiła jakieś szczególne kwiaty?

- Róże.

Alice spojrzała na syna zaskoczona. Powiedział to, żeby uprzedzić jej odpowiedź. Podał nazwę pierwszego kwiatu, jaki przyszedł mu do głowy. Przypomniał sobie nagle okruczeństwo popołudnia sprzed ponad czterdziestu lat. Jego matka na trawniku, jak zwykle ubrana w szlafrok. Gerda milcząca ze schyłym karkiem. Krzyki na temat mleczów,

bał się, że będzie je słyhać aż u sąsiadów. Matka była zła, że Gerda nie powyrywała mleczy.

- Róże?

Przeciągłe i nieufne.

- Skąd, na Boga, przyszło ci to do głowy?

- Przypomniałem sobie, że kiedyś powiedziała coś takiego.

Matka zadowolila się tą odpowiedzią, ale jej mina mówiła, że to było najgłupsze, co kiedykolwiek słyszała. Jan-Erik czuł coraz większą potrzebę zakończenia tego spotkania. Coś mu podpowiadało, że matka piła tuż przed jego przyjściem i dopiero teraz alkohol zaczynał działać.

Marianne zapisała to w swoim notesie. Przejrzała jeszcze kilka kartek. Nieświadoma tego, co działo się w pokoju, powoli sformułowała jeszcze jedno pytanie.

- Czy znają państwo niejakiego Kristoffera Sandebloma?

Alice westchnęła ciężko i podparła się, żeby wstać.

- Nigdy o nim nie słyszałam.

Poszła do kuchni, syn odprowadził ją wzrokiem.

- Nie, nie sądzę. A dlaczego pani pyta?

Domyślał się, po co matka poszła do kuchni, i jeszcze bardziej zapragnął pozbyć się Marianne Folkesson z mieszkania. Ona zaś podniosła filiżankę i napiła się kawy.

- Jest wymieniony w jej testamencie jako spadkobierca.

Zerknął w stronę drzwi, za którymi zniknęła matka.

- To się chyba specjalnie nie obłowi, przynajmniej tak mi się zdaje.

Jan-Erik zaśmiał się, żeby zatrzeć wrażenie matczynego komentarza z kuchni, i zastanawiał się, czy Marianne Folkesson rozpoznaje odgłos zdejmowania z butelki metalowej nakrętki.

- Zarządziła jasno, że najpierw trzeba pospłacać rachunki, ale to, co zostanie i co przyniesie ewentualna sprzedaż rzeczy, ma przypaść jemu. Myślałam, że państwo wiedzą, kto to jest.

- Nie mam pojęcia. Ile on może mieć lat?

Marianne sprawdziła w swoim notatniku.

- Urodzony w siedemdziesiątym drugim roku.

Alice stanęła w drzwiach i spłotła ręce na piersiach.

- To może lepiej byłoby skontaktować się z nim zamiast z nami, bo wygląda na to, że byli w zażyłych stosunkach.

- Próbowałam, zostawiłam mu wiadomość na sekretarce, ale, niestety, jeszcze nie oddzwonił.

Jan-Erik podniósł rękę i spojrzał na zegarek.

- Jeśli teraz to wszystko... Niestety, muszę pędzić dalej.

Marianne Folkesson przejrzała jeszcze jedną stronę w swoim notatniku.

- Tak, to chyba wszystko. Ta sprawa z muzyką, gdyby państwo mogli się zastanowić, czy znalazłoby się coś odpowiedniego. Ach tak, właśnie, jeszcze zdjęcie, czy mają państwo jakieś zdjęcie Gerdy? Zwykle robię powiększenie, oprawiam i stawiam na trumnie. W jej mieszkaniu znaleźliśmy fotografię, ale jest zbyt nieostra, żeby można było ją powiększyć. Jeśli macie państwo jakąś inną, chętnie bym ją wypożyczyła.

Jan-Erik wstał.

- Oczywiście. Poszukam, może coś się znajdzie.

Podali sobie ręce, Marianne Folkesson podziękowała. Alice powiedziała do widzenia, kiedy minęły się w drzwiach, wróciła do pokoju i usiadła na sofie. Jan-Erik odprowadził gościa do przedpokoju.

- Odezwiemy się w najbliższych dniach. Zobaczę, czy mamy jakieś dobre zdjęcie.

- Dziękuję, i jeśli przypomni się państwu coś jeszcze, co mogłoby mi się przydać, proszę zadzwonić.

Jan-Erik zapewnił, że tak zrobi, i Marianne wyszła. Stał jeszcze chwilę w przedpokoju i patrzył tęsknie na swoje buty. Po prostu iść. Iść gdzieś daleko stąd. Ale dzień się nie skończył. Została mu jeszcze jedna ważna wizyta. Rehabilitacja jego ojca powinna się odbywać we współpracy z rodziną, tak powiedział lekarz, i dzisiaj właśnie była pora kolejnego spotkania. Terminy pojawiały się regularnie w jego kalendarzu jak paciorki w rzadkim naszyjniku, gdyż to on był rodziną. Matka nie była szczególnie zainteresowana, choć kilka razy wybrała się razem z nim, żeby zachować pozory.

Usłyszał jej wołanie z pokoju:

- Darling, mój mały, chodź i posiedź na sofie z twoją starą matką, tyle czasu chyba jeszcze masz. Tak dobrze by było z tobą pogadać. Dni tutaj są takie samotne.

Zamknął oczy. Jutro znów wyjedzie. Liczył godziny.

Kristoffer wstał od biurka i podszedł do okna. Ulewny deszcz pokrywał szyby żyłkami i rozmywał widok na cmentarz kościoła Świętej Katarzyny. Przyłożył czoło do chłodnego szkła i zamknął oczy. Stał tak całkowicie nieruchomo, aż odnalazł słowa, których poszukiwał, i popędził z powrotem do komputera, zapisał je, stojąc, potem usiadł przy biurku, westchnął głęboko i zaczął odczytywać z monitora.

Akt 2

(MAMA i TATA siedzą przy kuchennym stole nakrytym do śniadania. Przy stole stoją cztery krzesła. Mama jest w czerwonych lakierowanych kozakach na wysokich obcasach, spódniczce mini i skapej, połyskującej koszulce. Tata ma na sobie garnitur w paski. Pomieszczenie jest ciemne, rozświetlane tylko ekranami licznych telewizorów wszelkich rozmiarów, pokazujących różne programy. Wiadomości, filmy porno, sensacyjne, teledyski.

Mama robi na drutach. Tata wpatruje się w monitor komputera).

(Minutę siedzą w milczeniu).

TATA: Co robisz?

MAMA: Dziergam.

(Kolejną minutę siedzą w milczeniu).

TATA: Co dziergasz?

MAMA: Rękawice.

TATA: A po co dziergasz rękawice?

MAMA: Chcę je dać na zbiórkę pomocy dla Afryki.

TATA: A po co im potrzebne rękawice?

MAMA: Żeby nie marzli.

(SYN, 13 lat, wchodzi na scenę. Jest ubrany w pomarańczowy kombinezon więźnia Guantanamo, na oczach ma czarną przepaskę, a gumowa taśma między kostkami nóg sprawia, że może się poruszać tylko małutkimi kroczkami. Jego kostki i dłonie są połączone łańcuchem i kłódką).

SYN: Możesz mi zapiąć?

(Mama zapina kajdanki).

MAMA: Czy naprawdę musisz w tym dzisiaj chodzić?

SYN: Daj spokój.

MAMA: Na dworze jest mróz. Po prostu nie chcę, żebyś się przeziębiał.

TATA: Tylko pamiętaj, w sobotę, kiedy pójdziemy na ślub Svenssonów, ma być czysty.

MAMA: A wiesz, ile on kosztował? Cztery tysiące.

SYN: Przecież sam zapłaciłem. Z moich pieniędzy, które dostałem pod choinkę.

MAMA: Widzisz coś przez to?

SYN: W tym są dziury, chyba rozumiesz.

(Podnosi skute dłonie tak wysoko, jak się da, i pokazuje małe dziurki w przepasce).

SYN: Poza tym to jest uszyte z surowców naturalnych. Ekologiczne.

(Mama smaruje kanapkę i karmi syna. Pomaga mu pić ze szklanki. Nagle zwraca się wprost do publiczności).

MAMA: Czy ktoś może mi pomóc?

(Mama wraca do swojej robótki, jakby nic się nie stało).

TATA: Nasze akcje w African Fishing Trade poszły w górę.

SYN: To lecę.

MAMA: Czy dzisiaj nie zaczynasz lekcji później?

SYN: Inaczej bym nie zdążył. (Pokazuje gumowe pęta na kostkach).

TATA: Uważaj na samochody i na pedofilów.

(Syn pośpiesznie schodzi ze sceny drobnymi kroczkami).

MAMA: Jakie akcje?

TATA: Działalność gospodarcza to coś genialnego. Do Europy eksportuje się pięćset ton filetów z okonia nilowego dziennie. Dzięki tanim rosyjskim pilotom i starym samolotom dostawczym udało im się obniżyć ceny. A wewnątrzności i głowy zostają dla miejscowej ludności, czyli ci, co mówią, że implantowanie okonia nilowego do Jeziora Wiktorii wytrzebiło inne gatunki ryb, powinni się zamknąć. Nikt nie może powiedzieć, że African Fishing Trade postępuje niewłaściwie. Poza tym w pudełkach po rybach dzieciaki mogą podgrzewać klej i niuchać, żeby potem lepiej im się spało nocami po bramach. Ich rodzice zmarli przecież na AIDS. To sytuacja, w której każdy korzysta. Możemy podziękować naszej szczęśliwej gwiazdzie, że od początku byliśmy w to zaangażowani i kupiliśmy akcje.

(Siedzą w milczeniu. Nagle TATA zwraca się do publiczności).

TATA: Czy ktoś może mi pomóc?

Kristoffer odchylił się do tyłu i splótł dłonie na karku. Nie był do końca zadowolony. Coś w tekście nie grało, a termin upływał za cztery tygodnie. Oderwał wzrok od monitora i poszukał wyłączonej komórki. Wziął ją i ważył przez chwilę w dłoni. Od tygodnia był odcięty od świata, a mimo to liczba stron, jaką udało mu się napisać, była niepokojąco

mała. Nie szło mu. Nie było swobodnego przepływu myśli. Tyle chciał powiedzieć, ale słowa tkwiły jak przykręcone w jakiejś przestrzeni, do której nie miał wstępu. Izolacja zwykle była kluczem. Wolność, która się otwierała, gdy wyłączał telefony i przestawał odbierać mejle. Poczucie niezależności. Bezwzględny dzikus, mający prawo opluwać zółcią układ społeczny, który porzucił z wyboru. Tym razem to nie zadziało. Zamiast tego czuł się samotny i odizolowany. I wyrzucony poza nawias. Nie jak obserwator, kiedy przyglądał się sprawom, w których nie uczestniczył, i miał prawo krytykować na podstawie swojej trzyletniej moralnej nieskazitelnosci.

Poza nawiasem jako człowiek samotny.

Zastanawiał się, czy to ma związek z pieniędzmi. Z tą zmieniającą się sumą, którą co miesiąc znajdował w skrzynce pocztowej w postaci anonimowego przekazu, ale która w tym miesiącu się nie pojawiła. Uważał ją za zapowiedź tego, że pewnego dnia będzie mógł rozwiązać zagadkę. Otrzymać zadowalające wyjaśnienie, które pobłogosławiłoby go łaską wybaczenia.

Zamknął laptop i poszedł do kuchni. Otworzył lodówkę i zamrażarkę. Zapas mrożonych gotowych dań bardzo się zmniejszył, musiał więc wyjść na zakupy. Może powinien zadzwonić do Jespera. Spotkać się na szybką kawę na Skånegatan i pogadać trochę. Jesper zmagał się właśnie, niemal ryzykując szkorbut, z powieścią, a on, tak samo jak Jesper, męczył się z nową sztuką.

Minął rok od czasu, kiedy mały teatr na Kungsholmen wystawił jego debiut. Prowokująca sztuka, tak określiło ją paru krytyków. Ktoś inny twierdził, że była buntownicza. Wziął to za dobrą monetę, kilka przedstawień było wyprzedanych. Siedział tam w ciemnościach i poruszał ustami, powtarzając swoje słowa padające ze sceny. Po cichu, żeby

nikomu nie przeszkadzać, ale w środku coś krzyczało z radości. A kiedy zaczynały się oklaski, zawsze przepelniało go jedno życzenie.

Żeby moi rodzice mogli mnie teraz zobaczyć.

Teatr zamówił nową sztukę i Kristoffer obiecał, że dostarczy ją za cztery tygodnie. Chodziło o to, żeby odnowić przekaz, ale zachować dotychczasowy sposób wypowiedzi. Atakować, ale tak lokować ciosy, żeby dopiero po pewnym czasie wybijały dziury, w które niespodziewanie wpadną krytycy. Natura ludzka broniła się, jeśli była atakowana znienacka. To było w genach. Lecz złość i frustracja, jaką czuł z powodu całej sytuacji, sprawiały, że trudno mu było się powstrzymać.

Wziął bezprzewodowy telefon z kuchennej ławy i wybrał numer Jespera. Jeszcze nie był gotów włączyć komórki, wtedy cała magia definitywnie pryśnie, a musi napisać kilka stron, zanim tym razem się podda.

- No hej, to ja. Co słyhać?

- Siedzę w Café Neo. Może wpadniesz na chwilę?

Wahał się tylko sekundę, potem się zgodził.

- Okej, będę za dziesięć minut.

Wyszedł do przedpokoju, włożył adidas i kurtkę budrysówkę. Wyjrzawszy przez okno, zostawił parasol, deszcz przestał padać. Zamknął antywłamaniowy zamek i zdecydował, że zejdzie po schodach, po tygodniu siedzenia przy biurku potrzebował ruchu. Jego dłoń przesuwała się w dół po poręczy schodów. Miał mieszane uczucia, gdy pomyślał, że tyle innych dłoni przesuwało się po niej przed jego ręką. Był więc częścią całości. Ta świadomość sterowała każdym jego krokiem od trzech lat. Wszystko się łączyło, lecz każdy sam odpowiadał za siebie, zrozumiał, że jego również to dotyczy.

*

Jego nowa podróż zaczęła się przed trzema laty, kiedy jako trzydziestodwuletni barman stał za kontuarem w Are i poczuł, że nie może oddychać. Przyznał się przed sobą, że właśnie idzie na dno. Rozejrzał się wśród pijanych ludzi i stwierdził, że suma inteligencji zebranej w lokalu odpowiada sumie uzyskanej w małpiarni w ogrodzie zoologicznym Kolmården. Z tą przygniatającą różnicą, że istoty w małpiarni zachowywały się bardziej godnie. Miał wrażenie, że usunięto mu z oczu mętną soczewkę. Nagle poczuł się jak przybysz z innej galaktyki, który chciał się dowiedzieć, jak my, inteligentne istoty, żyjemy tu na Ziemi. Nieoczekiwanie wszystko stało się niezrozumiałe. Widział wszystkie te niezdarne podchody. Całą nonsensowną gadaninę, która do niczego nie prowadziła, może z wyjątkiem tego, że ludzie chwiejnie szli do swojej wynajętej chaty lub pokoju hotelowego, by się pieprzyć po pijanemu.

Paczka dziewczyn po drugiej stronie baru, które poprzedniego wieczoru opowiadały, że studiują pielęgniarstwo i właśnie odbywają swoją coroczną podróż. Ich wściekle różowe podkoszulki z napisem I'M THE HERO FOR THE GANGBANG. Rozmowy, które kilka z nich usiłowało prowadzić z trzema mocno umięśnionymi samcami, z trudem utrzymującymi pozycję pionową. On i jego koledzy barmani, przyczyniający się do tego zidiocenia, jakie się wokół nich dokonywało. W ciuchach sponsorowanych przez producentów markowych alkoholi podawali coraz to nowe lufy piwa i drinki z kolorową zawartością ludziom, którzy i bez tego byli tak pijani, że z trudem udawało im się podnosić kieliszek do ust. I sami wybrali ten stan.

Bawili się.

Świadomość, że niezaprzeczalnie był jednym z nich.

*

Zatrzymał się na przejściu dla pieszych i nacisnął guzik. Po drugiej stronie ulicy furgonetka z reklamą piwa po bokach rozładowywała przed jakąś restauracją szare beczki. Dwóch mężczyzn z obsługi taszczyło do środka ciężkie metalowe cylindry. W najbliższych dniach nieznaną liczbą ludzi będzie pochłaniała zawartość beczek w pogoni za spokojem ducha.

Przez trzynaście lat to było jego życie. Visby latem i Åre w zimie. After beach i after ski były uderzająco podobnymi imprezami. Wypuszczeni na urlop ludzie chcieli wszystko nadrobić, należało wypuścić i przewietrzyć swojego wewnętrznego jaskiniowca. Po skończonym dyżurze on też dołączał do otoczenia. Praca sezonowa była stylem życia, który pogardzał życiem przeciętnego Svenssona z jego regularnością i stałymi obowiązkami. Imprezy, które zaczynały się po zamknięciu lokalu i trwały aż do rana, kilka godzin snu, żeby mieć siłę na wieczorny dyżur, który trwał do chwili rozpoczęcia następnej imprezy. Życie składające się ze skrajności, w którym jak piórko pozwalał się unosić podmuchom wiatru. Wszystko działo się szybko, za szybko, i opierało się na błyskawicznie zmieniających się kaprysach. Nieustanne poszukiwanie podniet, jedna wielka mieszanina seksu, alkoholu i innych używek. Żeby choć na chwilę poczuć radość życia i wyrwać się ponad przeciętność, żeby uciszyć to, co rozdzierało jego duszę, o czym nie chciał pamiętać. Był przygotowany na wszystko, ale jeśli coś kończyło się źle, zawsze można było zwalić winę na zawartość promili. Zadał sobie trud, by zostać członkiem „klubu narciarskiego”, skupiającego osoby, które uprawiały seks w gondolach wyciągu. Stał się groźnym przeciwnikiem w zawodach w picciu piwa i najbardziej ryzykownych zjazdach poza szlakami narciarskimi. Ustawiał się w kolejce do pokoju hotelowego, gdzie przyjmowały dziewczyny, które kazały

facetom napisać swoje imiona na kondomach i zebrać je w kubek do szampana na korytarzu, a później czekać na swoją kolej. Łykał penicylinę przeciwko chłamydii, a raz trafił do szpitala z bólem nerek po kilku tygodniach ostrego imprezowania. Budził się zarzygany w różnych miejscach i nie wiedział, jak tam trafił. Robił rzeczy, które potem spełniały go wstydem. Ale nic nie skłoniło go do refleksji nad swoim postępowaniem. Jego życie było szczelnym kokonem, do którego nie docierał świat z zewnątrz. Tylko ucieczka nocy i skrucha przed południem. Piekielny lęk, jaki towarzyszył kacowi. A sposobem na to był tylko klin.

Rozkoszował się poczuciem wspólnoty z innymi sezonowymi pracownikami, którzy jak bezdomni krążyli stale między latem i zimą.

Prawie jakby miał rodzinę.

Na Södermannagatan minął starszą panią z psem. Rzuciła mu przelotne spojrzenie, na co jego twarz rozjaśniła się uśmiechem. Kobieta przyśpieszyła kroku i spuściła wzrok, a Kristoffer poszedł dalej w drugą stronę. Próbował bronić się przed myślą, że to go bawi. Że zwykły uśmiech nieznanego człowieka potrafił wywołać zmieszanie, jakby był równoznaczny z wymuszaniem wzajemności. Ale tak nie myślał dobry człowiek. A on nim był. Teraz.

Bo lata mijały i wreszcie przyszło zmęczenie. Niepokojące uczucie, że coś ważnego mu umyka. Refleksje, które natchodziły go, ilekroć obsługiwał dojrzałe towarzystwo z solidnymi kartami płatniczymi i zaczątkami łysiny. Przypomnienie, że prawdziwy sukces potrzebuje czasu. Przynajmniej jeśli ma trwać dłużej niż aktualna lista na łupkowej tabliczce za barem.

Zmęczenie było coraz silniejsze. Nawet alkohol nie był w

stanie go zagłuszyć. Kiedy był pijany, w jakiś dziwny sposób potrafił rozmawiać sam ze sobą głosem, który pochodził gdzieś z zewnątrz. Nagle ten głos zaczynał go pytać, dokąd zmierza. *Czy to naprawdę ja? pytał głos. Czy to naprawdę ja wstałem właśnie od stołu, jeśli tak, to dlaczego to zrobiłem?*

Dotychczas postrzegał swoje życie jako pewną prowizorkę. To, co miało się stać prawdziwym początkiem, jeszcze nie nastąpiło. Naiwnie wierzył, że on nie musi niczego tworzyć, że wszystko samo się ułoży, jeśli tylko będzie czekał wystarczająco długo. Ale kiedy zaczął stawiać sobie pytania, zrozumiał, że tego prowizorium już dłużej nie da się tłumaczyć. Może to regularnie napływające pieniądze utrzymywały go w tym złudzeniu. Że jego właściwe życie naprawdę toczyło się gdzie indziej. W czarnym lęku upojenia alkoholowego wydawało mu się, że znajdowało się w pustce, która istniała w atomach jego ciała.

Ciała, o którym nikt, nawet on sam, nie wiedział, skąd pochodzi.

Potrzebą wyjaśnienia tej zagadki usprawiedliwiał swoje rozrywkowe życie podczas oczekiwania. Pieniądze pojawiające się co jakiś czas były dowodem na to, że gdzieś w świecie był ktoś, kto wiedział.

Zatrzymał się przy wystawie sklepu Pet Sounds na Skånegatan. Czasami pozwalał sobie na jakąś płytę, nawet jeśli w jego nowym, beznapiwkowym życiu cena była dość wysoka jak na możliwości jego portfela. Ściąganie muzyki za darmo nie mieściło się w jego etyce naprawiania świata. Drzwi sklepu otworzyły się i wyszedł z nich około dwudziestoletni chłopak z czekoladowym batonikiem w ręce. Przechodząc obok Kristoffera, rzucił na ziemię kolorowy papiererek.

- Przepraszam, zgubiłeś coś.

Chłopak rzucił mu szybkie spojrzenie.

- To tylko śmieci.

- Tak, widzę, ale jak myślisz, kto to będzie za tobą zbierał?

Chłopak zatrzymał się nagle. Rozejrzał się na boki i posłał Kristofferowi niepewny uśmiech, jakby chciał sprawdzić, czy ten sobie nie żartuje. Kristoffer stał nieruchomo i czekał, z uporem patrzył prosto w oczy chłopaka, ale teraz już się nie uśmiechał. Minęło kilka sekund, chłopak się schylił i zawstydzony podniósł papierek. Dopiero kiedy odszedł, Kristoffer uśmiechnął się, dumny z siebie i swojego czynu.

Teraz szukał takiego rodzaju podniety, gdyż te, których dostarczał mu seks lub alkohol, nagle się skończyły. Ów torturujący go lęk pojawił się, zanim nowe emocje zdążyły go złagodzić. Zrozpaczony stwierdził, że znajduje się w sytuacji bez wyjścia. Że koszty jedynej rzeczy, która mu pomagała, przerażały go dokładnie tak samo jak to, przed czym uciekał.

Dopiero wtedy zrozumiał, jak trudno jest zmienić postępowanie. Jak alkohol i narkotyki domagały się swojego miejsca, choć on ich już nie chciał. To, co wydawało mu się dobrowolne, okazało się przymusem, jego najgroźniejszy wróg mieszkał w jego wnętrzu. Rozporządzał jego mózgiem i uniemożliwiał decydowanie o sobie. Powietrze, które już nie docierało do płuc, niepokój, który wymagał ciągłego ruchu, choć się tego bał. Pragnienie wyzwolenia, żeby się wreszcie tego pozbyć, lecz równocześnie strach przed kosztami - śmiertelny strach, jaki przynosiło upojenie alkoholem. Kaucja za kilka godzin łaski. Nie miał już, jak się bronić przed tym, co rozrywało jego duszę. Panika, że poczuje, jak to jest, kiedy coś powoli się rozpada i odsłania coś przerażającego.

Porzucił swoje miejsce za barem i poszedł do pakamery,

którą dzielił z jeszcze jednym pracownikiem sezonowym. Godzinami siedział na niepościelonym łóżku, wyczerpany samym tylko oddychaniem. Myśl o tym, co jego rodzice mogliby pomyśleć, gdyby zobaczyli, co się z nim stało.

Wstyd, że przez tyle lat tak się sam poniżał. Poczucie, że ma dług, wobec siebie, wobec całego życia. Czuł się bezbronny, zagubiony i całkowicie samotny.

Spakował walizki i wsiadł w pociąg do Sztokholmu. Wykorzystał liczne kontakty z lat knajpianego życia i znalazł mieszkanie. Miał umowę najmu z drugiej ręki na czas nieokreślony, właściciel prowadził jakieś badania za granicą. Kristoffer nie wiedział jakie, ale książki na półkach świadczyły o tym, że były to nauki przyrodnicze. Pierwsze miesiące spędził zamknięty w mieszkaniu i bał się wychodzić. Dni, kiedy musiał wybrać się do sklepu spożywczego, były koszmarem. Miał tyle pieniędzy na koncie, że mu wystarczało, przez lata odkładał wszystkie napiwki, za alkohole i jedzenie nie musiał płacić. W nadziei na całkowitą zmianę życia zerwał wszelkie kontakty z dawnym środowiskiem i samotnie zaczął zwalczać swojego wewnętrznego demona. Przegryzł się przez cały regał, książka po książce. Często były niezrozumiałe, lecz przynajmniej pomagały odwrócić uwagę. Nocami siedział przy komputerze. Znalazł czat prowadzony przez anonimowych alkoholików, dzięki któremu łatwiej było przetrwać godzinę wilków. Codziennie budził się i stawał przed wyborem: poddać się temu palącemu pragnieniu czy zmusić się do przetrwania jeszcze jednej doby. Małe, maleńkie kroczki, które zebrane razem prowadziły go dalej.

Po upływie pół roku zaczął wychodzić, odbywać długie spacery po Sztokholmie. Przeszedł niezliczone szlaki, jakby chciał zostawić za sobą wszystko.

Kiedy to się stało, stał na Fjällgatan. Zachwycał się

widokiem. Była wiosna, świeża zieleń na Blasieholmen i Djurgården mieniła się wszystkimi odcieniami. Biały prom do Slussen przecinał powierzchnię jeziora Saltsjön, lśniąca, jakby była posypana diamentami. Zaskoczyło go całe to piękno. Nieoczekiwany cud. Chyba nie mógł tam być przedtem, przecież nigdy jeszcze czegoś takiego nie widział? Ogarnęło go podobne do dreszczu płynące z głębi uczucie wszechogarniającej, nieprzytomnej radości, której nie można było się oprzeć. Mimo że wokół byli ludzie, jego głośny śmiech odbił się echem na Fjällgatan i dalej w całym Sztokholmie, czuł, że nareszcie, nareszcie jest wolny. Że ma przed sobą wielkie możliwości. Zawsze wierzył, że jest stworzony do rzeczy wielkich, i teraz właśnie nadszedł jego czas. Chciał coś zrobić dla ludzi, dokonać czegoś znaczącego. Wszystko nagle nabrało sensu. Kiedy to sobie uświadomił, nie było już odwrotu. Teraz każda świadoma chwila była walką o zmiany, ciągłym „nie” wobec dostosowania i pogodzenia się z istniejącym stanem rzeczy. Świat był bagnem i wszyscy byli odpowiedzialni za jego naprawę. Powinni tak jak on stanąć w szeregach samoobrony ludzi, walczyć przeciwko jałowości życia.

Jesper siedział w najdalszym kącie, przy stoliku, który zwykle zajmowali. Zdążył już wypić swoją cafe latte, na wewnętrznych ściankach wysokiej szklanki obeschła piana, tworząc nieregularną siateczkę. Pierwszą rzeczą, jaką Kristoffer zauważył, był brak nieodłącznego notatnika zawsze umieszczonego w zasięgu pióra Jespera, gdziekolwiek się znajdował. Notatek, które były kanwą dla jego pierwszej powieści *Nostalgia, dziwne uczucie kontrolowanego smutku*. Jesper był wilkiem samotnikiem, tak samo jak Kristoffer. Może dlatego tak dobrze czuli się w swoim towarzystwie.

Kristoffer zdjął kurtkę i powiesił na poręczy krzesła.

- No dobra. Zamówić coś jeszcze dla ciebie?

Jesper potrząsał przecząco głową. Kristoffer poszedł do baru, gdzie utworzyła się mała kolejka. Ustawił się za blisko osoby znajdującej się przed nim. Tylko po to, żeby sprawdzić, jak na to zareaguje. Mężczyzna zrobił krok do przodu, więc Kristoffer znów się przysunął. Coraz wyraźniej dał się odczuć dyskomfort tamtego, choć bardzo się starał to ukryć. Dlaczego ludzie czują się zagrożeni, gdy ktoś obcy za bardzo się do nich zbliży? Kristoffer długo się zastanawiał, dlaczego zachowanie dystansu jest tak ważne. Może to właśnie wtedy, w tym poczuciu zagrożenia, podświadomość ocierała się o wiedzę, że wszystko, co istnieje, tworzy całość, że wszystko zależy od wszystkiego. W książkach przyrodniczych, które znalazł na półkach w mieszkaniu, wyczytał, że atomy nigdy nie giną, tylko zmieniają postać. Wystarczyło zobaczyć fotografię Ziemi wykonaną z kosmosu, żeby domyślić się tej prawdy. Gdyby ta wiedza została szeroko rozpowszechniona, przyjęty obraz świata rozsypałby się na kawałki. Nikt nie mógłby już patrzeć na to, co się dzieje, nie czując się zmuszonym do działania.

Mężczyzna z kolejki zrobił kolejny krok do przodu, żeby zwiększyć odległość. Kristoffer zostawił go już w spokoju. Zamówił podwójne espresso i czekając na nie, przyglądał się Jesperowi. Ten siedział dalej, podpierając głowę lewą ręką, prawą zaś rysował niewidoczne figury na blacie stołu. Przygnębiony, pomyślał Kristoffer. Nie pierwszy raz. Jesper był jak otwarta książka, łatwo było odgadnąć, w którym miejscu na skali emocji akurat się znajdował, a przygnębienie wcale nie było rzadkością. Kristoffer dobrze się czuł z jego jednoznacznością. Nie było w tym niczego niejasnego, co kazałoby się zastanawiać, same jasne komunikaty. Poczuli nagle, że się uśmiecha, patrząc na Jespera. Uświadomił

sobie, jak bardzo ceni sobie tę przyjaźń. Jesper był całkowitym abstynentem, z powodów ideologicznych, co ułatwiało ich kontakty. Odkąd Kristoffer skończył z pićciem, musiał unikać pewnych sytuacji. Oczekiwać, że mógłby się dobrze bawić, spędzając cały wieczór w knajpie, to jak spodziewać się, że cukrzyk będzie zachwycony tortowym przyjęciem. Nadal czasami go suszyło, zdarzało się, że musiał się mocno opierać, żeby nie wypić tylko tego jednego jedyne go kieliszka. Który potrafił mu dać to szczególne poczucie odprężenia. To miłe poczucie, że wszystko jest proste i łatwe, które potem szybko mijało, a on po całych nocach próbował je odzyskać, upijając się do nieprzytomności.

Jesper był jedynym człowiekiem, którego mógł nazwać swoim przyjacielem. Samotna praca przy komputerze i unikanie życia towarzyskiego, odkąd zerwał z dawnymi przyjaciółmi, nie sprzyjały nawiązaniu nowych znajomości.

Ale nawet Jesperowi nie zdradził swojej największej tajemnicy. Tej, która napelniała go takim wstydem, że nawet słowa się przed nią wzbraniały. Minęło trzydzieści jeden lat, lecz on nie opowiedział o tym nikomu.

Że w wieku czterech lat został znaleziony na schodach w Skansenie.

Że był dzieckiem, które ktoś odrzucił.

Wrócił do stolika.

- Co się właściwie dzieje?

Kristoffer usiadł przy stoliku i umoczył wargi w swoim podwójnym espresso. Jesper odpowiedział nie od razu. Przygnębiony, pomyślał znowu Kristoffer.

- Sam nie wiem, chyba powinienem być szczęśliwy, tak sądzę. Ale nie jestem.

- Ale o co chodzi?

Kristoffer upił trochę kawy. Jego towarzysz odchylił się do tyłu i wyprostował, jakby chciał strząsnąć z siebie coś

nieprzyjemnego. A potem wypowiedział słowa, po których sala się zakołysała:

- Przyjęli moją książkę.

Kristoffer zeszytniał. Przeraził się własnej reakcji. Powinien się cieszyć, zerwać się od stołu i pobiec po ciasto. Tak zareagowałby dobry człowiek. Jego najlepszy przyjaciel po wielu wysiłkach i staraniach osiągnął wymarzony cel, ale zamiast wiwatować na jego cześć, on siedział na krześle jak sparaliżowany i czuł, jak narasta w nim wielka czarna zazdrość.

- Ale to przecież fantastyczne.

Udało mu się to powiedzieć. A czern rozrastała się dalej.

- Naprawdę?

Jesper nie wyglądał wcale na zadowolonego. Kristoffer był zdezorientowany. To lepsze niż zazdrość.

- Przecież to chyba jasne. Prawda? Czyż nie po to napisałeś tę książkę?

Na chwilę zapadła cisza. Jesper nie był osobą, która mówi rzeczy nie do końca przemyślane. Kristoffer cenił sobie tę jego cechę. Świat byłby lepszy, gdyby ludzie starannie dobierali słowa.

- Mam jakieś dziwne poczucie pustki, prawie jakbym został okradziony.

- Jak to okradziony? Teraz możesz zacząć jeść coś innego niż jak dotąd tylko makaron.

Słyszał to w swoim głosie. Że słowa kryły jego prawdziwe uczucia.

- Nie chodzi mi o kradzież pieniędzy, chyba rozumiesz. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale czuję się tak, jakby okradziono mnie z własnego życia. Co mam teraz robić? Tak długo pisałem tę cholerną powieść, że już nie wiem, co teraz robić, kiedy nie mogę dalej nad nią siedzieć.

- Możesz napisać nową.

- A gdybym nie potrafił, to co?

- Przestań. Możesz przynajmniej próbować, zanim się poddasz. Poza tym będziesz musiał promować książkę, jeździć po kraju i udzielać wywiadów, siedzieć na telewizyjnych kanapach i wygłaszać odczyty.

Czuł, jak jego zazdrość narasta. Marzenie o sukcesie. Być kimś pożądanym, wreszcie czuć, że ktoś potwierdza twoją wartość.

- Ale właśnie o to chodzi. Czy ty wyobrażasz sobie mnie siedzącego na kanapie w telewizji? Widzisz mnie tam? Co? Albo udzielanie wywiadów. Co mam powiedzieć? Przeczytaj książkę, pieprzony palancie! Tam jest napisane wszystko, co chciałem powiedzieć. Myślisz, że to by się sprawdziło?

Kristoffer nie odpowiedział. Widział, jak Jesperowi płacze się język przy zamawianiu kawy i zrozumiał, że do pewnego stopnia przyjaciel ma rację. A mimo to nie mógł przestać złościć się na jego lamenty.

- Poza tym jestem strasznie brzydki.

- Daj spokój.

- Tobie łatwo to mówić, z twoim wyglądem cherubinka.

- Przecież to nie ma znaczenia, jak wyglądasz.

- No, witajcie w naszej bajce.

Jesper wyglądał na szczerze zrozpaczonego. Podparł głowę obiema rękami i westchnął. Kristoffer dopił kawę i odstawił filiżankę. Gdyby to chodziło o niego. Może też powinien napisać powieść? Skoro Jesperowi się udało znaleźć wydawcę, może on też by potrafił.

- To przecież jasne, że chcę, żeby jak najwięcej ludzi przeczytało książkę, oczywiście, po to ją w końcu napisałem. Bo czegoś chciałem. Ale nigdy nie myślałem, co to właściwie mogłoby oznaczać. Znasz mnie przecież, nie potrafię być w centrum uwagi, i to był mój sposób, żeby mimo to zabrać głos. Nie nadaję się po prostu na markowy produkt.

Powiedziałem ludziom z wydawnictwa, jak jest, że nie wiem, czy poradzę sobie z masą wywiadów i tego wszystkiego.

- A co oni na to?

- No, w każdym razie nie skakali z radości.

- Ale do jasnej cholery, przecież musi być jakiś inny sposób promowania książki.

- Widziałem, że byli rozczarowani naszym spotkaniem. Przez telefon byli tak strasznie pozytywni po przeczytaniu maszynopisu, ale to było przed spotkaniem ze mną.

Kristoffer przestał już dyskutować i przez chwilę siedzieli w milczeniu. Na próżno usiłował pozbyć się myśli, że reakcja wydawnictwa trochę poprawiła mu nastrój. Rozpaczliwie starał się zapędzić zazdrość z powrotem do najciemniejszego kąta, z którego wypłynęła, bo czy porządny człowiek reaguje w ten sposób na taką wiadomość? Podjął próbę przewyciężenia siebie i położył rękę na dłoni Jespera. Ten gest był czymś tak rzadkim, że Jesper drgnął pod wpływem dotyku.

- Wszystko na pewno ułoży się bardzo dobrze. Kristoffer cofnął dłoń i uśmiechnął się.

- A niech to, znam prawdziwego pisarza.

Ale te słowa tylko pogłębiały jego zazdrość. Z nich dwóch to on zawsze był tym, który odnosił większe sukcesy, role były już rozdane. Cała ich przyjaźń utrzymywała się w równowadze, opierając się na tych niepisanych regułach, a teraz nagle równowaga została zakłócona. Zapragnął iść do domu i usiąść nad swoją sztuką, postarać się, żeby krytycy padli na twarz z zachwytem.

- Musisz wymyślić jakiś inny sposób na wylansowanie książki. Zrobić coś, czego nikt nie zrobił, żeby zwrócono na nią uwagę, a ty nie musiałbyś się pokazywać.

Jeśli uważasz, że to jest takie trudne, chciał dodać, ale nie zrobił tego.

- A co by to miało być?
- Nie wiem, musisz się zastanowić.

Rozstali się na ulicy przed kawiarnią. Kristoffer poszedł do sklepu spożywczego ICA. Dręczyły go wyrzuty sumienia. Był człowiekiem niegodnym, który nie był w stanie cieszyć się razem z przyjacielem. Dobro i przyzwoitość, o które tak walczył, przy pierwszej próbie uległy egoistycznym podszeptom, które były cechą natury przeciętnej. Wiedział bardzo dobrze, że wartość moralna ma źródło nie w przyjemności, ale w obowiązku. A mimo to poniósł klęskę. Chcąc naprawić sytuację, zaczął się zastanawiać nad dylematem Jespera, co mogłoby zwrócić uwagę mediów na książkę. W sklepie zatrzymał się przed regałem z gazetami i zaczął czytać nagłówki: *Przeleciałem cztery tysiące lasek. Wóda, seks i totalna dekadencja - my tam byliśmy. Zrób majątek na wymianie plików. Grzech, gry i gołe striptizerki. Mówimy wow!, kiedy w gazecie napalona Emma zdejmuje swoją mokrą koszulkę. Wygraj komputer! Gorące obrazki musisz sobie ściągnąć sami*

Kristoffer westchnął. Ponieważ był mężczyzną, a gazety do nich się zwracały, poczuł się poniżony, że takie nagłówki miały się najlepiej sprzedawać. Że traktowano go jak idiotę, ponieważ był mężczyzną. A przecież nie miał nic przeciwko nagim kobietom. I choć też się tym szczególnie nie szczycił, miał w domu kilka doszczętnie zaczytanych świerszczyków. Ale było dla niego upokarzające, że tak mało finyzyjnie apelowano do jego najniższych instynktów. Wziął jedno z tych pism i zajrzał na drugą stronę. W redakcji sami mężczyźni. Zastanawiał się, kim byli ci mężczyźni. Jak do tego doszło, że nie chcieli niczego innego. A jeśli tak nie było, to czego w takim razie chcieli? Raz zadzwonił do takiej redakcji i zapytał.

- Jesteśmy zobowiązani przez właścicieli, żeby przetestować,

dłaczego ludzie wybierają tę, a nie inną gazetę - usłyszał w odpowiedzi. Niestety, kryzysy światowe źle się sprzedają.

No cóż, Jesperze, pomyślał Kristoffer. To nie będzie łatwe. Notatka o tym, że Jesper Falk napisał prowokującą do myślenia powieść pokoleniową, raczej nie będzie przebojem w kioskach.

Zrobił krok w bok i wylądował przed półką z prasą dla kobiet. *Piękne oczy - zrób sobie przydymiony look! Zakupowy zawrót głowy - 600 najlepszych produktów. Naucz się właściwie chodzić w szpilkach. Czy powiększenie biustu to dobry interes?* To było bardzo niepokojące. Że te wszystkie gazety najwyraźniej się sprzedawały. Że tak wielu kobietom to wystarczało, by zaspokoić ich zapotrzebowanie na wiedzę.

Na skraju po lewej stronie zobaczył czasopisma dla dziewczynek. *Jak dogryzają sobie gwiazdki. Wybierz najśłodszego szczeniaczka Hollywoodu. 7 missek, które nas nie kręcą. Zdradzamy, jak sprawić, by on padł z wrażenia.* W redakcjach same kobiety, może z wyjątkiem osób od spraw technicznych. Zastanawiał się, jak te kobiety wychowują swoje dzieci. Czy prywatnie też się tak samo starają umacniać stereotypy na temat płci, chcą mieć infantylne córki, czy może tylko wypełniały zadanie, póki im za to płacono.

Kolejny raz przeleciała mu przez głowę myśl - a co z inteligencją? Jak to się dzieje, że niektórzy ludzie myślą tak niewiele, tak przeraźliwie mało? Dlaczego sami pozbawiają się wszelkiej wartości, wmawiają sobie, że ich czyny w ogóle się nie liczą?

Odkąd zrezygnował z zagłuszania świadomości, coraz gorzej znosił rzeczywistość. Czy może właśnie tak jest, że ludzki mózg od czasu do czasu potrzebuje znieczulenia, żeby był w stanie tolerować całą tę głupotę, żeby mógł odczuć nadzieję?

- Czy pan stoi w kolejce?

Wyrwany z rozmyślań, zaczął wyklądać zakupy na taśmę. Z nowym zapasem gotowych dań poszedł do domu. Jego rozważania podsunęły mu nowy pomysł i znów poczuł się raźniej, gotów dalej pisać sztukę.

Już widział bramę swojego domu, kiedy zdecydował się włączyć komórkę. Miał trzy nowe wiadomości. Jedną z teatru, z pytaniem, jak mu idzie, drugą od Jespera. Dopiero po wysłuchaniu trzeciej czas się zatrzymał, Kristoffer upuścił reklamówkę z zakupami i musiał oprzeć się o ścianę domu.

Coś o jakimś testamencie, który wymienia go jako jedy-
nego spadkobiercę.

Zapach jabłka. Móc wyciągnąć rękę i podnieść je, przysunąć do twarzy i odetchnąć apetycznym zapachem. Błyskawiczne przeniesienie w miniony czas. Magiczna brama do królestwa, które na co dzień leżało przysłonięte dziesięcioleciami zmian, lecz w mgnieniu oka zostało odtworzone i było dostępne.

Axel Ragnerfeldt przyglądał się jasnozielonym jabłkom leżącym na paterze. Tak samo niedostępne, jakby nadal znajdowały się w kraju pochodzenia, którego nazwa widniała na małej naklejonej etykietce. Pocieszał się, że na pewno i tak nie pachną, pryskane i poddane obróbce, żeby bezpiecznie odbyły długą podróż dookoła kuli ziemskiej. To nie to co jabłka dzieciństwa, które starannie zbierali z jedynej jabłonki na działce, żeby potem przerobić je na złocisty moszcz i powidła podawane od święta. Troskliwie pielęgnowane zagony ziemniaków, brukwi i innych pożytecznych roślin z pojedynczymi szaleństwami, jak lwie paszcze, ostróżki czy fiołki, wplecionymi pomiędzy uprawy. Matka, która biegła zajęta tysiącem rzeczy, i wytrwale stukanie młotkiem ojca, dumne i precyzyjne. Mały domek, który z wolna wyrósł pod jego zgrubiałymi dłońmi. Te sześć metrów

kwadratowych powierzchni było cenniejsze niż najwspanialszy pałac. Pamiętał sformułowania ze statutu: *Ogródki działkowe przede wszystkim są przeznaczone dla szerokiej rzeszy robotników fizycznych i im podobnych, którzy w mieście żyją w ciasnocie, mają trudne warunki mieszkaniowe.*

Błogostan, tak nazwali ten mały kawałek ziemi, który jak oaza pozwalał im odpocząć od ciasnego mieszkania kilka ulic dalej, składającego się z jednego pokoju i kuchni. Małe osiedle drewnianych domków ze skromnymi mieszkaniami w klinie między Ringvägen i Blekingegatan, wybudowane jako tymczasowe rozwiązanie w czasie dotkliwego braku mieszkań po pierwszej wojnie światowej, które przetrwało aż do końca lat sześćdziesiątych.

Napełnij głowę wiedzą, mój chłopcze, to jedyna rzecz, która może cię stąd wyrwać.

Ktoś zapukał do drzwi. Nigdy nie mógł pojąć, dlaczego zadawali sobie ten trud. Odkąd trafił do domu opieki, nie mógł nikogo przyjmować, więc ich pukanie sprawiało mu przykrość. Usłyszał, jak drzwi za jego plecami się otwierają. Ktoś wszedł do środka, lecz się nie odezwał, więc Axel nie miał pojęcia, kto to jest, dopóki ta osoba nie pojawiła się w jego polu widzenia. Nie pamiętał imienia, szczegóły dnia często wypadły mu z pamięci, może wynikało to z braku zainteresowania. Tylko rzeczy, które działy się dawno temu, miały wyraziste kontury. Może mózg chronił go w taki sposób. Jego ciało stało się zamkniętą przestrzenią, w której siedział jak uwięziony. Bez drzwi i okien, bez żadnych kontaktów z ludźmi. Dni bliźniaczo podobne do siebie przychodziły i odchodziły, a on musiał je znosić. Cały jego tylekroć nagradzany intelekt przeniesiony do małego palca lewej dłoni, który czasami słuchał jego poleceń, choć ostatnio coraz częściej i on zawodził. Zamknięty w ciele, którym nie władał, lecz jego wrażliwość na ból pozostała niezmienną.

Po kilku godzinach w tej samej pozycji ból był nie do wytrzymania. A on nie umiał poprosić o pomoc. Wtedy jego jedynym ratunkiem stawała się ucieczka w przeszłość.

Tylko niektóre zakamarki starannie omijał, myśli niechętnie kierowały się w tamte rejony.

- Dzień dobry, Axelu, czy tak jest ci wygodnie, czy mam trochę zmienić ci pozycję?

Jej dłoń z ręcznikiem wytarła ślinę, która wyciekła mu z ust. Co ona myślała, że jak ma odpowiedzieć? Poruszenie palcem oznaczało tak. Odpowiedź przekraczała jego możliwości. Chciał wstać i krzyknąć, wyrzucić z siebie wściekłość, która go przepełniała. To nie było życie, to była wegetacja, a najgorszym wrogiem było uczucie poniżenia. Zawsze starannie dobierał towarzystwo i niewielu ludzi przeszło przez igielne ucho. Nie godził się na narzucone konstelacje, z biegiem czasu skurczył się nawet krąg wybranych przyjaciół. W miarę jak rosła jego sława, osoby z jego otoczenia się zmieniały, niewiele pozostało sobą, większość stała się usługowa i schlebiająca. Miał poczucie, że jest poza tym wszystkim, poczucie osobności, która wkrótce stała się częścią jego samotniczego życia pisarza, wreszcie zaczęto o nim mówić, że unika ludzi. Teraz był wydany na pastwę byle kogo. Nieznani ludzie, którzy przychodzili i wychodzili, mogli oglądać jego poniżenie. Obce dłonie dotykały jego ciała, spoufalaly się z jego najintymniejszymi częściami. Był bezbronny i uzależniony, nie mógł nawet zadać sobie śmierci.

Kobieta dalej stała z boku za jego plecami, domyślał się, że czeka.

- Czy mam ci zmienić pozycję?

Koncentrował się usilnie, ale palec odmawiał posłuszeństwa, mimo iż ciało błagało o zmianę pozycji. Dopiero kiedy się odwróciła i wyszła, zobaczył kątem oka, że palec drgnął nieznacznie. Usłyszał zamykanie drzwi i uciekł z powrotem we wspomnienia.

Czy dużo było upiększeń? Nie był pewien. Może to, co oko widziało i ucho słyszało, było lekko zniekształcone, ale nie dotyczyło to przeżyć. Tego, co popadło w zapomnienie, choć wyryło swój ślad. Osiedle jego dzieciństwa już dawno nie istniało, lecz zostało uwiecznione w kilku jego wczesnych powieściach. Mimo skromnych warunków wszyscy czuli się tam dobrze. Nieustanne rozmowy o pogodzie i innych sprawach prowadzone na klatkach schodowych i przez okna. Zabawy zmieniające się wraz z porami roku, zawsze na dworze, z powodu ciasnoty. Zimą jazda na łyżwach na własnoręcznie wylanych lodowiskach. Ogromne grotty śnieżne stawały się twierdzami w wojnie na śnieżki. Saneczkowe górki, gdzie rumianolice dzieciaki ze spierzchniętymi wargami zjeżdżały na kawałkach tektury albo po prostu na tyłku. Kiedy topniał śnieg, zaczynała się gra w kulki, w której okrągłe skarby ciągle zmieniały właścicieli. Jednego wieczoru miał majątek, a następnego nie miał nic. Pamiętał grę w dwa ognie. I w piłkę nożną, własnoręcznie wykonaną futbolówkę, z papieru i sznurka. Letnie kąpiele w zatoce Arstaviken i pogoń za polewaczkami, które zwilżały kurz na chodnikach. Zazdrość wobec tych, którzy mogli wyjechać na kolonie albo mieli krewnych na wsi. Jesień, kiedy wszyscy znów byli razem. Czas zabaw w chowanego i opowieści o duchach.

Pamiętał zapachy. Zawsze obecne zapachy. Woń obiadu i świeżo upieczonego chleba, mdlący odór podwórkowego śmietnika i ustępu. Kwaśny zapach mokrych płaszczy schnących w ciemnych sieniach. Końskiego łąjna na ulicach i świeżo porąbanego drewna. Ulotny zapach suszących się na strychu świeżo wypranych prześcieradeł.

Sklepy, każdy ze swoim charakterystycznym zapachem. Rybny, jatka, piekarnia, suterena z drewnem i naftą. I wszystkie odgłosy. Uliczna mieszanina odgłosów samochodów i

tramwajów, wózków, podkutych kopyt i turkoczających kół. Nowe i stare w walce o miejsce.

Pamiętał ciche zimy, kiedy dźwięki pochłaniał śnieg, a dorośli siedzieli w domach. Kulili się w swoich malutkich mieszkankach, żeby potem wyjść na przedwiośniu, kiedy wszystko powracało do życia.

Radio. Magiczna skrzynka, wokół której wszyscy się zbierali, dzięki niej znikwały ściany, oddzielające ich od szerokiego świata.

Napełniaj głowę wiedzą, mój chłopcze, to jedyna rzecz, która może cię stąd wyrwać.

Gdy był dzieckiem, te słowa budziły w nim lęk, nie chciał się nigdzie wyrwać. Chciał zostać z mamą i tatą, w tym, co znane, swojskie, powtarzające się aż do monotonii. Zastanawiał się, dlaczego oni chcą się go pozbyć. Dlaczego tak zawzięcie starają się odsunąć go od tej egzystencji, z której sami byli tak dumni, czemu dawali wyraz już w następnym zdaniu. Pracowitość, solidność i porządek. W jedności siła. Wysokie morale i przyzwoite życie, popiersie Hjalmara Brantinga, które na honorowym miejscu na kredensie manifestowało ich przynależność klasową. Jedna z niewielu rzeczy w domu, które nie były przedmiotami użytkowymi. Tyle razy meblował w pamięci tamto miejsce. Kuchnię, gdzie panowała jego matka aż do wieczora, kiedy na rozkładanej sofie robiło się posłanie dla ojca. Pokój obok, który za dnia był pusty, ale nocą stawał się sypialnią dla niego, matki i o dwa lata starszej siostry. To ona miała głowę do nauki, ale na to nikt nie zwracał uwagi. Nawet gdy jej nauczyciel pofatygował się i pewnego wieczoru zapukał do ich drzwi, żeby namówić rodziców, by posłali córkę na dalszą naukę po szkole podstawowej. Z uporem obstawali przy swoim, powtarzając, że tym, który ma się dalej kształcić w rodzinie, jest Axel; to od dawna postanowione. Miał zostać inżynierem, to był zawód z przyszłością.

Jego siostra przesiąkała goryczą, którą karmiła się przez następne lata. Nigdy mu nie wybaczyła, choć to nie był jego wybór.

Słońce przecisnęło się obok ramy okiennej i irytujący promień świecił mu prosto w twarz. Jego oczy, które w pierwszych latach po udarze mogły mrugać, kiedy chciał, a nie tylko, gdy było trzeba, zamknęły się i przeniosły go w czerwono-fioletową ciemność.

Dziwiło go, że wybrali właśnie zawód inżyniera. Liczby nigdy nie były jego sprzymierzeńcami. Nie miał też szczególnego zmysłu praktycznego. Bóg widział, że się stara, z chęci zaimponowania ojcu zrobiłby wszystko, żeby mu dorównać. Poblężliwe spojrzenie ojca, kiedy wyraźnie kiepsko radził sobie z młotkiem podczas budowy domu w Błogostanie. Z zaciętymi ustami ojciec wyciągał źle wbite gwoździe, by później po prostu wbić je tam, gdzie było ich miejsce. Nigdy żadnego ostrego słowa, tylko cichy przekaz, że ćwiczenie czyni mistrza i że nigdy nie wolno się poddawać. Pracowitość, solidność i porządek. Codziennie z wyjątkiem niedzieli budzik dzwonił o wpół do szóstej, bo o siódmej ojciec zaczynał pracę w cukrowni przy Tanto. Matka też dorabiała, gdzie mogła, dwa razy w tygodniu jechała tramwajem na Östermalm i sprzątała u pewnej rodziny na Sibyllegatan. To właśnie z przepełnionych regałów biblioteczkowych tamtych ludzi pochodziły skarby. Ostrożnie przemycane, by w następnym tygodniu znów powrócić na swoje miejsce. Na początek powieści Juliusza Verne'a, Aleksandra Dumasa i Jacka Londona. Zatracał się w tych pasjonujących opowieściach. Dawał się ponosić tamtym słowom, a kiedy już przeczytał książkę do końca, kontynuował podróż własnymi słowami. Zeszyty i pojedyncze kartki wypełniały się fantastycznymi historiami pełnymi przygód i bohaterów. To, co napisał, czytali zarówno ojciec, jak i matka. Oceniali pisownię, ale nigdy nie padło słowo na temat samej treści. Wcześniej zakodowany podwójny przekaz -

oczekujemy właśnie od ciebie, że wzniesiesz się ponad swoje pochodzenie, ale nic myśl, że przez to jesteś kimś szczególnym. Kiedy uznano, że jego historie stają się coraz bardziej oderwane od rzeczywistości, ich wzorce przestały się pojawiać w domu. Tamte uskrzydlające wyobraźnię książki, w których każda strona pełna była barwnych przygód i fantazji, stały dalej na półkach mieszkania w Östermalm, a zamiast nich matka pożyczała encyklopedie i książki naukowe o suchej jak pieprz treści, które miały wypełnić jego głowę wiedzą. Miały go przygotować na dzień, kiedy będzie zdawał egzamin na jedno z bezpłatnych miejsc w średniej szkole dla chłopców na Södermalm.

Drzwi za jego plecami otworzyły się i ktoś wszedł, tym razem bez pukania. Jego powieki nie chciały słuchać polecenia i nadal pozostały opuszczone jako ochrona przed ostrym słońcem. Dopiero gdy poczuł, że jego fotel się porusza i znalazł się w cieniu, był w stanie otworzyć oczy i zobaczyć, że to przyszedł Jan-Erik.

- Cześć, tato.

Znów poczuł ręcznik na brodzie, na którą nieustannie sączyła się ślina i której swędzenie doprowadzało go do szału. Dłoń Jana-Erika była nieporadna, jego ruchy nie były tak zdecydowane jak pielęgniarek. Zdradzały, że syn czuł się w tej sytuacji tak samo źle, jak on, że dla niego też była nienaturalna.

- Chcesz się położyć na chwilę? Przecież siedziałeś całe przedpołudnie.

Udało mu się całą siłą woli poruszyć wreszcie małym palcem.

- Dobrze, tylko zawołam kogoś do pomocy.

Kącikiem oka zobaczył, jak Jan-Erik wychodzi. Zdawał sobie sprawę, że powinien być wdzięczny, wizyty syna na

pewno wynikały z poczucia obowiązku, a nie własnej woli czy potrzeby serca, ale nie umiał się przemóc. Nigdy nie potrafił zrozumieć syna, szczerze mówiąc, nawet nie był pewien, czy go lubi. Jego całkowity brak ambicji. Choć od urodzenia wszystkie możliwości stały przed nim otworem, nie skorzystał z żadnej. Bez zbytniego zaangażowania próbował raz tego, raz tamtego, bez celu, nie biorąc steru życia we własne ręce. Axel na początku nie miał żadnych możliwości, lecz ciężka praca rodziców i jego własna niezłomna wola zaprowadziły go daleko. Wbrew okolicznościom. Pamiętał wstyd, kiedy zawiódł na egzaminie, ubiegając się o bezpłatne miejsce do szkoły Södra Latin, rozczarowanie rodziców. Matka i ojciec, wierni dewizie, że nigdy nie należy się poddawać, mimo to nie porzucili swoich planów. Przez następne osiem lat żyli bardzo skromnie, żeby tylko opłacić jego szkołę do matury, wszystko po to, by otworzyć mu drzwi Politechniki Królewskiej, tam znajdował się ich ostateczny cel. Jego studia zakończone tytułem inżyniera. Byli w stanie ponieść każdą ofiarę. Zarówno ojciec, jak i matka pracowali ponad siły. Dwa razy obracali każdą koronę, oszczędzając na czesne. On sam wszystkie wolne chwile poświęcał na zrealizowanie ich ambicji. Próbował sobie wmówić, że to są także jego ambicje. Ale Södra Latin było obcym środowiskiem, powoli zaczął się zmieniać. Uczniów z jego warstwy społecznej było niewielu, więc żeby przetrwać w klasowych rozgrywkach, musiał się dostosować. Tutaj konfliktów nie rozwiązywało się pięściami, jak na podwórku, tutaj przewagę dawał język. Inaczej niż w jego środowisku, tu trzeba było się wyróżniać, żywić głębokie przekonanie, że jest się kimś wyjątkowym. Każdego popołudnia, gdy wracał do swojej dzielnicy, musiał się przedstawiać. To było trudne.

Jego przemiana coraz bardziej oddalała go od własnego środowiska, także od rodziców, którzy tak zawzięcie walczyli

o jego przyszłość. Przyswoił sobie inny język, jego myśli wykraczały poza świat ich pojęć. W domu, gdzie wszystko było podporządkowane jego powodzeniu, czuł się coraz bardziej samotny. Miał świadomość, że jest otoczony troską nie za to, kim jest, ale za to, kim pewnego dnia ma zostać. Zaczął postrzegać siebie jako rodzaj projektu, a nie członka rodziny. Gorzka zazdrość siostry i ciężar rodzicielskich oczekiwań czasem tak go przytłaczały, że nie mógł oddychać.

Po trzeciej klasie zaczęły się trudności z matematyką. Słowa same z siebie znajdowały swoje miejsce, ale wśród cyfr nie mógł się doszukać żadnej logiki, po prostu mu nie wychodziło. Dostawał najwyższe oceny za wypracowania z języka szwedzkiego, sprawdziany z matematyki ledwie udawało mu się zaliczyć. W tym samym czasie jego ojciec został powołany do wojska, w kraju panowała podwyższona gotowość bojowa, gdyż Niemcy napadły na Danię i Norwegię; rodzina pogrążyła się w biedzie. Nie dość, że wszystko było reglamentowane, w zubożonych domach nie było niczego. Pamiętał niekończące się wystawanie w kolejkach do sklepów z pustymi półkami. Zimne noce. Ciągły brak drewna na opał, wilgoć przenikającą ubranie. Oboje z siostrą wychodzili wieczorami, żeby znaleźć coś nadającego się do spalenia, by ogrzać mieszkanie. Zasłony do zaciemniania okien i strach przed Hitlerem. Rozgorączkowany głos z radia, z którego docierała wojna.

Ukrywał swoje kiepskie oceny z matematyki przed pełnymi nadziei spojrzeniami rodziców. Kiedy nadszedł czas na wybór kierunku, po raz pierwszy był zmuszony ich oszukać. Drogę do Politechniki Królewskiej otwierał kierunek ścisły z matematyką jako przedmiotem wiodącym. Tymczasem Axel wybrał kierunek humanistyczno-językowy i w ten sposób owe wymarzone przez rodziców drzwi zostały potajemnie zamknięte.

Jan-Erik wrócił z pielęgniarem. Razem przenieśli Axela na łóżko. Poczul ulgę, kiedy ból ustąpił, a ciało rozciągnęło się na miękkim materacu. Podnieśli górną część łóżka, ułożyli kilka poduszek. A potem stale powracające pytanie:

- Czy tak jest dobrze?

Nie, chciał krzyknąć. Nie, nie jest mi dobrze. Chcę, żebyście przynieśli wszystkie tabletki nasenne z całego oddziału i wpompowali je w mój krwiobieg, żebym raz na zawsze zasnął. Ale nie był w stanie tego powiedzieć. W najlepszym razie mógł unieść mały palec i zapewnić ich, że wszystko jest w porządku.

Jan-Erik usiadł na krześle dla gości, a pielęgniarz wyszedł. Syn zwykle przynosił ze sobą świeżą gazetę i czytał mu głośno, tym razem też. Axel nie rozumiał, po co ma być poinformowany. Jak ktoś mógł myśleć, że interesuje go to, co się dzieje na świecie, który opuścił. Powinien mieć towarzystwo, o to właśnie usilnie starał się Jan-Erik. Ich relacje nie były zbudowane w taki sposób, żeby mogły dobrze znieść zmianę na pozycji silniejszego. Nie potrafił sobie wytłumaczyć swojego braku akceptacji, wręcz niechęci do syna. To przez to jego potulne spojrzenie, przez to, że nigdy nie potrafił się postawić. Nigdy nie miał w sobie pasji, która dałaby mu odwagę do walki. A kiedy czasem próbował, w końcu tchórzył. Jakby nie rozumiał, co jest dla niego najlepsze.

Głos Jana-Erika monotonna międlil wiadomości, a Axel wrócił do swoich myśli.

W ostatnim roku przed maturą jego konflikt wewnętrzny rozwinął się w pełni. Pałący strach, że będzie musiał powiedzieć rodzicom, że ich marzenia o synu inżynierze na zawsze pozostaną marzeniami. Lecz także o tym, co stawało się coraz silniejsze. Wiedział już, że ma talent, a lata nauki potwierdziły jego wyjątkowość. Brak umiejętności praktycznych i talenty do matematyki zrekompensował inny dar,

język przyciągał go jak ogień ćmę. Tej pokusie nie mógł się oprzeć. Czuł, jak opowieści wypełniają jego wnętrze, jak czekają, by je ożywił. Ale pisanie nie było prawdziwym zawodem, było to wyszukane hobby, dobre na wolne chwile. Nieufność wobec literatury, która nie dawała konkretnych możliwości, była czymś normalnym. Wiedział, że jego rodzice nigdy tego nie zrozumieją, i z każdym dniem, który przybliżał go do nieuniknionej rozmowy, jego strach był coraz większy. Pamięć o tym wydarzeniu została zepchnięta gdzieś na obrzeża, niechętnie tam zaglądał. To był dzień jego matury. Siedzieli w pokoju przy kuchni, mieli właśnie wypić kawę dla uczczenia tego dnia, jedynie w towarzystwie Hjalmara Brantinga. Gości nie zaprosili, żeby nie pokazywać, że stało się coś szczególnego, nawet jeśli syn na przekór okolicznościom właśnie zdał maturę. Ale mieli pić prawdziwą kawę, a nie ten surogat, do którego przywykli w latach wojennej reglamentacji. Wszyscy byli odświętnie ubrani, rodzice jaśnieli z dumy, a siostra zamknęła się w sobie w niemym proteście. Z bolesną dokładnością zapamiętał, jak coś zgasło w ich spojrzeniach, gdy powiedział o swojej decyzji. Że nigdy nie będą mieli w rodzinie inżyniera, ale za to będą mieli pisarza. Spontaniczny głośny śmiech siostry. Policzek wymierzony przez ojca, który zaraz ją uciszył. Dzień, kiedy minął rozstaje dróg i wyruszył ku swojemu powołaniu.

Sześćdziesiąt trzy lata później dalej nie wiedział, czy postąpił słusznie. Poszedł za swoim powołaniem, ale z upływem lat perspektywa trochę się zmieniła. Nieustannie towarzyszyły mu wyrzuty sumienia, które gnały go ciągle naprzód. Choćby nie wiadomo jak był chwalony, nigdy nie czuł satysfakcji. Patrzył na swoje książki, oglądał liczące się nagrody, ale nigdy nie był w stanie odczuwać dumy. Wszystko to było i pozostało jedynie miarą tego, co próbował naprawić.

I przez całe życie czuł przygnębienie, ilekroć miał pecha natknąć się na jakiegoś inżyniera.

Młodzi ludzie wierzą, że mają w życiu jakiś cel. Sam w to wierzył, zwłaszcza tamtego dnia, wierzył w to ślepo, kiedy mimo przygniatającego rozczarowania rodziców zabrał się do pisania swojej pierwszej książki. I napisał książkę. I został pisarzem. I rozumiał, że życie jest nieustanną podróżą. Wymarzony cel, kiedy wreszcie udało mu się do niego dotrzeć, okazywał się zawsze kolejnym punktem startu. Dotarcie do celu nie było możliwe. Tylko do kresu. A gdy tam się dotarło, na wiele rzeczy było już za późno.

Obudził się, bo nagle zrobiło się cicho, i zrozumiał, że drzemał przez chwilę. Jan-Erik z szelestem składał gazetę.

- Muszę już jechać. Chcę zajrzeć do domu, żeby sprawdzić, czy nie znajdzie się jakieś zdjęcie Gerdy Persson. Umarła jakiś tydzień temu i fotografia jest potrzebna na pogrzeb.

Axel oprzytomniał nagle i otworzył oczy. Tamto nazwisko zaprowadziło go prosto na obrzeża pamięci.

- Zobaczę, czy coś się znajdzie, może masz coś w swoim gabinecie. Może w garderobie, w tych rzeczach, które zbierałeś przez lata.

Axel poczuł, że serce mu wali. Gerda nie żyje. Powinien być wdzięczny losowi. Najwyraźniej pozostała lojalna, aż do śmierci. Teraz tylko jeden człowiek mógł zniszczyć dzieło jego życia. Jeśli jeszcze żył.

A w garderobie i w jego gabinecie znajdowały się rzeczy, których nikt nigdy nie powinien zobaczyć. Właśnie zaczął je porządkować, kiedy dopadł go udar, zrozumiał, jakie to szaleństwo, że je przechowywał. Może podświadomość ostrzegła go, że ma mało czasu, ale nie zdążył. Teraz zastanawiał się, czy plastikowy worek na śmieci jeszcze tam stoi,

czy Jan-Erik zdążył go wyrzucić. Miał nadzieję, że tak. A jeszcze ważniejsza była nadzieja, że Torgny Wennberg umarł. Diabeł w ludzkiej postaci. Gdyby te nadzieje się spełniły, nazwisko Ragnerfeldt na zawsze zachowałoby swój blask.

Wtedy to wszystko byłoby warte zachodu.

Najlepszy młody sportowiec okręgu w roku 1967. Szep-tem powtarzał sobie te słowa i czuł, jak wielka, jasna radość ogarnia jego ciało. To on nim został, Jan-Erik Ragnerfeldt, uroczyste ogłoszenie wyników miało się odbyć w szkolnej auli w obecności uczniów, nauczycieli i rodziców. Chór miał śpiewać, rektor wygłosić przemówienie i w samym środku wiosennego koncertu szkolnego właśnie on miał zostać wezwany na scenę, by przyjąć dyplom i puchar przechodni.

Teraz pozostawała rzecz najtrudniejsza: dopilnować, żeby w tej uroczystej chwili na sali znajdował się jego ojciec.

Siedział przy stole w kuchni i jadł kanapkę z mortadellą.

- Jedz, żebyś rósł porządnie. Jeśli jeszcze masz ochotę na chleb, to jest w pojemniku.

Gerda stała przy kuchennym blacie i przygotowywała klopsiki mięsne na jutro. Rozbiła jajko o brzeg nierdzewnej miski i zaczęła rękami mieszać mięso. Jak często się zdarzało, nucila sobie przy tym jakąś melodię, której Jan-Erik nie znał. Był bardzo zajęty wymyślaniem wyjścia z tego dylematu, który zajmował jego myśli.

- A gdzie masz siostrę? Ona nie chce kanapki, jak myślisz?

- Jest w swoim pokoju.

- Wcale że nie.

Zza rogu starego, nieużywanego pieca kaflowego wysuwała się ręka, a po chwili wyłoniła się cała Annika.

- No przecież tu jesteś. Wcale cię nie widziałam.

Gerda śmiała się długo, jakby sytuacja wydawała się jej wyjątkowo zabawna. Mimo że Annika bardzo często chowała się w tym kącie za piecem, gdzie urządziła sobie schronienie.

- No przecież mówiłem.

Jan-Erik uśmiechnął się do Gerdy. To było niezwykle, że bawiły ją takie rzeczy, z których nikt inny się nie śmiał. Oboje z Annika lubili przebywać w kuchni. Po części dlatego, że znajdowała się dostatecznie daleko od gabinetu ojca i nie trzeba było ściszać głosu, lecz także dlatego, że przy Gerdzie mieli kojące poczucie bezpieczeństwa. Ale tylko dopóki nie pojawili się w pobliżu dorośli. Gdy któregoś z rodziców było obecne, Gerda zmieniała się - rzadko się śmiała, podobnie jak inni domownicy.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Trzy krótkie sygnały. Otwieranie drzwi należało do obowiązków Gerdy, ale teraz miała ręce unurzane w mięsie.

- Anniko, bądź tak dobra i otwórz.

Annika zniknęła w przedpokoju. Jan-Erik od razu usłyszał, kto przyszedł, i cała nadzieja w nim zgasła. Teraz z wieczoru zrobi się noc, zanim będzie miał okazję porozmawiać z ojcem.

Annika wpadła z powrotem do kuchni i wśliznęła się do kryjówki za piecem. Potem w drzwiach ukazał się Torgny Wennberg, w płaszczu, lecz z kapeluszem w dłoni.

- Witam wszystkich, ależ się tu dzieje. Cóż to będą za delikatesy tym razem?

- Tylko trochę klopsików. Powiem, że pan przyszedł.

Gerda podeszła do zlewu, by umyć ręce.

- Nie, nie, proszę sobie nie przeszkadzać, przecież sam mogę zastukać.

I już go nie było. A Jan-Erik zdziwił się, że obcy człowiek, który nie mieszkał w tym domu, mógł zrobić to, czego nikomu z domowników nie było wolno: pukać do drzwi ojca, kiedy ten pracował. W następnym momencie uświadomił sobie, że to właśnie jego szansa, bo drzwi miały się otworzyć, nawet jeśli nie dla niego. Przebiegł przez cały dom tak szybko, jak tylko mógł, żeby zdążyć do pokoju ojca, zanim będzie za późno. Torgny Wennberg jeszcze stał przed drzwiami, kiedy udało mu się dotrzeć.

- Tak!

Głos zza drzwi.

Torgny otworzył i wszedł do środka. Jan-Erik wysunął się naprzód i zatrzymał się przed progiem.

- Witaj, Torgny, przychodzisz, żeby mi trochę poprzekadzać.

- Właśnie tak. Pomyślałem sobie, że potrzebujesz inspiracji w ten wtorkowy wieczór.

Uśmiechy i uściski dłoni, dopiero teraz ojciec dostrzegł Jana-Erika.

- Czy chciałeś czegoś, Janie-Eriku?

- Tak, chciałbym cię o coś zapytać.

- To musi poczekać, widzisz przecież, że mam gościa, może załatwisz to z matką albo z Gerdą.

I drzwi się zamknęły.

Siedział w fotelu w salonie. Nie opuszczał tego pokoju od dwóch godzin, miał stąd najlepszy widok na drzwi do gabinetu. Trzy razy przechodziła tędy matka i za każdym razem pytała, co on tu robi.

Nic specjalnego, odpowiadał, a ona patrzyła na niego tak, jakby wiedziała, że kłamie. Zbliżała się pora spania, a drzwi nadal się nie otwierały. Wszystko byłoby zepsute, gdyby ojca tam nie było. Teraz, kiedy on nareszcie miał się czym pochwalić.

Usłyszał kroki matki na schodach, weszła do pokoju po raz czwarty. Tym razem nic nie mówiła. Podeszła do jednego z regałów i przejechała palcem po grzbietach książek, jakby szukała jakiejś konkretnej. Potem odwrócona do syna plecami nagle rzuciła:

- Zapytałeś ojca, czy przyjdzie jutro?

- Nie, mówiłem mu o tym kilka tygodni temu, ale jeszcze nie powiedział, czy przyjdzie.

- A jak długo zamierzasz tu siedzieć?

- Nie wiem. Mam jutro sprawdzian z geografii i staram się przygotować.

Matka odwróciła się do niego.

- To gdzie jest twój podręcznik do geografii?

Poczuł, że się czerwieni.

- No, prawie wszystko umiem na pamięć. Powtarzam sobie tylko stolice Europy.

O nic więcej już nie pytała. A on zauważył, że nie wzięła żadnej książki, kiedy wyszła i zniknęła na schodach.

Minęła jeszcze jedna godzina. Tykający zegar ścienny pilnował każdej minuty, jego usypiający dźwięk sprawił, że Jan-Erik zdrzemnął się na chwilę. Obudził się, kiedy ktoś ciągnął go za rękę. Annika ubrana w koszulę nocną płakała.

- Musisz iść ze mną, coś się stało mamie.

Spojrzał na drzwi, które nadal były zamknięte.

- Pośpiesz się!

Mimo strachu mówiła szeptem, brat pobiegł za nią przez przedpokój i schodami na górę.

Ich matka leżała na podłodze w swojej sypialni, twarzą do góry, ubrana w szlafrok. Przepelnił go największy strach, jaki kiedykolwiek czuł w życiu. Annika nie powstrzymywała już płaczu i łkała głośno, a Jan-Erik podbiegł do matki i ukląkł przy niej. Pociągnął ją za rękę i odgarnął włosy z twarzy.

- Mamo, mammo, obudź się, mammo! Powiedz, co się stało? Powiedz coś, mammo, powiedz, co ci jest?

Ale ona się nie poruszyła. Jej ręka bezwładnie przejmowała jego szarpiące ruchy. Chłopiec poczuł napływające do oczu łzy. Przyłożył nos do jej ust, ale nie pachniała tak kwaśno, jak czasami się zdarzało, kiedy piła wino. To było coś innego.

- Mamo, mamusiu, obudź się. Puścił jej rękę i zasłonił twarz dłońmi.

- Musimy zawołać tatę.

Już miał wstać i pobiec po ojca, kiedy matka otworzyła oczy. Odwróciła się i spojrzała najpierw na niego, potem na Annikę.

- Anniko, czy mogłabyś przynieść mi szklanek wody?

Annika pośpieszyła po wodę. Matka usiadła. Wyglądała zupełnie normalnie, jakby przed chwilą wcale nie leżała na podłodze jak martwa.

- A więc jednak trochę ci zależy?

Jan-Erik nagle zeszywniał. Nie rozumiał, co miała na myśli, i siedział w miejscu nieporuszony. Niepowstrzymana łza stoczyła mu się po policzku.

Matka wstała, ale Jan-Erik siedział dalej, wodził za nią wzrokiem, kiedy podeszła do łóżka i usiadła.

- O co ci chodzi? - wydusił w końcu.

- Tak ci zależy na tym, żeby Axel przyszedł jutro do szkoły. Mnie właściwie nawet nie zapytałeś.

- Ale chcę, żebyś ty też przyszła. Przecież mówiłaś, że przyjdiesz. Oczywiście, że cię pytałem.

- Czy na pewno chcesz, żebym przyszła?

Znów poczuł napływające łzy.

- Przecież to jasne, że chcę, żebyś tam była.

Nagle zasłoniła twarz dłońmi, a jej ramiona zaczęły dygotać, jakby płakała. Łzy Jana-Erika nagle obeschły. Zerwał się z podłogi, podszedł do matki i pogładził ją po ramieniu.

- Przepraszam, mamó, przepraszam. Chcę, żebyś przyszła, o wiele bardziej, niż żeby przyszedł tata, przysięgam. Przepraszam.

Annika wróciła z wodą, matka otarła oczy i postawiła szklankę na nocnym stoliku.

- No dobrze. W takim razie porozmawiam z Axelem i postaram się, żeby on też przyszedł.

-Nie ma żadnej poprawy, raczej przeciwnie. Właściwie stan Axela nie kwalifikuje go do przebywania w tej placówce. Mamy tu pacjentów, którzy nadają się do rehabilitacji, ale ze względu na to, kim jest ten chory, postanowiliśmy go zatrzymać. Nie ma pewności, czy gdzie indziej dostałby oddzielny pokój, więc ze względu na jego sławę i dla jego poczucia integralności postanowiliśmy zrobić wyjątek.

Jan-Erik usłyszał to od lekarza i wyraził swoją wdzięczność. Potem spędził godzinę u ojca i stwierdził, że lekarz ma rację. Coraz trudniej było nawiązać z Axelem kontakt. Jan-Erik starał się, żeby ojciec był na bieżąco z wiadomościami kulturalnymi i informacjami, lecz nie był pewien, czy on coś z tego rozumiał.

Wizyty nie były dla niego przyjemnością. Tyle razy marzył o tym, żeby osiągnąć nad ojcem przewagę, a kiedy to się stało, nie odczuwał satysfakcji. Dręczyło go natomiast to, co nigdy już nie miało nastąpić. Zastanawiał się, jak to będzie, kiedy Axel pewnego dnia umrze i czy wtedy będzie odczuwał smutek. Bo jak można stracić coś, czego się nigdy nie miało?

Zostawił włączony silnik, wysiadł i otworzył bramę.

Stwierdził, że najwyższy czas zadzwonić do ogrodnika. Rabaty były brązowe od uschniętych kwiatów, wszystko przykrywała warstwa liści. Wiatr przewrócił jeden ze słupów na tarasie, który zbudowano, kiedy był w Stanach, i z którego nigdy nie korzystano; teraz leżał w trawie. Żwirowana ścieżka poprzerała trawą. Jan-Erik ucieszył się, że matka z nim nie przyjechała. Pilnowała granicy między żwirem a trawnikiem, jakby od tego zależało życie lub śmierć, a za utrzymanie ścieżki odpowiadali on, Gerda i Annika.

Wrócił do samochodu, wjechał na posesję i zaparkował przed domem. Siedział jeszcze chwilę; nie śpieszyło mu się, by wejść.

To była długa podróż. Może nie w znaczeniu geograficznym, ale miał poczucie, że odkąd wyprowadził się z domu, życie wykonało nieskończenie wiele meandrów. Minęło ponad trzydzieści lat. A mimo to miał wrażenie, że wszystko wracało do tego miejsca, choćby nie wiem jak starał się od niego oderwać. Zdarzało mu się nawet tęsknić, sam nie wiedział dlaczego. Ale to tylko wtedy, gdy przebywał gdzie indziej. Kiedy był tutaj, zaraz chciał wyjeżdżać.

Wsiadł z samochodu i wyjął klucze do domu. Schody frontowe były pokryte palmowymi liśćmi/ odgarnął je miotłą, która od niepamiętnych czasów trzymała straż przy wejściu. Wytarta od wielu lat używania, przypominała krzywo ukrojony kawałek sera. Znów przemknęła mu przez myśl Louise, ser wyglądający jak pagórek saneczkowy potrafił wywołać u niej wielką irytację, więc nauczył się kroić plasterki z dużą precyzją. Westchnął. Wizytówka, którą od niej dostał, leżała w portfelu, ale oczywiście nie zadzwonił. Wiedział, że gdy tylko przekroczy próg mieszkania, Louise zapyta go o to.

Przekręcił klucz i wyłączył alarm. Starannie wytarł buty,

ale ich nie zdjął, w niezamieszkanymi pokojach podłogi były zimne. Ogrzewanie zostało ustawione na minimum i zwiększono je tylko zimą, żeby rury nie zamarły.

Wszedł do kuchni i położył klucze na piecu kaflowym. Rozejrzał się i sprawdził, czy wszystko było tak, jak dawniej. Żadnych zmian. Tylko lampa na oknie nie pasowała do zapamiętanych obrazów, sam ją tam postawił, timer zapalał ją i gasił. Drzwi lodówki były uchylone i zablokowane ścierką w szczelinie, blaty puste i czyste. Wszystko leżało odłogiem. Nieużywane od lat.

Miał w pamięci każdy centymetr domu. Oprócz białej plamy, którą stanowił gabinet Axela Ragnerfeldta, nieznany świat w swojskim otoczeniu. Opuścił kuchnię i przeszedł się po cichym domu, gdzie każdy zakamarek zamieszkiwały wspomnienia. Każda klamka, każda skrzypiąca deska podłogi, każdy drobiazg - wszystko było oczywiste. Poza kontaktami do górnego oświetlenia, które wymieniono w latach osiemdziesiątych podczas remontu domowej instalacji elektrycznej. Ilekroć jego ręka błądziła po omacku wzdłuż ścian i napotykała ten nieznany kształt, odczuwał zaskoczenie.

Po udarze Axela, kiedy Alice wreszcie uznała, że ma prawo opuścić dom i przenieść się do miasta, większość rzeczy pozostawiono na dotychczasowym miejscu. Część dzieł sztuki i nagród literackich Axela, które otrzymywał z różnych stron świata, a później rozstawiał w niszach okiennych i na półkach z książkami, zmagazynowano w bezpiecznym schowku, do czasu, aż zapadnie decyzja o dalszych losach domu. Zostały po nich puste miejsca i wrażenie opuszczenia. Osamotnione gwoździe i ciemne kontury na ścianach po zdjętych obrazach.

Zatrzymał się w zimnej bibliotece. Przymocowane do ściany i ciemnobrązowe regały były szczelnie zapchane książkami. Ale i tak miejsca było za mało, książki wylały się

z pokoju i rozpełzły po całym domu, jak zaraza, ciągle żądając nowych pólek. Nie przeczytał nawet ułamka z nich, szczerze powiedziawszy, nie był nawet zainteresowany. A może jego obojętność była tylko formą nieśmiałego protestu, sam już nie wiedział. Wiedział tylko, że każda książka oznaczała poświęcenie ze strony otoczenia autora, potrzebne do jej napisania. Że nic innego nie mogło być ważniejsze.

W bibliotece znajdowała się oprawiona w ramki fotografia Anniki. Stała w luce między książkami, obok białej porcelanowej figurki chłopca, który leży przytulony do psa. Jan-Erik podszedł i wziął zdjęcie do ręki. Rękawem przetarł zakurzone szkło. Dziewczynka na zdjęciu miała dziesięć lat, a przed sobą jeszcze pięć lat życia. Włosy związane w dwa kucyki, uśmiech do aparatu. Brakowało mu jej, często myślał o tym, jak by to było, gdyby siostra żyła. Nadal była w oczywisty sposób jego częścią, tylko że nikt o tym nie wiedział. Zapamiętał ją taką, jak przy ich ostatnim spotkaniu, gdy miała dwanaście lat. Ale w duszy dojrzewiała razem z nim. A może to on sam w swoich wewnętrznych rozmowach z nią pozostał w tym czasie, kiedy ona jeszcze żyła. Wspólnoty, jaka łączy rodzeństwo, nigdy nie można odtworzyć z nikim innym. Więc opiera się na wspólnych przeżyciach, na tym, że zawsze było się w pobliżu drugiej osoby w tym okresie życia, kiedy samemu nie można jeszcze wybierać. Że jest się ukształtowanym przez to samo otoczenie. Czasami wpisywał jej nazwisko do wyszukiwarki Google, chciał sprawdzić, czy był jeszcze ktoś oprócz niego, kto ją pamiętał. Nigdy nie było żadnych trafień.

Miała piętnaście lat, kiedy przejechał ją samochód. Kierowcy nigdy nie odnaleziono. Jan-Erik nie znał wszystkich szczegółów, to zdarzyło się w ostatnim roku jego pobytu w Stanach.

Ze zdjęciem w rękę osunął się na fotel. Pogładził palcem jej twarz. Nie powinien zostawiać jej samej.

Najpierw wszystko było jak sen, zbyt piękny, żeby był prawdziwy - dostał stypendium. Trener tenisa, który dostrzegł jego talent, pomógł mu załatwić formalności. Nie mówiąc ani słowa w domu, wysłał podanie, które zostało przyjęte. Miał przez trzy lata studiować w college'u na Florydzie i grać w znanej drużynie tenisowej. Wszystko było już załatwione, kiedy dumny przyszedł do domu, żeby o tym opowiedzieć. Wyobrażał sobie, jak przy obiedzie, kiedy rodzina siedzi przy stole, wyjmuje list i podaje wszystkim do czytania. Jak po cichu będzie odczytywał z ich twarzy wyraz zaskoczenia. Jak jego ojciec zawstydzi się, że niczego się nie domyślał, i pożałuje, że nigdy nie był na żadnym meczu syna. Wreszcie zrozumie, że jego syn ma, mimo niemożności dostrzegania poezji w najzwyczajniejszych wyrażeniach, własny, wyjątkowy talent. Gdyż w odróżnieniu od ojca był człowiekiem, który patrząc na pojemnik na śmieci, widział pojemnik na śmieci, a nie „naczynie na niechciane wspomnienia”. I rzeczywiście doczekał się reakcji, ale nie takich, jakich się spodziewał. Matka, co było do przewidzenia, pogratulowała mu i dołała sobie wina. Ale reakcji ojca sobie nie wyobrażał, on nigdy przecież nie interesował się sportem. Sport to nie jest zajęcie dla intelektualistów, usłyszał Jan-Erik, to ewentualnie zajęcie dobre do utrzymania ciała w formie, żeby dotlenić krew i w ten sposób ułatwić przyswojenie wiedzy. Tenis to sport klas wyższych, coś dla rozpuszczonych dzieci bogaczy, a ojciec miał nadzieję, że jego syn nikim takim się nie stanie.

Jan-Erik siedział w ciszy, niezdolny pogodzić swoją piękną fantazję z tym, co nastąpiło.

Matka wstała od stołu i spojrzała na męża.

- Jesteś idiotą i dobrze o tym wiesz.

Potem znów napełniła swój kieliszek i udała się na górę. Annika poszła za nią. Ojciec i syn zostali przy stole sami i w napiętej ciszy dokończyli obiad.

Minęło kilka dni i po raz pierwszy w życiu Jan-Erik odważył się podjąć walkę. W siedemnastym roku życia wreszcie wszedł w konflikt z ojcem. Na początku niepewnie, ale po kilku próbach zaczęło mu się podobać trzaskanie drzwiami, tupanie na schodach i wykrzykiwanie w gniewie tego, co czuł. Pamiętał Annikę, jak w tym czasie przemykała pod ścianami. Nie przypominał sobie, jak podczas tej wojny zachowywała się matka. Pamiętał tylko nieodłączny szlafrok, który coraz rzadziej zdejmowała. I nerwowe komentarze Gerdy: on chce dla ciebie jak najlepiej i czy to naprawdę jest warte tego wszystkiego. A potem rozwiązanie, które ze strony ojca było ustępstwem. Syn może pojechać do Stanów, jeśli chce. Axel zadał sobie trud i przez swoje kontakty wszystko zorganizował. American Field Service miał program wymiany, którego celem było rozwijanie zrozumienia, kontaktów i przyjaznych stosunków między studentami z Ameryki i Europy. To był kontekst, do którego pasował członek rodziny Ragnerfeldtów, bilety już były zamówione. W tamtej chwili Jan-Erik po raz pierwszy przyznał sam przed sobą, jak bardzo nienawidzi ojca. Pozostanie w domu okazało się niemożliwe. Miesiąc później wyjechał, ze złamaną wolą i biletem kupionym przez ojca. Trafił do jakiejś dziury na amerykańskim Środkowym Zachodzie, zamieszkał u konserwatywnej rodziny z klasy średniej, kierującej się w życiu chrześcijańskimi wartościami. To było w gorącym czasie wojny w Wietnamie, a tamci ludzie całym sercem popierali swojego prezydenta. Sam Jan-Erik szczególnie interesował się konfliktem. Ale około Bożego Narodzenia 1972 roku wystarczyło być Szwedem, żeby znaleźć

się w obozie przeciwnym. Olof Palme skrytykował USA i porównał bombardowania północnego Wietnamu z napaścią Hitlera w drugiej wojnie światowej, a rozwścieczony prezydent nie chciał przyjąć ambasadora Szwecji. Jan-Erik robił, co mógł, by mimo to zasłużyć na akceptację. Z entuzjazmem przyswoił sobie amerykańską kulturę i pobił własny rekord w sztuce dostosowywania się.

Drgnął na sygnał komórki. Przestraszył go nagły dźwięk w pustym domu. Na wyświetlaczu pojawił się numer Louise, dzwoniła z butiku. Zawahał się, czy odebrać, i odczekał kilka sygnałów, najchętniej zostawiłby tę rozmowę poczcie głosowej. Wiedział, że to nie było dobre rozwiązanie, za często korzystał z tego uniku.

- Jan-Erik.

- To ja.

Nie chciał od niej niczego, więc milczał.

- Gdzie jesteś?

- W domu. Mam poszukać zdjęcia Gerdy Persson.

- Jak było u ojca?

- Jak zwykle. W każdym razie poprawy nie ma.

- Kiedy wrócisz?

Jej głos brzmiał inaczej niż rano. Można by pomyśleć, że to normalna rozmowa, w której każdy może powiedzieć, co chce, bez autocenzury.

- Będę szukał tego zdjęcia, nie wiem, jak długo to potrwa, dopiero przyszedłem.

- A potem wracasz do domu, tak?

- Tak.

Na chwilę zapadła cisza.

- Wiesz, chciałam tylko powiedzieć, że się cieszę, że rozmawialiśmy dzisiaj rano, nawet jeśli to było trudne. Myślę, że z tego może wyniknąć coś dobrego.

Dalej milczał.

- Tylko tyle chciałam powiedzieć. To do zobaczenia.

- Do zobaczenia.

Rozłączył się. Zaniepokojony jej nowym tonem.

To brzmiało prawie jak próba zbliżenia.

Podniósł się i odstawił zdjęcie Anniki na półkę. Poprawił kąt nachylenia, żeby było dobrze widoczne. Uświadomił sobie, że minęło dużo czasu, odkąd był na jej grobie, i że nigdy nie czuł naprawdę żadnej więzi z tym miejscem. Dlaczego miałby ją mieć? Jej nazwisko na kamieniu świadczyło o tym, że to ona tam leży, ale nigdy nie widział tego na własne oczy. Ojciec nie chciał zapłacić za powrotny bilet do domu, bo syn nie wykorzystał tego, który już wcześniej był opłacony. Wbrew jego woli po studiach został w Stanach, przez dwa lata jeździł autostopem po kraju, nie mając innego celu niż odwlekanie powrotu do domu. Dziesięć miesięcy zajęło mu zarobienie pieniędzy na bilet powrotny, w tym czasie odbył się zarówno pogrzeb Anniki, jak i uroczystości noblowskie, podczas których jego ojciec odebrał ową wspólną nagrodę. Ale zdążył jeszcze zobaczyć, jak Björn Borg wygrywa Wimbledon. Spotkali się dwa razy w rozgrywkach juniorów. Raz nawet Jan-Erik był bliski zwycięstwa.

Na dworze zaczęło się zmierzchać, kiedy otworzył drzwi do gabinetu ojca. Dłoń odnalazła nowoczesny kontakt, ale nie wzdrygnęła się, gdyż nie знаła dawnego. Zatrzymał się w drzwiach. Jakiś miesiąc po udarze ojca, kiedy Jan-Erik przyzwyczał się do myśli, że już nikt nie może mu tego zabronić, wszedł do tego pokoju i usiadł przy biurku. Siedział długo i tylko starał się poczuć, jak to jest. Potem ostrożnie wyciągnął najwyższą szufladę. Tylko żeby sprawdzić, jak to jest, potem zasunął ją znowu.

Jedna ściana była pokryta regałami bibliotecznymi,

większość półek wypełniały książki Axela w przekładzie na inne języki. Przeciwległa ściana była obwieszona dyplomami, oprawionymi zdjęciami, tu i ówdzie było puste miejsce, gdzie przedtem wisiał obraz z dedykacją. Podszedł bliżej. Żadne ze zdjęć nie było fotografią rodzinną. Wszystkie przedstawiały wręczanie jakichś nagród albo kolacje z wybitnymi osobistościami. Spodziewać się, że na którymś zdjęciu mógłby znaleźć Gerde, było bez sensu.

Podszedł do drzwi garderoby. Był w środku tylko raz. Klucz znalazł w szufladzie biurka. Powitała go ciemność i przenikliwy chłód, zrozumiał, że będzie potrzebował latarki. Na półce obok drzwi do piwnicy leżała latarka, zawsze tam była. Zawieruszenie jej byłoby nierozsądne, bo matka pilnowała, żeby każda rzecz miała swoje miejsce, a jej reakcja, kiedy czegoś czasem nie było, była trudna do przewidzenia. Latarka, zgodnie z przewidywaniem, była tam, gdzie być powinna, mimo że nikt już nie wybuchał złością, jakby sama w końcu nauczyła się posłuszeństwa. Nacisnął włącznik, ale nic się nie zdarzyło. Poszedł do kuchni i wyciągnął czwartą szufladę od góry - z bateriami, gumkami i folią samoprzylepną. Leżało tam nienapoczęte opakowanie baterii. Jakie to dziwne, pomyślał, że w tym pustym domu można było znaleźć naładowane baterie. Jakby były jedyną rzeczą, która pozostała przy życiu. Leżały tam gotowe i czekały na coś, co nie wiadomo, czy miało się kiedykolwiek zdarzyć. Wymienił baterie i poszedł z powrotem do garderoby.

Tuż za drzwiami stał do połowy zapełniony worek na śmieci. Jan-Erik wpuścił do środka snop światła, który wydobyl z ciemności zadrukowane kartki i inne papiery. Powinien zabrać worek, wychodząc, skoro już jego ojciec zdecydował się coś wyrzucić, to musiały to być na pewno

niepotrzebne rzeczy. Axel przechowywał wszystko, Alice nazywała to chorobą.

Garderoba w tym pokoju była większa niż inne i biegła wzdłuż całej jednej ściany. Stosy papierów, czasopism, teczek, skoroszytów, druków, listów od czytelników, wycinzków z prasy i pudeł. Wszystko przemieszane w jednym wielkim bałaganie, nigdy nie było tu żadnego porządku, nawet dla osoby, która kiedyś te rzeczy upchnęła. Trzeba by tygodni, żeby to przejrzeć, posortować i wybrać rzeczy warte zachowania. Worek na śmieci był znakiem, że ojciec już się do tego zabrał, ale zważywszy na mizerną zawartość i ogrom pozostałych papierów, wiele nie zdążył zdziałać. Marzeniem byłoby znaleźć gdzieś w tym bałaganie niewydany rękopis. Ojciec po Nagrodzie Nobla wydał tylko parę książek, przyjętych przez krytykę życzliwie, lecz bez entuzjazmu. Dla każdego było oczywiste, że *Cień* stanowił w jego pisarstwie szczyt, na który już nigdy potem nie zdołał się wspiąć. Ale nieznanym utwór wydany po śmierci z całą pewnością przyniósłby okrągłą sumkę, nawet gdyby to była słabsza rzecz.

Zaczął przeglądać stosy, niezdecydowany, od czego zacząć. Zeszyty z notatkami, recenzje, listy od wielbicieli, luźne ulotki programowe z zapowiedziami wieczorów autorskich i artykuły prasowe o spotkaniach. Znalazł wiele rzeczy, którym chciał się bliżej przyjrzeć, ale zdawał sobie sprawę, że to nie jest odpowiedni moment. Samo znalezienie ewentualnego zdjęcia Gerdy mogło zająć godziny. Otworzył kartonowe pudło pełne starych listów i ku swojej radości znalazł kilka fotografii. Zaniósł pudełko na biurko i usiadł. Przesunął maszynę do pisania marki Facit Privat i na jej miejscu postawił karton. Pierwsze zdjęcie było stare, czarno-białe, i przedstawiało jego dziadków ze strony ojca, na następnym, kolorowym, nowszym, wyglądali dokładnie

tak, jak ich pamiętał. Czasami przychodzili w odwiedziny, zawsze starannie ubrani, dziadek w garniturze i krawacie, babka w sukni. Ostrożnie przechadzali się po pokojach, jakby bali się, że coś przewrócą. Zjawiali się zawsze z okazji jakiegoś święta, a on pamiętał, że nawet jako dziecko zauważał zmianę w zachowaniu ojca. Zaskoczony obserwował, jak ojciec traci swój zwykły dystans i biega po domu, żeby pokazać otrzymane nagrody i oprawione dyplomy. Jak dziadkowie przyglądali się im szeroko otwartymi oczami, ale nie mówili wiele, najwyżej czasem skomentowali jakiś szczegół oprawy. Poza tym najlepiej czuli się chyba w kuchni z Gerdą, która przy tych okazjach zawsze była zapraszana do stołu w jadalni, razem z rodziną. Przypomniał sobie nagle pewien bożonarodzeniowy obiad podany na najlepszej porcelanie, kiedy jego babka przewróciła kieliszek na biały obrus. Jak mimo wszystkich zapewnień, że nic się nie stało, dostała czerwonych plam na twarzy i nic więcej nie jadła. Dopóki Gerda jakoby „przypadkiem” nie przewróciła niedopitego piwa.

Zmarli w połowie lat osiemdziesiątych, w odstępie czterech dni, a na ich wspólnym pogrzebie Jan-Erik po raz pierwszy i ostatni widział ojca płaczącego.

Zamknął karton i wrócił do garderoby, postanowił zacząć poszukiwania w drugim końcu pomieszczenia. W kącie na podłodze stało pudło. Na nim piętrzył się wysoki stos papierów. Jan-Erik zdjął papiery i otworzył pudło. Pierwszy dokument był datowany na rok 1976, był to list z wydawnictwa, ale sądząc po dacie, był to właściwy czas dla jego poszukiwania. Wziął więc pudło i wyszedł z nim do oświetlonego gabinetu. To znalazł gdzieś w samym środku, przejrzawszy niezliczoną ilość kopert i przesyłek adresowanych do ojca. Brązowa koperta z policji. Wprawdzie nie tego szukał, ale nagłówek wydrukowany na samej górze zwrócił jego

uwagę. Wyjął złożoną na pół kartkę formatu A4 i wszystko, co dotychczas myślał, w jednej chwili straciło sens.

Raport policyjny.

Pełne imię i nazwisko Anniki, adres i numer osobowy. Na znajdujące się pod spodem słowa jego ciało zareagowało tak, jakby przestraszył go jakiś nagły dźwięk.

Bezpośrednia przyczyna śmierci: powieszenie.

Okoliczności zgonu: samobójstwo.

„Kiedy usłyszysz ten dźwięk, pling plong, kiedy go usłyszysz, pamiętaj, że masz przewrócić kartkę. A więc zaczynamy”.

Kristoffer nacisnął stop na starym magnetofonie. Wiele lat minęło od czasu, kiedy słuchał tej kasety ostatni raz. Przy wszystkich przeprowadzkach zabierał ją ze sobą i zawsze miała swoje oczywiste miejsce wśród jego dobytku, ale teraz nie był w stanie dłużej słuchać.

Kiedy człowiek przez trzydzieści jeden lat czekał na rozmowę i nagle ta rozmowa może się odbyć, jak powinien zareagować? Kristoffer nie wiedział. Przez pięć godzin siedział bez ruchu na sofie, niezdolny, by w ogóle czuć cokolwiek. Obok na poduszce leżał skrawek papieru, na którym zapisał numer telefonu. Kristoffer od czasu do czasu odwracał głowę i spoglądał na niego. Wymieniony w testamencie jako jedyny spadkobierca. Odkąd pamiętał, zawsze bał się ciemności. Kiedy był sam, spał przy zapalanej lampie. Ogarniało go przerażenie, kiedy to, co ukazywało światło, pogrążało się w mroku. Fantazje o tym, jakie przybierało kształty, kiedy nie widział. Teraz pokój był pogrążony w ciemnościach. Tylko uporczywe migotanie na opuszczonej

klapie laptopa rozbłyskało regularnie, pulsowało jak bicie wirtualnego serca. Nic nie jadł, nie zadzwonił, nie zrobił niczego. Tylko siedział jak skamieniały.

Czas mijał na czekaniu.

Zawsze czekał. A jednak teraz nie był w stanie wystukać na telefonie tych cyferek. Jak magiczne zaklęcie mogłyby go przenieść w wymarzone miejsce, do którego zawsze tęsknił, lecz nic o nim nie wiedział.

Kim będzie, kiedy już się tam znajdzie?

Jego ja było zbudowane na dwóch fundamentach. Jeden stanowiło wszystko to, co widoczne, uchwytnie, do czego można było się ustosunkować. Drugi składał się z rzeczy będących od zawsze poza jego zasięgiem. Był to ukryty świat, w którym znajdowało się jego miejsce, ale dla niego niedostępne. Kim był? Dlaczego był tym, kim był? Czy miał jakieś cechy dziedziczne? Co było ukształtowane przez co?

Kim była osoba, która kiedyś nadała mu imię?

I to zasadnicze pytanie, które nosił w sobie jak niewidoczny stygmat - dlaczego został odrzucony?

Brak odpowiedzi stał się częścią jego tożsamości. Raz po raz musiał wymyślać, kim jest i skąd pochodzi, zmieniał szczegóły, kiedy te dawne okazywały się nieprzydatne, dopasowywał je do nowych potrzeb.

Wszystkie rozmowy, jakich zdarzało mu się wysłuchiwać, o beznadziejnych rodzicach i nieznośnych rodzinnych zjazdach. Boże Narodzenia, które trzeba było jakoś przetrwać, i rodzinne kłótnie o termin spędzenia urlopu we wspólnych, odziedziczonych letnich domach. Gorzkie kłótnie o spadek, zerwane kontakty i chorzy rodzice, którzy potrzebowali czasochłonnej pomocy. Unikał rozmów na takie tematy, mówiąc, że jego rodzice nie żyją. Czasem ktoś był na tyle niedelikatny, żeby stwierdzić, że mu zazdrości, bo może robić, co tylko zechce, bez wyrzutów sumienia.

Wokół niego było pusto. Wszyscy jego znajomi byli wpisani w wyraźny łańcuch, którego kolejne ogniwa można było prześledzić. On sam zaś był zawieszony w próżni, nie miał niczego, czego mógłby się uchwycić. Marzył o tym, żeby znaleźć swój łańcuch, w którym odnajdzie się jako zagubione ogniwo.

Miał około czterech lat, kiedy trafił do rodziny zastępczej. Przypuszczalnie jego nowi rodzice radzili sobie z tą sytuacją najlepiej, jak potrafili. Odpowiadali na jego pytania, jeśli byli w stanie, ale co mogli powiedzieć, kiedy sami nic nie wiedzieli. Dochodzenie policyjne nie dało żadnych rezultatów. Kristoffer umiał tylko podać imię swojej mamy, wszystkie kobiety imieniem Elina zostały odnalezione, bez skutku. Taty nigdy nie znał.

Kiedy miał dziesięć lat, przybrani rodzice zabrali go do Sztokholmu i pokazali schody w Skansenie. Spotkał strażnika, który go znalazł i nigdy nie zapomniał tego wydarzenia, ale Kristoffer nie otrzymał na żadne z pytań, jakie mu stawiał, zadowolającej odpowiedzi.

Zdarzało się, że coś ulotnego przemykało przez jego pamięć, jakies trwające sekundę raczej wrażenie niż wspomnienie. Zawsze wyrwane z kontekstu, wtłoczone między ciemne niepojętości.

Zaczął sobie tworzyć własną prawdę, przekonany, że jego prawdziwi rodzice wkrótce się zjawią. Uszczęśliwieni, że wreszcie go odnaleźli, zabiorą go do jego prawdziwego życia, daleko od tej egzystencji, w której cały czas tylko czekał. Że powiedzą mu, jak byli zdruzgotani, kiedy okropna wiedźma zamknęła ich w wieży i nie chciała wypuścić. Jak wreszcie z ogromnym poświęceniem udało im się uciec, byli gotowi uczynić wszystko, żeby tylko znów go zobaczyć. Z biegiem czasu fantazje się rozwijały, wyjaśnienia były coraz

mniej bajkowe, ale poczucie, że żyje w jakiejś prowizorce, nigdy go nie opuściło. Nic nie było na tyle ważne, żeby się zaangażować, bo nie wiadomo, kiedy może nadejść pora rozstania.

Żeby tylko kiedyś przyjechali.

Jeśli wstrzyma oddech, aż tamten samochód przejedzie, oni na pewno wkrótce się zjawią. Jeśli obierze mandarynkę ze skórki w jednym kawałku, oni na pewno wkrótce się zjawią. Jeśli to mężczyzna wsiądzie jako następny do autobusu, a nie kobieta, oni na pewno wkrótce się zjawią. Przed każdym rogiem ulicy miał nadzieję, w każdym zbiorowisku ludzi szukał rysów własnej twarzy. Godzinami mógł stać przed lustrem. Skrupulatnie badał swoją twarz. Czasami, przez ułamek sekundy, wydawało mu się, że widzi kogoś innego, jedno z tych dwojga, którzy jak nieznanne matryce żyli w jego ciele.

Jego stosunek do przybranych rodziców był pełen dystansu. Robili wszystko, by zdobyć jego zaufanie, ale on nigdy nie okazywał im zainteresowania. Po cichu nawet gardził nimi za to nadszkakiwanie, puszczenie wszystkiego płazem, zamiast ograniczania jego swobody działania. Czasami nawet wydawało mu się, że widzi w ich oczach lęk. Kiedy sprzeciwiał się ich życzeniom, czasem sam tego nie chciał. Byli intruzami na terenie zarezerwowanym dla innych i nimi pozostali. Gdy skończył osiemnaście lat, opuścił dom i zerwał wszelkie kontakty.

W styczniu 2005 roku przeczytał ich nazwiska w gazecie. Na liście osób zaginionych po katastrofie tsunami w Khao Lak. Nie czuł niczego specjalnego.

*

Wstał, podszedł do biurka i zapalił lampę. Karteczka dalej leżała na poduszce sofy, całym sobą czuł jej istnienie. Komórka leżała obok klawiatury i już miał ją wziąć do ręki, kiedy zadzwonił domofon. Drgnął na ten nieoczekiwany dźwięk, nikt tu nie przychodził niezapowiedziany. Zdecydował, że nie podejździe, nie chciał teraz żadnych wizyt, nie teraz, kiedy wszystko wywraca się do góry nogami. W następnej sekundzie zadzwoniła komórka, zobaczył na wyświetlaczu numer Jespera. Nie teraz, pomyślał. Melodyjka umilkła nagle i zaraz potem piknięcie sygnału wiadomości. Kristoffer wystukał numer, żeby ją odsłuchać.

„No hej, to ja. Stoję na ulicy pod twoją bramą, bo chciałem zapytać, czy możesz wyświadczyć mi przysługę i zrobić mi kilka zdjęć, mam ze sobą aparat. Chyba rozwiązałem problem z promocją. Oddzwon, jak odbierzesz tę wiadomość. Cześć”.

Kristoffer przerwał połączenie i zamierzał oddzwonić. Po trzeciej cyferce jednak zatrzymał się i odłożył komórkę. Niezbyt ładnie z jego strony, ale sytuacja była szczególna. Jesper to zrozumie. Kiedyś, w przyszłości, wszystko mu wyjaśni. Poza tym głos Jespera brzmiał teraz nieco weselej. Nie był taki przygnębiony.

Ktoś umarł. Może na wszystko już było za późno. Usiadł znów na sofie. Po chwili wstał, poszedł do kuchni, napił się wody z kranu i wrócił do pokoju. Strzelić sobie teraz banię. Całkiem małą, taką, żeby nabrać odwagi do wybrania numeru. Odrzucił tę myśl, odpędził ją, ale czuł, że się od niej nie uwolni, że w każdej chwili może zmienić zdanie. Zaciśnął dłoń w pięść i uderzył się w czoło, próbował dodać sobie odwagi, której mu brakowało, i znów wyszedł do kuchni. Teraz musi to zrobić, musi się zdecydować, żeby to zrobić,

teraz, od razu, zanim znów zmieni zdanie. Zdecydowanie wrócił z powrotem do pokoju, wziął komórkę i usiadł na sofie. Zaczął przyciskać klawisze, przyłożył telefon do ucha, znów wstał. Mijały sekundy. Może ostatnie tego życia, jakie znał od zawsze. Usłyszał głos:

- Marianne Folkesson.

- Halo, mówi Kristoffer Sandebloom, odsłuchałem pani wiadomość, ale przez kilka dni miałem wyłączony telefon, dlatego nie mogłem oddzwonić wcześniej.

Po tym przydługim wstępie zapadła krótka cisza. Przepelniało go zdenerwowanie. Znów usiadł na sofie.

- Świetnie, że pan dzwoni. Otóż zajmuję się ewidencją majątku zmarłych w gminie i szukałam pana, bo Gerda Persson, niestety, zmarła.

Czuł uderzenia serca. W palcach, którymi trzymał telefon, w udach spoczywających na sofie. Rytmiczne pulsowanie w głowie.

Gerda Persson.

Kobieta, mama. Nie Elina, ale Gerda Persson. Czy to jest nazwisko, którego zawsze szukał?

- Jak mówiłam w nagraniu, w swoim testamencie wymieniła pana jako jedyne spadkobiercę.

Nie był w stanie mówić. Głos uwiązał mu w krtani. Przez osiemnaście lat cyzelował pytania na tę właśnie okazję, ale teraz, kiedy przyszła pora, nie potrafił wykrztusić żadnego.

- Halo?

- Tak, jestem.

- Pogrzeb odbędzie się dwunastego o czternastej trzydzieści. Zaczęłam już przygotowania, bo nie udało mi się znaleźć krewnych. Ale oczywiście może pan zgłaszać swoje propozycje, chyba że woli pan załatwić to w inny sposób.

Gerda Persson. Nazwisko wypełniło całą przestrzeń. Gerda.

Persson.

- Halo?

- Tak, jestem, jestem, na pewno tak będzie dobrze.

- Jeszcze trzeba podjąć kilka decyzji w sprawie jej mieszkania. Może chce pan pójść tam i rozejrzeć się, zdecydować, czy chce pan coś zatrzymać, zanim opróżnimy lokal?

Zapadła dłuższa cisza. Kristoffer milczał, a kobieta na drugim końcu najwyraźniej nie mogła kontynuować rozmowy bez odzewu z jego strony. Kiedy znów się odezwała, jej głos brzmiał mniej formalnie, cieplej.

- Przepraszam, że tak wchodzę w pana życie z butami, ale naprawdę nie chciałam być niedelikatna. Współczuję panu. Przypuszczam, że byli państwo sobie bliscy?

Podniósł się i podszedł do okna. Wyrzał na cmentarz przy kościele Świętej Katarzyny. Czy naprawdę był na to przygotowany, czy właściwie chce wiedzieć? Oczywiście, że chce wiedzieć, przecież czekał na to przez cały czas. Ale jeśli w końcu czekanie stało się ważniejsze niż odpowiedź? Miał poczucie, że wszystko tak dobrze się układało przez ostatnie lata. Co będzie, jeśli to się zmieni?

- Chodzi o to, że ja...

Urwał nagle. Przez trzydzieści jeden lat milczał i nie mógł pozwolić, by obca osoba usłyszała to przez telefon jako pierwsza.

- Chodzi o to, że wcale się nie znaliśmy.

Teraz cisza zapadła po drugiej stronie, ucieszył się z tej pauzy.

Była tutaj, w Sztokholmie? A więc znajdowała się tak blisko?

- Ach tak... ale byli państwo w kontakcie?

- Tego nie wiem.

Milczała, jakby czekała na dalszy ciąg. Domyślił się, że powinien jeszcze coś powiedzieć, ale nie miał nic do dodania.

- To trochę dziwne, rozumiem, że jest pan zaskoczony. Ale na pewno w testamencie chodzi o pana. Mieszka pan na Katarina przy cmentarzu.

- Tak.

- To jest właśnie podane w testamencie.

- Ale skąd ona mogła znać mój adres?

- Nie wiem. Jest pan jedyną osobą o tym imieniu i nazwisku, więc jeśli jest pan gdzieś zameldowany, to ustalenie adresu nie było trudne.

I zupełnie nieoczekiwanie wszystko się wyjaśniło. Pieńiądze co miesiąc. Niewielka suma, którą od ukończenia osiemnastego roku życia otrzymywał, gdziekolwiek był. Najpierw myślał, że pochodzą od przybranych rodziców, ale oni zaprzeczyli, kiedy jedyny raz po zerwaniu skontaktował się z nimi i zapytał o to. Brak przekazu w tym miesiącu.

Nagle w jego świadomości pojawiło się słowo najbardziej haniebne z haniebnych. Jak ostry odłamek szkła przecięło wszystkie warstwy uników.

Podrzutek! Jesteś podrzutkiem!

To, co zostało znalezione, ktoś musiał zgubić. Ale nie przyczepia się małych karteczek z instrukcją do czegoś, co się straciło niechcący. To znaczy, że znalezionego pozbyto się dobrowolnie.

Poczuł, jak coś w nim pęka, łyzy zmałyły mu spojrzenie. On, który nigdy nie płakał. Zasłaniając dłonią mikrofon, próbował się opanować, do oczu napłynęło jeszcze więcej łez. Osunął się na krzesło przy biurku. Z całym opanowaniem, na jakie mógł się zdobyć, próbował kontynuować rozmowę.

- A więc nie wie pani, skąd ona mogła znać moje nazwisko?

- Nie, niestety. Rozumiem, że to może się wydawać dziwne. Przejrzałam księgi ewidencyjne i nie znalazłam pana wśród jej krewnych. Była niezamężna i bezdzietna,

jedyną krewną, jaką znalazłam, była bezdzietna siostra, ale ona umarła pod koniec lat pięćdziesiątych.

Sekundy, kiedy wszystko zawirowało. Wyprostował się.

- Co pani powiedziała, ile ona miała lat?

- Siostra?

- Nie, Gerda Persson.

Usłyszał wertowanie jakichś papierów.

- Urodzona w tysiąc dziewięćset czteremset roku.

Dziewięćdziesiąt dwa lata.

Sięgnął po długopis. Coś się tu nie zgadzało. Dziewięćdziesiąt dwa minus trzydzieści cztery daje pięćdziesiąt osiem.

- Chyba kobieta nie może mieć dziecka w tym wieku?

W słuchawce zrobiło się całkiem cicho. Kristoffer ku swemu przerażeniu uświadomił sobie, że przez te zaskakujące wieści zaczął myśleć na głos.

- Słucham?

- Nie, nic takiego.

- W wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat? Nie, nie sądzę, nawet jeśli naukowcy wymyślają najdziwniejsze rzeczy.

Kristoffer przeklinał swoją niezręczność. Ona nie może się dowiedzieć, nikt nie może się dowiedzieć! Dopóki wszystko nie zostanie wyjaśnione.

- A co się w takim wypadku robi?

- Ma pan na myśli sam spadek?

Zastanawiał się raczej nad tym, co było dla niego ważniejsze. Jak mógł zdobyć więcej informacji o Gerdzie Persson i o tym, skąd wiedziała o jego istnieniu.

- Tak.

- To nic skomplikowanego. Możemy ustalić termin spotkania, żeby pan mógł się zapoznać z majątkiem zmarłej, to

zależy od pana, co pan zechce z tym zrobić. Mogę pokrótce przedstawić różne wyjścia. Ale najpierw powinnam załatwić wszystkie sprawy związane z pogrzebem, a więc mieszkanie i cała reszta muszą na razie poczekać. Czy chce pan tam pójść?

Za cztery tygodnie mija termin umowy z wydawnictwem. Sztuka wydała mu się nagle czymś bardzo odległym.

- Tak, myślę, że tak.

- Porozmawiamy po pogrzebie. Nawiązałam kontakt z rodziną, u której pracowała jako gosposia, kiedy była aktywna zawodowo, obiecali mi pomoc przy pogrzebie. Jest to rodzina Ragnerfeldtów. Jeśli pan chce, mogę panu dać numer do syna, Jana-Erika Ragnerfeldta, to z nim rozmawiałam. Pomyślałam, że może chciałby pan ich o coś zapytać. Pytałam, czy znają pańskie nazwisko, ale okazało się, że nie. W każdym razie może udałoby się panu dowiedzieć czegoś więcej o Gerdzie Persson.

Wyprostował się na krześle. Wszystkie informacje wirowały w jego głowie, szukając punktu zaczepienia. Spadek po Gerdzie Persson, mama wreszcie odnaleziona, ale jednak to nie ona. Spadek po Gerdzie Persson, której nie znał, która nie była jego mamą, ale przypuszczalnie była osobą, która wysyłała pieniądze i wiedziała o jego istnieniu, a gdzieś na obrzeżach Axel Ragnerfeldt. Najwybitniejszy z wybitnych, którego właściwie nie miało prawa być, bo był tak wielki.

Zapisał numer telefonu do Jana-Erika Ragnerfeldta i skończyli rozmowę. Ale myślał, żeby zadzwonić do syna światowej sławy pisarza, wydawała się nierealna.

Bo co miałby powiedzieć?

Oszłomienie nie ustępowało. Pojawiało się coraz więcej pytań. Ale ukazała się także możliwość. Brama do jego ukrytego świata została uchylona, powstała mała szpara. Tylko że on wcale nie był pewien, czy odważy się wejść.

Wiedział, że na pewno chce tylko jednej rzeczy.

Otrzymać zadowalające wyjaśnienie, które obdarzyłoby go łaską wybaczenia.

-Co to jest, na litość boską? Alice odłożyła krzyżówkę, którą była zajęta, i spojrzała na papier w wyciągniętej ręce Jana-Erika. Nie zadzwonił do drzwi, otworzył je własnym kluczem. Zdążyła się ucieszyć z jego przyjścia, cieszyła się aż do momentu, kiedy ukazał się w drzwiach i zobaczyła wyraz jego twarzy. W butach i płaszczu stał po drugiej stronie stołu. Miał w sobie coś groźnego, wściekłość, jakiej nigdy przedtem u niego nie widziała. Przez jego niezwykle zachowanie poczuła się niepewnie. Wyciągnęła rękę po dokument. Syn stał nieruchomo, wpatrując się w nią, jakby chciał zobaczyć jej reakcję. Niechętnymi palcami rozwinęła pismo i wystarczyła sekunda, żeby zrozumiała, co to jest.

Zamknęła oczy. Opuściła dłoń z tym strasznym dokumentem i w duchu przeklinała Axela, który nie miał dość rozumu, żeby wyrzucić rzeczy, których przechowywanie sprawiało tylko ból.

- Dlaczego, na Boga, nic mi nie powiedzieliście?

Co miała odpowiedzieć? Nic. Stało się to, co się stało, a oni wybrali kłamstwo. Może głównie dlatego, żeby im było łatwiej to znieść. Szlaban się zamknął, wtedy, na samym

początku. Wszystkie dziwne uczucia, które się pojawiały, żeby zagłuszyć ból. Sprawy do których pod żadnym pozorem nie wolno było się przyznać, by nie popaść w szaleństwo.

- Odpowiedz!

- Próbuję.

Zrobiła wszystko, żeby zapomnieć. Czyniła wysiłki, by z daleka omijać szczegóły, gdy wspomnienia wracały. Poświęciła eony czasu na próby stłumienia poczucia winy, że nie dostrzegła powagi sytuacji. Są głosy, które nie cichną nigdy. Czają się gdzieś na skraju w cichym szmerze. Żaden człowiek nie może pozostać taki sam po stracie dziecka, zwłaszcza kiedy ono zadało sobie śmierć. Latami trwało zbliżanie się do tego, czego od początku nie dostrzegała. Rozmowy z córką, nigdy niezaczęte, które miały na zawsze pozostać nieodbyte. Myśl o tych małych, maleńkich kroczkach, które zostały podjęte. Świadomość, że wszystkie jej wybory, każdy z osobna, może nie były godne potępienia, ale razem wzięte doprowadziły do tego, czego już na wieczność nie można było zmienić.

Zdjęła okulary do czytania i odłożyła na oparcie sofy.

- Nie wiemy dlaczego.

Jan-Erik zmienił pozycję. Czekał niecierpliwie na ciąg dalszy.

- Ale co się mogło stać? Nie zostawiła listu pożegnalnego?

Alice potrząsnęła głową, dłonią przejechała po twarzy. Nie, nie zostawiła żadnego listu. Tylko komunikat bardziej czytelny, niż mogłyby go sformułować jakiegokolwiek słowa.

- Ale chyba musieliście coś wcześniej zauważyć? Czy coś się stało? Dlaczego miałyby to zrobić? Przecież nie mogła tak po prostu, z dnia na dzień, postanowić, że się powiesi bez powodu?

- Myślisz, że sama się nad tym nie zastanawiałam? Że nie przeklinałam samej siebie za to, że nie rozumiałam, jak bardzo źle z nią było.

- A więc jak było?

Westchnęła i odłożyła pismo na stół. Wzięła jedną z haftowanych poduszek i położyła sobie na kolanach. Jej palce bezwiednie błędziły po zawitym wzorze.

- Prawdziwej odpowiedzi nigdy nie uzyskaliśmy, to się zdarzyło jakby z dnia na dzień, jakby ją ktoś podmienił. Była taka jak zwykle, ale nagle pewnego ranka nie chciała wstać z łóżka.

Alice usiłowała sobie przypomnieć. Zebrać fragmenty zdarzeń, które świadomie wyparła z pamięci. Od razu zauważyła, że wszystko było nietknięte, że szczegóły zostały, jakby tylko przyczaiły się i czekały na tę chwilę.

To był piękny poranek. Miała wyjątkowo dobry humor i siedziała w kuchni przy kawie. Ogród zdobił roziskrzony świeży śnieg, a snopek zboża, który wystawiła Gerda, obsiadło drobne ptactwo. Myślała, że gest Axela mógł być punktem zwrotnym. Że nawet on w końcu zrozumiał, że tak się dłużej nie da żyć, jego inicjatywę traktowała jako znak, że mu zależy.

- Poprzedniego wieczoru wyszliśmy z domu, byliśmy w kinie, Axel i ja. Wiesz, jak rzadko coś takiego się zdarzało. To była jego propozycja.

Obejrzeli *Twarzą w twarz* Ingmara Bergmana. Tak rzadko robili coś razem. Prawie nie mieli wspólnych przeżyć. Axel opuszczał dom tylko w sprawach związanych z pisaniem; odczyty i przyjęcia na jego cześć, na których mu towarzyszyła, jeśli jej nieobecność mogłaby zwrócić uwagę. To wszystko tylko przypominało jej o własnej porażce. W domu Axel rzadko się pokazywał, siedział zamknięty w swoim gabinecie. Ale tamtego wieczoru nagle zaproponował kino, choć seans miał się zacząć już za jakąś godzinę.

- Jadłam śniadanie w kuchni, kiedy przyszła Gerda i powiedziała, że Annika jeszcze leży w łóżku. Myśleliśmy, że poszła do szkoły, pamiętam, że zegar wskazywał dziesiątą.

Z kuchni poszła do pokoju córki. Z trzaskiem odsłoniła rolety i ściągnęła z niej kołdrę. Pomyślała, że Annika wszystko psuje, kiedy matka choć raz jest zadowolona. Coś ścisnęło ją w gardle, kiedy sobie przypominała, jak robiła córce wymówki, ale nie widziała żadnej reakcji.

- Najpierw myślałam, że to coś z dojrzewaniem, że po prostu z czystej przekory nie chce wstawać. Dopiero po chwili zauważyłam, że to było coś innego, była jakby wyłączona, jakby nie słyszała, co do niej mówię.

Mijały dni. Narastał niepokój. Frustracja. Axel milczał i wycofywał się do swoich spraw, jakby nie chciał się tym zajmować.

- Próbowałam z nią rozmawiać, naprawdę próbowałam, pytałam, czy coś się stało, ale nie odpowiadała. Leżała w łóżku i wpatrywała się w ścianę.

Przy tych słowach w oczach Alice pojawiły się łzy, od dawna zapomniane. Pamiętała, jak bardzo się starała, ale w końcu straciła cierpliwość, pamiętała, jak Gerda ostrożnie sugerowała, żeby wezwać lekarza, i Axela, który stwierdził, że to jest sprawa rodzinna. Ona sama była rozdarta między chęcią szukania pomocy a wstydem, że ich córka zachowuje się jak osoba chora psychicznie.

Jan-Erik podszedł do okna. Odwrócił się do niej plecami, jakby nie chciał oglądać jej łez.

- I długo tak leżała?

- Cztery, pięć dni. Gerda i ja na zmianę zaglądałyśmy do niej w nocy. Potem pewnego wieczoru znów zaczęła jeść, więc potraktowałyśmy to jako znak, że wraca do zdrowia.

Chciała się napić, ale rozumiała, że byłoby to nie na miejscu. Jan-Erik trochę się chyba uspokoił, obawiała się, że znów sprowokuje jego gniew. Bała się go.

- Nigdy nie rozmawialiście z jej kolegami ze szkoły, może oni coś zauważyli? Co w ogóle powiedzieli w szkole?

Kłamstwa zaczęły się wcześniej. Strach, że to, co zdarzyło się w domu Ragnerfeldtów, wywołałoby skandal, nie pozwolił im pytać. W szkole wytłumaczyli nieobecność Anniki chorobą zakaźną, a więc stało się to oficjalną prawdą.

- Niczego nie zauważyli.

Alice wpatrywała się w poduszkę na kolanach.

- A gdzie się powiesiła?

Nie mogła się opanować. Wstała i wyszła do kuchni. Najpierw, żeby stworzyć sobie alibi, głośno wytarła nos w papierowy ręcznik, a potem wyjęła z szafki butelkę i odkręciła nakrętkę. Kiedy się odwróciła, w drzwiach stał Jan-Erik. Bez słowa podszedł do suszarki z naczyniami, wziął szklankę, wyjął z jej rąk butelkę, napełnił szklankę, wychylił jej zawartość i odstawił na blat.

- Powiedz, gdzie się powiesiła?

Może powinni się rozwieść. Ręka nie zostaje na kuchennej płycie, która ją przypieka. Ale duszę można skazać na powolne konanie i nie podejmować żadnych działań. Oczywiście rozważała czasem tę ewentualność, jako ostatnią rozpaczliwą próbę zmiany sytuacji. Ale tylko na bezpieczną odległość. Rozwody nie wchodziły w grę. Tego się po prostu nie robiło. Nawet jeśli wiele przemawiało za, jeszcze więcej przeciw. Przyjaciół pozostało jej niewiele, a kontakt z rodzicami i rodzeństwem był zerwany, gdzie więc miałyby pójść? Jako pani Axelowa Ragnerfeldt miała przynajmniej pewien status.

Całe to poświęcenie dla zachowania pozorów.

Gdyby się domyśliła, że Annika też jest nieszczęśliwa. Gdyby była zdolna dostrzec coś więcej niż własny ból, brać też pod uwagę innych. Może wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej.

- Powiesiła się w gabinecie Axela.

Jan-Erik osunął się na kuchenny taboret i ukrył twarz w dłoniach. Alice napełniła szklanę, którą on odstawił, uniosła ją do ust. Duży łyk, który miał ją obronić przed tym, co pamięć właśnie wyrzuciła z siebie i co właśnie zaczynało szaleć. Jan-Erik siedział bez ruchu, tylko jego ramiona poruszały się w rytm oddechu.

To Axel ją znalazł. Starannie wymontowała lampę u sufitu i podstawiała sobie jego krzesło. Jego krzyk obudził Alice. Szukała po omacku szlafroka. Na schodach zauważyła, że nie ma paska. Na zawsze wyryty w pamięci obraz córki wiszącej pod sufitem w gabinecie Axela z paskiem od jej szlafroka zapętlonym wokół szyi.

Dolała sobie jeszcze raz i wychyliła szklanę do dna. Nie, już powinno wystarczyć. Nie ma tu nad czym dywagować. Minęło trzydzieści lat i niczego nie można cofnąć. Nawet gdyby utopiła się w poczuciu winy, niczego to nie zmieni. Zrobiła to, co mogła w sytuacji, w jakiej się znalazła.

Odstawiła butelkę do szafki, podeszła do zlewu i wypłukała szklanę.

- No. Tak to wyglądało, teraz już wiesz. Dla nas wszystkich byłoby najlepiej, żeby to zostało w rodzinie, żeby nikt nie chodził i nie opowiadał o tym, co się stało.

Ramiona Jana-Erika nagle znieruchomiały. Powoli wyprostował się, a spojrzenia, które jej posłał, wołałaby nigdy nie oglądać. Potem wstał, wszedł do dużego pokoju i wziął pismo z policji. Skierował się do przedpokoju i bez słowa opuścił mieszkanie.

Alice spojrzała na zegarek. Za chwilę miał się zacząć w telewizji program, na który czekała. Po co grzebać we wspomnieniach, z których i tak nie ma żadnego pożytku. Lepiej, żeby zostały tam, gdzie są.

Wróciła na sofę i wyciągnęła rękę po pilota.

To przez opisywanie miłości niweczymy moc lęku.

Kristoffer stał przed jednym z nagrobków na cmentarzu Świętej Katarzyny i odczytywał inskrypcję. Niepokój wyгнаł go z mieszkania. Potrzebował czegoś, co pomogłoby mu utrzymać lęk na wodzy. Wiedział, za czym tęsknił, ale próbował zapanować nad tym pragnieniem.

To było zadziwiające w alkoholu, że można go było użyć w najróżniejszych celach. Żeby zapomnieć, poprawić sobie nastrój czy wyluzować się. Żeby coś uczić, zasnąć, radować się, ogrzać się albo ochłodzić, uciec, znaleźć inspirację.

Dla nabrania odwagi.

Ze wszystkich narkotyków, jakich używał, alkohol wydawał mu się najbardziej podstępny. Przeniknął do wszystkich środowisk, wszędzie akceptowany, zawsze dostępny, gorliwie wspierany przez państwo i społeczeństwo. Kristoffer zdawał sobie sprawę, jaką niechęć wywołuje, ilekroć odmawia picia. Jak przez to jest spychany poza margines towarzystwa. Ludzie nie chcieli mieć trzeźwych świadków, kiedy zamierzali pozwolić sobie na przekroczenie wszystkich barier. Nie potrzebowali, żeby wyrzuty sumienia

siedziały obok i przyglądały się.

W jednej z książek, które były na regałach w mieszkaniu, przeczytał coś, co utkwilo mu w pamięci. Pamiętał te kilka linijek prawie dosłownie, bo wydawało mu się, że znalazł wyjaśnienie, a może usprawiedliwienie swojego wcześniejszego postępowania. *Ponieważ człowiek jako gatunek jest bardzo kruchy, musi cechować się szczególną gotowością do obrony. Mózg ludzki w procesie ewolucji nabral większych rozmiarów. Świadomość jest subtelnym systemem obronnym - ciągłym stanem czuwania, przeczesującym otoczenie, by zauważyć ewentualne zagrożenia. Nasz silny lęk tłumaczy wiele aspektów ludzkiej natury i cywilizacji.*

Czasami myślał, że to właśnie lęk tłumaczył, dlaczego taki narkotyk jak alkohol był tak kuszący. Żeby na chwilę oszukać system ostrzegawczy i wyłączyć go. Uśpić genialną świadomość. We wszystkich kulturach używano środków odurzających, tylko ich rodzaje były różne. Gdy odkrywano jakieś samotne plemię w dalekiej dżungli, zawsze znajdowano tam jakieś liście albo korzenie, które można było żuć albo palić, żeby osiągnąć upragniony stan oszołomienia. W świecie zachodnim zdecydowano się na alkohol jako legalny narkotyk.

Czasem myślał, że tak skomplikowany mózg to błąd ewolucji. Dlaczego bowiem tylu ludzi czuło potrzebę, by go znieczulić? Nasz obraz własny jako korony stworzenia, z przewagą intelektu, zdolnością do empatii i poczuciem moralności. Nasza świadomość przyszłości. Może ludzkość znajduje się w krytycznej fazie, kiedy inteligencja daje możliwość zniszczenia planety, a każdy w głębi serca kieruje się swoimi silnymi lękami i prymitywnymi żądzami. Gigantyczny konflikt, rozgrywający się nieustannie w ukryciu, we wnętrzu każdego człowieka.

W tej chwili brakowało mu alkoholu, przez długi czas był on przecież jego najlepszym przyjacielem i sprzymierzeńcem.

Który zawsze był przed wszystkim innym i pomagał mu rozbroić strach.

Ale na nagrobku przed nim było słowo miłość.

Takiego rodzaju miłości nie znał.

Często spacerował po cmentarzu, choć nie miał tu nikogo. Lubił ten spokój, nie powstrzymywał go nawet lęk przed ciemnością. Gdzie mieszkała śmierć, nie było się czego bać. Był tylko spokój, bo w porównaniu z nią wszystko wydawało się małe i nieszkodliwe. Właściwie nawet nie był pewien, czy bał się śmierci. Czasami zazdrościł tym, którzy już zrobili swoje i teraz mogą odpocząć. Nie do tego stopnia, żeby tęsknił za śmiercią, ale też nie zależało mu specjalnie na zachowaniu życia. Zmarłym zazdrościł tego, że już nie ponoszą odpowiedzialności za dalszą walkę. Że już nie muszą nieustannie podtrzymywać chęci, by ciągnąć to wszystko dalej.

Bogaci, biedni, źli, brzydki, mądrzy i głupi. Wszystkich czekał ten sam los. Choćby nie wiadomo jak szybko się biegło, nie dało się uciec.

Nazwiska i daty na nagrobkach. Niektórzy spoczywający pod nimi byli martwi od stu lat, ale pamięć o nich zwyciężyła niszczycielskie siły natury. Tylko szczególne osoby mogły zachować swoje groby nienaruszone wraz z nagrobkiem, tylko ci znaczący. Groby zwykłych ludzi były usuwane, w miarę jak popadały w zapomnienie, a miejsce ich spoczynku zajmował ktoś inny. Kristoffer zamierzał być jednym z tych, co pozostali, niezapomnianym. Którego nazwisko nadal figuruje na nagrobku i przypomina nowym pokoleniom, że kiedyś istnieli. Miał być jednym z tych wyjątkowych, jednym z tych, co się wyróżnili, dokonali czegoś znaczącego.

Wtedy śmierć nie będzie miała do niego dostępu.

*

Pod tą płytą spoczywa to, co należy do ziemi. W wiernej miłości połączeni na wieczność.

Mąż zmarł w 1809 roku. Żona w 1831. Już nie żył nikt, kto mógłby ich pamiętać. A jednak sto siedemdziesiąt pięć lat później on stał tu i wspominał, że istnieli.

Lubił odczytywać krótkie sentencje na nagrobkach, znajdował w nich pociechę. Spacerował między zadbanymi grobami z wciąż na nowo sadzonymi roślinami i tymi, o które nikt się nie troszczył. Czas przychodził i odchodził, a priorytety ulegały zmianie. Kamienie z wrytym jednym nazwiskiem i gładką powierzchnią w oczekiwaniu na osobę jeszcze żyjącą. Zastanawiał się, co może odczuwać ten, co stoi tu, mając świadomość, że jego nazwisko i data śmierci kiedyś zostaną wryte na pomniku i że sam nie będzie mógł tego oglądać. Czasem pojawiała się lekka zazdrość, że oni przynajmniej wiedzieli, gdzie jest ich miejsce.

Szedł dalej oświetloną żwirową alejką, przyciągały go światła latarni w rogu cmentarza, gdzie znajdowały się nowsze groby. Po drodze minął kilka dużych nagrobków z napisem: Grobowiec rodzinny. Jedno z najpiękniejszych określeń, jakie znał:

Połączeni na wieczność.

Nie narzekał na brak zainteresowania. Wyglądał nieźle i uznawano go, przynajmniej dopóki pił, za faceta na tyle interesującego, by chcieć go bliżej poznać. Teraz nie wiedział, jak to jest. Rzadko znajdował się w miejscach, gdzie chętni mogli okazać zainteresowanie, ponieważ to następowało najczęściej w oparach alkoholu. Ale wtedy, gdy jeszcze uczestniczył w rytuałach godowych nocnego życia, rzadko wracał do domu sam. Uprawiał seks tyle razy, że w końcu zaczęło go to nudzić, ale prawie nigdy nie czuł miłości. Kilka razy, kiedy coś mogło się rozwinąć, odsuwał się i wracał do czekania.

Na wybawienie.

Które sprawi, że jego życie dopiero się rozpocznie.

Z kieszeni odezwała się melodyjka, wyjął komórkę. Od razu rozpoznał numer. Wrył mu się w pamięć niczym magiczne zaklęcie.

- Kristoffer.

- Halo, tu jeszcze raz Marianne Folkesson, przypomniałam sobie, że niejaki Torgny Wennberg zapowiedział przybycie na pogrzeb. Pomyślałam, że jeśli on znał Gerde Persson, to może wie coś więcej; może chciałby się pan z nim skontaktować. Nie mam jego numeru telefonu i w tej chwili nie działa u mnie internet, ale może pan sam sprawdzić. Z pewnością nie ma wielu ludzi o tym nazwisku.

- Torgny Wennberg?

- Tak.

- Przez v czy w?

- W, teraz nie mogę sprawdzić, ale jestem prawie pewna.

- Okej. I on przyjdzie na pogrzeb?

- Tak, w każdym razie tak powiedział.

- Sprawdzę to. Dziękuję, że pani zadzwoniła.

- To nic takiego. Do usłyszenia wkrótce.

- Do widzenia.

Torgny Wennberg. Zapisał nazwisko w książce telefonicznej komórki, żeby nie zapomnieć. Teraz znów zaczęło mu walić serce. To ambiwalentne uczucie, pragnienie, żeby się dowiedzieć, czy może jednak lepiej nie.

Dotarł do nowych grobów. Wśród spoczywających tam ludzi było dużo dzieci. Kilka grobów zdobiły zabawki, piękne muszle, misie i małe kamyki w kształcie serca. Prawie zawsze paliły się tu świece.

Bezgranicznie kochany.

Powracające słowa. Rodzice pogrążeni w żałobie. Nieokończona dbałość, z jaką pielęgnują groby ukochanych dzieci. Myśl o jego własnych rodzicach. Jak głęboki był ich

ból i desperacja, jeśli jedyną możliwością, jaka im pozostała, było porzucenie go?

Zimny wiatr omiółł cmentarz i poniósł dalej wirujące liście. Kristoffer otulił się budrysówką i postanowił wrócić do domu. Tam podgrzał w kuchence mikrofalowej wegetariańską lasagne i usiadł przed komputerem. Z talerzem stojącym obok klawiatury rozpoczął poszukiwania. Teraz nie było już powrotu, drzwi zostały uchylone i nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby nie skorzystał z szansy i nie wszedł do środka. Zaczął od Torgny Wennberga. W Google'u jego nazwisko dało trzysta trzydzieści trafień. Kliknął na pierwsze i znalazł się na stronie Archiwum i Biblioteki Ruchu Robotniczego. Nagłówek: *Z naszych zbiorów - Torgny Wennberg (ur. 1928), zapomniany pisarz robotniczy*. Przejrzał cały tekst.

Torgny Wennberg urodził się w Finspång w Östergötlandii. Jego ojciec był robotnikiem w przemyśle metalowym. W wieku czternastu lat Wennberg sam rozpoczął pracę jako robotnik. Wcześniej zaczął pisać opowiadania. W 1951 roku zadebiutował jako pisarz powieścią To minie. W następnym roku przeniósł się do Sztokholmu.

Torgny Wennberg jest najbardziej znany ze swych powieści o robotnikach metalowcach w Östergötlandii, za jego najwybitniejsze dzieło uznaje się Nie gaście ognia, które ukazało się w 1961 roku. Wennberg napisał także kilka sztuk dla teatru i radia. Na początku to boli to jego ostatnia powieść proletariacka, kolejne książki można raczej uznać za powieści psychologiczne. Jego ostatnia powieść Wiatr szepcze twoje imię, która ukazała się w 1975 roku, przedstawia upadek mężczyzny po zerwanym romansie. Wennberg napisał w sumie dwanaście utworów powieściowych prozatorskich i osiem sztuk.

Kristoffer wydrukował tę stronę. Wszedł na Eniro, wpisał nazwisko w wolne pole i uzyskał jedno trafienie.

Jakiś Torgny Wennberg mieszkał na Hantverkargatan, Kristoffer dopisał numer telefonu na wydruku. Wrócił do Google'a i wpisał nazwisko Axela Ragnerfeldta. Otrzymał milion dwieście trzydzieści trafień. Przejrzał trochę stron, poczytał w różnych miejscach, wiele rzeczy już wiedział. Czytał wszystkie książki. Niektóre jako lektury szkolne, resztę z własnej woli. Dopisał na polu wyszukiwarki nazwisko Gerdy Persson, ale nie było żadnych trafień. Wymazał Axela Ragnerfeldta i szukał samej tylko Gerdy Persson, to dało dwieście pięć trafień. Nie był w stanie stwierdzić, które z nich mogły dotyczyć szukanej przez niego Gerdy. Przez następną godzinę czytał wybrane strony poświęcone Axelowi Ragnerfeldtowi. Większość linków prowadziła na strony wydawców i księgarzy na całym świecie, trafiały się też wypracowania szkolne i prace naukowe, tylko bardzo nieliczne strony zawierały informacje o życiu prywatnym pisarza. Jego żona Alice Ragnerfeldt też była pisarką, chwilę poświęcił na lekturę informacji o jej pisarstwie. Jej ostatnia książka ukazała się w 1958 roku, ale jak zrozumiał, Alice Ragnerfeldt żyła. Było wiele linków do fundacji założonej w imieniu Axela Ragnerfeldta, przeczytał o domu dziecka w Chile i przychodni lekarskiej w Afryce.

Uosobienie prawdziwego niezapomnianego.

Jedzenie na talerzu zdążyło wystygnąć, wstał, żeby jeszcze raz je podgrzać. Poszedł do kuchni i wstawił talerz do kuchenki mikrofalowej. Stojąc przy zlewozmywaku, dojadł resztki, umył talerz i odłożył go na suszarkę. Zastanawiał się, czy Axel Ragnerfeldt przyjdzie na pogrzeb. Czy będzie mógł spotkać tę wielką ikonę. Jesper zzieleniałby z zazdrości. Przez chwilę rozważał, czy nie powinien poprosić Jespera, żeby mu towarzyszył, ale w końcu porzucił tę myśl. Nawet jeśli to był jego pierwszy pogrzeb, a okazja niewątpliwie była szczególna, powinien raczej przejść przez to sam.

Do czego zdążył się przyzwyczaić. W przeciwnym razie musiałby wszystko opowiedzieć Jesperowi, a wstyd był mocną barierą. Prawda postawiłaby go w trudnym do zniesienia gorszym położeniu, powiększyłaby ten dystans, który Jesper już i tak wydłużył. To raz na zawsze pokazałoby, że Jesper ma nad nim przewagę.

Bo jego rodzice chcieli go zatrzymać.

Wrócił do komputera. Nazwisko Jana-Erika Ragnerfeldta dało siedemset sześćdziesiąt osiem trafień. Większość z nich informowała o odczytach. *Jan-Erik Ragnerfeldt opowiada o swym sławnym ojcu i jego pisarstwie*. Kristoffer zauważył, że taki odczyt miał się odbyć następnego dnia o godzinie siódmej w teatrze w Västerås. Odchylił się do tyłu na krzesło przy biurku i jeszcze raz przeczytał informację. Västerås. Odległość do przyjęcia. Łatwiej było spotkać się z nim osobiście niż podnieść słuchawkę telefonu i zadzwonić. Spojrzał na ciemne szyby w oknach. Nie był pewien, czy ma tyle siły, by odłożyć wszystkie pytania na bok i zadać je dopiero na pogrzebie. Lepiej było stworzyć sobie jakiś obraz i trochę się przygotować. Nie miał pojęcia, jak Jan-Erik mógłby zareagować.

A więc decyzja została podjęta. Wszedł na stronę kolei szwedzkich i zamówił bilet na pociąg.

Jeszcze tylko jeden i potem pójdzie do domu. Powinien to zrobić dawno temu, a jednak nie mógł się na to zdobyć. Nie zadzwonił też do domu i nie powiedział, że wróci później, a sygnał dzwoniący w kieszeni ignorował. W drugiej kieszeni leżał akt zgonu Anniki, kilka razy wyciągał go i odczytywał. Próbował sprawdzić, czy nie pominął czegoś, jakiegoś słowa albo wzmianki, które dałyby mu jakieś wyjaśnienie.

- Dlaczego to zrobiłaś? Jak mogłaś być taka okrutna i zostawić mnie samego?

Ale ty już przecież wyjechałaś. Nawet nie wiedzieliśmy, gdzie jesteś. To ty mnie zostawiłaś.

Kobieta za barem podała mu to, co zamówił. Może sobie tylko wyobraził, że w jej oczach dostrzega pogardę. Może w jej spojrzeniu odbijało się jego własne przekonanie. Za dużo już wypił. W uszach mu szumiało i co jakiś czas kontury wszystkiego wokół zacierały się, po czym po omacku próbowały wrócić na swoje właściwe miejsce. Poprosił o szklankę wody i usłyszał, że bełkocze.

Nigdy się nie kłócili, choć, jak wiedział, inne rodzeństwa to robiły. Na to u nich nie było miejsca. Musieli wspólnie

tworzyć front przeciwko nienazwanemu, przeciwko plecom Axela i Alice, która się złościła, by za chwilę zebrać o więcej miłości, niż byli w stanie jej dać. Nie mógł zrozumieć, jak jego matka przez wszystkie te lata zdołała zachować samobójstwo córki w tajemnicy. Że też nigdy z niczym się nie zdradziła. Nawet wtedy, kiedy po upływie ponad pół roku od tego zdarzenia wrócił ze Stanów do domu. Kiedy wynajął sobie kawalerkę bez wygód na Gamia Stan i chciał radzić sobie sam, a ona ciągle zjawiała się w jego schronieniu, zawsze witana równie niechętnie. Czasami pijana, czasem trzeźwa. Ale zawsze tak samo dopraszająca się o bliskość. Gorycz z powodu Axela, którą wylewała przed synem, usiłując zrobić z niego sojusznika. Nienawidził jej łez, chciał, żeby dała mu spokój, chciał przeciąć wszystkie więzi i mieć szansę zacząć nowe życie. Musiał szczerze przyznać, że nie wysiłał się przesadnie. Nie odrzucał też pieniędzy, które mu wciskała, ponieważ noce w Alexandrze, Atlancie i innych modnych lokalach sporo kosztowały. Ale obracał się we właściwych kręgach, a tam zawsze był ktoś, kto mógł zapłacić. Dzięki nazwisku miał zadziwiająco łatwą nawiazywanie kontaktów. Drzwi się otwierały, kolejki znikły, wystarczyło kilkanaście liter, by pokazać, jak wspaniałym człowiekiem jest Jan-Erik. Przecież nie każdy miał ojca, który dostał literacką Nagrodę Nobla.

- Będziemy już zamykać.

Nie zdołał unieść głowy, ale dojrzał rękę z błękitną ściereczką, która kolistymi ruchami przesuwała się po barze. Złapał szklankę whisky i podniósł do ust, wychylił i natychmiast poczuł, że musi zwymiotować. Zsunął się z barowego stołka i starał się zapanować nad mdłościami, ale to mu się nie udawało. Nie rozglądając się na boki, popędził do drzwi, zdążył przejść kilkadziesiąt metrów, po czym zawartość żołądka wylała się na chodnik. Zatrzymał się, pochylony do

przodu, z dłońmi opartymi na kolanach. Przez łyzy zobaczył, że zabrudził sobie buty. Nie mógł tak wrócić do domu, musi trochę pochodzić, żeby wytrzeźwieć. Najbardziej ze wszystkiego pragnął się położyć i zasnąć. Spać tak długo, żeby po obudzeniu nie czuć tego, co czuł.

Ulice były puste, a miasto jakieś inne. To, co ginęło w zgiełku dnia, nocą stawało się widoczne. Chodził bez celu po ulicach Östermalmu. Czasami spotykał grupki młodzieży w drodze na plac Stureplan. Kilka razy przemknął jakiś nocny wędrowiec w średnim wieku, który w połowie życia odkrył, że to, co ma, nie spełnia jego oczekiwań, i wyruszył, by szukać czegoś innego. Spotkał też kilku takich, co się zgubili i błędzili ze swoimi reklamówkami, mając nadzieję jedynie na cud albo śmierć.

Szedł długo, zdążył zmarznąć i poczuć pragnienie. Dopiero gdy ziemia przestała się kołysać i pojawił się lekki ból głowy, odważył się ruszyć do domu. Na klatce schodowej skręcił w prawo do zsypu i wyrzucił buty. W samych skarpetach wchodził na górę, ryzyko spotkania kogoś o tej porze było niewielkie. Tak cicho, jak tylko mógł, włożył klucz do zamka i przekręcił. Zastygł w wyczekiwaniu. Była za piętnaście trzecia i jeśli miał szczęście, to ona już spała. Ostrożnie nacisnął klamkę i uchylił drzwi. Świeciła się tylko mała lampka na stoliku w przedpokoju, poza tym wszystko było pogaszone. Powiesił płaszcz, poszedł prosto do łazienki i podstawił usta pod kran, by ugasić pragnienie, które go dręczyło. Potem wrzucił ubranie do kosza z praniem i wszedł pod prysznic. Mdłości ustały. Zamiast nich pojawiło się niezadowolenie. Powinien od razu iść do domu. Nie siedzieć w tym barze. Louise będzie pytała, gdzie był i dlaczego

nie dzwonił, a on nie zamierzał opowiadać jej wszystkiego. Przyznawać się, że jego siostra się powiesiła, a rodzice kłamałi przez te wszystkie lata. Wiedział, co ona myśli o jego rodzinie, i zdawał sobie sprawę, że to byłaby woda na jej młyn.

Wyszedł spod prysznica i wytarł się, tarł ręcznikiem tak mocno, aż stało się to nieprzyjemne. Napił się jeszcze wody, w nadziei, że złagodzi to ból głowy. Po dokładnym wyszorowaniu zębów i jeszcze dokładniejszym wytarciu wszystkich białych kropek pasty na lustrze stał chwilę i patrzył na siebie. Nie potrafił znieść swojego spojrzenia. Powinien mniej pić, naprawdę, nienawidził kaca, który temu towarzyszył. Właśnie zbliżał się, nadpełzał powoli, by go postawić oko w oko z lękiem, który alkohol tylko odsunął.

Nacisnął klamkę i uchylił lekko drzwi łazienki. Wszędzie było cicho. Tylko nieprzyjemny odgłos bicia jego serca pulsował jak bas na parkiecie dyskoteki. Szedł przez przedpokój, minął pokój Ellen i znalazł się w swoim gabinecie. Po omacku szukał ręką za książkami, ale zanim znalazł butelkę, zmienił zdanie. Chciał, choć jednak nie. Poszedł do salonu. Drzwi do sypialni były zamknięte i żadne światło nie wydostawało się małą szparą pod ich krawędzią.

Na stole w kuchni stał świecznik ze świecami, które nie zostały zapalone, przed jego krzesłem kieliszek, talerz i pół butelki wina. Na kuchence dwa garnki. Zamknął oczy. Trzeba wreszcie zrozumieć, że dłużej tak się nie da. To tylko kwestia czasu, kiedy wszystko zacznie pękać. Czy ktoś mógłby mu powiedzieć, co ma robić? Wróciła do niego rozmowa z dzisiejszego rana, ale nagle złość się ulotniła. Chciał mieć tylko trochę spokoju, chciał przebaczenia. Poprawi się, postara się, żeby wszystko się zmieniło, naprawdę

to zrobi! A co tą ostatnią, jeśli dzisiejszy wieczór będzie decydujący stanie się dla niej tą ostatnią kroplą, która pomoże jej podjąć decyzję? Nagle zabrakło mu powietrza. Nacisnął dłonią klatkę piersiową, żeby sobie pomóc. Przesłanie pić, na pewno, tym razem naprawdę tego chce, bo to wcale nie było warte tego wszystkiego, nie na dłuższą metę. Wrócił do salonu i popatrzył na zamknięte drzwi sypialni. Ileż razy marzył, żeby Louise tam nie było, żeby nie czekała, ale teraz, wobec możliwości spełnienia tego życzenia, po raz pierwszy wyobraził sobie, że w sypialni rzeczywiście jest pusto. Że ona leżała w jakimś innym łóżku, obok jakiegoś innego mężczyzny. Że pokój Ellen był pusty i cichy, że jakiś inny lepszy tata zajął jego miejsce. Nagle zachciało mu się płakać, ale łzy nie napłynęły, poczuł skurcz w piersiach. Coś oderwało się tam w środku i z trudem wypływało na powierzchnię. To przyszło z samej głębi, gdzie leżało starannie zatopione w najczarniejszym błocie.

Lęk, że Louise go opuści i zostawi całkiem samego.

Axel leżał w łóżku całkowicie wybudzony. Kiedy z godzinami doby nie wiązały się już żadne specjalne wymagania, wszystkie stały się zamienne. Często leżał bez snu nocami, były to godziny czuwania, które kompensował w ciągu dnia, kiedy i tak leżał. Ale tej nocy było inaczej, co innego przesądziło o jego bezsenności. Wizyta Jana-Erika i to, co powiedział, przeniosło go z miejsca, gdzie chciał się znajdować, i rzuciło na pastwę wspomnień, do których nie chciał wracać. Teraz napływały ze wszystkich stron, jak starzy znajomi, uradowani, że wreszcie się odezwał. Chętnie dzielący się wszystkim, co mają, jak gdyby nigdy nie zostali odrzuceni. Cienie zebrały się wokół łóżka i gadały jeden przez drugiego, żeby wypełnić wszystkie luki. Fragment po fragmencie wspomnienia wypływały na światło dzienne, żeby obraz był pełny. Nawet uczucia, jakie wtedy żywił i o których chciał na zawsze zapomnieć. Bo jak nie można zebrać rozlanej wody, tak samo nie można cofnąć tego, co się kiedyś powiedziało lub zrobiło.

Pragnienie, by być doskonałym. Świadomość, że nie ma najmniejszego cienia, który by to zakłócał. Móc się oprzeć

na dziele swojego życia i w głębi duszy wiedzieć, że jest ono solidną konstrukcją.

Znów znajdował się w tym małym pokoiku, gdzie zebrali się, by przedstawiciel księgarni mógł ich poinformować o przebiegu wieczoru w teatrze w Västerås.

- ...i pomyśleliśmy, że występ Axela mógłby zakończyć wieczór. Potem będzie podpisywanie książek w foyer, są tam przygotowane stoliki i książki, a po zakończeniu ciepłe przekąski i różne różności do jedzenia, i wreszcie zabawa, która może trwać, jak długo zechcecie i dacie radę.

Axel wertował swoją książkę, czuł, że pocał mu się dłonie. To był czwarty Dzień Książki, w którym uczestniczył tej jesieni, i jak zwykle chcieli, żeby wystąpił na końcu. W podtekście znaczyło to, że to on był największym nazwiskiem wieczoru, co nie zawsze podobało się pozostałym pisarzom.

- Mam nadzieję, że będzie też coś na przepłukanie gardła, a nie tylko same ciepłe przekąski.

Po tych słowach Torgny'ego Wennberga odezwały się pojedyncze śmiechy. Jemu przypadł zaszczyt rozpoczęcia wieczoru.

- Myślę, że nikt nie będzie rozczarowany.

Siedzieli w salce za sceną. Dzień Książki był popularną imprezą w kraju i bilety na ten wieczór były wyprzedane. Pisarze mieli możliwość czytania fragmentów swoich książek, mogli krótko o nich opowiedzieć i być może kilka sprzedać. Branża księgarska pod koniec lat siedemdziesiątych stała na nieco chwiejnych nogach, gdyż ceny książek wzrosły, sprzedaż zmalała i liczba księgarni się zmniejszyła. Teraz ostrożnie zaczynał kiełkować optymizm, ale wydawcy nadal byli ostrożni. I choć jego pozycja była względnie pewna, wyczuwał lekkie zaniepokojenie wydawnictwa, że

już minęło dużo czasu, odkąd złożył ostatni manuskrypt. W rezultacie to właśnie jego wydawca namówił go, żeby wziął udział w kilku edycjach Dnia Książki, mimo że nie miał nic nowego do zaprezentowania. Sam miał wątpliwości. Książka, z którą się zmagał, jeszcze długo nie będzie gotowa, coraz częściej obawiał się, że nigdy jej nie ukończy. Całymi dniami mógł siedzieć zamknięty w swoim gabinecie i nie był w stanie napisać ani jednego słowa, z każdym mijającym dniem coraz bardziej sfrustrowany. Zaniepokojony, że coś stracił. Kiedyś tworzenie było czymś oczywistym, jak gdyby otwierał się na wszechświat, i wystarczyło tylko notować. Współpraca z boskim źródłem, którego strumień spływał przez jego pióro. Jego obowiązkiem i powołaniem było zapisanie wszystkiego, co do niego przychodziło. Czuł się wybrańcem. Proces był bardzo delikatny i wymagał wyłączenia się z ziemskich spraw, które go zakłócały. A teraz ta siła była zablokowana. Czasami zastanawiał się, czy nie stracił tego daru. Może to zgorzknienie Alice wisiało nad domem jak klosz i odcięło wszelki powiew świeżości. Odkąd Jan-Erik wyjechał do Stanów, Alice przekroczyła kolejną granicę, jeszcze trudniej było z nią wytrzymać. Jakby nawet powietrze było zatrute jej obecnością, która niszczyła wszelką kreatywność. Także i to przyczyniło się do jego decyzji, żeby wziąć udział w jesiennych wyjazdach. Możliwość odetchnięcia świeżym powietrzem.

Mimo że nie miał nowej książki, organizatorzy chcieli, żeby występował na zakończenie wieczoru. Nie czuł ani radości, ani dumy. Odcinał kupony od dawnych osiągnięć i dawało mu to tak samo mało satysfakcji, jak wspomnienie kanapki, którą zjadł, kiedy był głodny. Żył, żeby pisać, a kiedy ten dar został mu odebrany, był nikim. Wystawianie się na scenie na podziw publiczności sprawiało mu tylko przykrość, jak gdyby widzowie podglądali go przez dziurkę od klucza.

- Za dziesięć minut zaczynamy.

Organizator wieczoru wyszedł z pomieszczenia i zostali tylko pisarze. Torgny'ego znał od bardzo dawna, pozostałych dwóch nie znał. Jeden był debiutantem, drugi autorem kryminałów. Ten drugi najwyraźniej świetnie się sprzedawał, choć trudno zrozumieć, że ludzie mogą czytać taką szmire.

Torgny wyciągnął rękę po książkę, którą Axel miał na kolanach, obejrzał ją, jakby zawierała jakąś tajemnicę.

- Ach nie, właśnie, przecież ty nic nowego nie wydałeś w tym roku. To się ukazało dwa lata temu, prawda?

Obrócił książkę.

- Czyli będziesz czytał fragmenty z tego, bo pewnie jak zwykle nie zamierzasz opowiadać o swoim pisaniu.

Zaśmiał się, ale przytyk był jasny dla wszystkich. Zarówno jeśli chodziło o brak nowych książek, jak i fakt, że Axel kategorycznie nie chciał powiedzieć nawet słowa na temat swojego procesu twórczego.

- Tak, zamierzam przeczytać kilka wybranych fragmentów.

- A jak ci idzie z nową książką? Ale pewnie nie możesz nic powiedzieć, bo zaraz potem musiałbyś mnie zastrzelić?

Mrugnął do pozostałych dwóch, wyraźnie rozbawionych rozmową. Bezceremonialny ton Torgny'ego wobec tego słynącego z dystansu twórcy. Axel wiedział, jaką cieszy się sławą, ale nie zamierzał przeproszać za to, że traktuje swój proces twórczy bardzo poważnie. Dostyc było pajaców takich jak Torgny, którzy nigdy nie przepuścili okazji, żeby zwrócić na siebie uwagę. Czasami Torgny go odwiedzał, zawsze bez zaproszenia i zawsze z butelką w kieszeni. Jego wizyty niekiedy bawiły Axela jako zaskakująca odmiana w otaczającej monotonii, lecz często mu przeszkadzały. Obaj pochodzili z podobnych środowisk, obaj wyszli z biednych

robotniczych domów. Podejrzewał, że wizyty Torgny'ego brały się głównie z ciekawości i chęci kontrolowania sytuacji na bieżąco. Axel dobrze wiedział, że życzliwa przyjaźń Torgny'ego było udawana, bo przecież wyprzedzał go o kilka długości. Jego nazwisko wymieniano nawet w związku z Nagrodą Nobla. Fakt, że jeszcze nie został wybrany członkiem Akademii Szwedzkiej, był, prawdę mówiąc, niedopatrzeniem, a nie tylko rezultatem przewrażliwienia.

- Dobrze idzie, bardzo dobrze, tylko nie chcę wypuścić jej z rąk, póki nie zbliży się do doskonałości, więc jeszcze ją trochę potrzymam i będę cyzelował ostatnie drobiazgi. Lepiej nie wydawać czegoś gorszego od poprzedniej książki.

Ostatnia książka Torgny'ego miała bardzo złe recenzje, zarówno w „Dagens Nyheter”, jak i „Svenska Dagbladet”. Axela nawet trochę ubawiły sarkastyczne sformułowania.

Torgny spojrział na zegarek.

- Już chyba czas na scenę.

Axel spokojnie siedział dalej.

- No właśnie, to ty idziesz na pierwszy ogień, co?

Torgny uśmiechnął się, przymrużył jedno oko i podniósł dłoń do góry. Wyprostował palec wskazujący jak lufę pistoletu i skierował na Axela.

To była jedna z zalet Torgny'ego, przynajmniej miał poczucie humoru.

Przedstawienie, o ile to odpowiednie określenie na wydarzenie wieczoru, nie było gorsze ani lepsze, niż się spodziewał. Wprowadzenie Torgny'ego było zabawne i publiczność raz po raz wybuchała śmiechem. Otwarcie opowiadał o mękach twórczych pisarza, źródłach inspiracji i zakończył czytaniem prozy. Axel odczuwał rosnące

niezadowolenie. Książka w jego rękę z każdą minutą stawała się coraz bardziej nieaktualna, jakby została napisana przez kogoś innego, a on tylko został oddelegowany, by jej bronić. Przyszła jego kolej, przed wejściem na scenę wysłuchał jeszcze lirycznej prezentacji i starał się wejść w rolę wybitnego pisarza.

- ...który dzięki swemu unikalnemu talentowi narracyjnemu i błyskotliwemu językowi dał nam tak wiele magicznych przeżyć czytelniczych. Swoim przenikliwym wejrzeniem w głąb ludzkiej psychiki sprawia, że zaczynamy szukać pojednania w okrutnym i nieludzkim świecie. W kontraście światła i ciemności losy jego bohaterów o wyraziście zarysowanych sylwetkach nie przestają nas fascynować. Z ogromną radością mam zaszczyt przedstawić państwu dzisiaj Axela Ragnerfeldta.

On nie znał nikogo takiego. Tylko przy biurku w chwili natchnienia był tym człowiekiem, o którym była mowa. Nie tutaj i teraz, rozdygotany za kulisami przed spotkaniem z tłumem. Na trzęsących się nogach wyszedł na środek. Książka w jego rękach drżała, zastanawiał się, czy inni to widzą. Morze wyczekujących twarzy. Wykształceni, inteligentni, czytani.

Inżynierowie.

W każdej chwili mógł zostać zdemaskowany. Szybko otworzył książkę na pierwszej stronie i zaczął czytać. Czytał i czytał, aż czas minął i mógł odejść. Ogłuszające brawa publiczności zalały go jak fala, nie chciały się uspokoić. Konferansjer stanął obok niego, zadowolony z udanego wieczoru. Ktoś na widowni wstał i pociągnął za sobą innych i tak oto on, Axel Andersson, późniejszy Ragnerfeldt, stojący na piedestale i podziwiany, został nagrodzony owacją na stojąco.

I nie odczuwał przy tym niczego.

Niczego.

*

Torgny Wennberg miał już trochę w czubie, kiedy spotkali się za sceną. Axel widział to po jego oczach. Mieli teraz podpisywać książki, więc razem poszli do foyer. Nie było wątpliwości, przy którym stoliku zasiądzie Axel, już zdążyła się ustawić do niego długa kolejka. Rozproszone grupki zebrały się przy innych pisarzach, nieco więcej przy autorze kryminałów, ale widać było wyraźnie, że Torgny nie zamierza okazywać zazdrości. Poklepał Axela po plecach i skierował się do swojego stolika.

- Powiedz tylko, jeśli będziesz potrzebował pomocy.

Axel usiadł i zaczął podpisywać książki. Na stoliku leżało kilka jego starszych tytułów, niektórych zabrakło, zanim kolejka się skończyła. Jakie wspaniałe książki pan pisze, mówili obcy ludzie. Pan jest wybitny, słyszał ciągle. Z każdym powtórzeniem takich słów odczuwał coraz większą niechęć. Cóż oni wiedzieli o tym, co jest wybitne. Chciał ich zapytać: Co w moich powieściach jest takiego wybitnego, może mi pan wyjaśnić? Ten, kto potrafi określić, co jest wybitne, ma także prawo używać tego słowa, pomyślał i napisał swoje nazwisko na kolejnej książce, którą miał przeczytać jakiś następny tępak. Który nie ma pojęcia, jaki wysiłek się za tym kryje. Który tylko przebiegnie strony wzrokiem, nie poświęcając żadnemu zdaniu takiej uwagi i czasu, jak on.

Zaczęli już jeść, kiedy wreszcie skończył i wszedł do sali, gdzie był przygotowany poczęstunek. Uczestnicy i organizatorzy wieczoru, a także zaproszeni goście specjalni. Około trzydziestu osób. Długi stół z małymi kolorowymi lampionami stał na środku, a pod jedną ścianą znajdował się bufet. Nastrój był już dość swobodny.

Od razu zwrócił na nią uwagę. Jak magnes przyciągnęła jego wzrok. Skończone dzieło sztuki wśród stosu porzuconych szkiców.

- Chodź, Axelu, siadaj z nami, zajęliśmy ci miejsce.

To Torgny zawołał trochę głośniejsze, niż to było konieczne. Zawsze chętnie podkreślał, że się znają, narzucał się, by korzystać ze światła rampy. Ta kobieta siedziała obok niego, a krzesło, które wskazywał, znajdowało się naprzeciwko niej. Axel podszedł do bufetu i wziął kieliszek czerwonego wina, jego ciekawość była pobudzona jak nigdy dotąd.

- Axelu, weź całą butelkę, potrzebujemy dolewki.

Okrzyk był tak głośny, że wszystkie rozmowy się urwały, ale kiedy nic ciekawego się nie wydarzyło, znów zostały podjęte. Axel wziął butelkę czerwonego wina i podszedł do miejsca, które wskazał mu Torgny. Próbował ukryć swoje zainteresowanie. Ale prawdziwy esteta nie mógł nie dostrzec jej urody. Patrzyła na niego bez przerwy, jego spojrzenie skrzyżowało się z jej wzrokiem, lecz nie odważył się zatrzymać go na dłużej. Postawił butelkę i swój kieliszek. Torgny zaraz chwycił wino i napełnił kieliszki.

- To jest Halina, to jest Axel. Halina przyjechała ze mną, ale przedtem nie chciała wejść za scenę i przywitać się, jest trochę nieśmiała.

Torgny wyszczerzył się w uśmiechu.

- Daj spokój, po prostu nie chciałam przeszkadzać.

Wyciągnęła rękę nad stołem.

- Halina.

Axel ujął jej dłoń, była chłodna i sucha, miał wrażenie, że mogłaby się połamać, gdyby ścisnął zbyt mocno.

- Axel.

Uśmiechnęła się do niego i zapaliła papierosa. Nie mógł nic na to poradzić, ten dotyk go poruszył. Onieśmielony jak sztubak usiadł na krześle i próbował skupić uwagę na czymś innym. Jego reakcja go zaskoczyła, myślał, że w wieku czterdziestu ośmiu lat ma to już poza sobą. Tyle wody upłynęło, odkąd zdarzyło się coś takiego.

Torgny gadał jak najęty. Tym razem wyjątkowo jego gadulstwo na coś się przydawało. Axel zamienił kilka słów z pracownikiem miejscowej księgarni, lecz przez cały czas miał drażniącą świadomość obecności kobiety. Kieliszki napelniały się winem i opróżniały, poziom hałasu wzrastał, nogi krzeseł szurały po marmurowej posadzce, kiedy ludzie zaczęli wstawać i zmieniać miejsca. Torgny poszedł, żeby przynieść jeszcze coś do jedzenia, i wciągnęła go rozmowa przy bufecie. Wreszcie to ona się odezwała.

- Spotkaliśmy się już kiedyś, pamiętasz?

Axel był co najmniej zdziwiony.

- Nie, nie pamiętam. A trudno mi sobie wyobrazić, że-
bym mógł to zapomnieć.

Wino dodało mu odwagi. Jej oczy były ciemnobrązowe, twarz okalały kręcone ciemne włosy. Miała na sobie zieloną tunikę zdobioną haftami, od razu zauważył, że nie nosiła stanika. Jej makijaż był stonowany, jeśli w ogóle był, a na lewym przegubie dłoni pobrząkiwało przy każdym ruchu kilka srebrnych cienkich bransoletek.

- To było bardzo krótkie spotkanie, nic, co warto byłoby pamiętać, nie dziwię się, że zapomniałeś. Na demonstracji pisarzy w sześćdziesiątym dziewiątym.

Rzeczywiście pamiętał tamtą demonstrację, ale ich spotkania nie. W proteście przeciwko zbyt niskiemu wynagrodzeniu za wypożyczanie książek pisarze zebrali się Bibliotece Miejskiej w Sztokholmie, Goeteborgu, Malmö i Umeå, potem wraz ze wspierającymi ich bibliotekarzami opróżnili regały i wywieźli książki autobusami, by oddać je po tygodniu. Czuł się wtedy dziwnie ożywiony, jakby powrócił do swoich korzeni. W jedności siła.

- A więc ty też piszesz?

Uśmiechnęła się, bawiąc się kieliszkiem.

- Staram się, jak mogę, choć jeszcze niczego nie wydałam.

Jednak się nie poddaję, wygląda na to, że z tego, co teraz piszę, może coś wyjdzie, ale na razie utknęłam w martwym punkcie.

Głos kobiety był prawie tak samo przyjemny jak jej powierzchowność. Mimo obco brzmiącego imienia mówiła bez akcentu. Jej palce gładziły nóżkę kieliszka, a on nie mógł oderwać wzroku od ich ruchów. Chciał wyciągnąć rękę i dotknąć jej, sprawdzić, czy jej skóra jest tak delikatna, jak wygląda. Już tak dawno nie czuł bliskości kobiety. Zdarzało się, że w nocy miał wytrysk. Jak nastolatek. Ciało podejmowało desperackie próby samoregulacji, kiedy nie było innej możliwości.

- Jesteś mistrzem w sprawach dobra i zła, muszę zapytać cię o jedną rzecz.

- To ty powiedziałaś.

- Ale przecież tak się o tobie mówi.

- To coś zupełnie innego, ale pytaj, zobaczymy, co mogę zrobić.

Nagle się ożywiła. Zgasiła papierosa, wyjęła z torebki długopis, rozejrzała się za jakimś kawałkiem papieru i przysunęła sobie serwetkę. Po przekątnej serwetki narysowała dwie równoległe kreski i małe wężyki fal między nimi.

- To jest rzeka pełna krokodyli. Bez łodzi nie można się dostać na drugą stronę.

Narysowała kwadrat po jednej stronie rzeki.

- Tu mieszka Per, Per kocha Evę, która mieszka po drugiej stronie rzeki, Eva też go kocha. Pewnego dnia Per ciężko zachorował i dzwoni do Ewy z prośbą, żeby przyszła i zaopiekowała się nim, tłumaczy, jak bardzo jest chory, i prosi, żeby się pośpieszyła. Ale Eva nie ma łodzi, dlatego biegnie do Erika, który mieszka po jej stronie rzeki i jest posiadaczem łódki. Wyjaśnia mu sytuację i prosi o pożyczenie łódki, żeby mogła popłynąć do Pera.

Axel z zainteresowaniem słuchał jej słów i przyglądał się rysunkowi na serwetce.

- Ale Erik nie chce pomóc za darmo. Mówi, że Eva musi się z nim przespać, a potem on ją przeprawi na drugą stronę rzeki.

Axel podniósł oczy i spojrzał na jej twarz, śledził ruchy warg, kiedy mówiła dalej.

- Eva oczywiście jest oburzona i idzie do Olofa, który mieszka tutaj...

Zmusił się, żeby spojrzeć na serwetkę, na której pojawił się nowy kwadrat między domami Evy i Erika.

- ...i opowiada mu, co powiedział Erik. Prosi go, żeby poszedł z nią do Erika i przemówił mu do rozumu. Ale Olof nie chce się wtrącać i mówi, żeby sobie poszła. Eva nie widzi innego wyjścia, niż zrobić to, czego chce Erik, i choć jest on starym, odrażającym dziadem, idzie z nim do łóżka. Potem on zawozi ją na drugi brzeg.

Torgny wrócił do stołu, nachylił się i popatrzył na serwetkę.

- A ty znów się w to bawisz?

- Nie przeszkadzaj, odejdz.

Halina odprawiła go gestem dłoni, Torgny westchnął i odszedł, niezupełnie pewnym krokiem.

Halina dorysowywała kolejne szczegóły na serwetce. Axel wolał patrzeć na nią niż na jej rysunek.

- Czy to jest treść książki, którą piszesz?

- Nie, to dylemat moralny, do którego się musisz ustosunkować, na razie bądź cicho. Eva dociera wreszcie do swego chorego narzeczonego i opowiada, co musiała zrobić. Per się wścieka, że Eva przespała się z Erikiem i wyrzuca ją. Eva zdruzgotana idzie do Svena i opowiada, co się stało, że musiała się przespać z Erikiem, żeby pomóc Perowi, który potem ją wyrzucił. Rozzłoszczony Sven idzie do Pera i bije go za karę.

Halina podniosła wzrok.

- Nadążasz?

- Chyba tak, miłe stosunki sąsiedzkie panują w tej wiosce.

Odłożyła długopis i wyjęła nowego papierosa, zapaliła i wydmuchała dym kącikiem ust.

- Chcę wiedzieć, kto z nich popełnił najwięcej błędów. Na pierwszym miejscu umieść tego, kto najbardziej zawinił.

- Ja mam o tym zdecydować?

- Nie decydować, ale powiedzieć, co sądzisz? To jest chyba temat, który powinien ci się spodobać.

- Staram się raczej stawiać ciekawe pytania niż na nie odpowiadać.

- Ale musisz chyba mieć jakieś zdanie? Teraz masz okazję posmakować swojego lekarstwa.

Przysunął do siebie serwetkę i przyjrzał się rysunkowi. Narysowała nawet malutkiego krokodyla. Na plaży, tuż przy pomoście Erika. Znów podniósł oczy i wydawało mu się, że widzi zarys jej brodawek pod tuniką.

- A co ty sądzisz?

Odchyliła się do tyłu i spojrzała na niego. W sali rozległ się charakterystyczny śmiech Torgny'ego, oboje odwrócili głowy i spojrzeli w jego stronę. Siedział na sofie z kieliszkiem w jednej i butelką w drugiej ręce.

Halina zaciągnęła się papierosem.

- Ja wiem, co sędzę.

- A więc kto to jest?

- Olof.

- Olof?

Skinęła.

- Ale przecież on jest jedynym, który właściwie nic nie zrobił.

- No właśnie, dlatego.

Na chwilę przypomniało mu się pierwszych pięć lat z Alice. Wszystkie abstrakcyjne rozmowy, które wzbogacały

ich pisanie. Dialogi, które urwały się i ucichły. Spojrzał na Torgny'ego, który z zamkniętymi oczami się działał rozparty na sofie. Nigdy by nie przypuszczał, że Torgny mógłby wzbudzić w nim zazdrość. Ale teraz ją czuł. Zawstydzająca zawiść. Mieć kobietę, z którą można rozmawiać.

- Miałam dziewięć lat, kiedy wojna się skończyła i wyszłam z Trebłinki.

Podciągnęła rękaw i pokazała rządęk wytatuowanych cyfr.

- Moją mamę zastrzelili już przy wysiadaniu z pociągu, ale siostrze i mnie udało się przeżyć za drutami trzy lata. Tuż przed wyzwoleniem siostra zmarła z wyczerpania.

Axel szukał słów.

- Nie wiem, co mam powiedzieć. Poza tym oczywiście, że współczuję utraty bliskich.

- Dziękuję.

Milczeli przez chwilę. Halina zgasła papierosa. Wokół nich wieczór rozkręcał się w najlepsze.

- Tego zła, które widziałam w obozie, nie da się pojąć.

Nie sposób zrozumieć, jak ludzie mogą się tak zachowywać, jak coś takiego może się zdarzyć. Ale wiem jedno, ludzie, którzy pracowali tam w obozie, uważali, że robią coś dobrego, nie postrzegali siebie jako złych. Kierowali się swoimi przekonaniem i sądzili, że ci, co decydują i wydają rozkazy, posiadli odpowiednią prawdę. Bo kto decyduje o tym, co jest dobre, a co złe? Z której strony trzeba patrzeć, żeby uzyskać właściwy obraz?

Axel dolał wina do kieliszków.

- Może trzeba próbować widzieć wszystko oczami drugiej strony.

Halina prychnęła.

- I myślisz, że my, ludzie, jesteśmy do tego zdolni?

Gdyby tak było, świat nie wyglądałby tak jak teraz.

- Nie o to chodziło w pytaniu, tylko o to, co powinniśmy zrobić.

Halina uniosła kieliszek, ale zaraz go odstawiła.

- Ja myślę, że najgorsze, co się może zdarzyć społeczeństwu, to sytuacja, kiedy ludzie przekazują odpowiedzialność komuś innemu, a sami wyrzekają się własnego zdania i nie podejmują żadnych działań.

Wyciągnęła rękę po serwetkę i narysowała kółko wokół domu Olofa. Potem dwiema kreskami przekreśliła je na krzyż.

- Wszyscy ci, którzy wiedzieli, co się dzieje, którzy myśleli, że to coś złego, ale jednak niczego nie zrobili, czyż to nie jest zło? Na przykład wy tu w Szwecji ze strachu o własną skórę pozwalaliście przejeżdżać niemieckim pociągom i nawet dokarmialiście żołnierzy po drodze. Wasz król podobno napisał list do Hitlera i pogratulował mu sukcesów na froncie wschodnim. Wszystkie wasze banki i przedsiębiorstwa nadal robiły interesy z nazistami i zarabiały masę pieniędzy, a potem nigdy nie musiały się tłumaczyć. Czyż to nie jest zło? Weź na przykład bank Enskilda, mówi się, że oni między innymi zajmowali się skupowaniem papierów wartościowych, które naziści ukradli holenderskim Żydom. W czterdziestym pierwszym roku ich prezes został komandorem Orderu Orła Niemieckiego za Zasługi. To sam Hitler utworzył to odznaczenie. Przyznawano je ludziom, którzy wyświadczyli ogromne przysługi Trzeciej Rzeszy. Ilu klientów banku dzisiaj zawraca sobie tym głowę, jak myślisz? Albo weźmy Hugo Bossa. To on projektował i szył mundury oficerów SS. To raczej nie są rzeczy, którymi chwali się w reklamach.

Rysowała małe kółka na serwetce.

- Byłam tylko dzieckiem i każdego dnia czekałam, aż ktoś przyjdzie i uratuje nas. Byłam pewna, że gdy tylko ktoś się dowie, co się tam dzieje, przyjdą ludzie i zaraz nas uwolnią.

To właśnie chyba najbardziej boli, bo potem się okazało, że tak wielu ludzi po prostu się na to godziło, a nawet czerpało z tego korzyści. A potem zmienili stronę i szli dalej, jakby się nic nie stało.

Axel słuchał dalszego ciągu jej opowieści, jak samotna, apatyczna i niedożywiona przyjechała do Szwecji na okęcie szpitalnym „Prins Carl”. Jak przez pierwszy okres mieszkała w sanatorium, gdzie dochodziła do siebie, a potem przeniosła się do swojej ciotecznej babki, której udało się uciec do Szwecji zaledwie na kilka dni przed tym, jak jej najbliżsi zostali zamknięci za murami warszawskiego getta.

- I nie myśl, że było się mile widzianym w Szwecji, kiedy miało się w paszporcie J jak Jude. Przeszmuglowano ją na kutrze rybackim, nigdy nie odważyła się zarejestrować oficjalnie, nawet już po wojnie, choć próbowałam ją namówić. Umarła na zapalenie płuc pod koniec lat pięćdziesiątych, bo bała się iść do doktora. Kiedy ją tam wreszcie zaprowadziłam, było za późno.

Pamiętał ustawę sprzed wybuchu wojny, choć był wtedy za młody, żeby naprawdę ją rozumieć, i dopiero po fakcie dotarł do niego jej cynizm. Obcokrajowiec mógł zostać wydalony ze Szwecji, jeśli istniało podejrzenie, że zamierza opuścić swój kraj na zawsze. Równocześnie w Niemczech były przepisy, które przyznawały Żydom prawo do opuszczenia kraju tylko pod warunkiem, że nigdy nie wrócą. Żeby imigrantom przyznać prawo pobytu w Szwecji, wymagano gwarancji, że mają się z czego utrzymać, a równocześnie Żydzi opuszczający Niemcy nie mogli wziąć ze sobą swojego mienia. Szwedzkie stanowisko było jasne. Chodziło o to, żeby zapobiec osiedlaniu się w Szwecji wielkiej masy żydowskich uchodźców. Kiedy wojna się zaczęła, żydowska imigracja ustała niemal całkowicie.

Halina zamilkła i siedziała, bawiąc się serwetką. Chciał położyć rękę na jej dłoni, ale nic miał odwagi.

- Masz jeszcze jakąś rodzinę w Szwecji?

Potrząsnęła głową i upiła łyk wina. Obserwował ją zafascynowany. Była ocalona. Piękna jak nowy dzień. Oszołomiony tym wszystkim, siedział w milczeniu i zastanawiał się, co powiedzieć. Nagle ona zmieniła pozycję na krzesło, jakby chciała strząsnąć z siebie to, co powiedziała, sprowadzić rozmowę na inne tory.

- Wiesz, ten moralny test sprawdzono na całej masie ludzi. Prawie nikt na pierwszym miejscu listy nie stawia Ewy.

- No nie, przecież ona właściwie się poświęca. Robi to wszystko nie ze względu na siebie.

- Ale jedno jest dość interesujące. Jeśli zamiast nazywać ją Eva, nada się jej jakieś zagraniczne imię, wtedy rezultat wyraźnie się różni. Nie pamiętam procent, ale bardzo wiele osób pomyślało nagle, że to ona popełnia najwięcej błędów.

- Czy to możliwe?

- Tak, tak jest. Obce imię to nie jest coś, czym się należy chwalić, wiem coś o tym. Pewien wydawca, z którym się kontaktowałam, a podobało mu się to, co piszę, powiedział wprost, że jeśli chcę coś wydać, powinnam pisać pod pseudonimem.

- Naprawdę?

Zamilkła i długo na niego patrzyła. Potem uśmiechnęła się lekko.

- Jesteś dość naiwny, jak na kogoś, kogo uważa się za tak mądrego i światłego.

- Chyba nie jestem mądrzejszy niż inni, plotki czasem nawet przyćmiewają sam ich powód.

Zapadła cisza, ale niekrępująca, raczej pełna poufałości.

- A czy jesteś szczęśliwy?

Uśmiechnął się i przez chwilę się namyślał.

- To zależy, co rozumiesz pod tym słowem.

Wzruszyła nieznacznie ramionami.

- Szczęśliwy, czyli zadowolony z życia, tak myślę.

- Nie wiem. A ty?

Teatralnym ruchem splotła ramiona.

- Nigdy nie odpowiadasz na pytania, czy zdajesz sobie sprawę, że tylko odbijasz piłeczkę?

- Naprawdę?

- Tak, właśnie tak robisz. Czy to takie przykre dopuścić kogoś blisko do siebie?

- To zależy.

Rozplotła ręce, pochyliła się do przodu i podparła dłonią podbródek.

- Od czego?

Od dawna Axel nie spotkał się z takim wyzwaniem, nie wiedział, jak ma zareagować. Czuł się zarówno pobudzony, jak i zirytowany. Zirytowany, bo zagrażała jego integralności, a był przyzwyczajony do tego, że ludzie spontanicznie ją szanowali. Pobudzony, bo była odważna, bo dawała mu odpór, z którym warto było się zmierzyć.

- Teraz szczęście traktuje się jako prawo, niemal jak obowiązek. Jeśli oczekuje się zbyt wiele, istnieje duże ryzyko rozczarowania.

- A więc boisz się rozczarowania, tak?

Przez cały czas uśmiechała się, jakby się z nim drażniła, patrząc mu prosto w oczy. Oboje mieli świadomość tego, co się właśnie dzieje.

- Nie wiem. A ty?

- Znów to zrobiłeś.

- Co takiego?

- Odbiłeś piłeczkę.

- Przecież już odpowiedziałem.

Napiła się wina.

- Czytałam gdzieś, że człowiek, który zawsze na pierwszym miejscu stawia zasadę ostrożności, dławi życie, które chce ratować.

Nagle jej palec pogładził wierzch jego dłoni. Szybka pieśczoła, tego tylko brakowało.

Nikt w sali tego nie zauważył, wszyscy byli pochłonięci własnymi rozmowami i przeżyciami. Poczł pulsowanie w członku, powinien poprawić spodnie, żeby zrobić miejsce, ale nie miał odwagi opuścić dłoni. Tyle czasu minęło, odkąd ktoś go dotykał, tyle czasu on nie dotykał drugiej osoby. To, co już uznał za martwe, nagle obudziło się do życia, przebłysk tego, czym kiedyś był.

- A ty? Czy Torgny jest mężczyzną, który daje ci szczęście?

Cofnęła dłoń.

- Torgny jest moim przyjacielem, ale nie moim mężem. Nie jesteśmy parą ani niczym takim, jeśli to masz na myśli.

Popatrzyła na Torgny'ego daleko od nich, spał z otwartymi ustami na sofie.

- On jest... trochę za płytki, tak bym to określiła.

Chwilę później jej spojrzenie zatoneło w jego wzroku, poczuł między udami jej stopę.

- Lepiej się czuję w głębszych wodach.

Białý szum w uszach. Inni ludzie w sali przestali istnieć. Tylko jej stopa na jego członku i ta wolna od stanika krągłość pod bluzką. Nie było żadnych przeszkód, nie było niemocy twórczej, nie było Alice, nic już nie było ważne. Tylko cel jego pożądanía, na wyciągnięcie ręki, po drugiej stronie stołu.

Dlaczego miałby powiedzieć nie? I tak nikt mu nie podziękuje. Na pewno nie Alice, która już od dawna go nie chciała.

Więc dlaczego, na wszystkie świętości, miałby powiedzieć nie?

Żaden człowiek nie wywarł takiego wpływu na mojego ojca i jego pisarstwo, jak pewien mężczyzna nazwiskiem Joseph Schultz. Był on ideałem i wzorcem dla mojego ojca. Pamiętam też, że ilekroć ojciec mi o nim opowiadał, za każdym razem coraz lepiej rozumiałem, że z pewnością dobrze jest mieć dobre myśli, lecz prawdziwe dobro rodzi się z czynów.

Widownia teatru w Västerås była prawie pełna. Kristoffer siedział w jednym z tylnych rzędów i już po kilku minutach odczytu żałował, że nie usiadł bliżej. Był pewny, że wreszcie usłyszy coś ważnego, więc nie chciał, żeby od mówcy odgradzała go masa tłustych karków i zlepionych w strąki włosów. W skupieniu przysłuchiwał się słowom Jana-Erika Ragnerfeldta.

- Siedmiu z ośmiu żołnierzy patrolu nie wahało się, byli gotowi wykonać rozkaz i podnieśli karabiny. Ale Joseph Schultz poczuł nagle, że nie może.

Kristoffer rozejrzał się po sali. Widzowie siedzieli jak urzeczeni. Wyglądało na to, że czuli mniej więcej to samo co on, oszołomieni, że wreszcie trafili na kogoś, kto mówił o rzeczach istotnych, kto miał coś do przekazania. Kogoś, kto wystawił nos ponad powierzchnię tego oceanu płycizny i

cynizmu, jaki zalewał dzisiejsze życie. Kto nie bojąc się patosu, nie uciekając się do żarcików dla przypodobania się publiczności, miał odwagę wierzyć w zdolność myślenia swoich słuchaczy. Ich pragnienie, by doznać oświecenia.

Czy siedzący teraz obok niego to byli naprawdę ci sami ludzie, którzy później, w drodze do domu, dadzą się skusić tytułom w rodzaju *Naucz się właściwie chodzić w szpilkach* albo: *Mówimy wow!, kiedy w gazecie napalona Emma zdejmuje swoją mokrą koszulkę*.

- Jak to możliwe, że człowiek może dokonać takiego wyboru jak Joseph Schultz? Jaka cecha różniła go od pozostałych żołnierzy patrolu?

Kristoffer pomyślał o jednej z książek na półce w wynajmowanym mieszkaniu. Zdążył już przeczytać ją kilka razy. Autor napisał, że człowiek mógł wyjść ze stadium zwierzęcego i rozwijać cywilizację, bo silni zwyciężyli słabych, zdolni niezdolnych, inteligentni głupich. Zaczął się zastanawiać, czy ta czystka nie trwa nadal? Ale w takim razie jak do tego doszło, że teraz to ci głupi i niezdolni zajmują najwięcej miejsca i są najbardziej słyszalni?

- Być może Joseph Schultz rozumiał, że śmierć dopadnie go, nawet jeśli zostanie wśród swoich i naciśnie spust karabinu. Być może czuł, że jeśli wybierze posłuszeństwo rozkazom, zabije w sobie także tę ostatnią maleńką cząstkę, która czyni go człowiekiem.

Kristoffer uśmiechnął się. To nie był przypadek, że usłyszał te słowa, to sam los wyciągnął rękę i skierował go do Västerås, by dotarło do niego przesłanie Jana-Erika Ragnerfeldta. Wiara w ludzkość, którą tak trudno mu było zachować, została wzmocniona, więc uspokojony i wdzięczny chłonął dalszy ciąg historii Josepha Schultza.

Mieć odwagę oddać życie za swoje przekonania, wybrać śmierć, nie przystosowanie.

Prawdziwy niezapomniany i wzór.

Od dawna pragnął znaleźć kogoś takiego. Wszystko, co usłyszał, przekonywało go, że był na dobrej drodze. Sprawy, o które w swoich rozważaniach tylko się ocierał, lecz nie miał odwagi ich zaakceptować, nagle stały się łatwiejsze do ogarnięcia. Jan-Erik Ragnerfeldt mówił o nich, a wszyscy słuchali, sprawiali wrażenie, że się z nim zgadzają. Może nadszedł najwyższy czas, żeby naturalni przywódcy wzniesli się ponad masę przeciętności i przejęli stery? Pionierzy, odważni, którzy nie godzili się na zniewolenie, dążyli do autentyczności, byli także wystarczająco inteligentni, by nie pozwolić się oszukać. Czytał o ludziach, którzy kupili ekologiczne samochody, ale kiedy etanol podróżował o kilka ore, jeździli mimo wszystko na benzynie. Zwracał uwagę klientom, którzy mijali obojętnie ekologiczne mleko i warzywa, gdyż są za drogie, ale ich wózki pełne były napojów gazowanych i słodczy. Może to było uwarunkowane genetycznie? Niektórzy już od urodzenia dzięki swemu dziedzictwu byli lepiej wyposażeni. Tak niewielu było gotowych służyć przykładem i brać odpowiedzialność za swoje czyny. Teraz nadszedł czas, żeby wizjonerzy położyli kres uciskowi i zaczęli kształtować przyszłość. Pozostałym, którzy nie chcieli być odpowiedzialni i woleli się podporządkować, trzeba było przewodnictwa. Świat potrzebował rewolucji, bo ta żyjąca jak barany masa nie rozumiała, co jest dla niej dobre.

- Mój ojciec i Joseph Schultz rozumieli, że nasze czyny są jak nasze dzieci, żyją dalej i niezależnie od nas i naszej woli nadal działają. Joseph potwierdził prawdę mądrości ludowych, że cicha zgoda dobrych jest równie obrzydliwa jak złe uczynki zbrodniarzy. Udowodnił, że przezwyciężając własny strach, odnosimy także zwycięstwo nad naszym największym wrogiem.

Gdy mówcę nagrodziły spontaniczne oklaski, Kristoffer poczuł coś w rodzaju dumy. Wiele łączyło go z mężczyzną na scenie. Sprawy, o których często myślał i o których nie miał z kim porozmawiać. Tylko z Jesperem mógł wymieniać myśli. Ludzie woleli nieustająco się bawić. Wszystko, co było niewygodne, niosło ze sobą wiedzę albo wymagało myślenia, odrzucano. Był przekonany, że to jakaś zмова. Że ktoś, gdzieś pociąga za sznurki, żeby ogłupić ludzi, utrzymać ich w niewiedzy, gdyż wtedy łatwiej nimi sterować. Wreszcie, wreszcie trafił na kogoś, współtowarzysza walki. Kogoś, kogo mógł szanować.

Światła na widowni przygasły, Jan-Erik Ragnerfeldt zaczął czytać fragment jednej z książek ojca. Jego głos był zaskakująco podobny do głosu Axela. Kristoffer oparł się wygodnie i smakował migotliwy arcyzm, który rodził się w przestrzeni między słowami.

Czuł dziwną radość.

Potem przyszła kolej na pytania publiczności. Na widowni zapaliły się światła, do rąk widzów trafił bezprzewodowy mikrofon. Jan-Erik Ragnerfeldt udzielił głosu osobie z przedniej części sali, której Kristoffer nie widział. Głos należał do starszego mężczyzny.

- Przede wszystkim muszę panu podziękować za bardzo, bardzo piękny i inspirujący odczyt. Chciałem też powiedzieć, że miałem wielki zaszczyt prezentowania pańskiego ojca właśnie na tej scenie przed wielu, wielu laty. Chyba było to na początku lat siedemdziesiątych, bo jeszcze przed Nagrodą Nobla, ale pamiętam, że publiczność wtedy była tak samo zachwycona jak my dzisiaj wieczoru.

Jan-Erik Ragnerfeldt uśmiechnął się i uklonił.

- Dziękuję bardzo. Tak, jeśli mnie pamięć nie myli, ojciec w tym czasie rzeczywiście brał udział w różnych imprezach literackich.

- Chciałem też zapytać, co pański ojciec robi dzisiaj, czy nadal coś pisze?

Jan-Erik Ragnerfeldt po ledwo dostrzegalnym wahaniu odpowiedział:

- Cierpi na różne dolegliwości związane z wiekiem, które uniemożliwiają mu pisanie. Ale pozdrawia serdecznie wszystkich państwa dzisiaj tu zebranych, widuję go prawie codziennie. Czy ktoś jeszcze ma jakieś pytanie?

Kristoffer przypomniał sobie, po co tu przyszedł, ale oczywiście nie mógł zadać swojego pytania tu i teraz. Musiało poczekać na swoją kolej. Jego niepokój zniknął, fakt, że znalazł się tutaj dzisiejszego wieczoru uznał za znak, że idzie właściwą drogą. Będzie mógł zapytać o Gerde Persson. A przy okazji poznać Jana-Erika Ragnerfeldta.

Kiedy Jan-Erik zszedł ze sceny i widownia zaczęła pustoszeć, on siedział ciągle na swoim miejscu. Uznał, że zanim podejdzie do Ragnerfeldta, da mu chwilę odpocząć. Wiedział, że aktorzy w teatrze są wdzięczni, kiedy się im nie przeszkadza zaraz po przedstawieniu.

Na widowni został już tylko on i jakaś kobieta w jednym z pierwszych rzędów. Kristoffer udawał, że czegoś szuka. Zerknął na scenę i zobaczył, że tamta kobieta wchodzi po schodach z boku i znika za kulisami. Spojrzał na zegarek. Do odjazdu pociągu miał godzinę i kwadrans. Dużo czasu.

Posiedział jeszcze dłuższą chwilę. Potem pomyślał, że jeśli się szybko nie zdecyduje, Jan-Erik może wyjść, ale mimo to ciągle jeszcze zwlekał i pozwolił minutom mijać. To, co

tak łatwo było zrobić w myślach, nie zawsze było równie proste w rzeczywistości. Próbował przekonać siebie samego, że jego sprawa była ważna, że Gerda Persson stanowiła wystarczająco ważny łącznik między nimi. To powinno przecież zainteresować nawet Jana-Erika Ragnerfeldta. Właśnie zamierzał wstać, kiedy na scenę wyszedł jakiś mężczyzna. Skierował się w stronę mównicy i gdy się przy niej znalazł, zauważył Kristoffera.

- Czy czeka pan na kogoś?

Kristoffer podniósł się.

- Chciałem zamienić kilka słów z Janem-Erikiem Ragnerfeldtem, o ile to możliwe.

Mężczyzna spojrzął za kulisy, potem znów na Kristoffera.

- Czy on wie, że pan na niego czeka?

Na ułamek sekundy Kristoffer się zawahał, ale potem kłamstwo gładko przeszło mu przez usta.

- Jesteśmy przyjaciółmi, chciałem mu zrobić niespodziankę.

Mężczyzna na scenie, uspokojony, zaczął odkręcać lampę do czytania.

- W takim razie proszę wejść przez tamte drzwi z tyłu, a potem pójść na lewo. Drugie drzwi po prawej stronie.

Kristoffer podszedł szybko do sceny, potem skierował się dalej tą samą drogą co tamta kobieta przed nim. Uśmiechnął się przyjaźnie do mężczyzny przy mównicy i zagłębił się w czarne draperie. Kłamstwo było uzasadnione, przynajmniej nie był to jakiś ewidentnie podły uczynek. Czasami można było nieco przesunąć granice, żeby w rezultacie udało się osiągnąć ważne cele.

Przed drzwiami, do których go skierowano, zwlekał jeszcze przez chwilę. Stał w pustym korytarzu, ale skądś dobiegały głosy. Przyłożył ucho do drzwi, ale po drugiej stronie

było całkiem cicho. Ostrożnie zapukał. Żadnej reakcji. Może Jan-Erik zdążył już wyjść. Delikatnie nacisnął klamkę. W środku paliło się światło, a na wieszaku przy ścianie wisiał płaszcz.

- Halo?

Usłyszał coś i za chwilę w uchylonych drzwiach ukazał się Jan-Erik Ragnerfeldt. Miał koszulę wypuszczoną na spodnie, na szyi widać było czerwone plamy.

- Słucham?

Kristofferowi wydało się, że w jego głosie słyszy zniecierpliwienie.

- Przepraszam, że przeszkadzam, nazywam się Kristoffer Sandebloom i chciałbym prosić pana o chwilę rozmowy.

Jan-Erik Ragnerfeldt spojrział na coś, co było za drzwiami. Kristoffer poczuł zniechęcenie. Tak wybitny prelegent onieśmiał go.

- A o co chodzi?

Spróbował szybko i zwięźle przedstawić swoją sprawę.

- Chodzi o Gerde Persson.

Twarz Jana-Erika zmieniła się. Znów spojrział na coś, czego Kristoffer nie mógł zobaczyć.

- Chciałbym tylko zadać panu kilka pytań, jeśli to możliwe.

Jan-Erik sprawiał wrażenie, jakby nie mógł się zdecydować, ale potem odwrócił się, podszedł do płaszcza na wieszaku i wyjął coś z kieszeni.

- Kochanie, możesz pójść pierwsza, ja zaraz do ciebie dołączę.

Gdy się odwrócił, miał w ręku białą, perforowaną plastikową kartę.

- Pokój czterysta trzy.

W następnej chwili Kristoffer zrozumiał. Zza drzwi wyszła kobieta, którą widział wchodzącą za kuliszy, wzięła

magnetyczny klucz z ręki Jana-Erika. Palcem przesunęła po wierzchu jego dłoni.

- Tylko nie zostań za długo.

Kristoffer odwrócił wzrok, czuł się coraz bardziej skrępowany. Kobieta wzięła swoją kurtkę i uśmiechnęła się do niego, kiedy usunął się, żeby ją przepuścić. Potem zamknęła za sobą drzwi.

- Nie chciałem panu przeszkadzać.

- Nie ma sprawy, to była moja żona, spotkamy się za chwilę. Czasami towarzyszy mi podczas wyjazdów z odczytami.

Jan-Erik włożył koszulę do spodni i zaproponował mu jedno z krzeseł. Otworzył dwie butelki wody Ramlösa i jedną podał Kristofferowi, który upił łyk i odstawił butelkę.

- Muszę zacząć od podziękowań za fantastyczny odczyt. Był znakomity. Ostatnio rzadko słyszy się ludzi mówiących o ważnych sprawach, to było naprawdę swego rodzaju uwolnienie.

Jan-Erik spuścił wzrok.

- Dziękuję bardzo, miło mi słyszeć, że się panu podobało, dziękuję.

Przez chwilę Kristofferowi wydawało się, że Jan-Erik Ragnerfeldt się zaczerwienił, ale potem pomyślał, że to sprawa światła.

Nagle Kristoffer poczuł, że jest na niższej pozycji, i zapragnął udowodnić swoją wartość, pokazać, że nie jest tylko zwykłym słuchaczem, lecz osobą, której komplementy mają większą wagę, bo wie, o czym mówi.

- Jestem dramaturgiem i dla mnie było to bardzo inspirowane przeżycie. Piszę teraz sztukę dla teatru na Kungsholmen i jeśli pan pozwoli, wyślę panu i pańskiej żonie zaproszenia na premierę.

Jan-Erik spojrzął na zegarek.

- Ach tak, a więc jest pan dramaturgiem?

- Napisałem sztukę *Szukaj i zastąp wszystkie*, która została wystawiona kilka lat temu, może pan o niej słyszał?

Czoło Jana-Erika pokryło się zmarszczkami zadumy.

- Nie, nie przypominam sobie, żebym słyszał. Nie chodzę zbyt często do teatru, niestety.

Zapadła krótka cisza. Jan-Erik pił ramlöse.

- Czy pan też pisze?

- Nie, nie. Mam wystarczająco dużo pracy z pisarstwem taty. Jak pan się nazywa? Nie zapamiętałem.

- Kristoffer Sandebloom.

- Wydaje mi się, że gdzieś już to nazwisko słyszałem.

- Być może Marianne Folkesson wymieniła je, to ona podała mi pańskie nazwisko. Jestem spadkobiercą Gerdy Persson.

- Właśnie od niej je usłyszałem.

Kristoffer podniósł butelkę i napił się wody, żeby zyskać na czasie. Od czego powinien zacząć?

- Sprawa wygląda tak: nie znam Gerdy Persson, o ile wiem, nigdy się nawet nie spotkaliśmy. Nie mam najmniejszego pojęcia, skąd ona wiedziała o moim istnieniu.

Jan-Erik zmarszczył czoło.

- To zastanawiające.

- Tak, rzeczywiście. Poza tym zrozumiałem teraz, że to ona musiała być osobą, która od dawna co miesiąc wysyłała mi pieniądze, mniej więcej odkąd skończyłem osiemnaście lat, żadne duże sumy, ale jednak. Więc nie wiem właściwie, o co mam pytać. Może pan wie coś o niej, co mogłoby stanowić wyjaśnienie?

Jan-Erik zastanawiał się przez chwilę, potem powoli potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia, bo, wie pan, nie miałem kontaktu z Gerdą mniej więcej od siedemdziesiątego dziewiątego,

osiemdziesiątego roku, albo jakoś tak. Pracowała w domu moich rodziców, lecz ja wyprowadziłem się stamtąd właściwie już w siedemdziesiątym drugim. Ona została tam jeszcze kilka lat, ale ja wtedy dość długo byłem za granicą.

Kristoffer słuchał uważnie. 1972 rok. Wtedy mieszkał z rodzicami. Spokój, który miał w sobie, już się rozwiął. Jak zawsze, kiedy zbliżał się do prawdy.

Jan-Erik klepnął się dłońmi w uda, jakby dla podkreślenia, że wszystko, co było ważne, zostało już powiedziane i można się rozejść. Ale Kristoffer nie wstawał, sam zaskoczony tym, co chce zrobić. Po raz pierwszy w życiu chciał powiedzieć, ujawnić swoją tajemnicę. Przed człowiekiem, który dziś wieczorem okazał się tego godzien. Wreszcie odkrył to, czego zawsze szukał, miał takie uczucie, jakby odnalazł część swojej rodziny.

Jan-Erik spojrzał na zegarek.

Kristoffer doznał ukłucia irytacji z powodu jego braku zainteresowania, ale już podjął decyzję i nie mógł się cofnąć, zresztą nie mógł też oczekiwać, że Jan-Erik zrozumie wyjątkowość sytuacji, jeśli Kristoffer mu jej nie wyjawia.

Serce biło mu bardzo szybko.

- Bo sprawa wygląda tak, że ja... To jest dla mnie szczególnie ważne, ponieważ ja...

I zamilkł, bo tego, co chciał powiedzieć, nie dało się wymówić. Że też tak małe słowo mogło kryć tak wielki ból.

Jan-Erik spojrzał na niego. Miał dziwny wyraz twarzy i Kristoffer zebrał siły na to nieuniknione. Zamknął oczy.

- Jestem podrzutkiem.

Otworzył oczy. Wrażenie ciężkości, jakiego nigdy wcześniej nie czuł, ogarnęło całe jego ciało, nagle nie mógł się ruszyć. Jan-Erik siedział jak zeszywniały. Poruszały się tylko jego nieustannie mrugające powieki.

Jakby to miało mu pomóc w ogarnięciu tej informacji. Dopiero po dłuższej chwili się odezwał:

- To znaczy, myśli pan, że to mogłoby mieć coś wspólnego z Gerdą?

- Nie wiem.

Kristoffer oddychał głęboko, żeby zmniejszyć nacisk ciężaru, który wtlaczał go w krzesło.

- Nie znam swojego pochodzenia, ale oczywiście taka myśl pojawiła się, kiedy się okazało, że zapisała mi swój majątek. Ale, jak już mówiłem, o ile wiem, nigdy przedtem się nie spotkaliśmy.

- Myśli pan, że Gerda mogła być pana matką?

- Nie, to byłoby niemożliwe, kiedy się urodziłem, miała około pięćdziesięciu ośmiu lat. Ale skądś musiała wiedzieć, że jestem... podrzutkiem. Mieszkałem u rodziców adopcyjnych od małego, więc to nie jest coś, o czym wszyscy wiedzą, zresztą ja też nie chodziłem i nie rozповідаłem o tym naokoło.

Spuścił wzrok.

- Tak naprawdę mówię o tym po raz pierwszy.

Jan-Erik, dotychczas odchylony na krzesło, nagłym ruchem zmienił pozycję

- W którym roku się pan urodził?

W jego głosie zabrzmiał całkowicie nowy ton.

- Myślę, że w siedemdziesiątym pierwszym. Może siedemdziesiątym drugim.

- Jak to, myślę?

- Nikt nie wie na pewno, ile miałem lat, kiedy mnie znaleziono.

- Ale nie może być tak, że urodził się pan dopiero w siedemdziesiątym szóstym?

- Nie, bo w siedemdziesiątym piątym znalazłem się u mojej przybranej rodziny.

Jan-Erik sprawiał wrażenie, jakby nie wiadomo dlaczego

mu ulżyło, wstał, wziął aktówkę i wyjął z niej butelkę glenlivet.

- Przyda się nam szklanka czegoś mocnego. Napije się pan?

Kristoffer spojrział na butelkę. Jan-Erik przysunął małą tackę z czterema szklankami i nalał do dwóch, wziął jedną, a drugą podał Kristofferowi.

- Tak, to zadziwiająca historia, ale naprawdę nie wiem, jak mogę panu pomóc. Nie mam pojęcia, co łączy te sprawy.

Zapach ze szklanki drażnił nozdrza Kristoffera. Całe ciało przygotowało się na przyjęcie tego, za czym tęskniło. Tej małej części, której brakowało, żeby poczuł się kompletny. Tylko jeden, tylko ten jedyny raz, bo pierwszy raz, zdradzał komuś swoją tajemnicę.

- Nie ma też ludzi, których można by zapytać. O ile pamiętam, Gerda nie miała zbyt wielu znajomych. Zwykle zostawała w domu, nawet gdy miała wolne.

Kristoffer spojrział na szklankę. Płyn mienił się odcieniami bursztynu. Tak bardzo chciał się napić, choć jeden łyk, przecież zasłużył, żeby go postrzegano jako kogoś równego sobie. Nie był w stanie powiedzieć całej prawdy, odsłonić przed Janem-Erikiem jeszcze jednej haniebnej tajemnicy. Że nie tylko był podrzutkiem, ale także alkoholiczkiem. Nagła złość stała się dla niego ratunkiem. Co on sobie wyobraża, ten mężczyzna przed nim, kim on w ogóle jest? Ten, który siedzi przed nim ze szklanką whisky i zastanawia się od niechcienia nad pochodzeniem Kristoffera, a za chwilę o wszystkim zapomni i pójdzie do hotelu zjeść z żoną wyborną kolację. Który dzięki swemu pochodzeniu mógł jeździć sobie po kraju i grzać się w blasku nazwiska swego ojca. Sam nie potrafił pisać, przekazywał tylko to, co jego ojciec kiedyś stworzył. Jakie to proste, tak znakomicie się ustawić.

Szklanka w dłoni Kristoffera była taką pokusą, że za chwilę nie będzie mógł się powstrzymać.

- Która jest godzina?

- Pięć po wpół do dziesiątej.

Odstawił whisky i wstał z krzesła.

- Mój pociąg zaraz odjeżdża, muszę iść.

Jan-Erik wychylił ostatnie krople, podniósł się, uściśnił sobie ręce.

- A więc życzę panu powodzenia.

- Wzajemnie.

Kristoffer poczuł, że musi jak najszybciej wyjść na świeże powietrze. A równocześnie ogarnęło go ogromne zmęczenie, nogi ledwie go niosły. Szedł tą samą drogą, którą przyszedł, przez scenę i widownię do foyer. Nim wyszedł, zatrzymał się i odetchnął głęboko, próbował przekonać siebie, że dobrze zrobił, opowiadając wszystko. Bo teraz zaczynał żałować. Przekazał swoją tajemnicę komuś obcemu, ale gdy zdjął ciężar, nie czuł się lekki, lecz obnażony. Chciał wrócić i wszystko odwołać, powiedzieć, że wcale nie było tak, jak powiedział. Nie chciał, żeby Jan-Erik Ragnerfeldt wiedział, że jest kimś, kogo odrzucono jak stary grat.

Poszukał swojej komórki. Zamierzał zadzwonić do Jespera i usłyszeć jego głos. Przeżyć coś normalnego, co łączyło się z czasem sprzed ujawnienia tajemnicy. Odczekał cztery sygnały, potem włączyła się poczta głosowa. Nie zostawił wiadomości.

Po drugiej stronie ulicy był park, przez który musiał przejść w drodze na dworzec. Pełen cieni, straszył ukrytymi tajemnicami. Był w połowie ulicy, kiedy ogarnął go lęk przed ciemnością, ale musiał zdążyć na pociąg, niczego bardziej nie pragnął niż znaleźć się w swoim mieszkaniu. Zatrzymał się na chodniku i opuścił głowę. Przed jego stopami na asfalcie była ciemna plama, podłużny, zaokrąglony

kształt, w którym nagle zobaczył oko. Nie wiedząc, dlaczego to robi, stanął na środku plamy i zamknął oczy. W następnym momencie ku swemu zdziwieniu usłyszał, że nuci.

Gwiazdko, gwiazdko, pięknie świeć, poprzez chmury do mnie leć.

Otworzył oczy i spojrzał w stronę parku.

Ciemność już go nie przerażała.

Przestał się bać.

Gdy Axel się obudził, był sam. Widocznie miała dość taktu i wymknęła się w nocy, żeby uniknąć pożegnania, które zepsułoby ich przeżycie. Przecież i tak nie powiedzieliby sobie nic więcej niż to, co już zostało powiedziane. Czuł wdzięczność, że to się zdarzyło, ale w tej chwili wszystko zdawało się niedorzeczne. Z ramionami skrzyżowanymi pod głową rozmyślał o minionej nocy. Jakie to dziwne, że był obiektem pożądania kobiety, że mógł wzbudzić jej namiętność. Choć teraz w Alice budził wyłącznie niechęć. Nie chciał cofnąć wydarzeń, wprost przeciwnie, czuł radość z tego powodu. Myślał, że pożądanie już go opuściło, że zniknęło po tych wszystkich latach posuchy. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że mu go brakuje, namiętność przeniósł na pisanie, które zastąpiło mu kochankę. Wiedział już, że to była jednorazowa historia, nie czuł potrzeby kontynuowania jej. Spotkali się przypadkiem i skorzystali z okazji, nie można było dopatrywać się w tym czegoś innego. Teraz pojedzie do domu i będzie dalej pracował nad swoją książką, w nadziei, że to, co się zdarzyło, dostarczy mu inspiracji. Wstał i poszedł do łazienki. Nalał wody do szklanki i wypił.

Mimo lekkiego bólu głowy był w świetnym nastroju .

Nie poszedł na śniadanie, postanowił napić się kawy na dworcu. Chciał zachować wspomnienie tej nocy, jakie miał w tej chwili, czyste i niezniekształcone. Jak kiedy był dzieckiem i przeżywał coś specjalnego, co tylko jemu się przydarzyło i mógł potem nosić to jak skarb, bezpieczny w jego sercu.

Do stacji postanowił udać się pieszo. Nie pożegnał się z nikim i wyszedł.

Szedł przez park w stronę dworca. Noc była chłodna i w cieniu ziemię przykrywała lekka warstewka szronu. Po szarych i ponurych tygodniach dziś jesienne słońce wychynęło ze swojej kryjówki. Powietrze było tak przejrzyste, że oczy zaczęły mu łzawić. Chciał wrócić do domu, do swojej pracy. Tak długo czekał, by iskierka znów się zapaliła. Teraz właśnie czuł ją znowu, wytęsknioną i upragnioną.

Pociąg miał zaraz odjechać. Axel Siedział sam w przedziale dla ośmiu osób, wdzięczny losowi zasunął oszklone drzwi na korytarz. Patrzył na szklaną karafkę na ścianie, zastanawiając się, kiedy ostatni raz zmieniano w niej wodę. Na stoliku rozłożył notatnik i długopis, ale nie zdążył napisać nawet jednego słowa, kiedy drzwi się rozsunęły i do środka weszli Torgny i Halina.

- A więc jesteś jednak! Gdzie się podziewałeś?

Torgny upychał walizki na półce. Oczy Axela i Haliny się spotkały. Nie mógł wydobyć z siebie słowa. Torgny usiadł i zdjął szalik. Miał nabiegłe krwią oczy, roztaczał nieświeży zapach alkoholu.

- Do diabła, ależ mnie głowa łupie, nie rozumiem, skąd się to bierze, chyba muszę ograniczyć palenie.

Uśmiechnął się porozumiewawczo i poklepał dłonią siedzenie obok siebie.

- No chodź, kobieto, siadaj tu.

Halina powiesiła kurtkę. Torgny zauważył notes Axela.

- Czy ty trochę nie przesadzasz, nie mów tylko, że siedzisz tu i piszesz?

Axel pozbierał swoje rzeczy i schował do skórzanej aktówki.

- Nie, tylko coś notowałem.

- Kurde, Ragnerfeldt, musisz się nauczyć czasem odpuścić i rozluźnić się trochę, zejść na ziemię tu do nas śmiertelników i wyciągnąć tego drağa, co go masz w dupie.

Torgny zaśmiał się i czekał na podziw w oczach Haliny. Axel zrozumiał, że Torgny nadal jest podchmielony. Jego język czasem wykraczał poza granice przyzwoitości, ale to było zbyt wulgarnie nawet jak na niego. Halina otworzyła drzwi.

- Idę do toalety.

Gdy wychodziła, jej spojrzenie zetknęło się ze wzrokiem Axela.

- No, co myślisz?

Torgny uśmiechnął się i skinął głową w stronę drzwi.

- Sprawia bardzo miłe wrażenie.

- Kurde, Ragnerfeldt, daj spokój, widziałem, jak patrzyłeś na nią wczoraj. Nie miałem cholernego pojęcia, że taki chutliwy cap w tobie siedzi.

Axel milczał. Język, którego używał Torgny, zostawił za sobą na osiedlu prowizorycznych domów na Ringvägen. Oblicze, jakie teraz Torgny pokazał, było tyleż nowe, co odpychające. Nawet w innej sytuacji miałby problem z taką rozmową.

Torgny nachylił się do niego.

- To prawdziwa dzika bestia, mówiąc między nami. dziś w nocy nie zmrużyłem oka, trochę drzemałem na sofie w czasie popijawy, ale to się nie liczy. Mogę się tylko poskarżyć, że odkąd się wprowadziła, niewiele udało mi się napiścić, możesz mi wierzyć, ale wszystko ma swoje dobre i złe strony.

Przez kilka sekund Axel usiłował znaleźć jakieś możliwe do przyjęcia wyjaśnienie. Potem musiał zadowolić się takim, które przyprawiało go o mdłości.

Torgny jest moim przyjacielem, ale nie moim mężem. Nie jesteśmy parą ani niczym takim, jeśli to masz na myśli.

A więc okłamała go, wprowadziła w błąd. Zwiodła go, by popełnił czyn, który był zdecydowanie poniżej jego godności. Zdrada wobec Alice to własny wybór, może nieszczerólny powód do chwały, ale w tamtej sytuacji do przyjęcia. Ale nikt nie dobiera się do kobiety kolegi. Nagle okazało się, że jest coś winien człowiekowi, którym pogardzał. Który cuchnąc wódką, siedział naprzeciwko i zanieczyszczał aurę swoją odrażającą mową. Ze swojej pozycji przewagi zjechał na sam dół i był teraz daleko poniżej Torgny'ego, gdyż w ich relacjach to on był osobą, która popełniła najobrzydliwszy czyn.

Ta myśl była odrażająca.

Gdy Halina wróciła, Axel omijał ją wzrokiem. Ich przeżycie nagle zmieniło charakter - okazało się zgniłą perwersją, to, co zrobił, było sprzeczne z zasadami, jakie mu wpojono. Lojalność, moralność i przyzwoite życie.

- Przepraszam, ale przeniosę się do innego wagonu.

Torgny protestował, ale Axel go nie słuchał. Chciał tylko wyjść z tego przedziału, żeby nigdy więcej nie oglądać żadnego z nich. Spieszył się, myślał tylko o tym, żeby znaleźć się jak najdalej stąd.

- Zaczekaj, coś ci wypadło.

Stał już na korytarzu i zamierzał właśnie zasunąć drzwi.

Halina podniosła coś z podłogi, a on, nie patrząc jej w oczy, wziął to z jej ręki i włożył do kieszeni płaszcza. Potem poszedł do najodleglejszego wagonu i stał tam, aż pociąg zatrzymał się na Dworcu Centralnym w Sztokholmie.

W domu skierował się wprost do gabinetu i zamknął drzwi. Po drodze minął Gerdę, która wzięła od niego aktówkę i powiedziała, że pani położyła się, by odpocząć, a córka jest w swoim pokoju, przeziębiła się i nie poszła do szkoły. W tej chwili nie chciał spotkać nikogo, więc poprosił Gerdę, by przekazała, żeby mu nie przeszkadzano.

Nie wychodził z pokoju przez całe popołudnie. Tuż przed szóstą poszedł do kuchni i poprosił Gerdę, żeby podała mu obiad do gabinetu. Nie napisał ani jednego słowa, wszystkie myśli krążyły wokół nocnej przygody i rozważań, jak mógłby ją wymazać z pamięci. Około dziewiątej poddał się, wziął swój pusty talerz i wyszedł do kuchni. Przy stole siedziała Annika z długopisem i kartką papieru listowego. Zaskoczony zauważył, że jest już duża. Już nie dziewczynka, lecz prawie kobieta.

Kiedy Axel wszedł do kuchni, podniosła wzrok.

- Cześć.

- Cześć.

Podszedł do zlewu i odstawił talerz, wziął szklanekę i napełnił wodą z kranu. Usiłował sobie przypomnieć, czy ona rzeczywiście ostatnio skończyła czternaście lat?

- Co robisz?

- Piszę list do Jana-Erika.

Napił się wody. Weszła Gerda i dygnęła, kiedy go zobaczyła. Już sam nie pamiętał, ile razy ją prosił, żeby przestała to robić, w końcu się poddał.

- Proszę pana, przepraszam, ale znalazłam to w kieszeni

pana płaszcza, myślałam, że to może jest coś ważnego.

Odstawił szklankę i podszedł do niej. Wyciągnęła do niego rękę z małą złożoną karteczką, rozłożył ją i przeczytał:

Pośpiesznie...

Dziękuję za cudowną noc.

Odezwę się, gdy tylko będę mogła.

Twoja H

Szybko zgniótł świstek i spojrzał na Gerdę. Nie odwzajemniła spojrzenia, a jej zamknięta twarz miała trudny do zinterpretowania wyraz - przeczytała czy nie. Bez słowa wyszedł z kuchni i wrócił do gabinetu, podarł karteczkę na maleńkie skrawki i wyrzucił do kosza. Potem zastanawiał się przez chwilę, wstał i otworzył drzwi.

- Gerdo!

Odczekał kilka sekund, potem zawołał znowu:

- Gerdo! Czy Gerda może przyjść tu na chwilę?

Zjawiła się zaraz, a jej onieśmielone spojrzenie kilka razy skrzyżowało się z jego wzrokiem, by potem utkwic w jakimś punkcie na ścianie za jego plecami.

- Chciałem zamienić kilka słów, czy Gerda może wejść na chwilę?

Starął się, żeby jego głos zabrzmiał łagodnie, żeby jej nie wystraszyć. Przytrzymał drzwi i zamknął je, kiedy przekroczyła próg. Zatrzymała się tuż za nimi, Axel zaś podszedł do biurka i usiadł. Jej wyraźnie widoczne katusze złagodziły nieco jego męczarnie, mimo to potrzebował podkreślenia statusu, jaki dawało mu biurko.

- Chcę, żeby Gerda wiedziała, że Torgny Wennberg nie jest już w tym domu mile widziany. Jeśli przyjdzie, proszę mu powiedzieć, że mnie nie ma.

Gerda dygnęła.

- Tak, proszę pana.

- Na litość boską, niech Gerda przestanie dygać!

Przerażona, podniosła głowę i jej spojrzenie trafiło prosto w jego źrenice. Tym razem stracił cierpliwość. Była ponad dziesięć lat starsza od niego, a mimo to stała przed nim, dygając jak zbesztana uczennica.

- Tak, proszę pana.

Axel natychmiast pożałował swojego wybuchu. Wiedział, że pracowała jako służąca od końca lat dwudziestych, kiedy panowały inne zwyczaje i oczekiwano od niej właśnie takiego zachowania, lecz mimo to, patrząc na jej uniżoność, zawsze czuł się dotknięty. Tak bardzo przypominało mu to matkę i ojca. Zawsze zginali karki przed zwierzchnością. Nawet przed nim, teraz, jakby był kimś obcym.

- Niech Gerda wybaczy, nie chciałem podnosić głosu.

Postępowała najlepiej, jak umiała, Axel zdawał sobie sprawę, że Alice wymagała innego reagowania na polecenia niż on.

Gerda nie odezwała się. Stała przy drzwiach ze spojrzeniem wbitym w dywan.

- Czy to wszystko? - spytała.

Axel zastanawiał się chwilę. Czy powinien wspomnieć o karteczce? Jeśli ją przeczytała, wtedy to, co powie, nada całej sprawie znaczenie. Jeśli jej nie przeczytała, zdradzi się w ten sposób. Zdecydował się milczeć. Gdyby Halina się odezwała, wtedy jasno i zdecydowanie wyjaśni jej, że nie jest zainteresowany dalszą znajomością, czyli nie będzie potrzeby wtajemniczenia Gerdy. Cała sprawa będzie skończona i wszystko potoczy się dalej, jakby nic nie zaszło.

- Tak, to tyle.

Gerda dygnęła i szybko wymknęła się z pokoju.

Axel siedział i patrzył na zamknięte drzwi. Gerda i to, co reprezentowała, było pozostałością minionych czasów. Obecnie zatrudnianie gosposi nie było dobrze widziane, zwłaszcza w kręgach intelektualistów, gdzie wiały lewicowe wiatry i należało wyrównywać różnice klasowe. Ale prawda była taka, że bez niej nigdy by sobie nie poradzili.

Minęły cztery dni. Cztery dni, podczas których znów nie udało mu się nic napisać, i oślepiąco biały papier, witający go rankiem, był taki sam, kiedy kapitulował wieczorem. Alice miała kilka lepszych dni, kiedy nic szczególnie jej nie rozdrażniło, przebywała głównie w bibliotece. Wieczorami do jego gabinetu przenikał dźwięk telewizora. Parę razy wychodził i próbował dotrzymać jej towarzystwa, w milczeniu oglądali Columbo albo jakiś program rozrywkowy, ale nie mógł długo usiedzieć i wracał do gabinetu. Wiedział, że tęskni za Janem-Erikiem i jest jej przykro, że tak rzadko się odzywa. Kiedy przychodził list, zawsze był zaadresowany do Anniki. Czasami odnosił wrażenie, że Alice jest najbardziej przywiązana do dzieci, kiedy są z dala od niej. Nastolatce, która mieszkała pod ich dachem, nie poświęcała zbyt wiele czasu. Nie mógł zrozumieć, dlaczego znów nie próbuje pisać. Gdy dzieci były małe, wymawiała się nawalęm zajęć, ale ta wymówka już nie miała racji bytu. Niekiedy, siedząc nad pustą kartką, zazdrościł jej, że już nie musi próbować.

Kiedy położył się do łóżka, ona jeszcze była na nogach. W oczekiwaniu na sen jego myśli wróciły do nocy z Haliną. Ale jej osobiście tam nie było, jej twarz została pozbawiona rysów. Jego fantazje śledziły drogę jego dłoni na skórze, na kobiecej skórze. Pamiętał, jak jego ręce ją objęły, jak chętnie

się otworzyła, dźwięki, które wytwarzała. Jak oddawała mu się bez żadnych zahamowań. Alice nigdy tego tak nie robiła, nawet zanim wszystko zwietrzało. Teraz zastanawiał się, czy nie popełnił fatalnej pomyłki, budząc popęd, za którym już nawet nie tęsknił. Bo jak miał go teraz zaspokoić? Z Alice przed telewizorem? Myśl była nedorzeczna, wręcz odstręczająca. Ale jeśli nawet? Jak zdobyć się na odwagę potrzebną do wykazania inicjatywy? I jak zdobyć się na odwagę, żeby zaryzykować odrzucenie? Czy w ogóle możliwe było jeszcze odrodzenie pożądania, jakie kiedyś wobec niej czuł, które od dawna było stłumione przez wszystkie klótnie, obojętność, milczenie. Pamiętał, jak to było wtedy, w pierwszych latach małżeństwa. Kiedy kochali się i leżeli razem, każde wsłuchane w rytm serca drugiego. Uczucie, że samotność ich nie dotyczy.

Odkrycie, że teraz trudniej było współżyć seksualnie z żoną niż z obcą kobietą w hotelu, zafascynowało go, to była inspirująca myśl. Może da się to wykorzystać w twórczości?

Poczucie winy zaczęło się rozmywać. Od czasu do czasu przemknęło jakieś wspomnienie, ale z łatwością udawało mu się je ignorować. Co się stało, to się stało, tylko czas może zatrzeć jego błęd. Ale piątego dnia po nocy z Haliną, kiedy wrócił z ubikacji, zastał na biurku grubą kopertę bez znaczka. Odwrócił przesyłkę. Natychmiast poczuł gniew, kiedy zobaczył pojedynczą literę H. Tylko H. Jak gdyby łączyło ich jakieś tajemne porozumienie. Wyszedł, żeby poszukać Gerdy. Znalazł ją klęczącą przed piecem kaflowym w salonie.

- Skąd to się tu wzięło?

Gerda wstała szybko i wygładziła rękami swój roboczy kitel. Axel podsunął jej kopertę.

- Wisiało w siatce na drzwiach wejściowych, widocznie przyniósł posłaniec, ale nie słyszałam żadnego dzwonka.

Axel przyjął tę informację i odwrócił się, żeby odejść. Przez uchylone drzwi biblioteki zobaczył żonę. Siedziała w fotelu i czytała książkę. Nie odrywając oczu od lektury, zapytała:

- Co to jest?

- Nie wiem.

- Jak to, nie wiesz?

- Jeszcze nie otworzyłem.

- No to dlaczego tego nie zrobisz, może wtedy otrzymasz wyjaśnienie.

Nie odpowiedział, wrócił do swojego gabinetu. Zamknawszy drzwi, rozerwał kopertę i wyjął gruby plik kartek. Natychmiast zrozumiał, że to manuskrypt jej książki. Pisany ręcznie na liniowanym papierze. Do pierwszej kartki spinaczem biurowym przypięła list napisany na maszynie. Axel szybko przebiegł wzrokiem jego treść:

*Axelu, godziny, które minęły, nie były samotne, w myślach ciągle jesteś ze mną. Ponieważ nie bardzo mogę się wyrwać, chciałam Ci przynajmniej posłać moją książkę. Byłabym bardzo wdzięczna za Twoje mądre uwagi. Nikt inny tego jeszcze nie czytał (sam zobaczysz, że to wykra-
cza daleko poza horyzont Torgny'ego!). Twoje piękne oczy są wszystkim, czego potrzebuje mój tekst.*

Twoja Halina

*PS Cieszę się bezgranicznie, że wreszcie się spotkali-
śmy!*

Z początku nie mógł się zdecydować, co drażniło go bardziej. Jej intymny ton, zakładający, że odwzajemniał jej zainteresowanie, czy bezczelna prośba, roszczenie sobie praw do jego cennego czasu. Gdyby chciał być redaktorem,

zatrudniłby się w wydawnictwie, ale mało co interesowało go mniej niż desperackie wysiłki pisarza debiutanta.

Wepchnął list z manuskrytem z powrotem do koperty i otworzył drzwi do garderoby. Położył wszystko na stosie papierów i wrócił do biurka.

Było dwadzieścia po drugiej.

Nadszedł wieczór, a on nadal nie zdołał napisać ani słowa.

Padał deszcz. Niż, który rozgościł się już latem, nadal nie ustępował. Deszcz padał przez cztery dni, a niebo było tak ciemne, że już przed południem w domu trzeba było palić światło. Do skrzynki na listy dostała się woda, ale Axel i tak zdołał dokładnie odczytać tekst na kartce, którą po wizycie listonosza podała mu Gerda. Napisana czarnym atramentem, odkryta do wglądu dla wszystkich.

Restauracja Prinsen 17.00 dziś. Twoja H

Gerda zdążyła już odejść, a on znów siedział niezdecydowany. Nie wiedział, dlaczego to było dla niego takie ważne, czy Gerda rozumie, czy nie. Raczej wykluczał, żeby mogła wygadać się przed Alice, więc nie to było powodem, była jakaś inna przyczyna. Coś w nim potrzebowało akceptacji Gerdy. Słyszał wesołe śmiechy z kuchni, kiedy jego matka i ojciec przychodzili z wizytą, żartobliwe rozmowy, które cichły, gdy próbował się włączyć. Wspólnota, z której on teraz był wykluczony. Chciał mieć Gerdę po swojej stronie, upewnić się, że to, co na jego temat przekazywała osobom, do których już nie potrafił dotrzeć, było życzliwe. Była jego łącznikiem ze światem, który mu odebrano.

Odwrócił kartkę. Obrazek małego kotka na różowej jedwabnej poduszce. Klucz do garderoby leżał w szufladzie, poszedł i włożył kartkę do pudła z listami od czytelników.

Oczywiście nie zamierzał iść do Prinsen, ale jej natarczywość zniszczyła jego koncentrację. Jakakolwiek odpowiedź, oprócz pomijania jej milczeniem, oznaczałaby, że reaguje na jej prośby. Od dawna był przyzwyczajony, że respektowano jego polecenia, i jeśli coś nie pasowało, podejmowano odpowiednie kroki. Teraz zaś on był ofiarą jej niepożądanych pomysłów. Nieustannie wciskała się w jego myśli i w ten sposób miała władzę, jakiej nigdy jej nie dawał. W tej chwili to było nieznośne, a na dłuższą metę nie do przyjęcia.

Deszcz ciągle padał. Dziennik telewizyjny donosił o rekordowych opadach. Nigdy dotąd we wschodniej Szwecji nie spadło tyle deszczu, co w październiku i listopadzie tego roku.

Zadzwonili z wydawnictwa z prośbą o spotkanie. Zamierzano wznowić kilka jego starszych tytułów, trzeba było wybrać nowe okładki. Niechętnie opuścił gabinet i taksówką pojechał do miasta. Musiał też poprosić o większą zaliczkę, a to zawsze było upokarzające. Alice nic o tym nie wiedziała, ale istniały powody do niepokoju. Jeśli wkrótce niczego nie napisze, sytuacja będzie alarmująca.

Przyjęto go kawą i drożdżówkami i dopiero pod koniec rozmowy jego wydawca ostrożnie zapytał, jak mu idzie z nową książką. Skłamał, mówiąc, że dobrze. Może na wiosnę zdoła skończyć. Pożałował w tej samej chwili, kiedy uświadomił sobie konsekwencje tego kłamstwa. Za to dostał kolejną zaliczkę.

*

Kiedy wyszedł na ulicę, deszcz wreszcie przestał padać. Stał chwilę przed bramą i zastanawiał się, czy nie przejść się do Slussen, a potem kolejką Saltsjöbanan pojechać do domu. Właśnie chciał ruszyć, kiedy poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Może to był dym z papierosa, może jego instynkt, a może przez cały czas w głębi duszy na to czekał. Jeszcze zanim się odwrócił, wiedział, kto to jest. Napotkał jej uśmiech. W jego głowie nie zostało nic z tego, co chciał jej powiedzieć, nie był w stanie wykrztusić ani jednego słowa. Jego silna niechęć sprawiła, że przewaga była po jej stronie. Już karteczkę w kieszeni płaszcza odczuwał jako naruszenie swojego spokoju, a wszystkie te dni pełne strachu przed nowymi próbami kontaktu były jednym wielkim aktem przemocy.

Upuściła papierosa i wykonała ruch, jakby chciała go objąć. Axel zrobił krok do tyłu, by tego uniknąć.

- Posłuchaj, Halino, ja...

- Cśśś.

Położyła palec na jego wargach, co zupełnie wytrąciło go z równowagi.

- Pozwól mi tylko na ciebie chwilę popatrzeć.

Czuł zapach tytoniu. Odsunął jej rękę od swojej twarzy i puścił, jakby chciał się pozbyć czegoś nieprzyjemnego. Uśmiech zniknął z twarzy Haliny równie nagle, jak nagle było jego pojawienie się.

- Co się stało, dlaczego jesteś taki dziwny?

Drzwi budynku wydawnictwa otworzyły się i wyszło dwóch mężczyzn. Axel poznał jednego z nich, pozdrowił go skinieniem, zrobił wszystko, by sytuacja wyglądała naturalnie. Przez cały czas obserwował Halinę, która zdawała się analizować nową sytuację. Poszperała chwilę w torbie, wyjęła nowego papierosa, zapaliła i szybko wydmuchała dym.

- Czy to przypadkiem nie ja powinnam być obrażona? Czy wiesz, ile czasu siedziałam i czekałam w Prinsen?

- Nigdy nie mówiłem, że zamierzam tam przyjść.

- Ach tak. A więc nie pomyślałeś nawet, żeby poświęcić trochę czasu i zadzwonić do restauracji, powiedzieć, że coś ci wypadło i nie możesz przyjść, oszczędziłoby mi to wielu nieprzyjemności.

Jeszcze raz zebrał się w sobie i zaczął pojednawczym tonem:

- Halino, nie wiem, jakie miałaś nadzieje, ale musisz poniechać prób nawiązania kontaktu, wiesz, że jestem żonaty.

Prychnęła.

- W Västerås brzmiało to trochę inaczej.

- Nie, wiem, szkoda, że tak się stało, ale myślałem, że nie, że tylko, że to tylko ty wtedy...

- Chciałeś się tylko pieprzyć?

Axel zamknął oczy i zasłonił twarz dłońmi. Sytuacja, w jakiej się znalazł, była tak absurdalna, że mimo sprawności zawodowej brakowało mu słów. Oto w wieku czterdziestu ośmiu lat stoi na ulicy i usiłuje zakończyć romans, którego nigdy nie zamierzał zaczynać. W nadziei, że będzie lepiej zrozumiany, rozłożył ramiona i gestami próbował sugerować rozwiązanie.

- Wybacz mi, proszę, jeśli robiłem ci jakiegokolwiek nadzieje, że coś między nami może być, naprawdę, nie zwykłem tak się zachowywać, ale co się stało, to się nie odstanie. Zakładałem, że oboje traktujemy to jako jednorazową historię, mam rodzinę i dzieci, i naprawdę bardzo cię przepraszam.

Uśmiechnęła się, ale teraz był to zupełnie inny uśmiech.

- A więc to wszystko, co chciałeś mi powiedzieć?

- Tak, niestety, ale tak musi być.

Zaśmiała się krótko, bezdźwięcznie.

- A więc ty Axel Ragnerfeldt, obrzydliwie wyniosły pisarz, ty myślisz, że można tak po prostu mnie przelecieć, a potem wyrzucić jak zużyty ręcznik?

- Ależ proszę cię, Halino.

Mówił błagalnym tonem, ale ona tylko potrząsnęła głową.

- Jak mogłam być taka głupia, do jasnej cholery!

Nagle ogarnęło go poczucie, że ma do czynienia z dzieckiem.

- Proszę, Halino, szczerze cię przepraszam za to, co się stało, ale czy nie możemy rozstać się w przyjaźni, naprawdę nie możemy?

Zaciągnęła się papierosem.

- Wiesz, co robię, kiedy jestem zła na siebie?

Westchnął.

- Czy nie możemy po prostu...

- Kiedy złościsz się na siebie, robię tak.

Wyciągnęła do niego rękę. Nie zdążył jej powstrzymać. Z sykiem zgasiła papierosa na swoim obnażonym przegubie. Axel oderwał jej dłoń i patrzył przerażony na czarno-czerwoną dziurę, którą zostawił żar.

- Czyś ty zwariowała?

Stała nieruchomo, jakby ból ją ogłuszył. Rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy ktoś zauważył, co się stało, ale w pobliżu nie było nikogo. Rękaw jej kurtki opadł i zasłonił ranę, Axel wziął ją za rękę. Uwolniła się i cofnęła kilka kroków, potem odwróciła się i ruszyła przed siebie. On stał dalej w tym samym miejscu, całkowicie wytracony z równowagi. Halina przeszła przez jezdnię, a on stał nieporuszony, niezdolny pojąć, co się wydarzyło. Najbardziej przerażyło go nie to, co zrobiła, ale to, co zobaczył w jej oczach. To coś w jej spojrzeniu umknęło mu poprzednim razem, lecz tym

razem dostrzegł to wyraźnie. Nie chciał istnieć w jej świadomości, być częścią tego, co zajmowało jej myśli.

Po drugiej stronie ulicy Halina nagle zatrzymała się i odwróciła w jego stronę.

- Hej, Axel!

Stał nieruchomo, wyczekując.

- Skoro masz taką bujną fantazję, to możesz teraz iść do domu i zastanowić się, co twoim zdaniem mogę zrobić, kiedy jestem zła na kogoś innego?

Jan-Erik obudził się sam w pokoju czterysta trzy. Jego jedynym towarzyszem w łóżku była pusta butelka po glenlivet i mnóstwo małych kolorowych buteleczek z minibaru. Leżały rozrzucone na kwiecistej kołdrze, na której, jak się właśnie zorientował, zasnął w ubraniu. Kiedy wrócił do hotelu, klucz, który tak sprytnie przekazał dziewczynie w garderobie teatru, czekał na niego w recepcji, najwidoczniej przerwa przyniosła jej opamiętanie. W tamtej chwili poczuł wdzięczność, ale za to musiał opróżnić minibar w pustym hotelowym pokoju. Nienawidził pokoi hotelowych. Ta podszycia lękiem izolacja. Klaustrofobiczne poczucie, że znajduje się w sytuacji tymczasowej, odcięty od świata i poza wszelkimi wspólnotami. Zawsze sprawdzał plan dróg ewakuacyjnych. Zapamiętywał wyjścia awaryjne, żeby wiedzieć, w którą stronę ma biec, gdyby zaczęło się palić. Próbował przekonać siebie, że prawdopodobieństwo pożaru akurat tej nocy, kiedy on tu przebywa, jest znikome, ale z drugiej strony, czyż wszyscy spaleni żywcem goście hotelowi tak właśnie nie myśleli, zanim pochłonęły ich płomienie lub zadusił dym, przez który nie mogli znaleźć wyjścia.

Podniósł się z trudem i podparty na łokciu rozejrzał za wodą. Na bocznym stoliku stała butelka wody Loka, ale odległość wydawała mu się nie do przebycia. Opadł z powrotem na poduszki i zamknął oczy. Chciał być w innym miejscu i w innym czasie. To nie mógł być kac, to coś innego, toczyła go jakaś choroba. Serce biło z wysiłkiem, słyszalne w całym pokoju. Lęk, który każdej myśli dodawał ostrych kolców. Każda część jego ciała usiłowała walczyć z zatruciem. To niemożliwe, żeby sam się do tego doprowadził, że to było z jego winy.

Leżał w całkowitym bezruchu i usiłował sobie wmówić, że jego stan nie zagraża życiu.

Była za dziesięć szósta.

Kac nie pozwalał mu zasnąć.

Zapadł w niespokojne odrętwienie i udało mu się przetrwać czterdzieści minut. Potem wbrew swojej woli znów odnalazł się w rzeczywistości. Ostrożnie zbliżał się do wczorajszego dnia. Oderwane wrażenia, które stopniowo układały się w jakiś porządek. Obudził się w domu. Sztokholmski ranek. Louise i Ellen już zdążyły wyjść. Myślał o Annice, o jej wyborze, o żalobie, którą musiał teraz przeżyć od nowa. I o tym, jak ma potraktować trzydziestoletnie kłamstwo rodziców.

Na nowo odkryty lęk, że Louise może go opuścić, powrócił w świetle dnia. Poprzysiął sobie, że zmieni swoje postępowanie. Już nigdy z wyrzutami sumienia nie będzie wracał do domu, nigdy nie będzie się budził w kaftanie bezpieczeństwa kaca. Chciał pokazać, że naprawdę zamierza walczyć. O co, nie wiedział do końca, wiedział tylko, że nie zniesie, żeby tak istotne decyzje zapadały ponad jego głową. W drodze na dworzec przeszedł obok butik Louise. Na drzwiach była wywieszka: „Zamknięte”, nie odbierała też komórki. Z podskórnym niepokojem wsiadł do pociągu i obiecał sobie, że będzie lepszym ojcem, lepszym mężem, lepszym człowiekiem.

Mógł sobie nawet wyobrazić, że zadzwoni do tego terapeuty, jeśli właśnie to było potrzebne.

Ale potem stał na scenie w świetle reflektorów. Czuł, jak każdy por jego skóry otwiera się i chciwie wchłania ten bezwarunkowy podziw publiczności. Czuł adrenalinę krążącą w żyłach, siłę, jaką daje uznanie, płomień. A ona siedziała tam i wielbiła go, nie mogła się nasycić tym, co jej dawał. To było takie naturalne, że opór był niemożliwy.

I tak jeszcze raz dał się uwieść pokusie.

Dziękował Bogu, że to ona podjęła decyzję, nie on.

Zostanie lepszym człowiekiem. Naprawdę.

Następnym razem obudził go dźwięk komórki. W nadziei, że to Louise, po omacku szukał aparatu. Dzwonił do niej wczoraj kilka razy, ale nie odebrała. Ani nie oddzwoniła.

Odchrząknął, żeby nie było słychać, że właśnie został wyrwany ze snu.

- Jan-Erik Ragnerfeldt.

- Przepraszam, tu Marianne Folkesson. Mam nadzieję, że nie obudziłam pana moim telefonem?

Jeszcze raz odchrząknął.

- Nie, nie, ależ skąd, jestem tylko trochę przeziębiony

Z wysiłkiem usiadł na łóżku. Kilka małych butelek spadło z brzękiem na podłogę.

- Chciałam zapytać, czy udało się panu znaleźć jakąś fotografię na pogrzeb. Jest coraz mniej czasu, więc chciałam się dowiedzieć...

- Szukałem, ale, niestety, jeszcze nic nie znalazłem.

Tak bardzo chciał być pomocny. Zwłaszcza tego ranka bardzo tego chciał. Żeby żaden człowiek źle o nim nie myślał.

- Ale będę jeszcze szukał, teraz jestem w Västerås, wrócę do domu po południu, czy wystarczy, jeśli dam pani odpowiedź jutro?

- Oczywiście. Będziemy się musieli pośpieszyć z powiększeniem, ale powinniśmy zdążyć.

Zamierzał jechać prosto do domu. Zrobić zakupy po drodze i być już po kawie, kiedy Ellen wróci ze szkoły.

- Chciałam jeszcze powiedzieć, że dałam pański numer telefonu Kristofferowi Sandeblomowi, temu, który jest wymieniony w testamencie, mam nadzieję, że to nie problem, ale on koniecznie chciał skontaktować się z kimś, kto znał Gerdę.

Jan-Erik przypomniał sobie nagle odwiedziny w garderobie. Ten dziwny mężczyzna i niezwykle okoliczności. Absurdalne podejrzenie, że mógłby być synem Anniki, że to miało coś wspólnego z jej samobójstwem. Poniosła go fantazja, ale opowieść obcego nałożyła się na niedawne rozważania. Z ulgą stwierdził, że daty się nie zgadzają. Teraz, z bolesną jasnością, jaką dawał dystans, uświadomił sobie, jak jego nedorzeczne podejrzenie świadczyło o zaufaniu, jakie miał do swoich rodziców. Świadomość ta przepełniła go smutkiem.

Odchrząknął kolejny raz.

- Już z nim rozmawiałem, przyszedł do mnie wczoraj wieczorem po odczycie i muszę przyznać, że to jest dziwna historia. Niestety, nie mogłem mu pomóc. Wygląda na to, że jest podrzutkiem, ale nie mam pojęcia, jaki mógłby mieć związek z Gerdą.

- On jest podrzutkiem?

- Tak, tak powiedział.

W słuchawce zapadła cisza.

- Obiecuję, że odezwę się jutro w ciągu dnia. Myślę, że znajdę jakieś zdjęcie, gdzie powinno być, pytanie tylko gdzie, ale że zrobię wszystko, co będę mógł.

Zakończyli rozmowę. Miał jeszcze siedem minut na wymeldowanie się z hotelu.

Zdażył wziąć prysznic, ale niewiele więcej. Zażenowany zapłacił w recepcji za swój atak na minibar. Wyjaśnił niezainteresowanym, że spędził wieczór z kilkoma przyjaciółmi. Wypił nawet miniaturowe butelki likieru.

Ręka zadrżała, kiedy podpisując czek, potwierdzał zapłatę swoim budzącym zaufanie nazwiskiem.

Poszedł przez park na stację. Małe kamyczki blokowały kółka jego walizki, nie pomagały nawet kopniaki. Podniósł bagaż i biegł, żeby zdążyć, a jego ciało buntowało się przeciwko takiemu wysiłkowi. Spragniony i zlany potem zdążył na pociąg i odnalazł swoje miejsce w wagonie pierwszej klasy. Osunął się na fotel, żeby złapać oddech, i zauważył, że patrzy prosto na wagon restauracyjny. Nadal czuł się mocno zatruty, ale dobrze wiedział, co mogłoby przynieść ulgę. Metoda była już wielokrotnie wypróbowana, czułby się o wiele lepiej, gdyby wypił tylko jednego małego drinka, tylko na odtrutkę, żeby ulżyć ciału.

Wyjął komórkę i próbował dodzwonić się do Louise, ale ciągle nie odbierała. Na stoliku przed nim leżał kolorowy magazyn kolei szwedzkich, kartkował go w roztargnieniu, nie rozumiejąc, co czyta. Drzwi do wagonu restauracyjnego otwierały się i zamykały przy każdym przechodzącym podróżnym. Bębnił palcami w podłokietnik fotela, wyglądał przez okno, znów patrzył na wagon restauracyjny. Wyjął komórkę i zaczął pisać esemes, ale zrezygnował i wykasował wiadomość. Znów bębnił palcami, wyglądał przez okno, kartkował magazyn. Może powinien kupić sobie coś do jedzenia, myśl nie była zbyt pociągająca, ale mógłby

przynajmniej pójść i zobaczyć, co oni tam mają. Rozprostować nogi. Wyjrzał przez okno i bębnił chwilę palcami.

Lasagne, pizza wegetariańska, naleśniki. Czytał menu długo i wnikliwie. Sałatka z kurczaka, tortellini i klopsiki mięsne. Zobaczył zafoliowane kanapki przy kasie, podszedł bliżej i przyglądał im się z zainteresowaniem. Poniżej stały napoje, długo przebierał wśród soków, żeby w końcu niespodziewanie zdecydować się na piwo.

Tylko jako lekarstwo, tłumaczył się przed sobą po powrocie na swoje miejsce. Nawet sam dźwięk kapsla już mu pomagał.

Cztery piwa i pięćdziesiąt siedem minut później wysiadł na Dworcu Centralnym w Sztokholmie. Była godzina druga, dzień jeszcze wczesny, a on czuł się samotny i smutny. Pragnął iść do domu i spotkać tam kogoś, kto by go zrozumiał. Mieć pewność, że nie będzie musiał od razu tłumaczyć się przed kimś, kto zawsze wymagał rzeczy niemożliwych. Nawet nie odebrała komórki. Karała go, chciała mu sprawić przykrość, mimo że on robił, co mógł. Dlaczego nie chciała go widzieć takim, jakim był? A Ellen, mała Ellen, lata tak szybko minęły. Pamiętał ją jako dziecko niezdarnie drepczące przez pokoje, czas, który odszedł na zawsze. Poczul, że łzy napływają mu do oczu, kiedy biegł w stronę czekających taksówek.

Postępować godnie, wykonywać swoje obowiązki, być dobrym człowiekiem.

Gerda umarła całkiem sama, nawet nie potrafił znaleźć zdjęcia na jej pogrzeb. Przez tyle lat była blisko niego, poczciwa kochana Gerda, bezpieczna kotwica dzieciństwa. Co

mogło być ważniejsze niż właśnie okazanie jej szacunku ostatnim wysiłkiem.

Wsiadł na tylne siedzenie taksówki i poprosił o zawiezenie do Naćka.

Gdy taksówka zatrzymała się przed bramą, nie był już taki pewny swojej decyzji. Zapłacił, wysiadł i sprawdził, czy wbrew oczekiwaniom coś nie leży w skrzynce na listy. Pismo od organizacji dobroczynnej o zbliżającej się zbiórce odzieży. Była godzina za dwadzieścia trzecia.

Spojrzał na dom swojego dzieciństwa. Puste okna. Szacunkowa wartość cztery miliony dwieście tysięcy. Pozbawiony duszy, wznosił się bez celu i sensu.

Idąc przez ogród, wybrał numer Louise, ale przerwał, zanim uzyskał połączenie.

Kiedys trzeba powiedzieć dość.

Teraz była jej kolej, żeby zadzwonić.

Na dole w kuchni nie znalazł nic do picia. Barku w tym domu nigdy nie było. Poszedł na górę do dawnego pokoju Anniki, później przerobionego na kuchnię Alice. Znalazł tylko nienapoczętą paczkę ryżu i paczkę starego kakao.

Gabinet Axela wyglądał tak samo, jak ostatnio. Drzwi do garderoby były otwarte, w pomieszczeniu panowało wilgotne zimno. Zatrzymał się w drzwiach i spojrzał na hak od lampy. Jak to możliwe, że jego ojciec był w stanie dalej tu siedzieć, po tym wszystkim?

Pudło, w którym znalazł akt zgonu Anniki, stało na biurku, jak je zostawił, przejrzał szybko resztę zawartości. Zdjęcia Gerdy nie było.

Zaczął żałować, że nie pojechał do domu. Wrócił niepokój.

Odnosił pudło do garderoby i omal się nie potknął na czarnym worku na śmieci. Zatrzymał się chwilę, wybijając palcami rytm na udzie. Różnej wielkości stosy na podłodze i na półkach, mnóstwo pudeł i kartonów, na ten widok robiło mu się nieswojo. Życie zebrane na kilku metrach kwadratowych, pełne sukcesów i zwątpień. To, co znalazł, było wystarczającym świadectwem zdrady.

Zdjęcie Gerdy. Gdzie on trzymał zdjęcia? Dlaczego ten cholerny dziad nie utrzymywał tu jakiegoś porządku?

Wziął jedno z tekturowych pudeł i poszedł z nim do biurka, usiadł i zdjął pokrywę. Nudny papier, nudny papier, nudny papier, gazetowa recenzja, nudny papier, list od wydawnictwa, nudny papier, artykuł z gazety, zaproszenie do Towarzystwa Literatury Fińsko-Szwedzkiej, nudny papier, nudny papier, nudny papier.

Wsunął rękę na samo dno, wyjął całą zawartość i powoli, sztuka po sztuce, opuszczał ją z powrotem do pudła. Nie zauważył żadnego zdjęcia. Poszedł do garderoby i wymienił pudełko na inne. Nudny papier, nudny papier, recenzja.

Zdjęcia.

Ożywiony wyjął zdjęcia, ale zaraz się rozczarował. Axel i nieznany laudator jakiejs nagrody, kiedyś dawno temu w nieznanym miejscu.

A więc Gerda była daleko poza zasięgiem wzroku.

Wrócił do pudła i dokonał zaskakującego odkrycia. Pod kolejnym nudnym papierem leżało pięćdziesiąt nieotwartych listów. Miały różne kolory i kształty, niektóre były grubsze niż inne, ale na wszystkich był ten sam charakter pisma. Wziął do ręki jedną z kopert, żeby odczytać nadawcę. Tylko niewielkie H. Ta sama litera zamiast nadawcy widniała na pozostałych listach. Przez chwilę się wahał, ale potem ciekawość zwyciężyła. Przecież i tak to on

był osobą, która kiedyś powinna to wszystko uporządkować, dlaczego więc nie miałyby zacząć już teraz? W najwyższej szufladzie biurka leżał nożyk do listów, ostrożnie rozciął kopertę. Zawierała tylko małą karteczkę, wyjął ją i odczytał:

Łańcuchy - pękają - opadają ze mnie. Ciemność się rozwiewa. Pozwoliłam zwyciężyć miłości!

Twoja H

Zaskoczony włożył karteczkę z powrotem do koperty i oparł się na krzesło. Znaczek nosił stempel z siedemnastego marca 1975 roku, ale on był pierwszą osobą, która odczytała te zagadkowe wersy.

Podniósł pudło i wysypał listy na biurko. Jedna z kopert była otwarta, wziął ją do ręki i rozwinął kartkę.

Dziękuję za wiadomość. Obiecuję, że tam będę. Nareszcie, mój ukochany!

Twoja Halina

Odczytał te wersy trzy razy z rosnącym zdziwieniem. Był na ziemi człowiek, o którym myślał dużo, nie tylko dobrze, zdecydowanie nie, ale jeśli istniało coś, o co nie podejrzewałyby ojca w najdzikszych fantazjach, to fakt, że mógł mieć kochankę. Choć rozumiał, że jego ojciec musiał zapłodnić matkę dwa razy, myśl o Axelu Ragnerfeldcie jako istocie seksualnej była śmieszna. A jeszcze do tego zdrada? Czy to naprawdę było możliwe? Żeby zaryzykował pozory, które były niezbędne, by jego życie miało sens?

I po chwili z siłą naglej eksplozji zawładnęła nim przerażająca myśl.

A jeśli kochanka Axela około siedemdziesiątego drugiego roku urodziła mu dziecko?

Axelu, Axelu, wybacz, wybacz. Pozwól, że zasypię tysiąc stron tysiącem przeprosin, a potem spróbuję Cię przekonać, że jestem godna Twego wybaczenia. Z ufnością apeluję do Twojej wielkoduszności i proszę, byś nie żywił do mnie niechęci. Nie mam wpływu na miejsce, skąd przychodzę, tylko na to, dokąd zmierzam. Tam chcę nosić Twą łaskę jak gładki kamień w dłoni, pociechę, gdyż dręczy mnie pamięć, jak to mogło się stać, zastanawiałeś się na pewno. Proszę, abys przeczytał moje wersy, nie osądzając mnie. Przyznać się do błędu to tylko uznać, że jest się mądrzejszym niż wczoraj. Wszystko, co chcę uzyskać, to pożegnanie, które pozwoli nam rozstać się jak przyjaciółom, jak rozsądnie powiedziałeś wtedy, gdy nie byłam w stanie słuchać.

Po tysiąckroć proszę Cię, żebyś zapomniał to, co się wydarzyło przed wydawnictwem, bo osoba, którą widziałeś, była mną, choć też i nie. Od wczesnej młodości mam różne problemy zdrowotne, lekarze mówią, że ich przyczyny leżą w moich przeżyciach obozowych z dzieciństwa. Póki biorę lekarstwa, jestem tą Haliną, którą spotkałeś w Västerås, tą Haliną, której dałeś tak piękne wspomnienie. Nasze przeżycie wzbogaciło mnie, i tak łatwo jest pomyśleć, że wszystko jest w porządku, kiedy serce śpiewa. Niestety, z tego powodu zaniedbałam branie leków. Rezultat

odbil się, ku mojej rozpaczy, na Tobie. To bardzo boli, kiedy ktoś cię odrzuca, gdy już i tak poczucie braku wartości wypełnia każdy zakamarek ciała.

Axelu, to nie był Twój błąd. Tak bardzo chciałabym pożegnać się z Tobą tymi słowami i powiedzieć, że wszystko jest dobrze. Jesteś fantastycznym mężczyzną i pisarzem, z całego serca życzę Ci szczęścia.

Halina

Axel odczytał list cztery razy. Ulga, jaką poczuł, wprawiła go w euforię. Od tamtego wydarzenia przed wydawnictwem chodził jak otumaniony, nie wiedział, co ma zrobić, z każdym dniem ogarniała go coraz większa bezradność. Ilekroć wychodził ze swojego pokoju, obawiał się, że spotka Gerdę z kolejną przesyłką. Kiedy dzwonił telefon, bał się, że to może być Halina. Wyglądał ukradkiem przez okno, kiedy wydawało mu się, że słyszy jakieś nieznanne dźwięki. Ale ona się nie odzywała. List był oswobodzeniem. Już się domyślił, że cierpiała na jakieś dolegliwości psychiczne, nie potrafił zapamiętać tego, co dojrzał w jej oczach przed wydawnictwem, podczas bezsennych nocy rozmyślał o zmianie jej osobowości.

Minęły trzy tygodnie, a przez cały czas miał wrażenie, jakby balansował na słabo napiętej linie.

Nadeszło Boże Narodzenie i jakoś je przetrwał. Kiedy uwolnił się od dręczących go problemów, powstała w nim przestrzeń dla innych myśli, nawet coś napisał, nic wybitnego, ale przynajmniej było to coś nowego. Obecnie cieszyły go również małe rzeczy. W Wigilię dzwonił Jan-Erik. Krótka rozmowa, jak na tak wielką odległość, ale była warta każdej korony. Alice rozkwitła, usłyszawszy głos syna, i święta okazały się całkiem miłe. W pierwszy dzień przyszli z wizytą jego rodzice, ale siostra jak zwykle nie chciała im

towarzyszyć. Czasami pytał o nią. Wiedział, że mieszka w Farsta, teraz była na rencie, po latach dźwigania, gdyż pracowała w domu starców. Nie miała dzieci, nie wiedział, czy w jej życiu był jakiś mężczyzna. Rodzice nie opowiadali zbyt dużo, choć wiedział, że mieli z nią częsty kontakt. Kiedyś, dawno temu, zapytał, czy przy jakiejś okazji nie mógłby z rodzicami pójść do niej, ale siostra przekazała mu, że nie jest mile widziany.

Minęło święto Trzech Króli i znów wróciła codzienność, a potem wszystko zaczęło się od nowa. Dziewiątego stycznia sypał śnieg i nad Sztokholmem rozszalała się zamieć. Stał i przysłuchiwał się, jak dom opiera się wiatrowi, który wciśkał się we wszystkie szpary i wytwarzał dźwięki przedtem nieznanne. Gdy usłyszał kroki Gerdy, miał złe przeczucia. Był w bibliotece i szukał jakiejś książki, kiedy weszła do pokoju. Najpierw zdziwił się, że poczta w ogóle funkcjonuje w taką pogodę. Gerda wyciągnęła w jego stronę małą kopertę i nie mówiąc ani słowa, odwróciła się i wyszła. Od razu domyślił się, od kogo jest ten list, utwierdził się też w przekonaniu, że Gerda od początku wiedziała. Poszedł prosto do swojego gabinetu i rozerwał kopertę tak, że małe H przedarło się na pół.

Dziękuję za wiadomość. Obiecuję, że tam będę. Nareszcie, mój ukochany!

Twoja Halina

Wszedł do garderoby i włożył list do kartonowego pudła, które stało najbliżej. Potem zajrzał do Gerdy do kuchni.

- Czy Gerda pozwoli do mnie na chwilę?

Nie czekał na odpowiedź, tylko odwrócił się i poszedł do

siebie. Przy drzwiach zatrzymał się i przepuścił ją. Gerda weszła do pokoju i powtórzyła się cała poprzednia procedura. Gerda pochylona przy drzwiach, Axel rozparty za biurkiem. Państwo i służba. Axel Ragnerfeldt, jego ojciec i matka. Nie wiedział, jak ma się zachować, żeby to przełamać. Potrzebował jej usług, a ona jego pieniędzy, żyli we wzajemnej zależności i dzielili dom. Dlaczego, na miłość boską, nie mogli zachowywać się jak równi sobie? Na początku próbował ostrożnie mówić jej per ty, zapraszał do rodziny, ale wkrótce zauważył, że takie zachowanie było niepożądane. Mając niemal pięćdziesiąt lat doświadczenia w swoim zawodzie, chciała być szanowana za swoje umiejętności, a z tym łączyły się pewne warunki. Wyraźnie pokazała, że nie zamierza zostać członkiem rodziny.

- To, co teraz powiem, powinno zostać między mną a Gerdą, nie chcę, żeby Gerda rozmawiała o tym z Alice, bo nie ma powodu, żeby ją niepokoić. Chodzi o to, że ostatnio kilka razy byłem napastowany przez pewną kobietę, z którą nie chcę mieć nic wspólnego. Tak, to jest zupełnie nieznana mi kobieta, której nigdy nie spotkałem. Przypuszczalnie jedna z moich czytelniczek. Gerda może zwróciła uwagę, że było kilka dziwnych przesyłek?

- Nie wiem.

- W każdym razie chciałbym, żeby Gerda o tym wiedziała. Ponieważ obawiam się, że ta kobieta nie jest zupełnie zdrowa psychicznie.

Tak bardzo chciał, żeby coś powiedziała, zadała jakieś pytanie. Okazała, że docenia jego zaufanie i podzieliła niepokój.

Ale Gerda milczała. Ani jedno słowo nie wydostało się z jej ust i po chwili ciszy zrozumiał, że ona nie zamierza niczego powiedzieć.

- To już wszystko. Dziękuję.

Gerda dygnęła i odwróciła się do wyjścia. W tej samej

chwili rozległ się dzwonek do drzwi wejściowych. Ich oczy spotkały się i przez krótką chwilę miał poczucie, że złączyło ich porozumienie. Potem ta chwila minęła, Gerda wyszła. Axel siedł za nią, ale zatrzymał się w połowie drogi, pełen niedobrych przeczuć. Rzadko kto używał dzwonka, nikt nie przychodził do nich niezapowiedziany.

Nikt oprócz Torgny'ego Wennberga.

Usłyszał głos Gerdy, usiłującej przekrzyknąć wicher.

- Niestety, nie mogę pana wpuścić. Pan jest zajęty i prosił, żeby mu nie przeszkadzać.

- Co to za cholerny pan, raczej Axel stary satyr Ragnerfeldt, chciałaś powiedzieć, odsuń się, bo muszę wejść i porozmawiać z nim.

Głos zdradzał, że Torgny ma w sobie pewną zawartość promili. Axel przestraszył się, że Alice mogła go usłyszeć, i wyszedł do sieni. Torgny był biały od śniegu. Gerda trzymała obie ręce na kłamce, a śnieg wpadał przez szparę. Torgny szarpnął drzwi i wszedł do środka. Z dużym wysiłkiem udało mu się zamknąć je za sobą.

- No proszę, patrzcie ludzie, pan Ragnerfeldt we własnej osobie, tu na ziemi, jak my wszyscy.

Skłonił się, rozkładając szeroko ramiona w czymś, co miało być szarmanckim ukłonem. Axel pogroził mu palcem.

- Może bądź trochę ciszej, w tym domu są chorzy.

Torgny przymrużył teatralnie oczy.

- To kutas czy mały palec? Stąd nie mogę dojrzeć różnicy.

- Wszystko w porządku, Gerdo, dziękuję na razie. Ja się tym zajmę. Wyjdziemy na dwór, żeby porozmawiać.

Szybko włożył buty i płaszcz, a Gerda wyszła z sieni.

- Boisz się, że twoja kochana Alice usłyszy, co, ta stara sucha cipa, czy ona już cię nie dopuszcza, czy może ona też rozgląda się za innymi drągami, na pewno tu w tej waszej wytwronej dzielnicy jest bardzo zajęta lizaniem kutasów sąsiadom.

- Zamknij się i wyjdź ze mną.

- Już ci całkiem wysycha, Ragnerfeldt?

Axel wyciągnął rękę i nacisnął klamkę za plecami Torgny'ego. Drzwi rozwarły się z hukiem, kiedy szarpnął nimi wiatr, a do sieni sypnęło jeszcze więcej śniegu. Axel wypchnął gościa na zewnątrz. Stanęli na schodach w zawiei, skuleni, usiłując chronić się przed ostrymi płatkami śniegu. Znów wróciło poczucie, że jego życie staje się absurdalne. Ostatnie wydarzenia wykraczały daleko poza ramy jego doświadczeń. Teraz stał z Torgnym w zawierusze śnieżnej przed swoim domem i jasne było, że koniecznie muszą porozmawiać, żeby skończyć z tą historią, ale rozumiał też, że ta rozmowa nie może się odbyć tu, gdzie stali. Podmuchy były tak silne, że nie mogli utrzymać się na nogach. Jedy- nym dobrym skutkiem zamieci był fakt, że uciszyła Torgny'ego. Odkąd wyszli na schody, nie powiedział ani słowa.

- Chodź, pójdziemy do drewnitni.

Axel ruszył, Torgny poszedł za nim. Jedną dłonią zbierając końce kołnierza, a drugą osłaniając oczy, w głębokim śniegu przedarł się aż do małego budynku. Śnieg utworzył przed drzwiami zaspę, Axel rozwalił ją nogą, otworzył skobel, wpuścił Torgny'ego wraz z masą śniegu i znów zamknął drzwi. Tupnęli kilka razy, otrzepali z grubsza śnieg z ubrań, ale wilgotny chłód drewnitni kąsał przez ubranie i buty. Torgny miał białą brodę, a jego twarz rozpalila się czerwienią, oddech kłębił się jak dym. Axel rozcierał dłonie. Żaden się nie odzywał. Wrogość tonu zgubiła się gdzieś tam w zawiei, teraz byli tylko dwoma zmarzniętymi mężczyznami,

którzy mieli wspólnego przeciwnika. Nigdy chyba poczucie wspólnoty nie było większe niż w chwili zagrożenia przez siły natury. Mróz otrzeźwił Torgny'ego, teraz wyglądał na zawstydzonego. Może był bardziej zły niż pijany, Axel osądził go na podstawie słownictwa.

Axel rozważał różne możliwości. Najbardziej chciał zakończyć całą tę historię, ale nie pod warunkiem, że będzie zmuszony przyznać się, co zrobił w Vasterás. Tamto łączyło się teraz z tak wielkim poczuciem winy, że już nawet nie był pewien, czy naprawdę się zdarzyło.

Torgny zadrzał i usiadł na wysokim na metr stosie drewna ułożonym wzdłuż ściany.

- Czy nie mógłbyś przynajmniej przyjąć mnie w domu, muszę siedzieć tu w takim poniżeniu w twojej drewni?

Wiatr świstał w szparach. Dźwięki wznosiły się i opadały w takt ponurej melodii, jakby stworzonej dla ich nastrojów. Torgny rozejrzał się, chwycił polano i ważył bezwiednie w dłoni. Trząśł się z zimna, ale mimo to brawurowo udawał nonszalancję.

- Czy nie sądzisz, że to byłoby bardziej przyzwoite? Ale co tam, to ty wygrywasz, bracie, ja się poddam, jesteś już nareszcie zadowolony? Czy może zostało coś jeszcze, co mógłbyś mi odebrać?

Axel wsunął ręce do kieszeni płaszcza i przycisnął ramiona do ciała.

- Rozumiesz chyba, że nie mogłem cię wpuścić, kiedy tak się zachowywałeś. Tak, przyznaję, nie chciałem, żeby Alice słyszała, jak się wydzierasz.

- A więc ona nic nie wie, kiedy zatem zamierzasz jej obwieścić radosną wiadomość?

Axel milczał. Torgny puścił polano, które upadło na ziemię, i splótł ramiona na piersiach. Z przekrzywioną głową przyglądał się Axelowi, jak gdyby zgłębiał jakieś niezrozumiałe dzieło sztuki.

- Za diabła bym cię nie posądzał, Axelu, że jesteś zdolny do takich ludzkich zachowań. Myślałem, że ci tu dobrze na przedmieściu, w twoim pięknym domu, z twoją żoną, dobrze wychowane dzieci, służba... Musiała porządnie zawrócić ci w głowie.

- O czym ty mówisz?

- Wielkie sukcesy i twoja sława, wszystko, przecież ty masz wszystko. Nigdy bym nie pomyślał, że mógłbyś z czegoś zrezygnować tylko dlatego, że zaswędział cię kutas.

- Powiedz wprost, co masz na myśli, zanim któryś z nas zamarnie na śmierć.

Torgny prychnął śmiechem, w którym nie było radości, i podniósł nowy kawałek drewna.

- No to kiedy rodzina się dowie?

Axel poczuł, że sięgnął już granicy.

- O czym się dowie? Powiedz, czego chcesz, bo pójdę do domu.

- Czeka cię piekło, ale to już wiesz, co? Kiedy nie bierze swoich leków, zachowuje się, jakby wstąpił w nią diabeł. Powodzenia, tyle ci mogę powiedzieć, akurat tego ni chole-ry nie będzie mi brakować.

Axelowi zdrętwiały nogi, zrozumiał, że im dłużej Torgny gadał, tym dłuższa mogła być rozmowa. Szybko ocenił sytuację i podjął decyzję.

- Przypuszczam, że to Halina, czy jak też ona się nazywa, jest przedmiotem naszej rozmowy, prawda? Przedstawiasz to tak, jakby ona planowała jakąś wspólną przyszłość ze mną. Nie mam pojęcia, o co wam chodzi, ani co ona mogła ci powiedzieć, ale jestem całkowicie pewny jednej rzeczy, mianowicie tego, że nie mam z tym absolutnie nic wspólnego.

Jego wypowiedź nie zawierała kłamstwa i to dodało mu odwagi. Kiedy w dodatku zauważył na twarzy Torgny'ego niepewność, nabrał większej śmiałości i ciągnął dalej:

- Ta sytuacja jest dla mnie niesłychanie nieprzyjemna, chcę więc, żebyś wytłumaczył mi, dlaczego stoję teraz w mojej drewnutni i narażam się na zamaznięcie?

- Co powiedziałeś?

- Przecież słyszałeś.

Torgny wstał.

- To znaczy, chcesz powiedzieć, że nie składałeś Halinie żadnych propozycji?

- Nie, naprawdę nie.

Torgny stał przez chwilę w milczeniu.

- Ale macie romans?

- Na litość boską, Torgny, nie, nie mamy romansu. Jeśli obiecasz, że będziesz w stanie normalnie rozmawiać, możemy wejść do domu i dokończyć tę rozmowę.

Torgny usiadł znowu i pogrążył się w myślach. Axel domyślał się, że usiłuje ogarnąć nową sytuację. Kiedy znów się odezwał, mówił wolno i dobitnie.

- Jeżeli mnie teraz okłamujesz, to przysięgam, że cię zabiję tego dnia, w którym dowiem się prawdy.

Axel przełknął ślinę. Przecież jego słowa zawsze będą miały większą wagę niż słowa kobiety o chorych nerwach. Choćby nie wiadomo jakie rzeczy opowiadała.

- Czego chcesz, co jeszcze mam powiedzieć ponad to, co już powiedziałem? Chodź, wejdziemy do domu.

- Nie, teraz nie pójdę.

Torgny zamknął oczy i przejechał dłonią po brodzie.

- Cholera, a ona mówiła, że poszłście do łóżka wtedy w Västerås, kiedy zasnąłem na sofie.

Axel milczał.

- A więc ma nawrót choroby, błąka się gdzieś teraz, spakowała wszystko i po prostu odeszła. Mówiła, że macie się gdzieś spotkać, a że gadała o tobie od tamtego Dnia Książki w Västerås, to jej uwierzyłem. Powinienem zauważyć, że coś jest nie tak. Parę dni temu wydawało się jej, że dostała jakąś wiadomość w gazecie. Nie chciała powiedzieć, co to

było, ale była przekonana, że to było skierowane do niej, sprawdzałem, co czytała, ale niczego nie znalazłem.

Pokręcił wolno głową.

- I chłopaka też wzięła ze sobą.

- Jakiego chłopaka?

- Ma kilkuletniego synka, on nie jest mój, ale już zdążyłem się do niego przywiązać. Źle go traktuje, kiedy ma swoje problemy.

Axel stracił wszelkie czucie w dłoniach.

- Musimy wejść do domu, zanim nabawimy się zapalenia płuc.

- Cholera, Axel, muszę cię przeprosić za to, co mówiłem w domu i w ogóle. Może najlepiej będzie, jeśli wejdę z tobą i wszystko wyjaśnię, żeby nie powstało więcej kłopotów.

Pierwszą reakcją Axela była chęć odrzucenia tej propozycji, ale kiedy zastanowił się chwilę, zrozumiał, że oferta Torgny'ego pomogłaby rozwiązać wszystkie jego problemy. Jeśli Alice słyszała, co mówił Torgny, żadne jego słowa nie będą miały znaczenia. Ale na pewno posłuchałaby Torgny'ego. A Gerda otrzymałaby dowód jego niewinności.

- Faktycznie, byłbym ci wdzięczny, gdybyś to zrobił.

Gerda i Alice siedziały na sofie w salonie. Gerda na skraj, po namowach, żeby w ogóle usiadła. Axel z uporem nalegał, żeby była obecna przy rozmowie. W końcu cierpliwość Alice się wyczerpała i poirytowana kazała Gerdzie usiąść. Axel siedział w fotelu z kolanami okrytymi kocem, a Torgny stał przed nimi i wygłaszał swoją mowę. Nieskładnie, z wyraźnym zakłopotaniem, przeprosił za swoje zachowanie, poprosił wszystkich, by, jeśli słyszeli jego obrzydliwy

wybuch w sieni, puścili go w niepamięć. Twarz Alice nie wyrażała niczego. Axel zerkał na nią czasami, ale nie mógł odgadnąć, co rozumiała z tamtych obelg. Torgny płątał się w wyjaśnieniach, zgnębiony szukał słów, które mogłyby odkupić jego błąd.

- To wszystko było głupotą z mojej strony, zrozumiałem, że wszystko źle zinterpretowałem, byłem na tyle głupi, żeby wierzyć w to, co mówiła, niestety, ona ma problemy z nerwami, ale to wspinała kobieta, naprawdę, tylko czasami dopada ją przeszłość, a wtedy zdarza się, że wymyśla sobie różne rzeczy, nie wiedziałem, że tym razem tak właśnie było, i jak mówiłem, byłem na tyle głupi, żeby uwierzyć w jej opowieści. Uświadomiłem sobie, że oskarżałem Axela całkowicie bezpodstawnie, i szczerze proszę o wybaczenie.

Torgny wziął głęboki oddech, a Axel nie mógł pozostać obojętny, całkowite poniżenie Torgny'ego robiło na nim wielkie wrażenie. Wiedział, jak trudno mu przychodzi oskarżyć siebie samego, żeby oczyścić Axela. Na skroni pulsowała mu żyłka, która zdradzała stan jego ducha.

Dopiero teraz Axel zrozumiał, jak wielka musiała być miłość Torgny'ego, jeśli gotów był tak się poniżyć. A mimo to nadal jej bronił. Nagle zobaczył u Torgny'ego głębię, jakiej nigdy się nie spodziewał, owo ogromne jak przepaść pragnienie miłości, z którego czerpie wszelka twórczość.

Alice, która dotychczas siedziała nieporuszona, wstała.

- Jeśli dobrze rozumiałam, teraz krąży tu gdzieś jakaś psychicznie chora osoba zakochana w Axelu i myśli, że oni są parą?

- Ona nie jest chora psychicznie, a dlaczego powiedziała to o Axelu, tego nie wiem. Może tylko po to, żeby mnie zranić.

- Proponuję w każdym razie, żebyśmy zadzwonili na policję.

Nie mam najmniejszej ochoty siedzieć tu i czekać, aż zjawi się jakaś wariatka, kto wie, do czego ktoś taki może się posunąć?

Axel położył dłoń na ramieniu Alice.

- Uspokój się, proszę.

- Nie ma powodu dzwonić na policję, może kiedy ja wrócę, ona już znów będzie w domu, jeśli nie, to obiecuję, że ją znajdę, i, jak mówiłem, ona nie jest psychicznie chora, nie musisz się w najmniejszym stopniu obawiać. Większe chyba jest ryzyko, że sama sobie coś zrobi.

Alice usiadła z powrotem.

- Dlaczego właśnie Axel?

Torgny wzruszył ramionami.

- Może dlatego, że spotkaliśmy go wtedy w Västerås, nie wiem.

Alice zwróciła się do męża:

- A więc ty się z nią spotkałeś?

- Tak, rozmawialiśmy trochę podczas kolacji, to wszystko.

Axel spojrział na Gerdę. Od razu zrozumiał, że popełnił błąd. Po raz pierwszy w ciągu całej rozmowy Gerda podniosła oczy i spojrzała prosto na niego. On spuścił wzrok, ale błąd był nie do naprawienia. W jej oczach mógł wyraźnie wyczytać, że wie, co jest prawdą, a nie były nią jego słowa, lecz to, co zdradziło jego zaleknione spojrzenie.

- Jak mówiłem, chciałem tylko przeprosić, najlepiej będzie, jak już pójdę do domu, zobaczę, czy wróciła.

Gerda zerwała się z sofy i pierwsza wyszła do sieni. Axel podniósł się, żeby iść za nimi, ale zatrzymała go Alice.

- Jeśli ta kobieta zbliży się do nas, od razu dzwonię na policję. Jak ona wygląda?

- Dość pospolity wygląd, ciemnobrązowe włosy średniej długości. Wszystko będzie dobrze, Alice, ona najwidoczniej

tylko potrzebuje swoich leków, kiedy je bierze, wtedy jest normalna, zdrowa jak każdy człowiek.

Alice prychnęła.

- Normalna? Zdrowa? I to ma być takie uspokajające?

Axel wyszedł do sieni, pożegnał się z Torgnym i dla pewności zamknął drzwi na klucz. Przez okienko przy wejściu widział, jak Torgny opiera się wyjącemu wiatrowi. Alice zniknęła na piętrze. Axel zastanawiał się chwilę, czy powinien iść za nią, ale postanowił tego nie robić. Słyszał jakies odgłosy z kuchni, po krótkim namyśle poszedł tam i usiadł przy kuchennym stole. Gerda stała odwrócona plecami do niego i robiła coś na blacie. Skuteczne ruchy, wieloletnie doświadczenie.

- Mam wrażenie, że Gerda nie do końca wierzy w to, co mówię.

Gerda odwróciła się nagle, udając zaskoczenie, jakby nie słyszała, że on jest w kuchni.

- Oj, ależ mnie pan przestraszył.

Axel westchnął i uśmiechnął się do niej nieśmiało.

- Nie możemy mówić sobie na ty, raz na zawsze, wreszcie po tylu latach?

Gerda nie odpowiedziała, ale niespodziewanie odwróciła się plecami i zajęła się znów swoją robotą. Wyciągnęła szufladę i wyjęła trzepaczkę. Rozbiła dwa jajka o brzeg misy i wprawnymi ruchami zaczęła ubijać.

- Jesteśmy podobni do siebie, Gerdo, ty i ja, nie rozumiem, dlaczego nie możemy się też tak samo traktować. Ja jestem dobry w pisaniu, a ty jesteś dobra w tym, co robisz, dlaczego musimy to tak komplikować?

Gerda nie odpowiedziała, ale usłyszał, że ruchy trzepaczki stały się trochę bardziej gwałtowne. Znów uderzyło go podobieństwo do rozmów z rodzicami, jak gdyby jego słowa były niezrozumiałe, jakby w uszach jego rodziców

nabierały zupełnie innego znaczenia niż to, które miały w jego ustach.

- Proszę, Gerdo, czy nie możesz przynajmniej ze mną porozmawiać?

Trzepaczka nagle się zatrzymała. Axel obserwował jej plecy, nic innego mu nie pozostało.

- Nie jesteśmy podobni, ty i ja.

Mówiła tak cicho, że musiał wyteńczyć słuch. Zwróciła się do niego przez ty.

- Ależ tak, Gerdo, jednak jesteśmy.

Widział, jak jej ramiona unoszą się i opadają wraz z oddechem.

- Ja wiem, co mam zrobić, robię to tak dobrze, jak potrafię, no i sprawa załatwiona.

- No widzisz, ze mną jest tak samo, ja też robię to, co robię, tak dobrze, jak potrafię.

W ciszy, która potem nastąpiła, wszystko było otwarte. Przez osiemnaście lat dzielili życie. Pierwszy raz ze sobą naprawdę rozmawiali. Właściwie nie potrafił sobie wytłumaczyć, dlaczego to było takie ważne, ale było.

- Nie jesteśmy podobni, ty i ja.

- Co masz na myśli?

Nadal była odwrócona plecami do niego.

- Bo mnie to wystarczy, a tobie nie, ty gonisz cały czas za czymś, czym, jak ci się wydaje, mógłbyś być.

Gerda znów zajęła się jajkami, dała do zrozumienia, że rozmowa jest skończona. Axel siedział zbity z tropu i rozmyślał nad tym, co powiedziała. Nagle zrozumiał, że usłyszał największą obelgę w swoim życiu.

Dni mijały, stały się tygodniem. Domownicy zajmowali się swoimi sprawami i wszystko wróciło w dawne koleiny. Gerda pilnowała gospodarstwa, Annika szkoły, Axel nadal bez powodzenia zmagał się z powieścią. Co robiła Alice, nie

miał pojęcia, jak zwykle przebywała najczęściej w bibliotece, rzadko ubrana w coś innego niż szlafrok. Torgny się nie odzywał. Obiecał, że zadzwoni, gdy tylko się czegoś dowie, ale najwyraźniej Halina się nie odnalazła. Siódmego dnia pojawił się kolejny list, który, jak się okazało, zapoczątkował nową codzienną rutynę. Każdego przedpołudnia w ich skrzynce na listy pojawiała się nowa koperta, którą Gerda wręczała mu bez komentarzy. Alice nie była o tym informowana. Kilka razy pytała, czy Torgny się odzywał, a Axel zgodnie z prawdą mógł powiedzieć, że nie. Listy nieczytane składał w garderobie. Gdyby coś wbrew oczekiwaniom jednak miało się stać, dobrze było je zachować jako dowód jej szaleństwa. I jak ze wszystkim, co trwa dostatecznie długo, wkrótce przerodziło się to w przyzwyczajenie, i listy Haliny były przyjmowane jako coś oczywistego, jak poranna gazeta.

Luty przeszedł w marzec, a na świecie wszystko szło po swojemu.

Izrael zaatakował w Libanie palestyńskich partyzantów, a w Mjölby czternaście osób zginęło w katastrofie kolejowej. Król apelował do mediów o uszanowanie jego prywatności, a siły irackie zdławiły powstanie Kurdów. Sekretarz stanu USA Kissinger próbował mediacji na Bliskim Wschodzie, ale Egipt nie chciał zaakceptować kilku warunków, dopóki Izrael będzie okupował kraj arabski. Naukowcy wyrażali obawy, że zbliża się kolejna epoka lodowcowa, a Ingemar Stenmark wygrał Puchar Świata, o CIA mówiono, że mają listę zagranicznych przywódców do wyeliminowania, a na jej czele jest Fidel Castro.

Nic nowego pod słońcem.

To był kwiecień 1975 roku.

Stoimy dziś wobec ogromnego zagrożenia dla środowiska naturalnego, z efektem cieplarnianym i zmianami klimatycznymi. Niszczenie środowiska zagraża całemu naszemu zglobalizowanemu światu i na dłuższą metę może doprowadzić do całkowitej zagłady naszej kultury.

Przyrost ludności sprawia, że rośnie zapotrzebowanie na żywność i inne dobra. Wycina się lasy, ziemia eroduje, trzebi się zwierzęta i rośliny, żeby zrobić miejsce dla upraw rolnych i pastwisk dla zwierząt. Następstwem takiego zubażania środowiska i wyczerpywania zasobów są klęski głodu, wkrótce ludzie zaczną walczyć o kurczące się zasoby naturalne. Liczba ludności dramatycznie spada w wyniku głodu, chorób i wojen. Zdolność adaptacji do nowych warunków decyduje o życiu lub śmierci. W końcu nieunikniona staje się totalna katastrofa społeczna i kultura przestaje istnieć.

Dziś jesteśmy na najlepszej drodze, by powtórzyć ten błąd. Wycinamy lasy, zubożamy morza, wyjaławiamy ziemię i walczymy o pozostałe bogactwa naturalne. Różnica polega na tym, że my idziemy o kilka kroków dalej - zanieczyszczamy powietrze i wodę, co powoduje globalne ocieplenie, i niszczymy podstawowe warunki naszej egzystencji.

Wcześniej w historii istniały pojedyncze, izolowane

kultury, które upadły. Niszczenie środowiska zagraża dzisiaj całemu naszemu zglobalizowanemu światu. Jest jednak coś, co przemawia na naszą korzyść i co różni naszą cywilizację od dawnych upadłych kultur: jest to możliwość wyciągnięcia nauki z błędów innych. Lecz czy my, ludzie, jesteśmy zdolni rzeczywiście gruntownie to przemyśleć, czy też musimy dopiero sami na własnej skórze poczuć konsekwencje, by nauczyć się ich unikać? Nowe pokolenia zdają się ciągle powtarzać błędy historii, mimo badań i solidnej dokumentacji na temat skutków naszej lekkomyślności. Tym, co przemawia przeciwko nam, jest nasza skłonność do wybierania rozwiązań, które na krótką metę zdają się najlepsze dla nas samych, nawet jeśli w przyszłości przyniosą pogorszenie warunków życia wszystkim.

Kristoffer odłożył książkę i spojrzął na zegarek. Pięć po trzeciej, to tłumaczyłoby jego tęsknotę za filiżanką kawy. Wstał i podszedł do okna. Ukośne strugi deszczu smagały ulicę Katarina Västra Kyrkogata, nagie gałęzie drzew na cmentarzu przy kościele Świętej Katarzyny kołysały się na wietrze. Kristoffer zastanawiał się, czy nie przespacerować się do Skånegatan i Café Neo, ale potem zdecydował, że nie.

Jesper nadal się nie odezwał. Mimo iż Kristoffer dzwonił wiele razy i nagrywał wiadomości coraz bardziej zatroskanym głosem. W końcu zdradził, że ma mu coś do powiedzenia, bo po wyznaniu prawdy Janowi-Erikowi czuł się bardziej samotny niż kiedykolwiek. Chciał prosić Jespera, żeby poszedł z nim na pogrzeb Gerdy. Po przeżyciach w Västerås uświadomił sobie, choć trudno mu było przyznać się do tego przed samym sobą, że chciał mieć u swego boku przyjaciela. Był przyzwyczajony radzić sobie sam i drażniło go, że musi prosić o coś, co narusza jego samowystarczalność. Zaciągał dług, który w każdej chwili powinien móc spłacić.

Laptop był otwarty, a na stole leżały rozrzucone książki i czasopisma. Miał mocne postanowienie, by pogрузić się w pracy i oderwać myśli od tego, co go czeka. Dni miały i termin oddania sztuki był coraz bliżej. Ciągłe myślał o pogrzebie, na którym miał spotkać przyjaciół i znajomych Gerdy, oczekiwanie i lęk zabijały w nim zdolność koncentracji. Szukając inspiracji, powrócił do obserwowania deszczu. Musi włączyć to do sztuki. Że pogoda już nie jest tym, czym była. Szaleństwa klimatyczne. Idiotyzm patrzenia w krótkiej perspektywie. Od pradawnych czasów klimat był czymś oczywistym, jedną z niewielu rzeczy, które nie dały się podporządkować panowaniu człowieka, na które nikt nie miał wpływu. Ten czas już minął. Teraz udowodniono, że nasza wspaniała planeta wreszcie została podbita i nie jest już w stanie dłużej się opierać. Imponujące zwycięstwo sił wolnego rynku nad niezwyciężonym. Głupota człowieka w pełnej krasie.

Chciał włączyć to do sztuki, czuł się zobowiązany, żeby obudzić ludzi, bo tak niewielu rozumiało, że sprawa jest naprawdę pilna.

Wrócił do komputera i usiadł.

TATA: To na co się decydujemy? Pojedziemy do Tajlandii czy do Brazylii?

CÓRKA: A co powiecie na Vetlandę?

TATA: Vetlandę?

CÓRKA: A czy wiesz, ile dwutlenku węgla zostanie wyemitowane do atmosfery, kiedy nasza rodzina poleci do Tajlandii? Pięć przecinek cztery tony.

MAMA: Na Boga, ale jesteś nudna! Nie rozumiem, co się z tobą stało.

CÓRKA: No, to rzeczywiście niepojęte.

MAMA: Ten samolot będzie wypluwał tyle samo świństwa, jeśli będziemy siedzieć w domu i się nudzić. Tylko

dlatego, że mamy świadomość ekologiczną w naszej rodzinie, powinniśmy rezygnować ze słonecznych wakacji? Nigdy w życiu. O tej porze roku potrzebuję kilku tygodni słońca, żeby przetrwać.

SYN: Możemy wykupić prawo do emisji. To pokryje koszty zanieczyszczeń z naszej winy.

CÓRKA: Mimo wszystko będziemy emitować tyle samo syfu! Niestety, nie wszystko można kupić. Zwłaszcza zwolnienia od odpowiedzialności.

TATA: Moja droga, to dobrze, że się tak angażujesz, ale teraz gadasz głupoty.

CÓRKA: Głupoty?

TATA: No bo chyba rozumiesz, że jeśli my nie polecimy, ktoś inny kupi nasze bilety. Svenssonowie na przykład jadą na urlop na Bali, a ja nie zamierzam siedzieć spokojnie i słuchać ich wspomnień z podróży, gdy sam byłem tylko w Vetlandzie.

Wstał i poszedł do kuchni po wodę. Myśli znów zerwały się z uwięzi i uleciały poza ściany mieszkania. Gdyby tylko Jesper się odezwał. Napełnił szklanekę i wrócił do biurka, usiadł i przeczytał to, co napisał. Położył dłonie na klawiaturze, ale kolejny raz myśli poniosły go daleko. Zanotował szybko to, o czym pomyślał, żeby i to nie umknęło.

Lecz gdy nadarza się okazja, wszyscy są skłonni okłaskiwać takie wzorce jak Joseph Schultz, przekonani, że gdyby znaleźli się w podobnej sytuacji, wykazałoby się takim samym bohaterstwem.

Zamknął komputer. Dalsze siedzenie przy nim nie miało sensu. Czuł się tak, jakby wszystkie jego myśli były wypożyczone na chwilę z miejsca, gdzie zawsze przebywały. Niepokój

wręcz zrzucił go z krzesła, sam już nie wiedział, ile niepotrzebnych rund zrobił między ścianami mieszkania. Jakby go w środku coś swędziało, w ciągu dnia kilka razy przyłapywał się na tym, że liczy głucho uderzenia swego serca. Ten stan budził w nim lęk, gdyż miał świadomość, że przypomina coś, co już kiedyś przeżywał. Pierwsze koszarne miesiące w tym mieszkaniu, kiedy znosił tortury z powodu rezygnacji z towarzysza życia. Tego, który pomagał mu uprościć rzeczywistość. Zajrzał pod regał z książkami i odnalazł butelkę koniaku. Zakupiona w dzień premiery *Szukaj i zastąp wszystkie*, żeby nieotwarta trwała jako pomnik jego wyczynu i niezłomnego charakteru. Dawała mu siłę poczucia zwycięstwa.

Znów wstał i poszedł sprawdzić komórkę, czy nie przegapił jakichś wiadomości lub rozmów, ale wyświetlacz był pusty. Wybrał numer Jespera, ale od razu usłyszał jego nagrany głos.

Westchnął z irytacją.

- To znowu ja. Zadzwoń. To cholernie ważne.

Rozłączył się i rzucił komórkę na sofę. Wylądowała obok jakiegoś papieru, Kristoffer od razu poznał, co to było. Artykuł o Torgnym Wennbergu, który wydrukował sobie z komputera kilka dni temu. Usiadł i przeczytał tekst. Znów zastanowił go przygnębiający tytuł: *Zapomniany pisarz robotniczy*.

A więc nie należał do niezapomnianych, zdecydowanie nie.

Na samym dole zobaczył numer telefonu, który znalazł przez Eniro. Spojrzał na telefon, rozważał wszystko jeszcze przez chwilę. Urodzony w 1928 roku. Czternaście lat młodszy od Gerdy. Zastanawiał się, czy dobrze się znali. A może byli spokrewnieni. Jedno było jasne: nie uda mu się nic zrobić, póki nie dowie się, dlaczego znalazł się w testamentcie

Gerdy, a fakt, że zaczyna zerkać na butelkę koniaku z poczuciem, że nie jest już niewyciężony, kazał mu sięgnąć po telefon i wybrać numer.

Nawet nie zdążył się zastanowić, co powinien powiedzieć, kiedy na drugim końcu usłyszał chrapliwy głos.

- Tak, kto mówi?

- Halo?

- Tak?

- Czy rozmawiam z Torgnym Wennbergiem?

- Kto mówi?

- Nie wiem, czy dobrze trafiłem, ale szukam Torgny'ego Wennberga, który był pisarzem. Czy to pan?

- Co, do cholery, ma znaczyć to „był”?

Kristoffer sięgnął po wydruk, który przed chwilą odłożył.

- Chodzi mi tylko o to, czy pan jest tym Torgnym Wennbergiem, który napisał *Nie gaście ognia* i *Wiatr szepcze twoje imię*. Między innymi - te ostatnie słowa dodał, kiedy nie od razu otrzymał odpowiedź.

- Tak. To ja.

Dopiero teraz Kristoffer zawahał się i zastanowił, co właściwie powinien powiedzieć. Żałował, że nie zaplanował tej rozmowy lepiej.

- Jeśli jest pan jakimś cholernym akwizytorem, to nie jestem zainteresowany.

- Nie, nie, nic z tych rzeczy.

Znów zaczął się wahać. Torgny Wennberg był najwyraźniej poirytowany, Kristoffer nie chciał ryzykować odmowy już na etapie rozmowy przez telefon. Zdecydował się na podstęp.

- Pomyślałem, że mógłbym przeprowadzić z panem wywiad o tym, jak to jest być pisarzem robotniczym. Sam jestem dramaturgiem i przeczytałem o panu na stronie internetowej. Teraz właśnie pracuję nad sztuką i to byłoby dla

mnie bardzo pomocne, gdybym mógł się z panem spotkać. Jeśli ma pan czas, oczywiście. Chciałbym tylko zadać panu kilka pytań.

W słuchawce zapadła cisza. Zrozumiał, że powinien powiedzieć coś więcej.

- Mógłbym zaprosić pana na kolację, lunch albo coś innego, gdzieś w pobliżu pańskiego miejsca zamieszkania, żeby to nie był dla pana zbyt duży kłopot.

- Ale gdzie tam, do knajp teraz nie można chodzić, bo nie pozwalają palić. Ale możesz pan machnąć się tu do mnie, jeśli jesteś zainteresowany. Dziś wieczorem jestem w domu, jeśli to takie ważne.

Kristoffer odpowiedział, że mu to odpowiada, uzgodnili godzinę. Zapytał, czy ma przynieść coś ze sobą, a Torgny zaproponował pizzę calzone. Pizzeria była tuż za rogiem.

Kristoffer rozłączył się i poczuł, że mu ulżyło. Najgorsza jest taka bezczynna niepewność, teraz znów coś się zaczęło dziać.

Dopiero kiedy wkładał buty, uświadomił sobie, że zapomniał się przedstawić.

Przeszedł przez cmentarz, potem dalej w kierunku przystanku autobusowego. W autobusie nie było już miejsc siedzących, ale to mu nie przeszkadzało, gdyż w ten sposób jego niepokój aż tak nie rzucał się w oczy. Matka z dzieckiem w wózku spacerowym stała w ścisiku przy środkowych drzwiach. Dziecko płakało i usiłowało wyjść ze swego więzienia ku rosnącej irytacji mamy. Wyglądała na zmęczoną, pod oczami miała ciemne kręgi, dziecko było czerwone na twarzy, a grzywka wyglądająca spod czapeczki, mokra od potu, lepiła się do czoła. W końcu cierpliwość matki się wyczerpała i zdecydowanym gestem wepchnęła dziecko głębiej

do wózka. Jakiś mężczyzna z aktówką spojrzął na kobietę z wyrzutem. Dziecko nagle ucichło i chwyciło się za ramię, w miejscu, gdzie złapała je matka.

Dlaczego nie jak ikra? - pomyślał Kristoffer. - Albo kijanki? Dlaczego to właśnie potomstwo człowieka jest uzależnione od swoich rodziców i wydane na ich pastwę, na całe życie zostaje ukształtowane przez ich ewentualne błędy?

Wysiadł na stacji Kungsholmstorg, znalazł pizzerię, o której wspomniał Torgny Wennberg, zamówił dwie pizze i usiadł, żeby poczekać. Mimo że była dopiero piąta, wiele stolików było zajętych. Po dwoje, w czteroosobowych grupkach - rozrzućeni po całym lokalu goście siedzieli przy swoich stolikach, oddzieleni niewidzialnymi barierami. W nieskończonej przestrzeni wieczności wszyscy spotkali się akurat tutaj, w tym czasie. Jeden jedyny raz. Kristoffer wymyślił nowy scenariusz. Gdyby jakiś szaleniec nagle wszedł przez drzwi i wziął gości pizzerii jako zakładników, w jednej chwili wszystko by się zmieniło - bariery zostałyby przełamane, a oni stworzyliby jedność. Połączeni wspólnym zagrożeniem, szybko odnaleźliby swoje miejsce w grupie i z całych sił staraliby się działać wspólnie. Ale póki nie było żadnego zagrożenia, siedzieli razem i robili, co w ich mocy, żeby nie zauważać pozostałych.

- Pańskie pizze są gotowe.

Kristoffer wstał i zapłacił.

Przed wyjściem rzucił jeszcze jedno, ostatnie spojrzenie na gości pizzerii.

Widocznie zmiany klimatyczne nie były wystarczającym zagrożeniem.

*

Torgny Wennberg podał mu kod do bramy, Kristoffer, balansując na kolanie kartonami z pizzą, wcisnął cyfry. Gdy zabrzączał zamek, pchnął drzwi. Spis mieszkańców informował, że Torgny mieszka na drugim piętrze, a ponieważ trudno było otworzyć kratę windy rękami zajętej pizzą, zdecydował, że pójdzie schodami. Na piętrze było troje drzwi, wybrał te z lewej strony i nacisnął przycisk dzwonka. Chwilę później jasny punkt na środku drzwi zgasł, Kristoffer domyślił się, że Torgny Wennberg patrzy na niego przez wizjer. Uśmiechnął się ostrożnie i zaraz drzwi się otworzyły. Kristoffer uśmiechnął się trochę szerzej.

- Dzień dobry, przyniosłem pizzę.

Torgny Wennberg stał jak skamieniały i wpatrywał się w niego. Najmniejszym ruchem nie okazywał, że zamierza go wpuścić, a wyraz jego twarzy wprawił Kristoffera w stan niepewności.

- To ja dzwoniłem do pana jakąś godzinę temu, chciałem zadać panu kilka pytań.

Torgny Wennberg w odpowiedzi zasłonił usta dłonią. Kristoffer był zdezorientowany, może ten mężczyzna jest chory. Głębokie fałdy w nieogolonej twarzy świadczyły o wyczerpującym trybie życia. Włosy miał posiwiałe i zmierzwiłone, a dłoń zasłaniająca usta drżała podejrzenie. Stęchły zapach pomieszany z odorem papierosów zakłócił aromat pizzy. Kristoffer pożałował, że tu przyszedł. Torgny wyglądał jak ktoś, kim sam mógłby zostać, gdyby był ze słabszego kruszcu. Jak zwykle w obliczu oczywistej słabości, poczuł lekką pogardę.

Torgny opuścił rozedrganą dłoń.

- Czy to naprawdę ty, Kristofferze?

W chwili, która nastąpiła, Kristoffer poczuł wszystkie swoje zmysły z taką ostrością, jakiej nie doświadczył nigdy przedtem. Świat wokół niego zatrzymał się na chwilę.

- Skąd pan wie, jak mam na imię?

Gdy Torgny odpowiedział, drzwi, których Kristoffer zawsze szukał, otworzyły się na oścież. Upuścił pizzę i pragnął tylko uciec stamtąd.

- Bo wyglądasz dokładnie tak jak twoja mama.

Z lęku przed ciszą żyłem w chaosie, nie wiedząc, jak głęboka radość mieszka w mojej opancerzonej piersi.

Axel odczytał słowa, które napisał. Nie wiedział, skąd się pojawiły, nagle po prostu je napisał i na krótką chwilę poczuł się tak, jakby wrócił po długiej nieobecności. Tyle czasu minęło, odkąd twórcza wena dawała mu owocny dzień. Utrwalanie myśli na papierze przypomina ciężką pracę fizyczną, bo żadne z tych zajęć nie odbywa się samoczynnie. Historia, którą próbował opowiedzieć, rozwijała się kulawo przez trzydzieści stron, ułożone w stos na biurku, wyglądały jak szyderstwo, jeśli zważyć, ile czasu potrzebował na ich napisanie. Żadna z jego postaci nie chciała zakorzenić się w życiu, które próbował im stworzyć. Termin, który lekko-myślnie podał w wydawnictwie jako datę złożenia utworu, zbliżał się nieuchronnie, a kilka dni temu dzwonił ktoś z banku i chciał z nim rozmawiać. Gerda podała mu karteczkę, kiedy zgodnie ze swoim zwyczajem opuścił gabinet o godzinie czwartej, żeby odebrać wiadomości o dzisiejszych telefonach. Jeszcze nie oddzwonił, przeczuwając, czego mogłaby dotyczyć rozmowa. Za pieniądze z wielkiej nagrody

Towarzystwa Wspierania Czytelnictwa, zaliczkę od wydawnictwa i stypendium pisarskie Fundacji na rzecz Wsi udało mu się utrzymywać dom od lata, ale teraz fundusze zaczęły się wyczerpywać. Poprosił o zawieszenie spłaty odsetek od pożyczki na dom, a bank przychylił się do jego prośby, oczywiście z odsetkami od odsetek, których nie był w stanie płacić. Biorąc pod uwagę jego zawód i nieregularne dochody, przedstawiciele banku uznali dom za wystarczające zabezpieczenie, ale teraz minął termin i Axel domyślał się, że chcieli rozmawiać o jakimś rozwiązaniu tego problemu.

Teraz, po fakcie, było jasne, że oboje z Alice musieli cierpieć na manię wielkości, kiedy decydowali się na zakup tego drogiego domu. Omamiło ich to wszystko, co sobą reprezentował, gdyż tak doskonale pasował do ich wizji przyszłości. Ale wtedy, w połowie lat pięćdziesiątych, Alice była aktywna i dwoje pisarzy o dosyć stabilnych dochodach było w stanie pokryć miesięczne opłaty. Tymczasem rzeczywistość okazała się inna, niż to sobie wyobrażali. Teraz to on miał zapewnić całkowite utrzymanie, podczas gdy ona snuła się jak męczennica i topiła nudę w książkach innych pisarzy, winie najlepszych roczników i telewizji. Wkrótce będzie musiał z nią o tym porozmawiać. Wytlumaczyć, że trzeba będzie odprawić Gerdę i przypuszczalnie sprzedać dom, a potem znaleźć sobie coś mniejszego.

Ale nie śpieszył się do tej rozmowy.

Usłyszał dzwonek telefonu. Jeden sygnał, potem telefon umilkł. Axel spojrzął na zegarek. To mógł być ktoś z banku, kto chciał z nim rozmawiać. Minęła ledwie minuta i telefon znów się odezwał. Axel, zirytowany, odsunął krzesło i wstał. Nie miał ochoty wychodzić z gabinetu i odbierać wiadomości, kiedy była dopiero trzecia, ale niepewność i tak nie pozwoliłaby mu się skupić.

*

Gerda stała jeszcze przy telefonie, kiedy wszedł do kuchni. Była odwrócona plecami, więc nie zauważyła jego obecności, dzięki czemu Axel mógł przez chwilę posłuchać.

- Przekażę wiadomość, ale, niestety, teraz nie mogę mu przeszkadzać, ponieważ jest w swoim gabinecie i pracuje... Nie, to, niestety, niemożliwe.

Przez następne kilka sekund ciszy Gerda próbowała wpaść komuś w słowo, powtarzając „ależ nie, to...”. Jeśli dzwonił z banku, ich upór był w najwyższym stopniu niepokojący.

- Niestety, ona też jest nieosiągalna w tej chwili. Proszę zostawić swój numer telefonu, pan oddzwoni... Ach tak, w takim razie proszę zadzwonić jeszcze raz. Nie, to niemożliwe. Tego, niestety, nie wiem, ale mogę mu przekazać. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę i westchnęła ciężko. Przekreśliła coś w notatniku i odłożyła długopis.

- Kto to był?

Drgnęła przestraszona i odwróciła się do niego.

- Wydaje mi się, że to była tamta kobieta, nie przedstawiła się, ale pytała o pana i o panią, nie ma telefonu, więc nie zostawiła żadnego numeru.

- Pytała o Alice?

Gerda skinęła. Axel, który odetchnął z ulgą, gdy się zorientował, że to na pewno nie mógł być telefon z banku, znów poczuł falę niechęci. Jak można stworzyć coś w takich warunkach? Cztery miesiące minęły od tamtej burzliwej wizyty Torgny'ego i oprócz przychodzących regularnie listów nic się w tym czasie nie działo. Torgny się nie odzywał, a Axel był wdzięczny za to jego milczenie.

- Jakim głosem mówiła?

Gerda zastanawiała się przez chwilę.

- Rozzłoszczonym, to chyba najbliższe, co mi przychodzi

do głowy. Prosiła, żebym zapytała, czy pan czytał jej listy.

Oboje zamilkli i spojrzeli na drzwi, kiedy na schodach rozległy się kroki. Alice nadal nie wiedziała o przesyłkach, przestała nawet pytać, czy Torgny się odezwał i czy mówił coś o dalszych losach chorej z miłości kobiety. Weszła do kuchni i w drodze do lodówki rzuciła im obojętne spojrzenie. Wyjątkowo zdążyła się już ubrać.

- A tutaj jak zwykle balanga na całego. Czy ktoś może umarł, czy to zwykła popołudniowa nuda?

Wyjęła dzbanek i podeszła do szafki kuchennej, skąd wzięła szklankę.

Axel i Gerda spojrzeli na siebie. W innych okolicznościach cieszyliby się z tej chwili. Po raz pierwszy w jej spojrzeniu dostrzegł współnika, chciał wierzyć, że wypływa to z jej własnej woli; tak wiele to dla niego znaczyło. Ale w tej sytuacji był jak najdalszy od radości. Przyszedł czas, żeby opowiedzieć o wszystkim Alice, zanim Halina zadzwoni jeszcze raz i Alice odbierze. Gdyby Halina wspomniała o listach, Axel musiałby przyznać, że ukrywał prawdę. Istniało ryzyko, że Alice, doskonale znając jego niechęć do wyrzucenia czegokolwiek, zechce je przeczytać.

- Alice, usiądźmy na chwilę. Może przejdziemy do biblioteki?

Nie chciał rozmawiać w kuchni w obecności Gerdy, niewykluczone, że będzie musiał pominąć pewne szczegóły, co w jej uszach mogłoby zabrzmieć jak kłamstwo.

Alice podniosła wzrok, słysząc powagę w głosie Axela.

- Czy coś się stało z Janem-Erikiem?

- Nie, nie, to nic poważnego, tylko chciałbym, żebyś wiedziała o pewnej sprawie.

Wzięła ze sobą szklankę i poszła przodem. Axel spojrzął na Gerdę, ale ona nie zwracała już na niego uwagi. Była

zajęta wstawianiem do lodówki dzbanka soku, który Alice zostawiła na kuchennym blacie.

- Chodzi o tę kobietę, wiesz, o której Torgny wtedy opowiadał, o Halinę, czy jak jej tam.

- Ach tak?

Alice patrzyła na niego z uwagą. Siedziała na fotelu z wyprostowanymi plecami i nogą założoną na nogę. Axel usiadł w drugim i pomyślał, że już bardzo dawno nie byli tu razem. Fotele kupili w tym samym czasie co dom, były o wiele za drogie, ale specjalnie wybrali je jako ukoronowanie ich wspólnego marzenia o przyszłości. Biblioteka to pierwszy pokój, który wykończyli, wyobrażali sobie, że będzie sercem tego domu. Tu, w tych fotelach, mieli siedzieć razem wieczorami i oddawać się swoim niezwykle inspirującym rozmowom.

Tymczasem podłokietniki zostały wytarte przez łokcie innych, a rozmowy zbłądziły na manowce i nigdy nie wróciły.

- Napisała ostatnio kilka listów, ale ci nie mówiłem, żeby cię nie niepokoić.

- Jakie listy?

- Nie czytałem ich, wyrzuciłem je, nie otwierając.

Szklanka z sokiem, którą podnosiła do ust, zatrzymała się w połowie drogi.

- Wyrzuciłeś? Wyrzuciłeś listy, które dostałeś?

Jej głos był pełen nieufności, ale on zamierzał trzymać się swojej wersji. Przecież ich nie przeczytał.

- Tak.

Napiła się soku i odstawiła szklankę.

- No proszę. A co mówi Torgny, powinien wiedzieć, czy ona bierze swoje lekarstwa, czy nie? Mówił przecież, że tylko tego potrzebuje.

- Nie rozmawiałem z nim.

- Dlaczego nie?

Axel westchnął głęboko i szczerze.

- Bo jestem już okropnie zmęczony tą całą historią. Myślałem chyba, że im mniej się tym będę zajmował, tym lepiej.

Złączyła palec środkowy z kciukiem i strzepnęła jakiś paproch z nogawki spodni.

- No to zadzwoń do niej i zapytaj, o co jej chodzi.

- Nie zostawiła numeru telefonu.

- Ale Torgny powinien go znać?

Westchnął.

- Jeśli mam być szczery, to nie mam ochoty dzwonić do niego w tej sprawie. Słyszałaś sama, jak jej bronił, kiedy tu był. O Torgnym można powiedzieć różne rzeczy, ale ja mu nawet współczuję, że ona ciągle wypisuje do mnie listy.

- Czy niczego nie zauważyłeś, kiedy ją wtedy spotkałeś w Västerås, to znaczy, czy nie sprawiała na przykład jakiegoś dziwnego wrażenia?

Axel potrząsnął głową.

- Prawie z nią nie rozmawiałem. Była tam razem z Torgnym i siedzieli podczas kolacji przy drugim końcu stołu. Nie pojmuję, dlaczego przyczepiła się właśnie do mnie.

- Rzeczywiście, to dość niezrozumiałe.

Wypowiedziała te słowa z zamyśloną miną i spojrzeniem skierowanym w inną stronę, jak całkiem niewinną uwagę, najwyraźniej nieświadoma, że zabrzmiało obraźliwie.

- Czy ona powiedziała Torgny'emu, że tam w Västerås coś między wami było?

- Tak, najwidoczniej.

Siedziała chwilę w milczeniu, potem przekrzywiła głowę i przyjrzała mu się.

- A nie było tak?

- Alice.

Powiedział to tonem głębokiego wyrzutu. Znała każde

jego spojrzenie, każdy ton jego głosu, każdy cień, jaki przesłaniał mu twarz. Już sama myśl o tym, że może ją okłamać, była niedorzeczna.

- Chyba wolno zapytać. To by w każdym razie tłumaczyło jej zachowanie, nie mam przecież pojęcia, czym się zajmujesz podczas swoich podróży.

- Aż tak często znów nie wyjeżdżam. Byłem pięć razy na Dniach Książki zeszłej jesieni, to wszystko. Serdecznie zapraszam, żebyś się ze mną wybrała następnym razem, jeśli jesteś ciekawa.

- Nie, dziękuję.

W jej głosie była zarówno pobłażliwość, jak i niechęć.

- Sam byłbym rad, gdybym nie musiał jeździć. Wiesz chyba, co sądzę o takich imprezach.

Nie odpowiedziała, a on uświadomił sobie, że przecież naprawdę mogła nie wiedzieć. Wiele się zdarzyło, odkąd przestali dzielić się ze sobą myślami.

- W każdym razie doszło do tego, że ona zadzwoniła tutaj i pytała o ciebie.

Podniosła wzrok.

- O mnie?

- Tak, o mnie też, ale kiedy Gerda powiedziała, że mnie nie ma, zapytała o ciebie. Chcę, żebyś od razu odłożyła słuchawkę, gdyby zadzwoniła, a ty odebrałabyś telefon. Ale miejmy nadzieję, że już więcej się nie odezwie.

- Dlaczego pytała o mnie?

- Nie mam pojęcia, trudno cokolwiek z tego zrozumieć. Ale ona przecież nie jest całkiem zdrowa, więc może nie ma też czego rozumieć.

Alice wstała i podeszła do jednego z regałów. Zdjęła oprawione w ramki zdjęcie Anniki, w roztargnieniu wytarła je z kurzu i odstawiła z powrotem. Pomyślał nagle, że od kilku dni nie widział Anniki. Ale potem przypomniał sobie,

że była mowa o obozie jeździeckim chyba w święto Wniebowstąpienia, a dzisiaj był piątek i też dzień wolny.

Alice odwróciła się do niego.

- Chcę, żebyśmy zadzwonili na policję. Nie rozumiem, dlaczego mamy to tolerować. Musi być jakiś sposób, żeby się od niej uwolnić. Czy to nie jest przestępstwo, robić takie rzeczy?

- Nie sędzę, ona tylko wysyłała listy.

- Przecież jeszcze zadzwoniła.

- Tak, ale to może był tylko jednorazowy wyskok. Poczekajmy, zobaczymy, co będzie dalej. Pomyśl o tych artykułach, jakie by się pojawiły w prasie. Popołudniówki uwielbiają przecież takie historie.

Alice usiadła i rozmowa na tym się urwała.

Na dworze zaczęło się zmierzchać. Żadne nie wykazywało inicjatywy, żeby odejść, siedzieli dalej w fotelach, które zafundowali sobie kiedyś w innym życiu. Jakby oboje mieli świadomość wyjątkowości sytuacji. Axel był dziwnie poruszony wspomnieniami, które go naszły. Cała praca, jaką w to włożyli, kiedy ich marzenie jeszcze było żywe. Człowiek, który sprzedał im dom, był jego właścicielem od samego początku, cena była stosunkowo niska ze względu na konieczność remontu. Ojciec pomagał im, kiedy sami z czymś sobie nie radzili - naprawy hydrauliczne, nowe pokrycie dachu, poza tym razem z Alice przeszli wszystkie pokoje z puszkami farby i klejem do tapet. Podniósł wzrok i patrzył na sufit. Odszukał małą dziurkę. Świeżo pomalowany tynk odprysnął po strzale korkiem od szampana, gdy przy świecach uroczyście inaugurowali bibliotekę. Tylko we dwoje, jak zawsze. Wtedy, kiedy obecność jednego była warunkiem egzystencji drugiego. Kiedy reszta świata nie liczyła się, była traktowana jako przeszkoda i zło konieczne.

Spojrzał na Alice. Minęło prawie dwadzieścia pięć lat.

Był tak głęboko przekonany, że żadne z nich nigdy nie będzie się czuło samotne.

W spontanicznym odruchu wyciągnął rękę i położył na jej ramieniu. Zdziwiona, popatrzyła na nią, jakby początkowo nie rozumiała, co to takiego. Potem położyła swoją dłoń na jego i tak siedzieli dalej, dwoje zagubionych, którzy stracili nadzieję, że znajdą drogę do domu.

W którym momencie zaczyna się proces? Kiedy spada płatek śniegu, który utworzy śniegową kulę? W której fazie zaczyna się ruch? Czy był to dzień, kiedy w tajemnicy przed rodzicami wybrał język i literaturę, czy kiedy napisał swoją pierwszą książkę? Czy był to podpis na umowie kupna domu, czy pierwsza noc, kiedy zasnęli, nie dotykając się? Czy to były te wszystkie lata frustracji, czy chwila, w której przyjął zaproszenie na Dzień Książki w Västerås? Albo może moment, w którym pozwolił się uwieść?

Wszystko już od dawna było wprawione w ruch.

Mieli jeszcze godzinę, nim to, co dotychczas uznawali za swoje życie, miało zostać zniszczone na zawsze.

Pizze leżały w kartonach na podłodze w przedpokoju. Kristoffer siedział na drewnianym niewygodnym stołku w jedynym pokoju mieszkania Torgny'ego. Mógł jeszcze tylko usiąść obok gospodarza na niepościelonym łóżku. Sterty gazet, puste butelki, stare ubrania. Przepelnione popielniczki i przedmioty, które na zawsze zostały w miejscu, gdzie ktoś kiedyś przypadkiem je zostawił. Wszystko sprawiało wrażenie starego i brudnego, od dawna nikt nie próbował zaprowadzić porządku w tym bałaganie.

Przerywana długim milczeniem rozmowa kleiła się z trudem, obaj byli zbyt poruszeni, żeby myśleć logicznie. Mówił głównie Kristoffer, zapytany przez Torgny'ego, czy to matka go przysłała. Mówił o wszystkim, w tej sytuacji nie widział powodu, żeby kłamać. Tym razem przyszło mu łatwiej opowiedzieć to, co dotychczas tylko raz z siebie wyduślił. O schodach przed wejściem do Skansenu, że nie pamięta nic z pierwszych lat swojego życia, że zawsze się zastanawiał, kim byli jego rodzice i czemu go porzucili. Torgny

wzdychał, potem poszedł do kuchni i przyniósł dwa piwa. Kristoffer podziękował. Widok mieszkania Torgny'ego ułatwiał zachowanie abstynencji.

Tak mógł wyglądać jego dom, gdyby miał słabszy charakter.

Halina.

Jego mama miała na imię Halina.

Nie Elina, jak wszyscy wtedy usłyszeli w mowie czteroletka. Dwie małe literki, które sprawiły, że policja nie mogła jej odnaleźć.

Torgny usiadł na łóżku, oszołomiony tym, co właśnie usłyszał. Z kieszeni koszuli wyjął paczkę papierosów i zapalił. Wyciągnął paczkę w stronę Kristoffera, ale ten potrząsnął głową.

Siedział wpatrzony w olejny obraz. W tym otoczeniu wyglądał jak rajski ptak zamknięty w jakiejś rupieciarni. Usiłował patrzeć tylko na twarz, ale jego spojrzenie raz po raz przesunęło się po nagim kobiecym ciele. Kobieta leżąca leniwie z głową opartą na dłoni, drugą ręką od niechcenia zasłaniała sobie łono.

Znalazł swoją mamę.

Ale nie tak chciał ją zobaczyć.

Spuścił oczy i poczuł, że się czerwieni.

- Sam widzisz, jacy jesteście podobni.

Torgny popatrzył na obraz, a Kristoffer, choć zdawał sobie sprawę, że spojrzenie tamtego musiało wielekroć błędzić po jej nagim ciele, chciał go poprosić, żeby przestał. Chciał ją zakryć, zdjąć obraz i postawić na podłodze odwrócony do ściany.

- Ten obraz namalował twój ojciec, cholerny bydlak. Ale przynajmniej umiał malować.

Kristoffer nie wiedział, czy jest w stanie wysłuchać czegoś

więcej. Czuł się tak, jakby stał nad przepaścią, wszystko wokół wirowało. Całkowicie nieprzygotowany, wspiął się po schodach ze swoimi pizzami, a teraz siedział w tym mieszkaniu, wyglądającym jak nora narkomana, i miał wreszcie usłyszeć prawdę, której zawsze poszukiwał.

- A więc zostawiła cię w Skansenie. Mój Boże.

Torgny westchnął ciężko, pokręcił głową, zaciągnął się papierosem i łyknął piwa.

- Gdybym wiedział.

Kristoffer milczał.

- Czyli nie pamiętasz, że mieszkałeś tu przez swoje pierwsze lata.

Kristoffer rozejrzał się dookoła.

- Tutaj?

- Tak, do stycznia siedemdziesiątego piątego roku. Wtedy właśnie spakowała walizki i zniknęła. Od tego czasu nie miałem o niej żadnych wiadomości.

- Ale ona zostawiła mnie w Skansenie dopiero dziesiątego maja.

Torgny zdawał się go nie słuchać. Albo ta informacja nie miała dla niego znaczenia. Wypił parę łyków piwa.

- Nie masz pojęcia, jak ja was szukałem. Przekopałem prawie pół miasta, ale nikt nic nie wiedział. Znalazłem jakąś podejrzaną komunę na Ekerö, gdzie podobno mieszkaliście przez miesiąc, ale nie wiedzieli, dokąd udaliście się potem. Nie mogli jej tam zatrzymać, bo była chora, tak mówili, chociaż na mój rozum to oni byli bardziej nienormalni, niż jej się kiedykolwiek zdarzyło. To były takie klimaty z lat siedemdziesiątych, New Age i takie tam gówno. Ale ona potrafiła być bardzo dziwna, kiedy nie łykała swoich lekarstw. Widać to było po oczach, jakby coś się w nich przedstawiało. To, co raz było dobre, drugim razem mogło wprawić ją w szal. Przed południem była załęcznionym pisklęciem,

prosiła, żebym nigdy jej nie opuszczał, a po południu potrafiła wykrzykiwać, że mnie nienawidzi. Niełatwo było za nią nadażyć. Spuścił oczy i dłużej przy zamknięciu puszkę.

- Jak ja ją cholernie kochałem.

Pociągnął nosem i przejechał dłonią po twarzy. Potem wstał, podszedł do regału i szukał przez chwilę, po czym wyciągnął książkę.

- To o niej, ostatnia rzecz, jaką napisałem. Potem już nie było nic.

Zgasił papierosa w przepelnionej popielniczce, wrócił na łóżko i podał książkę Kristofferowi.

Ten odczytał tytuł. *Wiatr szepcze twoje imię*. Rysunek odwróconej kobiety.

Potem przeczytał tekst z drugiej strony okładki.

George to zgorzkniały mężczyzna w średnim wieku, który porzucił nadzieję na wielką miłość. Kiedy spotyka Sonię, musi przewartościować swoje spojrzenie na życie, gdyż gwałtowna miłość nie pozostawia mu wyboru. Ale Sonia ma ponure wspomnienia, które powoli zaczynają rzucać cień na ich związek...

Z niezwykłym autentyzmem Torgny Wennberg opisuje upadek mężczyzny po zerwaniu romansu. Z wyrazistych portretów George'a i Soni wylania się przejmująca opowieść o trudnej sztuce bycia człowiekiem.

- Możesz ją wziąć, jeśli chcesz. Ja wiem, jak się kończy. Uśmiechnął się nieznacznie i podniósł do ust puszkę z piwem, ale zauważył, że jest pusta. Zgniół ją i upuścił na podłogę, potem wziął tę, którą zamierzał dać Kristofferowi.

- Może odebrała sobie życie, czasem groziła, że to zrobi, kiedy miała swoją fazę.

Kristoffer siedział w milczeniu.

Dlaczego był tym, kim był? Czy miał jakieś cechy dziedziczne? Co zostało ukształtowane przez co?

Właśnie doczekał się odpowiedzi, ale nagle przeraziły go jego własne pytania.

Przełknął ślinę.

- Ale jaki ona miała problem?

Torgny wzruszył ramionami.

- Diabli wiedzą, kiedy była zdrowa, nie chciała o tym mówić, a kiedy zachorowała, nie wiedziała, że coś jej dolega. Ale musisz zrozumieć jedną rzecz, twoja matka to absolutnie fantastyczna kobieta. Nic nie mogła na to poradzić, co się z nią działo, kiedy była chora, to była przecież choroba, ale przeważnie czuła się dobrze. Miała lekarstwa, które musiała brać, wtedy nic złego się nie działo, ale niekiedy nocą miewała koszmary. Pamiętam, że czasem krzyczała przez sen, a wtedy trudno ją było docucić, żeby zrozumiała, że to się jej tylko śni. Potem godzinami nie można jej było uspokoić.

Westchnął i znów zapalił papierosa.

- Myślę, że najbardziej się bała, że znów zostanie porzucana. Przeżyła wiele złego, i nie ma się co dziwić, że coś w niej pękło. W porównaniu z nią moje zasrane dzieciństwo wydaje się luksusowym urlopem. Cholera, to potworne, kiedy się o tym myśli.

- Proszę opowiedzieć.

I Torgny opowiedział. Matka Kristoffera była Żydówką, urodziła się w Polsce w 1938 roku, była więziona w obozie koncentracyjnym i straciła całą swoją rodzinę. Jej matka została zabita, a ojciec przypuszczalnie wywieziony do innego obozu i Halina nigdy się nie dowiedziała, co się z nim stało. Jej siostra zmarła w obozie, w którym była razem z nią, i zostawiła ją samą. Torgny opowiadał już dłuższą chwilę i dopiero wtedy Kristoffer uświadomił sobie, że mowa jest o jego własnej rodzinie. Nagle okazało się, że pochodzi z Polski, a nie ze Szwecji, a wszyscy jego krewni

zostali wymordowani. Im dłużej słuchał, tym bardziej czuł się oszołomiony, wreszcie poprosił Torgny'ego o papier i długopis, żeby móc notować. Torgny poszedł do kuchni i przyniósł coś do pisania.

- Wyobraź sobie dziecko w wieku sześciu lat, które widzi, jak ktoś strzela jego matce w głowę. Ten, co strzelał, jeszcze się potem śmiał, założył się z drugim żołnierzem, że zdoła trafić w oko. To był przypadek, że padło akurat na nią.

Jego babka. Rozmawiali o jego babce. A jego mama musiała na to patrzeć. Nagle przypomniał sobie Josepha Schultza. Odczyt Jana-Erika Ragnerfeldta. Może było w nim coś, co sprawiło, że szczególnie mocno zareagował na tę historię, jakieś odziedziczone pragnienie zadośćuczynienia?

- Ktoś mówił, że Halina wyjechała do Polski, może tak właśnie zrobiła, nie miała już tam krewnych, ale jednak stamtąd pochodziła. Płynnie mówiła po polsku, a tu nic jej nie trzymało. Niestety.

Napił się piwa.

- Chyba nigdy nie czuła do mnie tego, co ja czułem do niej. Gdyby miała dla mnie inne uczucia, nigdy by mnie nie porzuciła.

Umilkł i wbił wzrok w podłogę.

- To wyglądało tak, jakby się wycofywała, kiedy ja okazywałem jej, co czuję, jakby nie uważała, że ma prawo być szczęśliwa. Czasem odnosiłem wrażenie, że najbardziej mnie lubiła, kiedy byłem bardziej obojętny, wtedy to ona okazywała więcej uczucia, a gdy ja je odwzajemniałem, ona znów się wycofywała.

Kristoffer siedział w milczeniu i słuchał. Torgny opowiadał, robiąc przerwy na namysł. Coś mówiło Kristofferowi, że te wspomnienia długo czekały na uzewnętrznienie.

Spojrzał na książkę, w swoich rękach. Odwrócona kobieca twarz.

- Nie myśl tylko, że twoja matka była jakaś głupia, bo miała problemy z nerwami, wprost przeciwnie, była chyba najmądrzejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Gdy była zdrowa, była jak... jak, tego nie da się opisać.

Torgny uśmiechnął się i rozejrzał dokoła, jakby szukał odpowiedniego porównania.

- Boże, ależ nam było razem cudownie, kiedy była zdrowa, nie masz pojęcia. Nie ma nikogo takiego jak ona, wiem, bo szukałem.

Umilkł i pogрузzył się we wspomnieniach.

Zapadła dłuższa cisza. Kristoffer czuł niesłychane zmęczenie, ale wiedział, że to nie koniec rozmowy. Chciał się dowiedzieć jak najwięcej. Ale już nie wyobrażał sobie, co zrobi z tymi informacjami.

- Mówił pan, że mój ojciec to namalował.

Skinął w stronę obrazu, na co Torgny prychnął.

- Ten wredny bydlak. Na szczęście zdążył się zapić na śmierć, zanim miałem okazję go zatłuc.

- A więc nie żyje?

- Tak, od dawna, powinieneś się z tego cieszyć. Nazywał się Karl-Evert Pettersson. Artysta, ale chlał tak, że nikt nie chciał mieć z nim do czynienia. Był takim typem, co to na bani dostaje szału, chce się bić i prowokować. Był pijany, kiedy to zrobił.

- Co zrobił?

- Kiedy ją wykorzystał.

Kristoffer zmienił pozycję na krześle, jakby usiłując strząsnąć z siebie tę informację. Nie chciał już wiedzieć nic więcej. W ogóle nic.

- Pozowała do tego obrazu, próbowała sobie dorabiać.

Chciała być pisarką, ale nigdy nie udało jej się niczego opublikować.

Torgny urwał nagle, jakby dotknął czegoś, o czym nie chciał mówić.

Kristoffer czuł, że coś się w nim rozsypuje. Jego fantazje z dzieciństwa, świat z marzeń, z wiecznie żywą nadzieją. Wizje, jak szczęśliwi będą jego rodzice, kiedy wreszcie go znajdą. Jak zrozpaczeni walczyli o to, by go odzyskać.

- Wtedy się spotkaliśmy, jak była w ciąży. Była załamana, bo nie chciała... No, to już powiem wszystko, jak było, przecież to był gwałt, ale nowe prawo, dopuszczające przerywanie ciąży i takie tam rzeczy, uchwalono dopiero kilka lat później, powinienes się z tego cieszyć.

Kristofferowi nagle zakręciło się w głowie.

- Ale kiedy się urodziłeś, była szczęśliwa. Była dobrą mamą, bardzo dobrą, tylko czasami, kiedy się gorzej czuła, mogła być trochę surowa.

Kristoffer usiłował wstać, złapał się oparcia krzesła.

- Musiała być chora, kiedy cię zostawiła tam w Skanse- nie, nigdy by czegoś takiego nie zrobiła, gdyby była zdrowa.

Z książką w ręce udało mu się dojść do przedpokoju.

- Kristofferze.

Torgny dalej siedział na łóżku, ale Kristoffer nie był w stanie odpowiedzieć. Położył dłoń na klamce drzwi wyjściowych.

- Odezwij się kiedyś, Kristofferze, chyba moglibyśmy się jeszcze spotkać, ty i ja.

Wyszedł na klatkę schodową i zatrzasnął za sobą drzwi. Ostry dźwięk przeszył mu uszy. Kiedy złapał poręcz, jego dłoń drżała, z trudem zszedł po schodach na sztywnych, jakby ścierpniętych nogach.

Wszystko leżało w gruzach.

Jego ukryty świat, który świecił i migotał jak daleka oaza, kusząc obietnicą błogości. Pusty i zdewastowany, rozplynął się i zniknął. Całe to czekanie bez końca. Wszystkie stracone sekundy. Nadzieja, która prowadziła go naprzód. Jak pogodzić się z tym, że to ciągle czekanie było na próżno?

Nigdy go nie szukali, nigdy nikt za nim nie tęsknił.

Z najgłębszej głębi wyrwała się rozpacz, której nigdy nie dopuszczał do głosu. Jak krzyk o zadośćuczynienie napłynęła falą i podcięła mu nogi. Oparty plecami o ścianę klatki schodowej, osunął się na podłogę.

Nie chciał niczego wiedzieć!

Pragnął tylko jednego, odzyskać ją.

Nadzieję.

Niezbędną do życia nadzieję na to, że pewnego dnia uzyska zadowalające wyjaśnienie, które obdarzy go łaską wybaczenia.

Gdy rozległ się dzwonek do drzwi, oni dalej siedzieli w bibliotece. Od pewnego czasu po domu rozchodził się zapach jedzenia, wkrótce Gerda miała podać obiad. Spojrzeli po sobie, kiedy usłyszeli głośne kroki Gerdy w sieni za drzwiami. Axel wstał, nie zdążył zrobić nic więcej, bo już było jasne, kto przyszedł.

- Szukam Axela Ragnerfeldta.

- Niestety, nie ma go w domu.

- Ależ jest na pewno, widziałam go przez okno.

Kilka sekund ciszy.

- Niestety, jest zajęty.

- Proszę mu powiedzieć, że chcę z nim rozmawiać. To sprawa tylko do niego.

Alice wstała i wyszczała do męża:

- No idź już i pomóż Gerdzie, na litość boską!

Axel ruszył do drzwi. Ze zdziwieniem uświadomił sobie, że się boi. Boi się, bardziej niż kiedykolwiek, odkąd przestał być dzieckiem.

Wyszedł w samą porę, żeby przeszkodzić Gerdzie w zatrzaśnięciu drzwi. Halina zablokowała je, usiłując wcisnąć się do środka, ale kiedy go zobaczyła, przestała się szarpać.

- Chcę z tobą porozmawiać.

Widział desperację w spojrzeniu Gerdy i zrozumiał, jak niestosowne jest narażanie jej na takie sytuacje. Dał jej znak skinieniem, a ona puściła drzwi i zaciśnęła usta, potem odeszła, nie zaszczyciwszy go nawet spojrzeniem.

Halina weszła do sieni.

- Gdzie jest twoja żona? Chcę, żeby ona też przy tym była.

Zerknął przez ramię i zobaczył, że Alice stoi w drugim końcu korytarza przy drzwiach do salonu. Odwrócił się do Haliny, ale nie był w stanie na nią patrzeć. Włosy miała zmierzwiłone, ubranie brudne. I to spojrzenie, jak wtedy przed wydawnictwem, kiedy prosił Boga, żeby nigdy więcej nie musiał go oglądać.

- Proszę cię, odejdz, nie jestem zainteresowany tym, co masz mi do powiedzenia.

- Czytałeś moje listy.

Zrobił krok do przodu, żeby skłonić ją do wyjścia.

- Nie, nie czytałem, i proszę cię jeszcze raz, żebyś wyszła.

Chwyciła za futrynę, żeby nie dać się wypchnąć.

- Chcę tylko...

- Ale mnie nie interesuje, czego ty chcesz!

Odczepił jej palce i prawie mu się udało wypchnąć ją na schody, bardziej brutalnie, niż zamierzał. Strach ustąpił miejsca naglej złości, która przekroczyła wszelkie granice. Zamknął drzwi, a Halina została z drugiej strony, krzyczała i ciągle naciskała guzik dzwonka. Może powinien zadzwonić do Torgny'ego, poprosić, żeby przyjechał i zabrał ją, ale co mieli z nią zrobić do tego czasu? Policja nie wchodziła w grę, przysporzyliby sobie tylko więcej kłopotów, jego strach przed skandalizującymi publikacjami był większy niż obawa przed tą kobietą za drzwiami.

Uporczywy dzwonek rozbrzmiewał w całym domu, a głośne krzyki przenikały przez zamknięte drzwi. Nagle twarz Haliny ukazała się w okienku sieni. Axel wycofał się, żeby go nie widziała. Alice stała ze skrzyżowanymi ramionami w drzwiach salonu.

- Wpuść ją, niech się to wreszcie skończy. Sąsiedzi usłyszą.

- Absolutnie nie! Jej noga nie postanie w tym domu.

Alice zagryzła wargi i z wyrazem zdecydowania na twarzy ruszyła w stronę drzwi.

- A więc ja to zrobię.

- Nie otworzysz tych drzwi, Alice, słyszysz!

- Kiedyś trzeba wreszcie skończyć z tą farsą, możemy przynajmniej wysłuchać, czego ona właściwie chce.

Próbował ją zatrzymać, kiedy przeszła obok, ale odepchnęła jego rękę.

Alice przekręciła klucz i otworzyła drzwi, dźwięk dzwonka nagle ustał. Axel stał kilka metrów dalej i widział, jak obie kobiety przez kilka sekund mierzą się wzrokiem.

Alice otworzyła drzwi szerzej i odsunęła się na bok.

- Niech pani wejdzie. I zdejmie buty.

Potem odwróciła się i odeszła.

- Gerdo, czy Gerda mogłaby podać kawę do salonu?

Halina weszła do sieni, zdjęła swoje kozaki o spiczastych nosach i uśmiechnęła się triumfalnie do Axela.

Ten spojrział za odchodzącą Alice, na jej wyprostowane plecy i zdecydowany krok. Wiedział dokładnie, w jakim teraz była nastroju, gotowa swoją artylerią słowną zniszczyć Halinę jak jakiegoś uprzykrzonego owada.

Zamknął oczy i przejechał dłonią po twarzy.

*

Gdy weszli do salonu, Alice siedziała już na sofie. Uśmiechnęła się lekko i swym najłagodniejszym głosem poprosiła Halinę, żeby usiadła w fotelu. Potem poklepała poduszkę sofy obok siebie.

- Chodź, kochanie, możesz chyba usiąść przy mnie?

Axel nie odpowiedział, tylko stał dalej tam, gdzie się zatrzymał. Jednym ramieniem oparty o grzyms pieca. Sytuacja była tak absurdalna, że jakaś część jego osoby nadal nie mogła uwierzyć, że to dzieje się naprawdę.

Halina rozejrzała się po pokoju. Alice śledziła jej wzrok, jakby chciała się upewnić, na co tamta zwraca uwagę.

- Prosiłam Gerde, żeby podała kawę. Napije się pani?

Halina skinęła głową.

Przewaga Alice była wyraźna. Z niezmaconym spokojem kontrolowała sytuację, a Halina, brudna i milcząca, siedziała w fotelu. Alice uśmiechnęła się, przyglądała się jej jeszcze przez chwilę, zanim odezwała się ponownie:

- Rozumiem, że jest pani zainteresowana moim mężem, napisała pani do niego kilka listów.

Halina nie odpowiedziała. W jej płonących oczach było widać, co myślała, lecz to nie robiło na Alice wrażenia.

Weszła Gerda i wniosła na tacy kawę. Kiedy ustawiała filiżanki na niskim stoliku, w pokoju panowała cisza.

- Może mamy jeszcze jakieś ciasto, którym moglibyśmy panią poczęstować, Gerdo?

Gerda zatrzymała się w pół obrotu, potem skinęła głową i wyszła.

Axel stał i w najwyższym napięciu czekał na wybuch. Halina mogła zacząć mówić w każdej chwili, a on wiedział, że musi starannie dobierać słowa. Posunął się w kłamstwie już tak daleko, że przyznanie się było teraz wykluczone. Szaleństwo Haliny było dla niego ratunkiem, tarczą, za którą

może się schować, cokolwiek by powiedziała.

- Czym się pani zajmuje poza tym? Ma pani jakąś pracę?

Alice łagodnym głosem podtrzymywała konwersację. Brzmiało to tak, jakby mówiła do małego dziecka.

- Jestem pisarką.

- Ach tak? A więc pani też jest pisarką. Jakie książki pani napisała?

- Napisałam między innymi nowelę, którą chcę wysłać do czasopisma „Artes”. Erotyczną nowelę. Właśnie po to tu jestem, żeby o niej porozmawiać.

Axel przełknął ślinę. Czasopismo „Artes” było prestiżowym kwartalnikiem poświęconym sztuce, literaturze i muzyce, wydawanym między innymi przez Akademię Szwedzką. Najprawdopodobniej ktoś taki jak Halina nigdy nie zdołałaby opublikować tam noweli, ale wystarczyłoby, żeby redaktorzy pisma tylko przeczytali to, co napisała. Bo Axel zrozumiał, jaką przygodę erotyczną opisała.

- A o czym ona jest? To znaczy, nie o to mi chodzi, rozumiem, skoro to jest tekst erotyczny, ale dlaczego chce pani rozmawiać o nim akurat z nami?

Axel zamknął oczy. Nie był w stanie zrozumieć, że to naprawdę się stało. Niepojęta siła przypadku. Mały błąd. To, co się wtedy zdarzyło, było tak całkowicie pozbawione sensu, tak bardzo bez znaczenia.

Lecz miało tak niesłychane konsekwencje.

- Bo ona opowiada o Axelu i o mnie.

Spojrzał na Alice. Nadal się uśmiechała. Nabrał powietrza, zamierzając zaprzeczyć temu stwierdzeniu, gdy Alice odezwała się pierwsza.

- To znaczy o waszej nocy w Västerås?

Po raz pierwszy Halina się zawahała, lecz Alice ciągnęła dalej, a wtedy Halina odzyskała grunt pod nogami.

- Tej, którą sobie pani wymyśliła?

Halina uśmiechnęła się i spojrzała na Axela.

- To ty powiedziałaś, że ja to wymyśliłam?

Axel, który jeszcze nie zdążył odezwać się słowem, był zmuszony odchrząknąć, zanim przemówił.

- Wiesz tak samo jak ja, że nic się nie stało tamtej nocy w Västerås. Torgny był tutaj i mówił, że gdybyś brała swoje lekarstwa, nie miałybyś takich omamów.

Halina odchyliła się na oparcie fotela i roześmiała się głośno.

W tej samej chwili znów weszła Gerda.

Halina wsunęła rękę pod kurtkę i wyciągnęła plik zwiniętych papierów, które podała Alice nad paterą pełną ciastek.

- Może pani sobie przeczytać, przekona się pani, któremu z nas należałoby wierzyć. On lubi, kiedy się używa ust, ale pewnie to pani już wie. I ma takie słodkie znamię w pachwinie, wygląda jak małe serduszko.

Axel przypominał sobie potem tylko fragmenty ciszy, która zapadła po tych słowach. Pamiętał twarz Alice, kroki Gerdy, które uwięzły w parkiecie, Halinę, rozkoszującą się swoją zemstą. Pamiętał mgliście, że dzwonił telefon, ale nikt nie zamierzał go odebrać. On sam milczał. Wszystkiemu mógł zaprzeczyć, każdą wypowiedź mógł rozbroić, wykorzystując alibi, które stanowiły słowa Torgny'ego. Ale to był dowód - znała jego znamię w kształcie serca, które kiedyś było dla niego i Alice intymnym symbolem miłości.

To Halina przerwała ciszę. Gerda otrząsnęła się z paraliżu i zniknęła w kuchni.

- A więc na początek chciałam zwrócić się do „Artes”, ale oni płacą dość kiepsko. Są też inne gazety, które oferują wyższe honoraria, tylko że jeszcze się nie zdecydowałam. Pomyślałam, że moglibyście mi pomóc i powiedzieć, którą uważacie za najlepszą.

Axel spojrział na Alice. Siedziała z dłońmi na kolanach, ale jej plecy już nie były wyprostowane. Zniknęła aura pewności siebie; złamana, spuściła wzrok, jakby potwierdzając swoje poniżenie.

Halina ją zwyciężyła.

- Dlaczego to robisz?

Axel z trudem wydobywał z siebie słowa, nie chciał się poniżyć do rozmowy z nią. Niechęć, jaką odczuwał, dławiała mu głos.

Halina wstała.

- Bo mnie zraniłeś, ty zadufany w sobie łajdaku. Dość przecierpiałam w swoim życiu, nikt nie będzie traktował mnie jak śmiecia, jak ty to zrobiłeś, więc teraz musisz za to zapłacić. Ty, ze swoimi pięknymi słowami i wytwornymi zdaniami. Wkurza mnie, kiedy ludzie traktują cię jak jakiegoś nadczłowieka, kiedy w rzeczywistości jesteś tylko małą tchórzliwą kanalią. Poczujesz, jak to jest być unurzany w błocie, przysięgam ci, Axelu Ragnerfeldcie, to dopiero początek.

Jan-Erik odłożył ostatni list do pudła i odchylił się na krześle. Coraz bardziej oszołomiony, rozrywał kolejne koperty i czytał ich zawartość, pod koniec był już przekonany, że jego ojciec rzeczywiście miał kochankę. Żaden list nie był datowany, ale za pomocą stempli pocztowych próbował wprowadzić jakiś porządek, żeby odczytać je mniej więcej chronologicznie. Wcześniejsze były wyłącznie listami miłymi, część pełna poetyckiej romantyki, inne znów ociekały pożądaniem. Niektóre fragmenty wywołały na jego twarzy rumieniec, kiedy wyobrażał sobie swojego ojca jako obiekt tych wypowiedzi, ale stopniowo ton się zmieniał. Pomiędzy słowa zakradało się coś wrogiego, a ostatnie listy zawierały niemal wyłącznie pogróżki. Powracające ostrzeżenie, że opublikuje jakąś nowelę, jeśli Axel nie zjawi się w wyznaczonym przez nią miejscu.

Zastanawiał się, dlaczego Axel nie przeczytał tych listów. Może próbował zakończyć aferę, po prostu ignorując tę kobietę. Czy matka wiedziała? Może to było prawdziwe wyjaśnienie, dlaczego mieszkali każde na swoim piętrze, kiedy wrócił ze Stanów. Ich wyraźna wzajemna niechęć.

Najbardziej obawiał się ewentualnego potwierdzenia faktu, że z tego związku urodził się nieślubny syn, ale z ulgą stwierdził, że w żadnym liście nie było o tym mowy. Lecz strach jeszcze nie opuścił go do końca. Zadziwiająca historia Kristoffera Sandebloma zajmowała jego myśli i nie dawała spokoju. Podrzutek. Właśnie w tych latach, kiedy jego ojciec miał romans. Jego ojciec, który najwyraźniej zerwał ten romans, odmawiał kontaktu, ewidentna desperacja w listach. Gerda, która umieściła Kristoffera w swoim testamencie. Pieniądze, które mu wysyłała przez wiele lat, mimo iż sama nie była zamożna. Przypuszczalnie były to częściowo pieniądze, które przez te wszystkie lata wypłacała jej spółka Ragnerfeldt AB. Odrzucił tę myśl, wydała mu się niedorzeczna. Prawdopodobnie wszystko to było dziełem przypadku. Tak się złożyło, że usłyszał o tych sprawach w tym samym czasie, kiedy znalazł stare listy miłosne Axela, i fantazja trochę go poniosła. Kac też chyba nie sprzyjał logicznemu myśleniu.

Ale mimo wszystko.

Zdawał sobie sprawę, co oznaczałoby pojawienie się nieznanego rodzeństwa przyrodniego w momencie podziału spadku. W żadnym razie nie zamierzał się dzielić z jakimś pojawiającym się znieścacka bękartem. To on zarządzał pieniędzmi, walczył o podtrzymanie zainteresowania twórczością Axela, a przede wszystkim musiał znosić tego cholernego starucha przez tyle lat. Wystarczy, że Louise została wymieniona w testamencie.

Wstał i odniósł pudło do garderoby. I znów, zamiast szukać zdjęcia Gerdy, zajmował się czymś innym. Na dworze zrobiło się już ciemno, najwyższy czas, żeby pojechać do domu. Będzie musiał zadzwonić do tej Marianne Folkesson i powiedzieć, że nie było zdjęcia.

*

Zrobił obchód domu, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. W bibliotece paliła się lampa, sprawdził, czy timer jest dobrze ustawiony, i westchnął, patrząc na ocean książek, które czekały na inwentaryzację. Może jednak muzeum byłoby lepszym rozwiązaniem, zostawić wszystko, jak jest. Zatrzymał się przy zdjęciu Anniki. Widział oczami duszy, jak zrozpaczona i samotna staje na krześle w gabinecie Axela. Ledwie skończyła piętnaście lat, powinna mieć życie przed sobą. Poglądził palcem jej twarz za szkłem.

- Brakuje mi ciebie, wiesz?

W łazience na piętrze znalazł kilka tabletek od bólu głowy i połknął je, popijając wodą prosto z kranu. Niesmak w ustach. Stara tubka pasty do zębów ze skamieniałą zawartością nie była zbyt pomocna, ale w szafce łazienkowej znalazł butelkę vademecum. Skropił język i skrzywił się, kiedy zapiekło. Butelkę włożył do kieszeni. Nie chciał cuchnąć skisłym alkoholem, kiedy wróci do domu.

Louise jeszcze się nie odezwała.

Taksówka właśnie minęła Danvikstull, kiedy zadzwoniła jego komórka. W nadziei, że to mogła być Louise, szybko wyciągnął telefon, ale rozczarował się, zobaczywszy na wyświetlaczu obcy numer.

- Halo, tu Jan-Erik Ragnerfeldt.

- Dzień dobry, nazywam się Gunvor Benson i dzwonię do pana w imieniu Rady Nordyckiej, mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Ależ skąd.

- Dostałam bardzo miłe zadanie, żeby zadzwonić i zakomunikować panu, że został pan jednogłośnie wybrany

laureatem tegorocznej literackiej nagrody Rady Nordyckiej.

Jan-Erik dosłownie zaniemówił. Wiadomość była tak zaskakująca, że początkowo nie zrozumiał tego, co usłyszał.

- Po raz pierwszy nagroda zostaje przyznana komuś, kto nie jest pisarzem, ale uznaliśmy, że to, czego dokonał pan, opierając się na wybitnym dziele życia pańskiego ojca, jest tak niezwykle i godne podziwu, że chcemy pana uhonorować.

- Ach, doprawdy, tak?

Przejeżdżali właśnie przez Wiadukt Londyński, Jan-Erik patrzył na ogromny fiński prom, nie rozumiejąc, co widzi.

- Nagroda wynosi trzysta pięćdziesiąt tysięcy koron duńskich.

- Mój Boże.

- Może chce pan usłyszeć uzasadnienie?

- Tak, proszę.

Odczytała z kartki.

- Dla Jana-Erika Ragnerfeldta, który dzięki pełnym zaangażowania wykładom i projektom na rzecz pomocy humanitarnej sprawia, że jedyne w swoim rodzaju dzieło pisarza ze słów przeradza się w czyn.

- Ojej.

Nic więcej nie mógł z siebie wydobyć.

Kobieta z drugiej strony telefonu zaśmiała się krótko.

- Jest pan trochę zaskoczony.

- Tak, właśnie, to dość niespodziewane, muszę przyznać.

- Zadzwońię do pana z propozycjami daty samej ceremonii wręczenia nagrody, oczywiście uwzględnimy pana możliwości czasowe. Chciałam jeszcze dodać, że zamierzamy oficjalnie ogłosić nasz wybór dopiero tuż przed

wręczeniem nagrody, prosiłabym więc, żeby na razie zachował pan tę wiadomość dla siebie.

- Ależ tak, oczywiście.

- Mam pański adres mejlowy, wyślę panu kontakt do mnie, gdyby pan miał jakieś pytania. No i chciałam panu serdecznie pogratulować.

- Dziękuję, nawet nie wiem, co mam powiedzieć, oczywiście niesłychanie się cieszę.

I rzeczywiście się cieszył. Po zakończeniu rozmowy siedział z szerokim uśmiechem na twarzy. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna poczuł ogarniającą go wielką, szaloną radość.

Zanim otworzył drzwi mieszkania, pokropił język odrobiną vademecum. Z nową siłą i nadzieją na przyszłość czuł się świetnie. Chciał opowiedzieć Louise, podzielić się z nią swoim sukcesem, chciał, żeby ta nagroda stała się punktem zwrotnym w ich życiu. Zamierzał poważnie zająć się swoimi problemami alkoholowymi i więcej czasu poświęcać rodzinie.

W mieszkaniu panowała cisza, choć światła się paliły.

- Halo?

Odstawił bagaż, zdjął płaszcz i powiesił na wieszaku.

- Halo.

To odpowiedziała Ellen. Jan-Erik poszedł do jej pokoju i zatrzymał się na progu.

- Cześć.

- Cześć.

Siedziała przy komputerze. Jan-Erik podszedł bliżej, żeby zobaczyć, co robi. Ubrana na czarno kobieta z talią osy i ogromnymi piersiami masakrowała wrogów w zdewastowanym krajobrazie. Palce Ellen waliły w klawiaturę w takim

samym tempie, z jakim broń na monitorze wystrzeliwała pociski.

- Ojej, ta gra nie wygląda jakoś szczególnie miło.

- Daj spokój.

Zamilkł w obawie, że córka mogłaby się zirytować. Jan-Erik cofnął się o kilka kroków i usiadł na łóżku. Ellen nadał grała i nie zwracała na niego uwagi. Morderczym krzykom towarzyszyła sugestywna melodia.

- Gdzie jest mama?

- Położyła się. Głowa ją bolała.

Na monitorze tryskała krew, Jan-Erik był pod wrażeniem, jak realistyczna była animacja.

- Jak tam dzisiaj w szkole?

- Mieliśmy dzień nauki własnej.

- Aha, to znaczy, że miałaś wolne?

Ellen nie odpowiedziała. Jatka na monitorze nie ustawała.

Jan-Erik poczuł nagle, jak nieprzyjemna jest sytuacja. Już przedtem wiele razy mógł się przekonać, jak trudno było nawiązać kontakt z córką. O czym rozmawiać z dwunastolatką? Jej świat był dla niego taką samą zagadką jak życie kosmitów.

- Chcesz usłyszeć tajemnicę?

- Mhm.

- Ale nie możesz nikomu o tym powiedzieć.

Kosiła seriami i likwidowała jednego przeciwnika po drugim.

- Dostanę wspaniałą nagrodę, za pracę, jaką wkładam w popularyzację książek dziadka i te inne rzeczy. Wiesz, te przychodnie lekarskie i inne rzeczy, które zrobiłem.

- Aha.

Równie dobrze mógł powiedzieć, że czasem jada kanapki z serem. Totalny brak zainteresowania Ellen był szczery. Nawet nie próbowała udawać, że jest pod wrażeniem.

- To jest nagroda literacka Rady Nordyckiej, ważna nagroda, naprawdę. Trzysta pięćdziesiąt tysięcy koron. Przede mną dostawali ją tylko pisarze.

Muzyka w grze zmieniła tempo. Kobieta w czerni znajdowała się teraz w czymś, co wyglądało jak kościół, ale to nie ostudziło jej waleczności. Masakra trwała nadal.

Jan-Erik wstał.

- Jadłaś już?

- Tak.

Wyszedł z pokoju, nie mówiąc nic więcej.

Drzwi do sypialni były zamknięte. Podeszedł i chwilę nasłuchiwał, potem ostrożnie je uchylił, żeby zajrzeć do środka. Louise leżała na boku odwrócona plecami do niego. Stał chwilę, wyczekując, ale nic się nie zmieniło.

- Śpisz? - szepnął wreszcie.

Nie było reakcji.

Tak cicho, jak tylko potrafił, zamknął drzwi i poszedł do kuchni. Było już sprzątnięte po kolacji, w lodówce nie znalazł żadnych pozostałości, więc zrobił sobie tylko kanapkę z pastą kawiorową. Dopiero teraz znów mógł myśleć o jedzeniu.

Już nigdy nie będzie miał kaca. Obietnica była szczerą, gdyż dzisiejszy kac wprawdzie minął, ale pamięć o nim pozostała.

Posiliwszy się, usiadł w swoim gabinecie. Sterta listów i przesyłek urosła, więc poświęcił pół godziny na przejrzenie najpilniejszych. Listy od czytelników zaadresowane do Axela Ragnerfeldta odłożył na bok, w tej chwili nie miał nastroju, by zajmować się wielkością swojego ojca.

Przypomniał sobie nagle, że miał zadzwonić do Marianne Folkesson. Było dopiero po dziewiątej, więc jeszcze nie za późno na telefon. Wybrał numer zachowany w pamięci komórki.

- Marianne Folkesson.

- Dobry wieczór, mówi Tan-Erik Ragnerfeldt. Niestety, muszę pani powiedzieć, że nie udało mi się znaleźć żadnej fotografii Gerdy.

- Nie udało się?

- Nie, chociaż przeszukałem wszystko.

- Dobrze, w takim razie wezmę tę, którą znalazłam w jej mieszkaniu, choć jest trochę nieostra. Ale dziękuję, że pan próbował.

- Nie ma za co, tyle tylko mogłem zrobić. Niestety.

- Zrobiliśmy, co się dało. A więc zobaczymy się pojutrze.

- Tak, właśnie.

Jan-Erik trochę przeciągał słowa. Chciał porozmawiać jeszcze o innych sprawach, ale Marianne nie zauważyła jego wahania.

- No to do zobaczenia.

Zanim odłożyła słuchawkę, Jan-Erik zdążył zapytać:

- Skoro już rozmawiamy, to ciekawi mnie jeszcze jedna rzecz. Myślałem o tym Kristofferze Sandebloomie, z którym spotkałem się wczoraj po odczycie. Czy może udało się pani dowiedzieć, dlaczego Gerda zapisała mu swój majątek? Chodzi mi o to, co ich łączy?

- Nie mam pojęcia, ale byłam dziś jeszcze raz w jej mieszkaniu, żeby wziąć kilka rzeczy potrzebnych do pogrzebu. Znalazłam list, który dla niego zostawiła.

- List?

- Tak, dzisiaj zaniósłam go na pocztę, więc jutro powinien go dostać.

- A więc nie wie pani, co w nim było?

- Nie, nie mam pojęcia, oczywiście nie otwierałam go.

- Hm.

- Możemy go zapytać na pogrzebie. Muszę przyznać, że sama też jestem bardzo ciekawa.

Na tym zakończyli rozmowę, ale nic, co zostało powiedziane, nie uśmierzyło niepokoju Jana-Erika. Mógł sobie wmawiać, że to było zbyt nieprawdopodobne, ale samobójstwo Anniki też mu się takie wydawało, dopóki nie zostało potwierdzone.

Na biurku stała szklanka napełniona do połowy wodą, wylał jej zawartość do stojącej na parapecie doniczki z kwiatkiem, wstał i wyjął butelkę ukrytą za książkami na regale.

Obiecywał sobie, że już nigdy nie będzie miał kaca. Ale to nie oznaczało, że nie może czasem pozwolić sobie na małą whisky.

Alice siedziała na sofie i oglądała telewizję. Niepojęty program o zamożnej Amerykance, która chciała się zoperować, żeby mieć wygląd kota. Odkąd w jej domu pojawiła się telewizja kablowa, miała okazję zapoznać się z tyloma kuriozalnymi rzeczami, że sama już nie wiedziała, co ma sądzić o ludzkości.

Prawie straciła nadzieję, kiedy zadzwonił telefon. Przez cały dzień próbowała skontaktować się z Janem-Erikiem, żeby się umówić na podwiezienie jutro do lekarza. Tym razem była pewna, że jej się nie wydaje, w jej ciele jest coś obcego. Mimo niepokoju nie mogła się doczekać badania, jakby to miała być jakaś pasjonująca przygoda.

Zabrzmiał kolejny dzwonek telefonu, ale nie musiała wstawać, aparat stał w zasięgu ręki obok sofy. Tylko ściszyła pilotem telewizor.

- Jan-Erik?

Od razu przeszedł do rzeczy.

- Mam kilka pytań na temat innych rzeczy, które znalazłem w garderobie ojca.

Żadnego powitania, żadnego jak-się-czujesz-mamo. Głos Jana-Erika brzmiał rzeczowo i zdecydowanie, nie lubiła, kiedy mówił w ten sposób. Ich poprzednia rozmowa w tym

pokoju jeszcze nie przebrzmiała, mimo wszelkich jej wysiłków, żeby o niej zapomnieć. Jego pełne wyrzutów spojrzenia jeszcze paliły, tak samo dotkliwie, jakby sformułował oskarżenia słowami.

To ty ponosisz winę za to, co zrobiła Annika, to twoja wina, że nie chciała dłużej żyć. Jako matka byłaś odpowiedzialna za to, żeby do tego nie doszło.

A Axel? - chciała zakrzyknąć. - Dlaczego Axel nie ponosi winy? To on, ze swoim bezwzględnie egzekwowanym prawem do życia wyłącznie dla siebie, jest odpowiedzialny za jej, Alice, nieudolność.

Dostał wszystko.

Po prostu wszystko.

Niezatapialny okręt pancerny, który parł naprzód w pogoni za sławą i obojętnie przyglądał się, jak inni wokół niego idą na dno.

Ale Alice siedziała cicho, nie krzyczała. Pozwoliła odejść Janowi-Erikowi z jego oskarżeniami. Kiedyś wzięła na siebie tylko jedno, a ono zakorzeniło się i żywiło jej wnętrzem.

- Po co szperasz w tej garderobie, znajdujesz tylko same nieszczęścia.

- Chodzi o listy od niejakiej Haliny, czy znasz taką osobę?

Imię trafiło jak cios prosto w przepoń. Przez tyle lat nikt go nie wymieniał. Milcząca umowa, żeby wymazać je z pamięci. Ale w tej ciszy leżało przez lata i rosło jak nowotwór. Po trzydziestu jeden latach nadal nie znała prawdy o ich związku. Czy to tylko był ten jeden raz w Västerås, czy może romans trwał dłużej.

Potem, kiedy to już nie miało znaczenia, nie chciała wiedzieć.

Rutyna, którą w oszołomieniu próbowali odtworzyć, żeby uporać się z prawdą. Przemozna potrzeba uporządkowania życia według schematu, żeby odczarować konsekwencje. Ale

jak znów podjąć normalne życie, nie wiedząc nawet, czy chce się je mieć?

- Nie, nie znam tego imienia.

- Listy są z lat siedemdziesiątych. I nigdy nie słyszałaś o żadnej Halinie?

- Nie.

Zatrzymał listy! To takie typowe dla Axela! Musi kiedyś pojechać do domu i zobaczyć, czy ten idiota nie zachował więcej rzeczy, których nikt nigdy nie powinien odnaleźć.

- Były nieotwarte, więc on nawet ich nie przeczytał. Ale pomyślałem, że może ty wiesz, kto to był.

- Nie, nie mam pojęcia.

Wyparła się jej po raz trzeci.

Wszystko wydawało się takie nierzeczywiste. Sekunda jej życia, która nagle stała się tą decydującą. Nawias, który został podniesiony do rangi tytułu.

Cały dzień, aż do dzwonka Haliny do drzwi, był zwyczajny. Pomijając chwilę w bibliotece. Nic nie świadczyło o tym, że już zaczęło się odliczanie do końca normalnego życia. Wkrótce mieli jeść kolację, zamierzała obejrzeć w telewizji *Pogodę dla bogaczy*, wszystko było tak absolutnie codzienne.

Mała chwila szaleństwa.

Tak bardzo się bała. Tak straszliwie się bała. Ale nie wtedy, kiedy to się działo, kiedy Axel pobiegł za Haliną do sieni, a ona została sama na sofie ze swoim poniżeniem. Nie wtedy, kiedy słyszała kolejne pogrożki Haliny, że zamierza zniszczyć ich życie. Nie wtedy, kiedy wstała, złapała ciężki srebrny świecznik i poszła w stronę rozwścieczonych głosów, nie bała się nawet wtedy, gdy stała tam ze świecznikiem w ręku i spoglądała w dół na nieruchome ciało Haliny.

Wtedy czuła tylko zdumienie. Spoglądała na ręce trzymające świecznik i dziwiła się, że należą do niej. One poszły za głosem instynktu, prastarym jak ludzkość, gotowym zabić w obronie tego, co do nas należy.

Gdzieś w swoim wnętrzu nosiła tę zdolność, nie zdając sobie z tego sprawy.

Tak wiele poświęciła, żeby osiągnąć tak niewiele. Życie w cieniu obiektu podziwu. Tak niewiele, a jednak była gotowa z tego powodu zabić.

Rozpaczliwy krzyk Gerdy. Bezdźwięcznie odbijał się o jej błony bębenkowe. Z jej twarzy widziała, że stało się coś strasznego.

Axel, który pochylił się nad Haliną.

- Co ty zrobiłaś, co ty zrobiłaś, co ty zrobiłaś?

Jak mantra powtarzane pytanie dopiero wraz z głosem Axela przedarło się do jej świadomości. Potworny lęk przed czymś nieodwracalnym.

Przerażona, śledziła jego ręce, które usiłowały przywrócić Halinę do życia, podejmujące próbę ratowania przyszłości. Pustka, jaka powstała, kiedy okazało się, że jego starania są bezskuteczne.

Myśl uderzyła ją z niesłychaną siłą. Jak pod ciosem pałki upadła na kolana. W tym momencie obumarła ta niewielka resztką, która jeszcze w niej pozostała. Tego, co zrobił, nigdy nie będzie mogła mu wybaczyć.

Mężczyzna, którego dzieci urodziła, zrobił z niej morderczynię.

Drgnęła, kiedy usłyszała w słuchawce głos Jana-Erika.

- W porządku, chciałem tylko zapytać. Odsłuchałem twoją wiadomość, będę u ciebie jutro rano dziesięć po ósmej.

Louise otworzyła oczy i zobaczyła, że jest już jasno. Długo leżała wybudzona, słuchając odgłosów dochodzących z mieszkania, ale chowała się za zamkniętymi powiekami. Dopiero gdy usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych, po którym zapanowała cisza, była gotowa się ujawnić. Kiedy już nie musiała z nikim się spotykać.

Leżała bez ruchu, nie znajdowała żadnego powodu, żeby wstać.

Trzy dni minęły, odkąd zdjęła maskę. Kiedy jej smutek wyrwał się na powierzchnię, obezwładnił ją. Na oczach współsprawcy. Farsa, którą oboje tak długo grali. Wszystkie dobrze znane odpowiedzi. Konsternacja, jaką wywołała, kiedy nagle wyszła ze swojej roli.

A chciała tylko kontaktu. Poświęciła ostatnią resztkę szacunku dla siebie i błagała, by ją zauważył.

Jego odpowiedzi nie można było interpretować inaczej.

Nieobecność i znacząca cisza.

Była nikim.

Niczym.

Nie zasługiwała na reakcję.

*

W nocy leżała bezsennie. Szybko zgasła nocną lampkę, usłyszawszy jego kroki w przedpokoju, a potem, kiedy uchylił drzwi do sypialni, udawała, że śpi. Nie była w stanie na niego spojrzeć, nie mogła spotkać się z nim, kiedy czuła się przegrana. Chciała tylko uciekać.

Uciec od wszystkiego, co się nie udało.

Wczoraj wszystko uległo pogorszeniu. Pierwszy raz od ponad piętnastu lat z zakamarków jej pamięci wyłonił się nagle tamten mężczyzna. Dawny ukochany, który opuścił ją, ale nigdy nie opuścił jej snów. Przez lata spędzone z Janem-Erikiem otaczał go coraz jaśniejszy blask.

Stolik przy oknie w restauracji. On, dwoje dzieci i piękna kobieta. Śmiali się, z uwagą przysłuchiwali się sobie nawzajem. Siedzieli razem i zachowywali się jak prawdziwa rodzina.

Louise stała po drugiej stronie ulicy, ukryta w zakątku schodów. Niewidoczna obserwowała ich i ze smutkiem stwierdziła, że on znalazł wszystko to, czego ona zawsze szukała. To, co kiedyś pragnęła mu dać, gdyby pozwolił jej zostać.

Gdyby chciał z nią być.

Może było w niej coś, o czym sama nie wiedziała. Coś, czego nie zauważała. Może miała nieprzyjemny zapach? Przecież codziennie brała prysznic. Może to, co mówiła, nie było wystarczająco ciekawe? Starła się przecież śledzić bieżące wydarzenia. Może to jej ciało było odpychające? Była w lepszej formie niż wiele jej rówieśnic.

Nie wiedziała, co to było, ale coś w niej sprawiało, że nie można jej było kochać.

Zwinęta w kłębek, położyła się na boku i podciągnęła koldrę pod brodę. Próbowwała przekonać samą siebie, że istniał jakiś powód, żeby wstać. Jediną rzeczą, o której myślała z radością, był kieliszek wina, na jaki zwykle pozwalała sobie wieczorem po kolacji, siedząc przed telewizorem.

Ale przedtem był tylko kolejny dzień do przetrwania.

Na stole w kuchni leżała karteczka. Jan-Erik pojechał z Alice do Sophiahemmet. Louise była ciekawa, co teściowa bada sobie tym razem, którą częścią ciała obecnie zajmuje się szczególnie. Była zadowolona, że to nie ona musiała ją zawieźć.

Stała przy ekspresie do kawy, kiedy zadzwonił telefon. Rozważała, czy warto go odbierać. Bezprzewodowy telefon leżał na kuchennym stole, wyświetlił się nieznany numer. Z Goeteborga. Odłożyła telefon, ale sygnał nie ustawał. Wreszcie się poddała.

- Louise Ragnerfeldt.

Z drugiej strony kliknięcie słuchawki. To już trzeci raz. Jeśli telefon nie był zepsuty, w ciągu ostatnich dni ktoś dzwonił i odkładał słuchawkę, kiedy ona się zgłaszała. Słyszała, że sprzedawcy telefoniczni stosują taką sztuczkę, że dzwonią do kilku osób równocześnie i rozmawiają z tym, który pierwszy się zgłosi. Zirytowana, wróciła do ekspresu. Z zasady nie kupowała niczego od kogoś, kto nagabywał ją w jej własnym domu. Nie była głodna, ale napełniła miseczkę płatkami i mlekiem. Nie skusiła jej ani kawa, ani poranna gazeta, usiadła przy stole i wczytała się w tekst na kartonie mleka.

Skrzydlate słowa.

Odwaga: zdolność do działania bez lęku przed konsekwencjami, zwykle w dobrej sprawie i ze świadomością ryzyka.

Dowodem odwagi nie jest umrzeć, lecz żyć. (Alfieri)

Odłożyła łyżkę i wyjrzała przez okno. Gdyby była odważnym człowiekiem, wszystko wyglądałoby inaczej. Potrafiłaby

wyrwać się z tego miejsca, które czyniło z niej cień tego, czym chciała być. Wszystkie oczekiwania. Wszystkie marzenia. Wszystko, co posłusznie spakowała i odstawiła w miejsce, którego nie umiała odnaleźć.

Ale nie była odważnym człowiekiem.

Powiedziała swojemu terapeutce, że już nie chce do niego przychodzić. Nie mogła dłużej znieść siebie, jak opowiada, co powinna zrobić, a potem wychodzi stamtąd, zbyt tchórzliwa, by realizować własne dobre rady.

Kolejny raz odezwał się telefon. Nie patrząc na wyświetlacz, odebrała.

- Tak, halo?

W słuchawce panowała cisza, ale Louise słyszała, że ktoś tam był. Chyba jednak są jakieś granice bezczelności, nawet dla sprzedawców?

- Kto dzwoni?

- Szukam Jana-Erika.

Kobięcy głos.

- Nie ma go teraz w domu, co mam przekazać?

Znow zapadła cisza, ale niezbyt długa.

- Proszę go pozdrowić od Leny z Goeteborga. I poprosić, żeby zadzwonił.

Louise siedziała jeszcze ze słuchawką przy uchu, kiedy usłyszała, że połączenie zostało przerwane. Lena z Goeteborga. Która szuka Jana-Erika. Wszystkie nazwiska zbędne. Numery telefonów zostały wymienione.

Zamyślona odłożyła słuchawkę. Czy to nie w Goeteborgu był kilka dni temu? Kiedy nie zdążył wrócić na przedstawienie Ellen? Jeszcze raz wzięła do ręki telefon i sprawdziła rozmowy z ostatnich dni. Siedem razy wyświetlił się ten sam numer z Goeteborga. Siedem razy dzwoniła Lena. Nawet ten raz, pół godziny temu, kiedy ktoś się rozłączył.

Oparła się na krzesło i z zaskoczeniem uświadomiła sobie swoją reakcję. Nie czuła gniewu ani rozpacz. Jedynie

zdziwienie, niemal ulgę, że wreszcie doczekała się wyjaśnienia.

To nie była pogarda wobec niej.

Po prostu kochał inną.

Wstała i ze swoją nową wiedzą poszła do łazienki. Wzięła prysznic, umalowała się i ubrała. Coś się zmieniło w jej nastroju. Wesołość może to byłoby za dużo powiedziane, ale nagle powietrze wydawało się lżejsze, łatwiej się oddychało i kroki już nie były takie ciężkie. Tak jakby wiadomość, że Jan-Erik ma kochankę, uratowała jej honor. Podniosła się z poniżenia, wzmocniona tym, że ma teraz w ręku oskarżenie, którym może się posłużyć. Zaskoczyło ją coś niezwykłego. Że nie pojawiły się rozczarowanie i gorycz. A więc to wcale nie było takie ważne. Stało się coś nieoczekiwanego, coś, co wyrwało ją z tego zwykłego szarego zastoju; samo to warte było tego upokorzenia, że wolał Lenę z Goeteborga niż ją. A więc do tego doszło. Wszystko sięgnęło dna.

Nałożyła wierzchnie okrycie i wyszła. Zdecydowała, że nie otworzy butiku jeszcze przez jeden dzień. Nie mogła już tam wytrzymać. Ten samotny czas spędzany za ladą w oczekiwaniu na zdawkową rozmowę z jednym z nielicznych klientów, jeśli w ogóle ktoś zajrzał.

Wciągnęła rześkie powietrze. Wypełniła nim płuca i próbowała wmówić sobie, że napełnia ją odwagą, której jej brakowało.

Pozwoliła, żeby nogi poniosły ją w stronę Djurgården. Za mostem Djurgårdsbron skręciła w lewo i poszła wzdłuż kanału. Na wysokości Kaptensudden usłyszała sygnał komórki. Nie odebrała i szła dalej, ale zaraz pojawił się sygnał, że dostała wiadomość. To mogła być Ellen. Wyjęła komórkę

i zobaczyła, że wiadomość pochodzi z domowego numeru, wybrała kod poczty głosowej i usłyszała głos Jana-Erika.

„Cześć, to ja, już wróciłem. Przechodziłem obok butiku, ale cię nie było. Gdzie jesteś? Wiesz, w Sophiahemmet nie poszło dobrze. Tym razem rzeczywiście coś znaleźli, i to chyba coś poważnego. Alice jest już w domu, ale pojutrze ma mieć operację. Oddzwon, kiedy to usłyszysz. Pa”.

Zatrzymała się i wyłączyła telefon. Alice chora? Naprawdę? Ta wiadomość ją poruszyła. Tyle lat Alice zadrezczała ich swoimi zmyślonymi dolegliwościami, tak długo i tak intensywnie, że nie mogli uwierzyć w rzeczywistą chorobę. Wreszcie okazało się, że miała rację. Louise poczuła wyrzuty sumienia, zawróciła i skierowała się w stronę mieszkania Alice.

Chciała użyć swojego klucza, ale powstrzymała się z ręką przy zamku i zadzwoniła do drzwi. Jeśli Alice spała, nie chciała jej nachodzić z zaskoczenia, ich relacja nie dopuszczała takich intymnych sytuacji.

Alice szybko podeszła do drzwi i otworzyła.

- Ach, to ty, Louise, jak miło, wejdź.

Louise nie wiedziała, czego się ma spodziewać, ale na pewno nie spodziewała się tego, co zobaczyła. Trzeźwa i żwawa Alice ubrana w kwiecisty fartuch odsunęła się na bok, żeby ją wpuścić.

- Nie jesteś w butiku?

Louise powiesiła płaszcz.

- Dzisiaj mam zamknięte. Jan-Erik dzwonił i opowiadał o twoich badaniach.

Louise urwała. Takiej Alice, jaką miała przed sobą, nigdy wcześniej nie widziała. Szła tutaj przygotowana na wyrzuty, że nigdy nie wierzyła w jej choroby. Widziała już Alice w

łóżku, triumfującą, że wreszcie naprawdę może uzalać się nad sobą. Gotową obciążać ich wyrzutami sumienia.

Alice gestem zaprosiła Louise do pokoju i zniknęła w kuchni.

- Chcesz kawy?

- Nie, dziękuję.

Louise obrzuciła wzrokiem pokój pogrążony w chaosie. Większość przedmiotów została zabrana ze swojego miejsca, a wszystkie powierzchnie płaskie były pełne książek, papierów, czasopism i bibelotów.

Alice ukazała się z tekturowym pudłem w ręku w drzwiach kuchni.

- Zaczęłam trochę porządkować rzeczy. Możesz popatrzeć, czy chciałabyś coś z tego dla siebie. Zamówię kogoś, żeby wywiózł resztę.

Alice wyjęła szklaną figurkę konia.

- Pamiętam, że Ellen się nim zachwycała, jak była mała. Może chciałaby go na pamiątkę.

Louise przypatrywała się teściowej. Zaskoczona jej szybkimi ruchami, ożywionym spojrzeniem.

Alice rzuciła okiem na jeden z obrazów na ścianie.

- A ten chyba chciałby mieć Jan-Erik, wydaje mi się, że mu się podoba. Wisiał w salonie domu w Nacka, a w razie czego... myślę, że może być wart kilka ładnych koron.

- Ależ Alice, czy ty nie uprzedzasz wypadków?

Alice odstawiła karton i rozejrzała się dokoła, jakby niczego nie słyszała.

- Co powiedzieli lekarze?

- Bóg jeden wie, oni przecież używają tak wielu trudnych słów, że nikt nie rozumie, o co im właściwie chodzi. Ale lekarka wyglądała na zmartwioną, pojutrze chcą mnie pokroić i zajrzeć do środka. O, to jest tu!

Alice podeszła do półki i wyjęła jakąś książkę.

- Przecież tu była! To jedna z pierwszych książek, jakie przeczytałam. Wyobraź sobie, że nie widziałam jej kilka lat i myślałam już, że zginęła. Będzie dla Ellen.

Louise była zdziwiona, że Jan-Erik zostawił matkę samą. Nawet on musiał zauważyć, w jakim jest stanie.

- A więc pojutrze będziesz operowana?

- Tak.

Alice podeszła do kredensu i wyciągnęła górną szufladę.

- Pomyśl, ile rzeczy człowiek zbiera przez całe życie i tylko z niewielkiego ich ułamka korzysta.

Mówiła to wszystkim swoim wesołym tonem. Louise podeszła do sofy, przesunęła pudło i usiadła, żałując, że nie wie, co powinna powiedzieć. Nie wiedziała, jak się zachować wobec ludzi w stanie szoku.

Alice zaczęła wyjmować srebrne sztuce i układać je na kredensie.

- Kiedy się je odczyści, będą naprawdę piękne. Dostałam je w spadku po matce i ojcu.

Louise wpatrywała się w jej plecy. Podczas jakiejś rozmowy dawno temu wyszło na jaw, że Alice wcześniej straciła kontakt z rodzicami, nigdy nie wyjaśniła dlaczego. Nigdy nie mówiło się o nich, z wyjątkiem tamtego razu, a wtedy to Ellen o nich zapytała.

Nastrój, w jakim się znajdowała, i wszystkie nieoczekiwane okoliczności nagle dodały Louise odwagi, żeby zapytać:

- Nigdy nie tęskniłaś za swoimi rodzicami?

- Nie, rodzice są zdecydowanie przeceniani.

Stwierdzenie brzmiące jak cytat z mądrej książki. Nawet nie patrząc jej w twarz, Louise poznawała, że Alice nie zamierza podtrzymywać tematu. Ze szczególną uwagą oglądała łyżkę.

Nagle Louise uświadomiła sobie, jak mało wie o Alice, jak słabo ją zna. Kiedyś teściowa straciła dziecko w wypadku

samochodowym, piętnastoletnią córkę. Dopiero teraz Louise zrozumiała w pełni, co to tak naprawdę oznaczało. Że w tej chwili Ellen miałyby przed sobą tylko trzy lata życia. Ta myśl była czymś niewyobrażalnym.

Alice dalej sprawdzała stan sztuków. Kiedyś pisała, Alice była pisarką, tak jak Axel, w latach pięćdziesiątych napisała kilka powieści, których Louise nigdy nie przeczytała. Jan-Erik też nie, przynajmniej nie wiedziała o tym. Była ciekawa, dlaczego Alice przestała pisać.

Alice wsunęła szufladę i zaniósła sztuce do kuchni.

Louise siedziała w milczeniu i spojrzeniem śledziła jej kroki po mieszkaniu. Myślała o pogardzie, którą tak często odczuwała w stosunku do niej. Przemieszanej z niechętnym pragnieniem, by zdobyć jej szacunek. Ale może to był tylko strach. Chciała być pewna, że nie narazi się na słowne ataki Alice, wiedząc, jak ona potrafiła mówić o innych. Oceniała swoje otoczenie jak nieomylny sędzia. Kiedy znalazła jakąś cechę, której sama nie miała, zaraz czyniła z niej pośmiewisko.

Louise słyszała szum wody z kranu. Podzwanianie spadkowych sztuków w zlewie. Poszła do kuchni. Stała w progu i przyglądała się krzątaniu Alice.

- Alice, czy nie lepiej byłoby poczekać, usłyszeć, co powiedzą lekarze?

Alice wycisnęła odrobinę środka do polerowania na bawełnianą szmatkę i wzięła do ręki widelec. Louise spróbowała jeszcze raz.

- Przecież właściwie jeszcze nic nie wiemy, może to nie jest takie groźne.

Dłoń Alice pocierała metal coraz szybciej, w miejscu zetknięcia ze srebrem gałganek zabarwił się na czarno.

- Myślę, że jednak powinnaś trochę z tym poczekać i usłyszeć, co powiedzą lekarze.

Z niespodziewaną siłą Alice rzuciła widelec i odwróciła

się do Louise. Ta, zupełnie na to nieprzygotowana, aż się cofnęła przed mocą, kryjącą się w oczach teściowej.

- Na litość boską, kobieto! Czy nie możesz przynajmniej pozwolić mi w spokoju nacieszyć się moją samozagładą?!

W jednej chwili zrobiło się cicho. Przez kilka sekund twarz Alice była obnażona, a Louise aż wstrzymała oddech, gdy to zobaczyła. Rozpacz tak głęboka, że zniekształciła rysy jej twarzy. W chwilę później było po wszystkim i Alice gniewnymi ruchami wróciła do swoich sztuców. Louise stała jak przymurowana, aż paraliż ustąpił i mogła wycofać się do pokoju, gdzie usiadła na sofie.

Tam, w kuchni, stała przed nią Alice, ale ona zobaczyła samą siebie.

Z nagłą jasnością zrozumiała, że za czterdzieści lat przyjdzie kolej na nią, by życie ostatecznie pokazało jej swój bezsens. Tak samo jak Alice będzie przez lata wylewała żółć zgorzknienia na wszystko, co się znajdzie w pobliżu, na Ellen i jej przyszlą rodzinę. Przekaze następnemu pokoleniu beznadziejne zadanie zadośćuczynienia za zmarnowane życie. Oświetlone z innej strony, nagle wszystkie perspektywy wyglądały inaczej, jej zobowiązania wobec córki były inne, niż dotychczas myślała. Bo właściwie dla czyjego dobra się poświęcała? Od kogo spodziewała się wdzięczności? Od Ellen, która miała wejść w życie z wykrzywionym obrazem tego, co to jest miłość? Od Jana-Erika, któremu pozwalała na takie postępowanie, bo nie potrafiła powiedzieć stop? Jakim wzorem była dla swojej córki? Nagle zrozumiała, że jej lęk przed odejściem był tylko egoistycznym tchórzostwem, bo jaką korzyść Ellen mogła mieć z matki, która już i tak była martwa? Matki, która, gdy już na wszystko będzie za późno, będzie oczekiwała wdzięczności za to, z czego zrezygnowała, żeby utrzymać rodzinę w całości.

Pragnęła tylko jednego, uwolnienia. Otworzyć drzwi przed życiem, które tak długo było zamknięte. Czuła je w sobie, jak błaga o tlen, jak się szarpie i rzuca, żeby móc pokazać swoje możliwości.

Podjęła decyzję i wszystko się uspokoiło.

Szklany konik stał na parapecie. Wyciągnęła rękę i wzięła go, ułożyła miękko w swojej dłoni. Potem poszła do kuchni. Alice stała tak, jak ją zostawiła, odwrócona plecami, przebierając w rodzicielskich sztućcach. Louise zawahała się, chciała jej podziękować, ale jak zwykle nie znalazła słów. W końcu delikatnie położyła jej dłoń na ramieniu.

- Pójdę już, Alice. Powodzenia we wszystkim, co zamierzasz zrobić. Zabieram ze sobą tego konika i dam go Ellen. Jestem absolutnie pewna, że bardzo chciałaby go mieć.

Torgny siedział przy kuchennym stole i obracał w palcach nekrolog Gerdy. Żadnego wiersza. Żadnych pogrążonych w smutku najbliższych. Tak samo anonimowo będzie kiedyś wyglądał jego nekrolog, jeśli ktoś w ogóle zada sobie trud, żeby go zamieścić w gazecie.

W przedpokoju wisiał jego czarny garnitur. Teraz używany wyłącznie na pogrzeby. Wyczyszczony, ale postarzały, tak samo jak on. Przebranie, na które czasami sobie pozwalał.

Miał zwyczaj przeglądać nekrologi w gazetach, patrzył, kto umarł, a jeśli jakieś nazwisko wyglądało znajomo, szedł na pogrzeb. Szansa, żeby wyjść z domu, sprawić, by czas jakoś zleciał, ukraść trochę poczucia wspólnoty. Krawat zawiązany kiedyś palcami Haliny. Nie był w stanie go rozwiązać. Tylko poszerzał trochę otwór i wkładał na szyję, nosił swoją pętlę jak symboliczny znak.

Zapalił zapalniczkę i przyłożył do papierosa. Uchylił okno, jak obiecał właścicielowi domu, kiedy sąsiedzi skarżyli się na zapach papierosów z jego mieszkania. Przez pięćdziesiąt cztery lata, od przeprowadzki do Sztokholmu, było to jego mieszkanie. W młodzięcym zachwycie przejechał rogatki

miasta, witając świat, który się przed nim otwierał. Świat, podzielony na białe i czarne, w którym jeszcze nie było miejsca na żadne odcienie szarości. Czerń to było dzieciństwo i wszystko to, co zostawił za sobą. Dorastanie i odziedziczone zajęcie robotnika w zakładach metalowych Finspång. Już jako dziecko czuł się inny. Wcześniej nauczył się ukrywać ból, kiedy jakiś kolega w szkole, któryś z braci lub ojciec wyżywali się na nim za to, że nie wstydził się swojej inności. Niski, szczupły i niezbyt silny był łatwym celem dla każdego, kto miał ochotę zaatakować. Póki nie odkrył siły tkwiącej w języku. Swoją nowo zdobytą bronią potrafił utrzymać w szachu każdego agresora, a z czasem sztukę argumentacji doprowadził do perfekcji. Nie pomagało mu to uniknąć lania, wprost przeciwnie, zbite z tropu osoby jeszcze szybciej sięgają po argument pięści, ale ciosy łatwiej było znosić, kiedy wiedział, że już zwyciężył.

Biel to było wszystko, co czekało go w przyszłości. Sztokholm ze swoją kulturą i życie literackie, z którym zetknął się już w domu w Finspång. Chciał pokazać wszystkim w domu, że nie wiedzieli, kogo tak naprawdę wyśmiewali.

Teraz miał wkrótce skończyć siedemdziesiąt osiem lat, a zmierzch zaczął się wcześniej, już od dawna jego życie chyliło się ku wieczorowi. Dni były coraz bardziej puste, bo wszyscy, których kiedyś znał, zmarli lub zagubili się gdzieś po drodze. Niewiele było osób, z którymi mógł się podzielić wspomnieniami.

Spojrzał na wyrwany z gazety nekrolog.

Kristoffer, który tak nagle się pojawił, dawne sprawy, które z taką siłą przywołały tamte lata. Uzmysłowił sobie, jak ogromnie dużo czasu upłynęło. I musiał pogodzić się z tym, że był to czas stracony, że jego czekanie od dawna było daremne. Mały chłopiec przemieniony w dorosłego mężczyznę, w świecie Torgny'ego nadal wytęskniony czterolatek.

To, co Kristoffer opowiadał o swoim losie, ostatecznie potwierdzało, że Halina nie żyje.

Nawet nie zdążył poprosić go o numer telefonu ani zapytać o nazwisko. Chłopiec, którego kiedyś traktował jak własnego syna, pojawił się i zaraz zniknął. Niczego tak nie pragnął, jak spotkać go jeszcze raz.

To dziwne, że zjawił się właśnie teraz, kiedy także zbliżający się pogrzeb Gerdy obudził wspomnienia. Za dużo tego było, żeby był w stanie tam pójść. To było niemożliwe, teraz, kiedy obrazy tego, co zrobił, wypłynęły na powierzchnię, leżały tam i przebijały się przez cienką błonę, jaką obrosła jego hańba.

W tej chwili nie rozumiał nawet, dlaczego zamierzał iść na pogrzeb. Może po to, żeby ostatni raz spojrzeć na człowieka, który zniszczył mu życie. Ostatni raz poczuć ożywczą siłę nienawiści, która okazała się jedynym towarzyszem jego życia.

Wyrzucił niedopałek i zamknął okno. Nie chciał już nic pamiętać i schował nekrolog pod stosem gazet. Nie pomogło. Gerda i wszystko, co wiązało się z pamięcią o niej, nie chciały zniknąć. Nie znali się bliżej, czasem tylko zamieniali kilka słów, kiedy bywał w tamtym domu. Zdarzało się, że wchodząc lub wychodząc, zatrzymywał się chwilę przy niej, kiedy krzątała się w kuchni lub na kolanach pracowała na grządkach.

Ostatni raz widział ją tuż potem. Kiedy bliski zwymiotowania po tym, co zrobił, wybiegł z domu i schylony, z dłońmi na kolanach, próbował wyrzucić z siebie własną podłość.

Wytrząsnął z opakowania nowego papierosa, nie otworzył okna. Wstał, żeby przynieść sobie piwo, ale usiadł znowu, kiedy przypomniał sobie, że wypił już wszystko.

Gdyby przynajmniej wtedy miał świadomość, że był szczęśliwy. Wtedy, kiedy w jego życiu byli Halina i Kristoffer,

i miał jeszcze zdolność pisania. Kiedy nie musiał ukrywać się za literami, bo raz na zawsze utracił prawo do zabierania głosu. Dopiero gdy wszystko było stracone, zrozumiał, co posiadał. Jego cierpienie zrodziło się z kontrastu.

Niewidzialny punkt zwrotny.

Który dopiero znacznie później stał się tak wyraźny jak sygnał ogniowy.

Chwila, kiedy Halina poprosiła, żeby ją zabrał do Västerås.

Już wtedy powinien się być zastanowić, przecież nigdy przedtem nie chciała z nim jeździć. Baby-sitter za dużo kosztuje, tak brzmiała jej stała wymówka. Czy nie było tak, że zmieniła zdanie, kiedy wspomniał, że przyjedzie też Axel Ragnerfeldt?

Jak już tyle razy przedtem, pytanie pozostało bez odpowiedzi, gdy w świetle następnych wydarzeń wszystko stało się jasne.

Czas potem. Ciągle tylko Axel. Jej nieustanna gadanina o jego wielkości. Jego książki, które czytała na okrągło. Leżały porozrzucane w całym mieszkaniu, jako dowód jego przewagi. Uraza, której starał się nie okazywać, ale ona i tak ją zauważyła i wykorzystywała, by go zranić, gdy się kłócili. Kiedy już nie mogło być gorzej, pojawiły się aluzje, że coś między nimi zaszło tam, w Västerås, za jego plecami. Wysyłane po kryjomu karteczki i listy, które potwierdzały, że nadal utrzymują kontakt. Dręcząca go potworna zazdrość.

Axel Ragnerfeldt, jego nieustający zwycięski przeciwnik, którego talent w oczywisty sposób górował nad jego talentem. Który osiągnął pozycję i poważanie, jakiego on zawsze pragnął.

W końcu okazał się lepszy także jako mężczyzna i kochanek.

Myślał o dniu, w którym Halina spakowała walizki i zabrała

ze sobą Kristoffera. Nie zrobił nic, by ich zatrzymać. Wierzył jej słowom, że czeka na nich Axel. Dopiero kiedy już było za późno, zaczął poszukiwania. Gdy Axel najwyraźniej dalej mieszkał z rodziną, a Halina i Kristoffer jakby zapadli się pod ziemię.

Wstał i poszedł do pokoju. Jej spojrzenie z obrazu zawsze mu towarzyszyło. Ilekroć podnosił wzrok, ona tam była, jej figlarne oczy odnotowywały każdy bezsensowny krok. Wiecznie młoda, ciągle obecna, na zawsze nieosiągalna. Jak chroniczna choroba zagnieżdżyła się w jego piersi i nie chciała odejść. Czy to ją ciągle kochał, czy może wizję ich miłości? Czy czas dodał kolorów, stonował jej kaprysy i niewybaczalne zdrady? Czyżby była tylko uporczywą melodią, która utkwiała mu w głowie i zaczarowała go?

Jego więzienie składało się z niedokończonego, z potrzeby wyjaśnienia, ze wszystkiego, co pozostawało otwarte, bez możliwości zamknięcia.

Przez pierwszy okres siedział jak sparaliżowany. Kiedy musiał zaprzestać poszukiwań i nie wiedział, co ma ze sobą dalej robić. Ściany mieszkania podkreślały jej brak, nacierały na niego i zmuszały do wyjścia. Na zewnątrz, w mrowiu ludzi, nie było nikogo takiego jak ona, każde spotkanie było tylko nieznośnym przypomnieniem. Wtedy w rozpacz zaczął pisać. Zamknął się w mieszkaniu i próbował ją wskrzesić, gdzieś w najgłębszym zakamarku serca żywił nadzieję, że ona do niego wróci, kiedy przeczyta jego książkę. Kiedy zobaczy, jaki jest wspaniały.

Wiatr szepcze twoje imię okazał się najlepszą książką, jaką kiedykolwiek napisał.

Nawet to nie było w stanie ściągnąć jej z powrotem.

Jeszcze raz został zwyciężony. Znakomite recenzje ze-
pchnięto do działów kultury. Wszystko kręciło się wokół Axela Ragnerfeldta i jego Nobla. Jego literacki triumf, *Cień*,

ostatecznie przekonał Akademię Szwedzką. Wynoszono książkę pod niebiosą, określano nawet jako po wieść stulecia. Torgny początkowo nie chciał jej czytać, ale w końcu ciekawość zwyciężyła. Musiał się przekonać, co czyniło tego człowieka tak wybitnym. A jego zerem.

Pamiętał uczucie niechęci towarzyszące kupowaniu książki w księgarni.

Wstrząs, kiedy już po pierwszej stronie wszystko zrozumiał.

Rok po tamtym strasznym dniu, kiedy stojąc w salonie Ragnerfeldta, był zmuszony prosić o wybaczenie, zrozumiał ogrom kłamstwa.

Torgny nawet nie pomyślał, żeby zadzwonić do drzwi. Po prostu otworzył i wszedł do środka, czując, że ma do tego oczywiste prawo. Już nie będzie dreptania na paluszkach wokół tego człowieka, który zasłużył na więcej pogardy, niż można mu było okazać. Gerda zobaczyła go, kiedy mijał kuchenne drzwi, ale zaskoczona, nie mogła wydobyć głosu. Poszła tylko w ślad za nim, gdy zmierzał wprost do drzwi Axela. Torgny zdążył już je otworzyć, gdy go dogoniła. Axel zerwał się z krzesła, ale zaraz się opanował. Torgny miał wrażenie, że w jego oczach pojawił się krótki błysk strachu.

- Wszystko w porządku, Gerdo, ja się tym zajmę.

Nie patrzył na Torgny'ego, podszedł do drzwi i zamknął je przed zaniepokojoną twarzą Gerdy. Bez słowa wrócił do biurka, usiadł na krześle i splótł dłonie na blacie przed sobą. Przez chwilę było cicho, potem uśmiechnął się niepewnie, jak gdyby chciał wysondować sytuację.

- Torgny, dawno się nie widzieliśmy.

Z dystansem, lecz bez wrogości.

Torgny nadal stał przy drzwiach. Topór już był uniesiony, ale gdy zobaczył, jak źle Axel czuje się w tej sytuacji,

postanowił wszystko trochę przeciągnąć. Jego wymuszona uprzejmość. Niepokój, który zakwitł czerwonymi plamami na szyi. Torgny był spokojny jak rzadko kiedy. Mając prawdę po swojej stronie, po raz pierwszy doświadczał poczucia przewagi. Władza, jaką miał, była oszłamiająca, przewaga tak gigantyczna, że aż kręciło mu się w głowie. Delektował się tą sytuacją, jakby była drogiem szampanem.

- Gratuluję ci członkostwa w Akademii Szwedzkiej.

- Dziękuję.

Torgny odrobinę za długo zatrzymał na nim wzrok, ale potem oderwał oczy i rozejrzał się po pokoju. Podszedł do ściany, z zainteresowaniem obejrzał dyplomy i zdjęcia, mając świadomość dyskomfortu, o jaki przyprawiało Axela jego milczenie.

- Chciałeś ode mnie czegoś konkretnego?

Torgny, odwrócony plecami, dalej oglądał ścianę. Przesunął palcem po jednej z ram i strząsnął kurz.

- Tutaj Gerda się nie przyłożyła.

Odwrócił się i powoli przeszedł do regałów z książkami. Z głową przechyloną na bok odczytywał tytuły jeden za drugim, po chwili dostrzegł egzemplarz *Wiatr szepcze twoje imię*.

- No proszę. Miałeś czas na taką drugorzędną literaturę? A ja zawsze myślałem, że jesteś ciągle zajęty pisaniem własnej.

- Czy mogę cię czymś poczęstować? Kawa? Whisky?

- Nie, dziękuję.

Znów zapadła cisza, palec Torgny'ego przesunął się wzdłuż rzędu książek.

- Przypuszczam, że przychodzisz z jakąś sprawą. Nie wiedziałem, że przyjdiesz, więc miałem nieco inne plany.

Torgny zatrzymał się.

- A więc przypuszczasz, że przychodzę z jakąś sprawą?

- Tak.

Spojrzał na Axela.

- A co to miałyby być za sprawa?

Axel nie odpowiedział.

Torgny wrócił do swojej książki, zdjął ją z półki. Przez chwilę stał i ważył ją w dłoniach.

- Czy wiesz, o kim jest ta książka?

- Przykro mi, ale muszę przyznać, że jeszcze jej nie przeczytałem.

- Ach nie, rozumiem, jesteś przecież bardzo zajęty. Opo-
wiem ci, to nie będziesz tracił swojego cennego czasu. Ona
jest o Halinie. Może ją pamiętasz? To o niej mieliśmy taką
miłą rozmowę w twojej drewnitni mniej więcej rok temu.
Czy coś ci dzwoni?

- Tak, pamiętam.

Torgny przybrał zamyśloną minę.

- No to zobaczymy. Wydaje mi się, że pamiętam tę roz-
mowę prawie dosłownie, zwykle tak bywa, kiedy jest to ja-
kieś szczególnie przykre przeżycie. A jeden szczegół pamię-
tam wyraziście, bo dzięki niemu naprawdę poczułem wtedy
ulgę. To było, kiedy powiedziałaś, że Halina i ty nie byliście
parą, czy nie było tak?

- Nie byliśmy parą.

- Mówiłeś, że nic was nie łączy.

- Do czego zmierzasz?

Czerwień z szyi Axela rozlała się na jego twarz. Torgny
potrząsnął głową.

- Wiesz, Axelu, bywały takie chwile, że ci zazdrościłem,
kiedy musiałem przyznać, że rzeczywiście masz w sobie coś
szczególnego, nie tylko twoje książki, lecz wszystko, co sobą
reprezentujesz.

Obserwował splecione dłonie Axela. Palce mu pobielewały.

Z zaciśniętymi ustami pozwalał płynąć słowom Torgny'ego, nie odnosząc się do nich.

Torgny już nie był w stanie dłużej udawać nonszalancji.

- Jak możesz, do licha, siedzieć tu i dalej udawać świętego, choć wiesz, że zostałeś zdemaskowany, że wiem, jakim cholernym oszustem naprawdę jesteś.

Axel zagryził zęby. Jego ramiona zaczęły drżeć, schował dłonie na kolanach. Torgny odłożył swoją książkę na półkę i wziął egzemplarz *Cienia*. Axel widział to, ale szybko odwrócił wzrok, jakby nie był w stanie patrzeć na to, co się dzieje. Torgny wpatrywał się w niego, nie chcąc uronić nic z widoku godności, rozpadającej się w gruzy.

- Jakie to uczucie dostać Nagrodę Nobla po tych wszystkich pochwałach za tę książkę?

Axel nie poruszył się. Wziął tylko głęboki oddech, jak przed zanurkowaniem. Przez kilka sekund jeszcze się trzymał, a potem osunął się na biurko, czołem oparł się o maszynę do pisania. Torgny stał nieporuszony i przyglądał się, jak właśnie wali się fasada tamtego.

- Gdzie ona jest?

Mijały minuty. Długie minuty, podczas których Axel Ragnerfeldt sprawiał wrażenie, że nie jest w stanie utrzymać się na krześle. Potem próbował wyartykułować jakieś słowa, ale powstrzymywał się, gdy już prawie miały wyjść z jego ust.

- Musisz mi pomóc, Torgny.

- Powiedz mi, gdzie ona jest?

Axel z trudem się wyprostował, twarz, którą zobaczył Torgny, była mu nieznaną.

- Nie wiem, przysięgam, mówiła coś, że chyba wróci do Polski. Proszę cię, Torgny, musisz mnie zrozumieć, byłem zupełnie zdesperowany.

Błaganie z rozpaczą w oczach. Torgny był porażony tym, co widział. Axel Ragnerfeldt uniżenie zebrzący o jego współczucie. Nawet nie był w stanie nic powiedzieć, to, co widział, przyprawiało go o mdłości. Patrzył na książkę, którą trzymał w rękach, przerzucał kartki. Litery. Słowa, które - właściwie połączone - opisywały najgorsze piekło, jakie jest w stanie znieść istota ludzka. Warunki w obozie koncentracyjnym przedstawione tak, jak nie mógłby przedstawić ich nikt, kto tego nie przeżył. Spisane w mękach, by uspokoić demony. Axel Ragnerfeldt splądrował wszystko i odebrał jej. Ukradł jej myśli, wykorzystał jej duszę.

- Przysłała mi rękopis, powiedziała, że mogę z nim zrobić, co zechcę.

Torgny poczuł nagły gniew.

- Przecież była chora, do stu diabłów! Wiedziałaś o tym! Wiesz, jak długo ona się męczyła z tą powieścią?

- Powiedziała, że nie chce już o niej słyszeć, miała wracać do Polski i zacząć nowe życie, chciała zapomnieć wszystko, co się stało, tak mówiła, i...

Opuścił ramiona, wzrok wbił w kolana. Palcami prawej dłoni zaczął kręcić obrączką.

- Nie napisałem niczego przez kilka lat, w ogóle nic, byłem zupełnie zdesperowany. Wydawnictwo marudziło, bank nalegał, nie miałem pieniędzy na spłaty, ledwie starczało na jedzenie. Nie mogłem wydusić z siebie ani linijki, po prostu już nie byłem w stanie pisać, wszystko się skończyło. Właśnie miałem powiedzieć Alice, że będziemy musieli sprzedać dom. Chodziłem po tym gabinecie i przygotowywałem się do tego, kiedy zadzwonili rodzice z wiadomością, że umarła moja siostra na zawał serca. Nie widziałem jej prawie trzydzieści lat. Miałem świadomość, jak trudno im było zadać to pytanie, ale w końcu się przemogli.

Zapytali, czy mógłbym opłacić pogrzeb, a ja... Ja po prostu nie umiałem im powiedzieć, jaka jest sytuacja. Nie byłem w stanie przyznać się, że nie mam pieniędzy. Wyznać, że poniosłem klęskę.

Ukrył twarz w dłoniach i przez krótką chwilę Torgny myślał, że Axel płacze.

- Zacząłem szukać w garderobie, w nadziei, że może znajdę jakieś stare teksty, i wtedy natknąłem się właśnie na to, po prostu tam leżało, a ja... Powiedziała, że mogę z tym zrobić, co chcę. Wiem, że postąpiłem źle, ale wtedy nie widziałem innego wyjścia.

- Noblista Axel Ragnerfeldt! Co za ohyda! Jak ty, do diabła, wytrzymujesz sam ze sobą?

Torgny wypluwał słowa. Pogarda paliła go w język.

Axel siedział zgarbiony na krześle i patrzył przed siebie. Człowiek, którego widział Torgny, był kimś obcym, kogo nigdy przedtem nie spotkał.

- Chyba musiałeś się domyślać, że zostaniesz zdemaskowany, że ja kiedyś to przeczytam.

- Mówiła, że nie czytałeś. Że nikt nie czytał.

Torgny zaniemówił. Przez lata siedział u jej boku i pomagał, zachęcał, żeby walczyła dalej, kiedy już chciała się poddać. Komentował każde zdanie, przecierając oczy ze zdumienia, zachwycał się jej talentem i próbował przekonać ją o wyjątkowości dzieła.

Nie czytał!

- Zaryzykowałem. Wtedy nie myślałem, że może być coś gorszego. Gdybym wiedział, że zrobi się takie zamieszanie... W najdzikszych fantazjach nigdy bym nie przypuszczał, że tak się stanie. Chciałem tylko kupić sobie trochę czasu, żeby dokończyć to, co właśnie pisałem.

Spojrzał na Torgny'ego, lecz spuścił wzrok, bo nie znalazł współczucia, jakiego szukał.

- Czy myślisz, że nie żałowałem? Tak? Jak sądzisz, jak ja się z tym czuję? Na tyle dobrze chyba mnie znasz. To wszystko jest jak jeden wielki koszmarny sen.

Wstał i podszedł do okna.

- Wolałbym, żeby to się nie stało, Torgny. Po stokroć wolałbym, ale się stało.

W gabinecie zapadła cisza. Axel odwrócił się na jakiś dźwięk z przedpokoju. Podszedł do drzwi i otworzył je, ale nie było nikogo. Kiedy się upewnił, że nikt nie słucha, wrócił do biurka i usiadł.

- Wiem, że nie mam prawa prosić cię, żebyś milczał o tej sprawie, Torgny, ale zrobię wszystko, co zechcesz.

Torgny prychnął.

- Dostaniesz połowę nagrody.

Propozycja odebrała Torgny'emu mowę. Mały chłopiec, który ściągał na klasówce i sprawa się wydała. Myślał, że wykupi się kolejnym kręactwem. Czoło Torgny'ego pulsowało. Krew rozsadzała żyły. Ten człowiek, którego darzył niechętnym podziwem, którego mimo swej antypatii zawsze stawiał na piedestale, pęzał teraz przed nim jak robak, którym się okazał. Jego nienaruszona integralność, godna pozazdrosczenia siła charakteru. Cały czas pod tą powierzchnią istniały ukryte przeciwieństwa, druga strona jego wybitnych osiągnięć. Nędznik tak odrażający, że nawet powietrze wokół niego miało zapach zgnilizny.

- Powiedziała, że mogę z tego korzystać.

Cichym głosem, ostatnia pokorna próba ułagania przeciwnika.

Torgny patrzył na niego. Widział człowieka, który zdobył miłość Haliny. Który swoimi sztuczkami wbił między nich klin.

- Kiedy to powiedziała?

Axel rzucił mu szybkie spojrzenie.

- To było napisane w liście, który przysłała z manuskryptem.

- Daj spokój, Axel. Mówiłeś przecież, że jej nie spotkałeś.

- Przysłała to pocztą.
- No to gdzie masz ten list? Mogę go przeczytać?
- Wyrzuciłem go.
- Na pewno. Jak możesz, u diabła, myśleć, że ktoś da się nabrać na to, co mówisz? Co się właściwie stało w Västerås? Wersja Haliny wydaje się o wiele bardziej wiarygodna niż twoja.

Axel nie odpowiedział.

Torgny zamknął oczy.

Axel i Halina. Rozgorączkowani w sekretnym porozumieniu za jego plecami. Te ręce, które teraz spoczywały na biurku, chciały penetrowały jej ciało. Halina, która chętnie się na to zgadzała.

Axel odebrał mu wszystko, co należało do niego. To, co było tylko Haliny i jego, to, co przez lata wytworzyło się i rozwinęło, to, czego się nauczyli o wzajemnej rozkoszy. Mężczyzna, który siedział za tym biurkiem i kłamał, poznał ich najintymniejsze tajemnice.

Obrazy, które tłoczyły się w jego głowie, były nie do zniesienia.

Twarz Haliny, kiedy rozchyłała wargi, koniuszek jej języka, jej usta zamykające się wokół nabrzmiałego kutasa Axela. Błysk w jej oku, sposób, w jaki poruszała biodrami, dźwięki, jakie wydawała, kiedy on w nią wchodził.

Jeśli to się stało, będzie musiał go zabić.

- Ściągaj portki.

Axel patrzył na niego, nie rozumiejąc.

- Co?

- Ściągaj portki, powiedziałem!

- Zwariowałeś?

- Masz znamię gdzieś tam, prawda?

Axel zamknął oczy.

- Halina mi je opisywała, żebym jej uwierzył. Nawet rysowała na papierze, żeby mnie przekonać.

W ostatnich dniach. Kiedy jedyne, co pozostało, było zadawanie ran.

- Pamiętasz, co mówiłem wtedy w drewnutni? Że cię zabiję, jeśli się dowiem, że kłamałeś.

Nic nie trzeba było mówić. Prawda była wypisana na twarzy Axela.

- Ty cholerna świnió!

- To był tylko ten jeden jedyny raz w Västerås. Przepraszam cię, Torgny, ona mówiła, że nie jesteście parą, tylko przyjaciółmi. Gdybym wiedział, że kłamała, nigdy bym jej nie dotknął.

Axel podniósł się z krzesła.

- To nic nie znaczyło, Torgny, za dużo wypiliśmy, po prostu stało się, co się stało.

To po Västerås zaczął się rozpad. Po Västerås wróciła choroba Haliny. Västerås było początkiem końca.

To nic nie znaczyło, Torgny.

Coraz ciężiej oddychał.

Potem, przez te lata, kiedy ciągle analizował wszystko, co nastąpiło później, często myślał, że to właśnie wtedy zblądził. On nie znał prawdy o zdradzie, a przynajmniej w nią nie wierzył. Ta wiadomość dotarła do jego najskrytszego zakamarka i obudziła zło, które tam było uśpione.

- Tylko wtedy, to był jedyny raz, przysięgam.

Chciał tylko jednego.

Zniszczyć go bez reszty.

- Co zrobisz, Axelu, kiedy prawda o *Cieniu* znajdzie się na pierwszych stronach gazet na całym świecie? W jaką dziurę się schowasz?

Słyszał swój głos i nie mógł się nadziwić zmianie. Brzmiał teraz głucho i monotonicznie, jakby pochodził od kogoś innego. Zawładnęła nim jakaś nowa siła. Ta sama siła zacisnęła jego dłonie w pięści i przygwoździła wzrokiem tego człowieka, który był przyczyną jego życiowej katastrofy. Który zabrał mu Halinę i chłopca.

Axel musiał zauważyć tę zmianę. Z nowym wyrazem twarzy usiadł i przyjął tę samą pozę co przed swoim wyznaniem. Z dłońmi splecionymi na blacie spojrzął na Torgny'ego z jakąś desperacką pewnością siebie. Jego przeprosiny niczego nie dały, było jasne, że zamierza spróbować nowej taktyki.

- Przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale ty naprawdę nie dajesz mi wyboru.

Zamilkł na sekundę, a potem ciągnął dalej:

- Nie jesteś w stanie niczego udowodnić.

- Co mam udowadniać?

- To, co mówisz o *Cieniu*.

Torgny parsknął.

- Czyli dla ciebie to nie dość, że *ja* wiem? To znaczy, że możesz z tym żyć, dopóki nikt inny się nie dowie?

- Jak myślisz, jaki mam wybór?

- Ty podły pozorancie.

- Przyznałem, że popełniłem błąd. Czego jeszcze żądasz?

- A więc zamierzasz dalej zbierać hołdy za jej arcydzieło?

- Byłem wymieniany w związku z Noblem na długo przed *Cieniem*. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że to nie tylko dzięki niemu dostałem nagrodę, ona uwzględnia również inne moje książki.

- Chciałeś powiedzieć twoje własne książki?

Torgny zachował kamienną twarz. Myślał o poczuciu braku własnej wartości, które Halina wyniosła z poniżenia w Treblince. Poczuciu, przez które nie potrafiła pozwolić się kochać. Już na zawsze będzie zmuszony widzieć Axela, stojącego w blasku jupiterów, obsypywanego zaszczytami i otoczonego uwielbieniem, wiedząc, że osobą, która powinna tam stać, jest Halina. Obserwować czołobitne pochlebstwa

światka literackiego, patrzeć, jak Axel kłania się i pochyla nad cierpieniem, które jej udało się przekuć w wielką sztukę.

Siła, która nim zawładnęła, zmierzała wprost do wyznaczonego sobie celu. Kłamstwo pojawiło się w sposób naturalny, nawet nie musiał go wymyślać. Z jego ust wydobył się ten sam głuchy głos.

- Mam w domu jej notatki, wszystkie listy, które dostawała podczas kwerendy. Brudnopis, wszystkie papiery. Pisane jej ręką.

Informacja odniosła skutek. Kłamstwo spełniło swoją rolę, ale Torgny wiedział, że Axel ma rację. Nie było sposobu, by go dopaść. Nikt nie uwierzy Torgny'emu bez dowodów. Nawet jeśli uda im się odnaleźć Halinę. Jeśli to, co mówił Axel, było prawdą, ona może wszystkiemu zaprzeczyć, kolejny raz wybrać Axela. Skandal spłynąłby po nim jak woda po gęsi, a Torgny okryłby się wstydem z powodu niegodnych oskarżeń.

Wola niszczenia płonęła w Torgnym białym ogniem. Niech Axel znosi taki sam ból, jaki sprawił. Był gotów zrobić wszystko, żeby osiągnąć ten jeden cel. Pomścić krzywdę Haliny i swój własny upadek. Nie mógł zniszczyć pisarstwa Axela, pozostało jego życie. Ta czarna siła była tak potężna, że budziła w nim przerażenie. Szukał rozpaczliwie czegoś, co mogłoby ją powstrzymać, ale ciemność pochłonęła wszystko. Słyszał głos z głębi, który realizował diabelski plan.

Skąd pochodził? Torgny nie wiedział.

- Jeśli chcesz kupić moje milczenie, jest pewien sposób... Zależy, co jesteś gotów poświęcić.

Axel w milczeniu czekał na dalszy ciąg.

- Mówi się przecież oko za oko, ząb za ząb.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Odebrałeś mi kobietę.

- Torgny, to był jeden raz, nawet nie wiedziałem, że to

była twoja kobieta. Czy to z tego powodu to wszystko? Jednego małego potknięcia?

Głuchy głos mówił dalej:

- Jeden raz się nie liczy, czy jak to tam się mówi?

Axel rozłożył bezradnie ręce, a Torgny ciągnął dalej:

- Mnie też wystarczy jeden raz.

- Nie rozumiem. Czego chcesz?

- Zapłaty tą samą walutą.

Pałdy na czole Axela świadczyły o jego dezorientacji, potem się wygładziły.

- Mówisz o Alice?

Axel prychnął.

- Nie sądzę, żeby była szczególnie zainteresowana, ale proszę, próbuj, jeśli chcesz.

- Nie mówię o Alice.

Uśmiech zniknął z twarzy Axela.

Jak fizyczny ciężar własnego ciała Torgny czuł wahanie między rozsądkiem a ślepym pragnieniem. Z powolnymi oddechami powietrze niechętnie spływało w dół, w ciemność. Stał nieruchomo i pozwolił, by ono zwyciężyło. Sekundy poprzedzające krok w jego własną zagładę.

- Mówię o twojej córce.

Potem. Wszystkie te lata potem, kiedy zrozumiał, że zbłądził w tym mroku. Axel zerwał się z krzesła.

- Czyś ty postradał zmysły? Zwariowałeś?

Unicestwić. Wszystkimi środkami, jakie miał do dyspozycji, zniszczyć życie Axela.

- To zależy od ciebie, ile warta jest dla ciebie twoja sława.

- Annika nie ma z tym absolutnie nic wspólnego, absolutnie nic, jak mogłeś w ogóle pomyśleć o czymś takim...

Szukał odpowiednich słów.

- Co ty o mnie myślisz? Czy w ogóle rozumiesz, co mówisz? To Halina mnie uwiodła, jeżeli wolisz znać prawdę. Dlaczego moja córka ma ponosić karę za to, co ja zrobiłem? Ona ma dopiero piętnaście lat! Piętnaście lat! Różnie mogłem o tobie myśleć, Torgny, ale nie coś takiego! Jak nisko możesz jeszcze upaść?

Torgny uśmiechnął się.

- O to właśnie musisz zapytać samego siebie, Axelu, jak nisko ty jesteś gotów upaść. W tej chwili już znalazłeś się na dnie.

Oczy Axela zmieniły się w dwie szparki.

- Rozumiem, że napawasz się swoją przewagą. Zapewniam cię, gdybym mógł cofnąć czas, nigdy nie skorzystałbym z tego manuskryptu, ale nie mogę, choćbym nie wiem, jak chciał. Czy jako zemsta nie wystarczy ci, że wiesz, jaką masz przewagę, że będę żył w zagrożeniu, że kiedyś możesz mnie zdemaskować? Wiesz dobrze, co by się stało, gdyby... Nie wierzę, żebyś ty, Torgny, chciał mi wyrządzić tyle zła.

Gdyby to, co się rozpełtało we wnętrzu Torgny'ego, było widoczne na jego twarzy, Axel pewnie zmieniłby zdanie.

- Halina mówiła, że mogę z tym rękopisem zrobić, co chcę, jakim więc prawem przychodzisz tutaj ze swoim perwersyjnym ultimatum? Poza tym zmieniłem trochę tekst. Ty w mojej sytuacji zrobiłbyś dokładnie to samo.

- Zrobiłbym?

- Łatwo jest stać tu teraz i udawać prawego, ale ja cię znam, Torgny, ty postąpiłbyś dokładnie tak samo.

- Ale nie zrobiłem tego. I to jest różnica.

Axel znów opadł na krzesło i pomagając sobie rękami, próbował przywołać Torgny'ego do opamiętania.

- Torgny, porozmawiajmy jak dwaj rozsądni ludzie. Zasługuję na twoją pogardę, jestem gotów ją znosić. Poza tym zaproponowałem ci połowę pieniędzy z nagrody. Idź do

domu i zastanów się nad tym, widzę, że jesteś zbyt zdenerwowany, żeby myśleć racjonalnie. Zamierzam zapomnieć o tym, co mi przed chwilą zaproponowałeś, i wybaczyć ci. Idź do domu i zastanów się, czy pieniądze nie wystarczą, żebyś zechciał zachować milczenie.

- Nie chcę pieniędzy Haliny.

- A czego chcesz?

- Już powiedziałem.

- Do jasnej cholery, człowieku!

Axel uderzył dłońmi w blat biurka. Torgny uśmiechnęła się. Przekleństwo razilo w wytwornych ustach Axela.

- Ty wybierasz. Wszystko zależy od ciebie. Tym razem też.

Axel z niesmakiem potrząsnął głową.

- Nie mówisz tego poważnie!

- Wybieraj, noblisto. Moja oferta traci ważność za minutę.

Torgny podniósł rękę i spojrzał na zegarek.

- Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co robisz, nie jesteś w stanie jasno myśleć.

- Czterdzieści pięć sekund.

Axel wstał.

- Ty tego naprawdę nie chcesz.

- Trzydzieści sekund.

Axel zamknął oczy.

Wnętrze Torgny'ego było puste. Schadenfreude, którą odczuwał, rozplynęła się w nieprzeniknionej czerni.

- Kiedy się opamiętasz, Torgny, będziesz tego żałował.

- Dziesięć sekund.

Axel osunął się na krzesło.

Wskazówka przesunęła się o decydującą sekundę i Torgny opuścił ramię.

- No, Axelu, cieszy mnie, że udało ci się wygrzebać ostatni

gram honoru z jakiegoś zapomnianego zakamarka.

Axel siedział pochylony nad biurkiem z twarzą ukrytą w dłoniach. Torgny zbliżał się do drzwi. Zdążył już położyć rękę na klamce, kiedy zatrzymał go głos Axela:

- Czekaj.

Coś w mroku uśmiechnęło się szyderczo. Torgny zawrócił. Axel wstał z krzesła, a to, co płonęło w jego oczach, mogło się równać z żywiołem szalejącym we wnętrzu Torgny'ego.

- Nie dajesz mi wyboru. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

- Zawsze jest wybór, Axelu, ale priorytety - to już całkiem inna sprawa.

Axel spuścił wzrok. Oddychał ciężko.

- Jak sobie to wyobrażasz?

Jego głos był tak zduszony, że prawie nie można go było zrozumieć.

- Zostaw to mnie, dopilnuj tylko, żeby dziś wieczór była sama w domu.

Spojrzał na zegarek.

- Weź żonę do kina lub coś takiego i postaraj się, żeby Gerda trzymała się z daleka. Zostanę tu w twoim gabinecie, póki nie wyjdziecie. No i jeszcze przynieś tutaj tę whisky, którą chciałeś mnie poczęstować.

- Ty łotrze.

Torgny odpowiedział uśmiechem.

- Jakie to uczucie, Axelu? Wsłuchaj się w siebie, jak się z tym czujesz.

Axel stał pochylony nad biurkiem, oparty dłońmi o blat. Cień dawnego siebie. Zemsta Torgny'ego dokonała się. Pozostało tylko zrealizować ją do końca.

Głosem bezdźwięcznym Axel zakończył rozmowę. Powoli, akcentując każdą sylabę:

- Jeśli kiedykolwiek pojawi się nawet najmniejsza pogłoska,

że ktoś oprócz mnie miał coś wspólnego z *Cieniem*, uznam, że to ty osobiście jesteś za to odpowiedzialny, i opowiem, co dzisiaj zrobiłeś. Jeśli upadnę, ty upadniesz wraz ze mną. Poza tym chciałbym, żebyś obiecał, że na zawsze będziesz się trzymał z daleka i resztkę nadziei pokładam w tym, że wkrótce znajdziesz się w piekle, gdzie zawsze było twoje miejsce.

Torgny znów siadł na swoim niepościelonym łóżku. Trzydzieści lat przeżył w mroku, który od tego dnia nigdy go nie opuścił.

Jak to się mogło stać? Nie wiedział. To tylko mrok go oślepił. Przez trzydzieści lat szukał, ale nie znalazł wytłumaczenia. Przez pewien czas udawał. Starał się ślizgać po gładkiej powierzchni, wzbraniał się brać winę na siebie.

Ale nawet niewidoczne pęknięcie instrumentu sprawia, że dźwięk brzmi głucho.

Czy zło zawsze tkwiło w nim, jako integralna część jego osoby, czy może było intruzem, który zajął puste miejsce, kiedy pozbawiono go wszystkiego? Kiedy pozostało mu tylko jedno - niszczenie dla zemsty.

Za późno zrozumiał, że zemstę skierował przeciwko sobie. A ta na zawsze przykuła go do hańby, zbyt ciężkiej, by mógł ją unieść.

Ostatnia nadzieja Axela się spełniła.

Reszta życia Torgny'ego była dążeniem, by żyć jak bydło, którym się okazał. Wszystkie zamierzenia w końcu przynoszą rezultaty, jeśli tylko się postarać.

On się postarał.

I udało mu się, z nawiązką.

Z nawiązką.

Jest wczesny ranek. Jeszcze przed przebudzeniem wiem, że jestem szczęśliwy.

- George, szepcze, a jej wargi muskają moje ucho. Przyszła wiosna, czuję przez okno jej zapach, chodź!

Sonia bierze mnie za rękę i chce mnie pociągnąć do wszystkiego, co tam czeka. Otwieram oczy, a ona się uśmiecha.

Jeśli Bóg może czuć zazdrość, to powinienem mieć się na baczności.

Nie odbieraj mi tego, proszę po cichu.

Ale zawsze tak, żeby nie słyszała.

Pakujemy koszyk i schodzimy nad wodę. Rozkładamy koc i jemy śniadanie. Chłopiec, bez czapki, którą zostawił w domu, biega pośród tego, co kiedyś było brązowe i uschłe, a teraz zielone budzi się do życia. Biorę go na barana i razem mkniemy przez wiosnę, aż piszczy, zanosząc się śmiechem. Ona siedzi na kocu i też się śmieje. Nasz orientacyjny punkt na trawie, mała daleka kropka w czerwonej sukience.

Potem on siedzi u niej na kolanach i je ciastko. Nalewam kawę do różnych filiżanek. Chłopiec zobaczył coś, co tylko dzieci dostrzegają, i odchodzi od nas. Ona nie spuszcza go z oka.

Niczego nie brakuje, myślę. Teraz, kiedy jest zdrowa, nie brakuje mi niczego.

Lecz kiedy to pomyślałem, myśl zostaje z nami na kocu.

To, o czym nigdy nie rozmawiamy.

Ona bierze moją dłoń, jakby zauważyła tego nieproszonego gościa. Jak tyle razy przedtem, odpowiada, nawet gdy nie pytam.

- Nie upadłam - mówi. - Tylko utonęłam.

- Jestem z tobą.

Głaszczę ją po policzku.

- To dzięki tobie oddycham, dzięki tobie chodzę. Nie zostawiaj mnie, George.

- Nie zostawię cię - odpowiadam.

Spogląda na chłopca.

- Mężczyzna i kobieta obiecują sobie, ale oboje wiedzą, co znaczą słowa. Ze liczą się tu i teraz, i że można je na nowo negocjować.

- Nie moje.

Ujmuje moją dłoń w swoje ręce.

- Dziecko wierzy w to, co usłyszysz. Wierzyłam mojej matce, kiedy mówiła, że nigdy mnie nie opuści. Jak można obiecać dziecku coś, czego być może nie da się dotrzymać?

Znów patrzy na synka.

- Kocham go. Dlaczego to nie może wystarczyć?

Kristoffer odłożył książkę Torgny'ego. Leżał jeszcze w łóżku, choć już było po południu. Co jakiś czas czytał fragment powieści *Wiatr szepcze twoje imię*, po czym leżał nieruchomo i gapił się w sufit. Mógł odbierać ten tekst tylko w małych dawkach. Przez te wszystkie lata pytań bez odpowiedzi jego ukryty świat był dostępny w bibliotece.

Niechętnie próbował identyfikacji. Od połowicznej, której przyświecała nadzieja, do pełnej i bezsensownej. Przez trzy lata walczył, żeby zasłużyć na sprawiedliwość. Wierzył,

że świat jest tak urządzony, by dobro było nagradzane. Stał się dawać dobry przykład. Wznieść się ponad przeciętność i uczynić świat lepszym. Próbował żyć zgodnie z wzorcami, które uznawał za swoje. Zerwał z alkoholem, zwalczył swojego demona, nieświadomy, że on tkwi gdzieś w zakamarkach jego genów.

Prawda, która szczyrzyła zęby za jego plecami.

Walcz, głuptasku, jeszcze przyjdzie czas, że zaryjesz nosem w ziemię.

Jego megalomania musiała sprowokować wszechświat. Jego myśli o tym, że niektórzy są lepsi z racji dziedzictwa. Wynikający stąd oczywisty wniosek, że on jest jednym z nich. W końcu na jego głowie wylądował ogromny palec i wcisnął go w podłogę jak pinezkę.

Podniósł książkę do twarzy i wciągnął jej zapach. Zastarzały dym z papierosów i kurz. Jego matka była kochana. To pocieszająca wiadomość. Niektóre litery mówiły, że i jego kochano. W to już trudniej było uwierzyć, bo sam przeżył koniec tej historii. Jego doświadczenie różniło się od tego, co chciał widzieć Torgny.

Krzywdy, jaką mu wyrządzono, nie wybaczył. Jej choroba nie tłumaczy wszystkiego. Ktoś musiał widzieć, co się z nią dzieje, ktoś mógł podjąć interwencję. Zapobiegłby trzydziestu pięciu latom zmarnowanym w niepewności. Od dnia, kiedy odeszła od Torgny'ego, do dnia, gdy znaleziono go na schodach Skansenu, minęły cztery miesiące. W tym czasie musieli spotkać wiele osób, które rozumiały, że ona jest chora.

Nikt nie przyszedł z pomocą.

Usłyszał odgłos otwieranej w drzwiach klapki, potem spadającą na podłogę przedpokoju pocztę, ale nie miał siły wstać. Kroki listonosza ucichły. Odwrócił głowę i spojrzał na komputer. Nawet sztuka już nie wydawała mu się ważna. Ci, którym najbardziej chciał zaimponować, i tak nie będą siedzieli na widowni.

Jego spojrzenie powędrowało w stronę butelki koniaku.

Z głośnym westchnieniem wstał i otulił się szlafrokiem. Zobaczył przesyłkę na wycieracze, ale nie podniósł, tylko usiadł przy biurku. Dłuższą chwilę siedział z rękami na kolanach, potem otworzył laptop.

Od razu usłyszał sygnał informujący o nowym mejlu.

Wreszcie jakiś znak życia od Jespera.

Otworzył, ale wiadomość zawierała tylko linka. Komputer prosił o cierpliwość na czas ładowania strony. Trwało to dłużej niż zwykle, Kristoffer czekał, bębniąc niecierpliwie palcami, potem wybrał na komórce numer Jespera, ale tym razem nie odezwała się nawet jego poczta głosowa. Usłyszał tylko jakiś dziwny dźwięk, jakby zadzwonił na zły numer.

Na monitorze dalej ładowała się strona, więc Kristoffer wyszedł do przedpokoju. Rozgrzebał nogą to, co wrzucił mu listonosz. Ulotka reklamowa z pobliskiego sklepu, koperta z okienkiem z banku, list zaadresowany odręcznie, ze znacznikiem. Podniósł go i wrócił do biurka. Na ekranie widniała czarna klatka filmowa, Kristoffer nacisnął play. Zaczęło się odtwarzanie. Zdjęcie Jespera siedzącego w swoim mieszkaniu. Kristoffer rozpoznał tapetę w tle.

- Nazywam się Jesper Falk. Dziękuję, że oglądasz ten film; potwierdzasz moją hipotezę, że większość zapomniała, jakie zobowiązania płyną z faktu, że urodziliśmy się ludźmi.

Kristoffer odłożył list i odchylił się na oparcie krzesła. Widok Jespera dobrze mu zrobił. Coś stałego po tych wszystkich zmianach.

Na ekranie Jesper wymachiwał garścią banknotów stu-koronowych.

- To jest pięćset koron. Zamierzam dać je temu tam, no, chodź tu na chwilę!

Jesper kiwnięciem przywołał do siebie kogoś znajdującego się za kamerą. Pokazała się zamaskowana na czarno głowa. Twarz zakryta kominiarką. Przez otwory patrzyło dwoje niebieskich oczu. Kristoffer nie mógł ich rozpoznać.

- Pomachaj ręką i pokaż, że się cieszysz.

Anonimowa postać pomachała.

- Kupiłem go za pięćset koron, żeby wstawił ten film do internetu. Wszystkich można kupić, jednych trochę drożej, innych taniej. Czy zastanawiałeś się, jaka jest twoja cena? No, teraz możesz znów usiąść.

Mężczyzna w kominiarce zniknął, a Kristoffer ze wskazania kierunku wywnioskował, że usiadł na łóżku Jespera.

- A teraz przechodzimy do meritum. Napisałem powieść pod tytułem *Nostalgia, dziwne uczucie kontrolowanego smutku*. Zapamiętaj sobie ten tytuł. Siedem lat zajęło mi pisanie tej książki, a teraz pewne zacne wydawnictwo zdecydowało się ją wydać. Oczywiście bardzo się cieszę.

Ponieważ jest w niej trochę ważnych rzeczy. Napisałem ją, bo chciałem zmienić świat. Bo tak jak jest, nie może dłużej być, nie uważasz?

Jesper szukał potwierdzenia spojrzeniem w kierunku, gdzie siedział jego zamaskowany towarzysz.

- Nawet on się z tym zgadza.

Kristoffer nie mógł powstrzymać uśmiechu. Najwyraźniej Jesper wymyślił jednak sposób, żeby wy lansować swoją powieść.

- Jak wszyscy pisarze jestem przekonany, że właśnie moja książka jest szczególnie ważna, i jak wszyscy pisarze chcę, żebyś sięgnął właśnie po to, co ja napisałem. Ale tu powstaje gigantyczny problem. Bo jak mam sprawić, żebyś wybrał akurat moją książkę? Sam widzisz, jestem raczej brzydki. Nie będę atrakcją w żadnej kolorowej gazecie ani w żadnym talk-show. Nie znam żadnych celebrytów z okolic Stureplan. Jestem dobry w pisaniu, ale kiepsko gadam, dlatego

zresztą mam tu ściągę, z której czytam.

Spojrzał w dół na coś poza krawędzią obrazu, przypuszczalnie właśnie na tę ściągawkę, o której mówił.

- No właśnie, zamierzałem powiedzieć, że książka ukaze się czwartego marca. Nie zapomnij, czwartego marca. *Nostalgia, dziwne uczucie kontrolowanego smutku*. Zapisz sobie. Okej? A teraz wracamy do gigantycznego problemu.

Ściąga mignęła na dole ekranu.

- Co roku w Szwecji ukazuje się około czterech tysięcy pięciuset książek. Co mam zrobić, żebyś zwrócił uwagę właśnie na moją? Jest tylko jeden sposób. Sprawić, żeby media jak najwięcej o niej pisały. Ale jak to osiągnąć?

Jesper zrobił pauzę, jakby czekał, aż ktoś udzieli odpowiedzi na to pytanie. Potem mówił dalej:

- Jedni myślą, że gazety piszą o rzeczach ważnych, że czują się zobowiązane wszystkich o nich poinformować.

Ale tak nie jest. Większość gazet wie, co chcesz czytać, i o tym pisze. Jest to jedyny pewny sposób, żebyś kupił właśnie ich gazetę. A więc to ty decydujesz, o czym zostaniesz poinformowany, jaki rodzaj wiadomości ma priorytet, to ty masz władzę. Ilekroć otwierasz swój portfel i kupujesz coś, wyrażasz akceptację dla tego, co kupujesz, i zgodę na to, żeby ktoś wzbogacił się na twoich pieniądzech. Patrzyłem trochę na różne reklamy i nagłówki gazet, żeby sprawdzić, o czym lubisz czytać. I zaraz powstał następny problem.

Znów zerknął na ściągawkę.

- Nie jestem mordercą ćwiartującym zwłoki, nie jestem pedofilem, nigdy nie zgwałciłem żadnej staruszki, nie znęcałem się nad dziećmi, nie uprawiałem seksu w telewizji, nie występowałem w reality show, nie mam silikonowego biustu, nie brałem udziału w gwałcie zbiorowym i nigdy nie szokowałem publicznie swoją nagością. Nawet nie biorę narkotyków. Jestem całkiem przeciętnym facetem, no dobrze, może

brzydszym niż przeciętny, ale jednak. Więc jak, u diabła, mogę być na tyle interesujący w twoich oczach, żeby media zechciały pisać o mojej książce? Zastanawiałem się nad tym i wymyśliłem sposób. Mianowicie, żeby umieścić ten film w internecie. Już teraz wiem, że ta strona będzie miała rekordową liczbę odwiedzin, a informacja o mojej książce pojawi się na czołówkach gazet w całej Szwecji, bo ty uwielbiasz takie rzeczy. Właśnie ty, który teraz to oglądasz, sprawiłeś, że to jest dla mnie najlepszy sposób zapewnienia mojej książce rozgłosu. Właśnie ty, który słyszałeś już plotki o tej stronie i wiesz, co się zaraz stanie, ale jednak zdecydowałeś się na nią zajrzeć i obejrzyć ten szajs.

Przymrużył oczy i wycelował palec w kamerę.

- To dla takich jak ty napisałem moją książkę. I niech cię diabli porwą, jeśli po obejrzeniu tego filmu jej nie przeczytasz!

Jesper umilkł i odchylił się na oparcie.

- Nie zapomnij, że wyświadczyłem ci przysługę. Robię to, żeby ci przypomnieć to, o czym zapomniałeś.

Podniósł ręce do szyi.

- Mój plan może zniweczyć tylko wiadomość, że na przykład Paris Hilton kupiła sobie kota, i wtedy moja książka zostanie wyparta z pierwszych stron gazet, ale mam nadzieję, że tak źle nie będzie.

Manipulował przez chwilę rękami przy kołnierzu, a kiedy cofnął dłonie, miał wokół szyi cienką plastikową taśmę. Taką, jakiej używa się do zamykania opakowań. Jeden koniec przewleka się przez mały otwór w drugim, a niewielkie karby na taśmie zapobiegają rozsuwaniu się pętli.

- Pamiętaj, *Nostalgia, dziwne uczucie kontrolowanego smutku*, ukazuje się czwartego marca. Nazywam się Jesper Falk i dziękuję za uwagę.

Jesper, patrząc prosto w kamerę, zaciągnął plastikową taśmę.

Kristoffer poderwał się tak gwałtownie, że przewrócił krzesło.

Nastąpiło zbliżenie. Plastikowa taśma wrzynała się w szyję Jespera. Jego spojrzenie jak promień lasera paliło przez soczewkę kamery. Kristoffer stał jak sparaliżowany. Jego mózg nie chciał potwierdzić tego, co widziały oczy, wszystko stało się tak nagle. Ręce zaczęły w panice błędzić po klawiaturze w poszukiwaniu klawisza, którym można by zatrzymać to, co się działo. Złapał komórkę i wybrał dobrze znany numer, ale usłyszał tylko tamten niezrozumiały sygnał. Na monitorze twarz Jespera wykrzywiła się, pewnie siebie spojrzenie straciło swoją moc, po kilku mrugnięciach oderwało się od obiektywu kamery i skierowało błagalnie w stronę, gdzie zniknął zamaskowany mężczyzna. Kristoffer zaczął płakać, nie mógł znieść tego widoku. Jesper prosił go o pomoc, chciał porozmawiać o swoim problemie z promocją książki. A on go zbył, z zazdrości wyłączył komórkę. Nawet kiedy Jesper stał przed jego drzwiami, nie wpuścił go. Objął dłońmi głowę i zamknął oczy, ale po chwili je otworzył, choć wcale nie chciał, musiał patrzeć na śmiertelne przerażenie w oczach Jespera, kiedy jego palce bezskutecznie drapały szyję, żeby pozbyć się plastikowej obroży.

Z gardła Kristoffera wydobył się niepohamowany ryk. Wszystko w nim eksplodowało, uwolniła się cała rozpacz nagromadzona w jego wnętrzu. Wraz z krzykiem rozpacz Kristoffera głowa Jespera opadła i zwiśla nieruchomo. Czerń zasnęła obraz i na wszystko było już za późno.

Kristoffer ucichł.

Na ulicy zatrąbił samochód. Sąsiad spuszczał wodę.

Ostatnia rzecz, jaka jeszcze istniała, rozsypała się.

To, co myślał i co czuł, już nie miało znaczenia.

Cztery kroki do regału z książkami. Palcami, które nigdy tego nie zapomniały, wyrwał korek z butelki koniaku.

Za wszelką cenę błagał o łaskę.

Jan-Erik usłyszał, że drzwi do mieszkania się otworzyły, i podszedł do lodówki, żeby wyjąć szampana, kieliszki stały już obok świecznika na nakrytym stole kuchennym. Potarł zapalną, chcąc zapalić świeczki. Czekał kilka godzin. W tym czasie, kiedy wyszedł kupić szampana, Louise musiała być w domu, świadczyła o tym tubka pasty kawiorowej zostawiona na blacie kuchennym, ale gdy wrócił, mieszkanie było puste. Komórki nie odbierała.

Przez chwilę zastanawiał się, czy wypada świętować teraz, kiedy Alice jest chora, ale za dużo mógł stracić, gdyby zrezygnował. Pomyślał, że przynajmniej raz to on będzie w centrum uwagi, a nie matka. Tej chwili mu nie odbierze.

Chciał zrobić niespodziankę Louise i Ellen, szampanem i bezalkoholowym champisem, i opowiedzieć o swojej nagrodzie. Może zaproponować, żeby gdzieś wyjechali. Zapobiec rozłamowi, który tak go niepokoił, odkąd Louise rozplakała się i opowiedziała o swoich wątpliwościach. Sam był zaskoczony swoją silną reakcją. Jak ważne okazało się to, co uważał za dane raz na zawsze i absolutnie niepodważalne. To bezwzględnie powinno pozostać nietknięte, baza, z której

się wywodził i do której zawsze mógł wrócić. Konstrukcja, na której wspierała się egzystencja i która warunkowała wszystko inne, czego się podejmował. Wszelkimi dostępnymi środkami będzie się starał utrzymać ich trójkę razem, lecz jego postanowienie nie obejmowało wszystkiego. Unikał myśli o pewnych elementach małżeństwa. Myśl o nich odebrałyby jego zamierzeniom szansę realizacji. Seks z nią nadal był niewykonalny. Dlatego ważne było, żeby przy opijaniu nagrody obecna była Ellen. Na drzwiach lodówki sprawdził rozkład jej lekcji, za jakieś pół godziny powinna być w domu. Niezależnie od tego, jak Louise zinterpretuje jego inicjatywę, to, co nadal było nie do pomyslenia, nie będzie mogło się zdarzyć.

Przy zapalaniu ostatniego knota zauważył, że drży mu ręka. Świadomie zrezygnował z paru łyków czegoś mocniejszego dla uspokojenia nerwów. Wprawdzie konsumpcja alkoholowa odbywała się głównie poza domem, ale obawiał się, że Louise i tak domyśla się, ile on pije. Ale teraz wypiją toast szampanem, to coś zupełnie innego, naturalny i przyjęty sposób obchodzenia ważnych wydarzeń.

Gdy podniósł wzrok, Louise stała w drzwiach. Znajoma sylwetka obcej osoby.

Zgasił zapałkę.

- Cześć.

Jej spojrzenie ominęło go, przesunęło się obok odświętowanego nakrycia i powędrowało dalej, za okno.

- Chodź, usiądź, musimy coś oblać.

Wziął butelkę szampana, zdrapał srebrną folię, myśląc równocześnie, że mogłaby przynajmniej odpowiedzieć na powitanie. Odwinął metalowy drut, wykręcił korek i napełnił kieliszki tak szybko, jak na to pozwalał pienisty płyn.

Louise dalej stała nieruchomo w drzwiach. Najwyraźniej kazała się prosić.

Wzniósł kieliszek, żeby zwabić ją do siebie.

- Chodź.

Coś się w niej zmieniło, ale nie był pewien co. Minęły trzy dni od czasu, gdy widział ją niepokrzepioną we śnie. Gdy zostawił ją zapłakaną przy tym stole, na którym teraz stał szampan i płonące świece.

Podszedł do Louise i wręczył jej kieliszek.

- Wyobraź sobie, że dostałem nagrodę literacką Rady Nordyckiej. Po raz pierwszy przyznali ją komuś, kto nie jest pisarzem.

- Gratuluję.

Nawet z tego nie potrafiła się ucieszyć. Widział to wyraźnie w jej twarzy. Ale wiedział, co ją udobrucha, na czym jej zawsze zależało.

- Nagroda pieniężna wynosi trzysta pięćdziesiąt tysięcy koron. Duńskich. W przeliczeniu na szwedzkie jest to nawet trochę więcej, nie zdążyłem jeszcze sprawdzić, jak stoi teraz duńska korona.

Nie wypila szampana, podeszła do zlewu i odstawiała kieliszek. Została tam, odwrócona plecami, a w ciszy, która nastąpiła, Jan-Erik poczuł złość. Że też ona nigdy nie potrafi go docenić. Nigdy nie wyrazi uznania, kiedy on zrobi coś dobrze. Harował jak wół i raz na jakiś czas miał prawo się spodziewać miłego słowa albo jakiejś zachęty. A teraz jeszcze w dodatku starał się, przymilał, kupił szampana i chciał sprawić jej radość. Wyjść jej naprzeciw po tamtej okropnej rozmowie sprzed trzech dni, którą sprowokowała swoim wiecznym niezadowolaniem. Ale jak zwykle, to też było za mało. Naburmuszona i nieprzejednana chciała go jeszcze zmusić, żeby się z nią cackał.

- Myślałem, że się ucieszysz, zamierzałem zaproponować, żebyśmy gdzieś wyjechali, ale to chyba jak zwykle ci nie odpowiada.

Wychylił szampana do dna i nalał sobie znowu. Trunek

pienił się, piana ściekała mu po ręce, otrząsnął płyn z dłoni. Jej odwrócone plecy doprowadzały go do szału. Zgasił świeczki, nie osłaniając ich dłonią, i nie przejmował się, że stearyna pokryje stół małymi wkurzającymi Louise kropkami. Wziął butelkę, poszedł do salonu i usiadł na sofie, ale zaraz się podniósł i przeszedł do swojego gabinetu, zamknął drzwi kopnięciem i siadł przy biurku, stawiając butelkę szampana między stosami nieotwartych listów do Axela Ragnerfeldta od jego wielbicieli.

Nie można było jej zadowolić, po prostu musiał się z tym pogodzić. Była czarną dziurą, która pochłaniała i niszczyła każdą pozytywną energię.

Napełnił kieliszek i wytarł dłonią mokre kółko na dębowym blacie. Louise bez pukania otworzyła drzwi i usiadła w jego fotelu. Jan-Erik patrzył w inną stronę, nie zamierzał jej pomagać, teraz to ona musi się postarać. Łyknął szampana. Tym razem nic nie zawinił i miał prawo być zły.

- Poprosiłam Ellen, żeby dziś przenocowała u koleżanki. Musimy porozmawiać, ty i ja.

Przez kilka sekund jego gniew go chronił, ale potem powaga w jej głosie przeniknęła do jego uszu. Pełzająca zdradziecko, ze swoim cuchnącym oddechem. Spojrzał na Louise i zauważył, że coś się w niej zmieniło. Miała otwartą twarz, śmiałe spojrzenie, a ta zaminowana strefa wokół niej zniknęła bez śladu.

- Zdaję sobie sprawę, że to nie jest najlepszy moment, właśnie kiedy się cieszysz z nagrody i na pewno bardzo niepokoisz się o Alice, ale może lepiej będzie, jeśli powiem to od razu.

Mimo woli wstrzymał oddech.

- Chcę, żebyśmy się rozwiedli.

Pod jego krzesłem otworzyła się przepaść, leciał w dół, aż zakręciło mu się w głowie. Powietrze uciekło mu z płuc,

jakby dostał cios w przepoń. Tymczasem Louise siedziała spokojna i opanowana, jakby mówiła o najzwyczajniejszych codziennych sprawach.

- Oboje wiemy, że to jedyne wyjście.

Najbardziej przerażała go jej stanowczość. Jakby cała sprawa była przedyskutowana, zanim jeszcze zaczęli o niej mówić. Zagryzł zęby, usiłując ukryć panikę. Uczepił się myśli, która w chaosie kłębiącym się ostatnio w jego głowie stanowiła oparcie - Louise jest na niego skazana. Bez jego portfela nie ma środków do życia. Gwoli ścisłości, tylko do dnia śmierci jego ojca - ale ojciec przy dobrych układach może jeszcze długo żyć. Tyle że ona nic o tym nie wiedziała, i to było najlepszą rękojmą jego małżeństwa.

Uśmiechnął się nieznacznie. Oparł łokcie na biurku, brodę złożył na dłoniach.

- A więc tak. A z czego zamierzasz się utrzymywać? Nie masz przecież pieniędzy.

- Jakoś to będzie. Będę się uczyć, żeby nadrobić braki, i na początek wezmę pożyczkę na studia. A potem znów zacznę pracować w swoim zawodzie.

Przelknął ślinę. Wszystko sobie już obmyśliła.

- A gdzie będziesz mieszkać?

- Rozmawiałam z Filippą. Na jakiś czas mogę wynająć jej mieszkanie, a potem zobaczę.

Plan już powzięty i dopracowany.

- Ellen tu zostaje, żeby to było jasne.

- Być może. Ona ma już dwanaście lat, a w tym wieku dzieci same decydują, gdzie chcą mieszkać po rozwodzie rodziców.

Zaczerpnął powietrza, ale uświadomił sobie, że oddech go zdradza, podniósł kieliszek i zaraz go odstawił, bo drżała mu ręka. Zamienili się rolami. Wcześniej tyle razy to on był tarczą strzelniczą. Zręcznie uchylał się przed jej strzałami i nie poddawał się, niezależnie od tego, co z siebie wyrzucała.

Teraz jej spokój budził w nim lęk. Pewność, jaka z niej emanowała. Szukał czegoś, czym mógłby wytrącić ją z równowagi, pozbawić przewagi i przejąć inicjatywę. Siła jej woli była oczywista. Żadna jego groźba nie byłaby w stanie zmienić jej postanowienia. Podjęła decyzję, wymknęła mu się spod kontroli i nie miał na nią wpływu. Nagle poczuł przerażenie. Zamierzała go zostawić, zostawić samego.

- Chyba nie musi do tego dojść, wszystkie małżeństwa mają problemy, ale my możemy rozwiązać je razem, Louise. Obiecuję, zmienię się, zadzwonię do tego terapeuty, jeśli chcesz, powiedz, czego oczekujesz, a ja to zrobię.

- Proszę cię, Janie-Eriku.

Z głową lekko przechyloną mówiła do niego jak do dziecka:

- Nie widzisz, że się nawzajem niszczymy?

- Nie, nie widzę. Nie możemy tak po prostu przekreślić wszystkiego, co razem stworzyliśmy, tylko dlatego, że teraz jest trochę trudno, musimy walczyć, do diabła, nawet jeśli nie będzie to łatwe.

- A czy nie robiliśmy tego wystarczająco długo?

Próbował znaleźć coś, co mogłoby ją przekonać, ale wyczerpał już cały repertuar swojego słownika. Jej pytania, na które nie ma odpowiedzi. Żeby musiał prosić i błagać. Próbował określić słowami to, co czuje. Jej żądanie było niedorzeczne. On chciał, żeby wszystko zostało po staremu. Tak jak jest. Żeby to on był tą osobą, która może decydować.

- Mamy przecież Ellen.

- Ellen na zawsze pozostanie naszą córką, nawet jeśli się rozwiedziemy. A mówiąc poważnie, Janie-Eriku, my tylko mieszkamy pod tym samym adresem, ty i ja. Nic więcej nas nie łączy.

Zmieniła pozycję w fotelu. Odchrząknęła, jakby dopiero teraz poczuła jakiś opór.

- Dzwoniła Lena, szukała cię. Prosiła, żebyś oddzwonił.

W jej głosie nie było złości. Po prostu przekazała mu rzeczową informację.

- Jaka Lena?

- Lena z Goeteborga.

Początkowo nie zrozumiał, o co jej chodziło. Nie pamiętał żadnej Leny z Goeteborga. Ale potem coś mu się przypomniało i ku swemu przerażeniu poczuł, że się czerwieni.

- Nie znam żadnej Leny z Goeteborga.

Lecz jego spojrzenie uciekało na boki, choć próbował nad nim zapanować.

Jeśli wbrew zwyczajom dawał numer telefonu jednej z tych kobiet, które spotykał podczas wyjazdów, był to zawsze numer komórkowy. Ostatnim środkiem ostrożności była zmiana jednej cyfry, wskazówka dla kobiety, jak mało mu zależy na utrzymaniu tego kontaktu.

- To nie ma znaczenia. Może to dziwne, ale ja nawet się cieszę ze względu na ciebie.

Jej komentarz go zaskoczył.

- Czy dobrze rozumiem, myślisz, że mam romans z jakąś Leną z Goeteborga?

- Tak, tak myślę.

Prychnął.

- Nie mam, naprawdę, nie mam pojęcia, kim jest ta Lena z Goeteborga. Może była na jakimś moim odczycie. Czy dlatego chcesz się rozwieść, bo myślisz, że cię zdradziłem?

- Nie, nie dlatego.

Nie rozumiał, skąd ona czerpała swój spokój. Jak mogła tak po prostu siedzieć, nie mając obaw przed tą ogromną zmianą, którą właśnie zamierzała wprowadzić. Skądś musiała

brać tę siłę. I nagle wszystko stało się jasne. Miała kogoś. Był jakiś mężczyzna, który zajął jego miejsce i skłonił ją do tego. Wybrała już drogę. Kiedy zniszczy ich życie, będzie mogła pójść tą wytyczoną wcześniej. Nie było żadnego gorączkowego poszukiwania na oślep, groźba samotności nie istniała, musiała tylko jeszcze wyrzucić jego, zamienić na lepszy model.

- Ach tak, teraz rozumiem. Próbujesz zwalić winę na mnie i na jakąś cholerną Lenę z Goeteborga, kiedy to właśnie ty spotkałaś kogoś innego!

Louise spuściła wzrok. Potem spojrzała na niego z lekkim uśmiechem. Nie złośliwym ani pobłażliwym. Jej zrównoważenie doprowadzało go do szału.

- Przyznaj się! Przyznaj się, że masz kogoś!

- Nie, Janie-Eriku, nie mam.

Nie uwierzył. Był przekonany, że kłamie, żeby pokazać się w lepszym świetle. Ale ona mówiła dalej, a jej słowa wykluczyły jego sprytny domysł.

- Ale gdybyś wiedział, jak bardzo chciałabym mieć.

Zacisnął pięści. Wyobraził sobie, jak ktoś narusza jego rewir. Bezbronny, będzie musiał przyglądać się inwazji, nie mając możliwości odpierać ataku. Już na zawsze niepożądany przez tych, których chciał bronić.

- Jesteś ojcem Ellen i zawsze nim będziesz. Nie chcę cię znieawidzić, ale jeśli tu zostanę, dojdzie do tego.

Byłam dzisiaj u Alice. Wiesz, nigdy nie widziałam jej takiej radosnej jak teraz, kiedy myśli, że wkrótce umrze.

Uświadomiłam sobie, że upodabnam się do niej, a nie chcę tego. A ty stajesz się coraz bardziej podobny do twojego ojca, z każdym mijającym dniem.

Ta obelga trafiła go prosto w serce. Gniew napłynął ze wszystkich stron, żeby zatkać tę dziurę. Zapobiec, by to, co było w środku, nie wydostało się na zewnątrz i nie pogrzyzło go.

- Jeśli zdecydujemy się dzielić prawo do opieki nad Ellen, będziesz musiał być z nią co drugi tydzień. Otrzymacie wreszcie szansę, żeby się poznać.

Czuł ból w krtani. Złość zablokowała mu narządy mowy. Odsunął krzesło, wstał i poszedł do garderoby po walizkę. W sypialni wrzucił do niej ubrania, które leżały na wierzchu. Wracając przez salon, dołożył jeszcze kilka butelek, nie zwracając uwagi na etykiety. Decydujący był poziom zawartości.

Z ręką na klawce zakończył rozmowę:

- Dziś w nocy będę spał w domu. Kiedy wrócę tu jutro, ma cię nie być. Jeśli masz jakieś pytania, skontaktuj się z moim adwokatem.

Jakim prawem?

Kristoffer zrzucił na podłogę książki z następnej półki regału.

Jakim prawem wszystko jest mu odbierane?

Kolejny łyk palił w gardle, ale jak odrzucona kochanka, nie chciał już przyjść z pomocą. Obraz Jespera wżarł się w siatkówkę. Szczypał jak ług i nie chciał się rozpuścić pod wpływem uniwersalnego środka, który Kristoffer w siebie wlewał.

Zadzwoił do rodziców Jespera. Otrzymał potwierdzenie jego śmierci. Dwa dni temu znaleziono go martwego w mieszkaniu. Sprawa została zgłoszona na policję, trwały poszukiwania zamaskowanego mężczyzny. Policja nie podała, o jakie przestępstwo mógłby zostać oskarżony.

Kolejna półka książek runęła na podłogę, a kiedy książki się skończyły, pchnął cały regał. Zdyszany, rozglądał się dokoła, czy jest jeszcze coś, co mógłby przewrócić. Nic nie mogło stać prosto i udawać, że jest całe. Wszystkie książki u jego stóp, przez które się przegryzł. Napisane przez zadufanych w sobie naukowców, którzy wmówili mu, że w istnieniu jest jakaś logika.

Podniósł butelkę do ust. To, za czym tak długo tęsknił, spływało mu do gardła, ale czuł przy tym jedynie dźwięk świrdrujący w uszach.

Odwrócił się w stronę biurka. Widział czarną klatkę na monitorze i machnięciem ręki zmiotł komputer na podłogę. Monitor zgasł, a Kristoffer kopnął go jeszcze, żeby się upewnić, że już nigdy się nie rozjarzy.

Jesper odszedł.

Jesper go opuścił.

Jesper nie żyje i zabrał ze sobą to, czym był dla Kristoffera. Najbliższe miłości uczucie, na jakie kiedykolwiek się odważył.

Za oknem jak dawniej stał kościół Świętej Katarzyny. Gałęzie i pnie drzew jak dawniej stanowiły jedność. W okolicznych domach żadna szyba nie była rozbita przez wiatr. A na cmentarzu ktoś spacerował, jakby powietrze ciągle nadawało się do oddychania. Tylko w jego mieszkaniu katastrofa była widoczna. Reszta świata zamierzała najwidoczniej trwać dalej, jakby nic się nie stało.

Jesper odszedł. Nigdy go już nie będzie. Nic z tego, co miał przed sobą, nigdy nie miało się zrealizować. Jego mądrość i zdolność obserwacji w końcu uległy cynizmowi. Wygrało zło.

Kristoffer, wyczerpany, osunął się na krzesło przy biurku. Opuścił luźno ramiona i siedział tak z zamkniętymi oczami, wsłuchując się we własny oddech. Ta przymusowa powtarzalność. Warunek przeżycia. Wrodzony instynkt samozachowawczy.

Z ulgą poczuł, że nadchodzi. Wyzwolenie, kiedy jego mózg doznawał otępienia. Kiedy to, co było nim, już nie było w stanie ogarnąć głębi odczuwanego bólu. Dlaczego człowiek taki się nie rodzi? Z krwią wzbogaconą o tych kilka rozluźniających promili. Z wyłączonym mechanizmem obronnym i duszą w przyjemnej pozycji wypoczynkowej.

Czy przetrwanie rzeczywiście jest takie ważne, żeby było warte całego tego cierpienia?

Znów łknął z butelki. Na biurku przed nim leżał list. Przyniósł go z przedpokoju, kiedy Jesper jeszcze żył. Znalezienie powodu, dla którego miałby wyciągnąć rękę, było prawie niemożliwe. W ogóle wykrzesanie z siebie jakiegokolwiek zainteresowania. Nadawca Marianne Folkesson. Rozciął kopertę. W środku była karteczka i jeszcze jedna koperta.

Znalazłam ten list w mieszkaniu Gerdy. Do zobaczenia na pogrzebie.

Pozdrowienia

Marianne Folkesson

Biała koperta opatrzona jego nazwiskiem. Napisanym starannym pismem pełnym zawijasów.

Doręczyć po mojej śmierci.

Niechętnym ruchem otworzył list i zaczął czytać.

- Chcę zadzwonić do Ellen i opowiedzieć jej o tym. Nie będziesz mogła nakłamać i wmawiać jej, że to moja wina.

- Ależ wcale nie zamierzam tego robić. Proszę, Janie-Eriku, nie dzwoń do niej dziś wieczorem. Nie powinna dowiedzieć się przez telefon, powinniśmy usiąść razem i powiedzieć jej o tym.

- Nigdy w życiu, nie zamierzam wspierać twoich chorych decyzji. Sama musisz ponosić za nie odpowiedzialność.

- Proszę cię...

Ale on rzucił słuchawkę i jak zapowiedział, zadzwonił do Ellen na komórkę.

- Ellen? Ellen, tu tata. Dzwonię, by ci wszystko powiedzieć, zanim zrobi to twoja mama i naopowiada ci kłamstw. Zdecydowała, że chce się ze mną rozwieść, że już nie będziemy mieszkać razem, mówi, że będziesz mieszkała u każdego z nas co drugi tydzień, ale ja myślę, że powinnaś mieszkać tylko u mnie. Zostaniemy sami w domu, ty i ja, a ona niech sobie radzi, jak chce. Chciałem ci powiedzieć, że to ona zdecydowała o wszystkim, próbowałem ją przekonać, żeby zmieniła zdanie, ale ona myśli tylko o sobie. Ale

my się będziemy trzymać razem, ty i ja, Ellen.

To była wina Louise, że Ellen płakała do słuchawki. Wina Louise, że był pijany i krążył w ciemnościach po domu swego dzieciństwa jak dusza potępiona.

Kaloryfery były odkręcone do oporu, ale nic nie mogło wyгнаć chłodu, który wgryzał się w ściany. Nie chciał tu być. Nie chciał snuć się wśród obecnych tu wspomnień. Nienawidził tego domu, każdego gwoźdźcia i kawałka drewna, który go spajał. Jego atmosfera wnikała pod skórę i jak żółć rozpełzała się po krwiobiegu. Chciał się bić, ale nie było nikogo, komu mógłby zadać ból. Chciał krzyczeć, ale nie było nikogo, kto mógłby się bać.

On jej jeszcze pokaże! Nawet jeśli zwiódł jego ojca, że umieścił ją w testamencie, to i tak on dalej będzie zarządzał spuścizną Axela. Podwyższy sobie honoraria za odczyty, zainwestuje sprytnie w konta poza zasięgiem jej chciwych łap i wymyśli jakiś sposób, żeby wszystkie prawa autorskie przepisać na swoje nazwisko. Dopilnuje, żeby przypadająca jej część spadku była możliwie jak najmniejsza, musi mieć plany gotowe do realizacji natychmiast, kiedy ten staruch wreszcie umrze. Krótki triumf Louise szybko przekształcił się w gorycz, kiedy zobaczy, co straciła.

Zatrzymał się przed gabinetem ojca. Jak zwykle miał opory przed przekroczeniem tego progu. Wcześniej przy-swojona zasada, żeby nie przekraczać zakazanej strefy. Jego spojrzenie przyciągnął hak lampy, ale szybko skierował wzrok gdzie indziej. Annika też go zawiodła. Też była jedną z tych, którzy go opuścili.

Popatrzył w stronę garderoby. To tam, w jej wnętrzu, znajdzie rozwiązanie. Niepublikowane teksty wydane jako hołd po śmierci Axela Ragnerfeldta. Zyski powinny uzupełnić część spadku, którą straci na rzecz Louise.

Podszedł i otworzył drzwi. Buchnęła ciemność, przyniósł latarkę, którą zostawił na biurku. Wewnątrz potknął się o

czarny worek na śmieci. Wściekły, podniósł go i zabrał do pokoju, gdzie wysypał zawartość na środku podłogi. Papierzy i różne druki rozsypały się po dywanie. Ukucnął, ale stracił równowagę. Siedząc na podłodze, przesuwał dłońmi po stercie dokumentów i zaskoczony poczuł lekkie ożywienie, kiedy natknął się na gruby plik. Typowy manuskrypt. Coś, co jego ojciec odrzucił, ale co z powodzeniem nadawało się dla celów Jana-Erika. Do pierwszej strony był przypięty krótki list, przejrzał go szybko.

Axelu, godziny, które minęły, nie były samotne, w myślach ciągle jesteś ze mną. Ponieważ nie bardzo mogę się wyrwać, chciałam Ci przynajmniej posłać moją książkę. Byłabym bardzo wdzięczna za Twoje mądre uwagi. Nikt inny tego jeszcze nie czytał (sam zobaczysz, że to wykracza daleko poza horyzont Torgny'ego!). Twoje piękne oczy są wszystkim, czego potrzebuje mój tekst.

Twoja Halina

PS Ciesz się bezgranicznie, że wreszcie się spotkaliśmy!

Zaklął pod nosem. Znowu ta kochanka. Pojawiała się w garderobie, jakby wynajęła kawałek tego pomieszczenia. Obojętnie przerzucał kartki, kiedy jego uwagę zwrócił nieoczekiwany dźwięk. Nie pochodził z wnętrza domu, ale skądś w pobliżu, rytmiczny, dźwięczny odgłos. Odłożył manuskrypt i podniósł się z podłogi. Za oknem było ciemno, zgasił górne światło, żeby lepiej widzieć. W ciemnym ogrodzie nic się nie poruszało. Wziął latarkę i ruszył przez mroczne pokoje. Wyglądał do ogrodu przez każde okno, ale nigdzie nie mógł znaleźć wyjaśnienia. Nie widział niczego z salonu, z jadalni ani z kuchni. Otworzył drzwi do służbówki, gdzie kiedyś mieszkała Gerda, podszedł do komody i wyjrzał przez znajdujące się nad nią małe okrągłe okienko. Czarna sylwetka na trawniku daleko przy krzakach. W miejscu, gdzie kiedyś stała szklarnia, a po powrocie ze Stanów

zastał tam taras wyłożony kamieniami. Stał nieruchomo i patrzył, aż oczy przyzwyczyły się do ciemności. Dopiero wtedy zrozumiał, co to był za dźwięk. Ostrze łopaty uderzające o kamienie, żeby je wyrwać i odrzucić na bok.

Miał w głowie zupełną pustkę. Nie potrafił wytłumaczyć tego, co widział. Potem ogarnęła go złość, że ktoś niszczy ich taras. Włączył latarkę i skierował snop światła na to, co poruszało się w ogrodzie. Czarna sylwetka okazała się mężczyzną, który zauważył światło i zwrócił twarz w jego stronę. Jan-Erik go rozpoznał. Podrzutek, który miał być spadkobiercą Gerdy Persson.

Otworzył okno.

- Co pan tam robi, do jasnej cholery?

Podrzutek nie odpowiedział. Odwrócił się plecami do Jana-Erika i zaczął kopać w miejscu, gdzie przedtem leżały kamienne płyty.

- Słuchaj no ty, jeśli nie przestaniesz, zadzwonię na policję!

Żadnej reakcji.

Jan-Erik zatrzaskał okno, wyszedł do sieni, włożył buty i kurtkę, upewnił się, że ma w kieszeni komórkę, gdyby z jakiegoś powodu musiał dzwonić po pomoc. Nacisnął kontakt przed wejściem, ale światło się nie zapaliło. Zirytowany, trzasnął drzwiami, zszedł po schodach i ruszył przez trawnik. Światło latarki błędziło po ziemi, uchylał się przed gałęziami krzaków, omijał nieplewione rabatki, aż wreszcie snop światła znalazł dziurę, którą wykopał Kristoffer. Dookoła leżały rozrzucone kamienne płyty przykryte warstwą ziemi.

- Co ty tu właściwie robisz? To jest teren prywatny i jeśli nie przywrócisz wszystkiego do stanu poprzedniego, zadzwonię na policję.

Kristoffer pociągnął nosem i przesunął dłonią po twarzy, potem kopał dalej. Jego nonszalancja jeszcze bardziej rozwścieczyła Jana-Erika, który wyciągnął rękę po łopatę, ale Kristoffer odepchnął jego dłoń.

- Wiedziałaś o tym przez cały czas?

Jan-Erik skierował latarkę na jego twarz. Mężczyzna miał oczy czerwone i opuchnięte, po policzkach spływały mu łzy. Kristoffer uchylił się przed oślepiającym światłem i kopał dalej. Jan-Erik czuł coraz większą niepewność. Ta absurdalna sytuacja, ewidentne rozchwianie emocjonalne intruza, żądająca rozwodu Louise, alkohol, który w siebie wlał, wszystko to zaczęło wirować i ciągnąć go gdzieś w dół. Cała konstrukcja, na której wspierał się jego rozum, trzeszczała w szwach. Skierował snop światła na ziemię i nagle poczuł ogromne zmęczenie.

Bo nie rozumiał. Nie wiedział też wcale, czy naprawdę chce rozumieć. Czy chce poznać powód, dla którego podrzutek, który jest spadkobiercą Gerdy, kopie w ich ogrodzie.

Nie chciał wiedzieć.

Kristoffer przerwał na chwilę, wyjął z kieszeni złożony papier i ponad wykopem podał Janowi-Erikowi, który nie był w stanie ruszyć ręką. Właśnie miał przyjąć zabójczą zarzę. Chroniczną chorobę, której nigdy się nie pozbędzie.

Kristoffer potrząsnął groźnie kartką.

- Czytaj!

Teraz wszystko miało wyjść na jaw. Że stojący przed nim podrzutek jest jego przyrodnim bratem. Że kolejna część spadku przypadnie na rzecz kogoś, kto nigdy nie kiwnął nawet palcem, by na nią zasłużyć.

Ale to nie wyjaśniało sensu kopania. Obawa, która się pojawiła, była do tego stopnia absurdalna, że w ogóle nie powinna się pojawić.

Papier parzył palce. Światło latarki wyluskało pełne zawijasów pismo Gerdy, które wiło się po liniach jak dzieło sztuki zdobniczej. Na pierwszy rzut oka wyglądało to nieszkodliwie. Ale Jan-Erik domyślał się, że pod tą nieszkodliwą formą kryje się coś straszliwego. Jeśli pozwoli słowom ułożyć się w zdania, coś zostanie zniszczone na zawsze.

Przy odgłosie przesypywanej łopata ̄ ziemi zaczął czytać.

Drogi Kristofferze,

Nie wiem, czy powinnam napisać ten list, ale mam tak ogromne wyrzuty sumienia, że nie jestem w stanie się powstrzymać. Wydaje mi się, że robię to, żeby naprawić coś, czego kiedyś byłam świadkiem i co byłam zmuszona zrobić. Wiele lat minęło, ale nie było dnia, żeby nie myślała o tym, co się wtedy stało, a teraz jestem stara i czuję, że zbliża się koniec...

Dlaczego oko podąża za linijką, której nie chce przeczytać? Dlaczego mózg interpretuje słowa, których nie chce zrozumieć? Z każdym kolejnym przeczytanym słowem coś w nim obumierało. Przez wszystkie te lata jak cień towarzyszyła mu tajemnica. Rodzice, przyjąwszy fałszywe pozy, kazali mu żyć i budować swój świat, oparty na czymś, co w gruncie rzeczy nigdy nie istniało. Pod pozłacaną powierzchnią była tylko nicość. To, co uważał za swoje korzenie, było tylko ułudą.

...a następnego dnia po tym strasznym wydarzeniu znalazłam Ciebie w drewnitni. Pani Ragnerfeldt leżała w łóżku, wzięła środki uspokajające, więc o niczym nie wie, a pan Ragnerfeldt nie miał pojęcia, co ma zrobić, ale potem powiedział mi, żebym pojechała do miasta i zostawiła Cię gdzieś, gdzie ktoś może Cię znaleźć, a ja nie odważyłam się odmówić. Widziałam całe to zło, ale nie zrobiłam nic, by mu się przeciwstawić. Nie ma na to usprawiedliwienia, urodziłam się w rodzinie, gdzie wpojono mi, żeby nie sprzeciwiać się przelożonym, ale nienawidzę tego człowieka za wszystko, co zrobił i co kazał mi zrobić...

Jan-Erik usłyszał jakiś dźwięk. Jakby coś ciężkiego i nieprzeniknionego spadło z góry, by go chronić. Mur obronny wokół jego osoby.

- Ależ to jakieś absolutne szaleństwo, Gerda na starość musiała dostać pomieszania zmysłów, to przecież oczywiste. Widać, że to pisze osoba cierpiąca na uwiad starczy, chyba sam rozumiesz. Ona mówi takie rzeczy o Axelu Ragnerfeldcie. Czy wiesz, kim on jest? Chyba to dla ciebie jasne, to jakaś kompletna bzdura, żeby on miał zrobić coś takiego!

Kristoffer przerwał kopanie, zdyszany z wysiłku.

- A więc twoja siostra nie odebrała sobie życia?

- Co?

- Przeczytałeś wszystko? O tym, dlaczego to zrobiła.

Coś zimnego wcisnęło się do wnętrza Jana-Erika i otoczyło serce. Minęło kilka sekund, potem rzucił bez zastanowienia, opowiadając się po stronie rodziców.

- Moja siostra zginęła w wypadku samochodowym!

...obok gabinetu pana Ragnerfeldta był schowek na miotły. Można było tam usłyszeć wszystko, co się mówiło w pokoju, czasami stałam tam i słuchałam, bo łatwiej mi było wszystko znosić, kiedy wiedziałam, co się dzieje w domu. Wiem, że to był błąd z mojej strony, ale tak robiłam. Kilka miesięcy po tym, jak pan Ragnerfeldt dostał Nobla, przyszedł pisarz Torgny Wennberg w odwiedziny, a że wiedziałam, że on znał Twoją mamę, zaczęłam się bać, że wszystko odkrył, że będę pociągnięta do odpowiedzialności, dlatego schowałam się w schowku i słyszałam, kiedy...

Kristoffer upadł na kolana. Jan-Erik skierował latarkę do wykopu i poczuł zgrozę przenikającą całe ciało. Kristoffer znalazł to, czego szukał. Nagle słowa Gerdy znalazły potwierdzenie i już nie dały się zakwestionować. Jan-Erik zgasił latarkę, żeby to, co zobaczył w dole, zniknęło.

- Poświeć jeszcze! Kristoffer krzychał.

- Powiedziałem, poświeć jeszcze raz!

Jan-Erik zapalił latarkę, nagle przestraszył się, że ktoś może ich usłyszeć.

Długą chwilę Kristoffer klęczał, oddychając ciężko, ze wzrokiem utkwionym w ciemnym wykopie. Co chwila wycierał ręką nos, jego mokre policzki lśniły w słabym świetle.

- Nigdy mnie nie porzuciłaś.

Jan-Erik zapragnął się czegoś napić.

Kristoffer z trudem stanął na nogi.

- Czy wiesz, kim są niezapomniani?

Jan-Erik nie odpowiedział. Rzeczywistość, która istniała jeszcze do dzisiaj, nagle znikła, a nowa była niepojęta.

- To ludzie, którzy są tak wybitni, że pamięć o nich będzie żyła wiecznie. Kimś takim był dla mnie Axel Ragnersfeldt. Ale nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobię, postaram się, żeby przeszedł do historii jako bydlę, którym naprawdę jest.

Jan-Erik usłyszał w sobie swój własny głos. Słowa tyle razy powtarzane w blasku reflektorów. *Mój ojciec rozumiał, że nasze czyny są jak nasze dzieci, żyją dalej i niezależne od nas i naszej woli nadal działają. Joseph Schultz i mój ojciec należą do tej mniejszości, która uważa, że nagrodą za dobry uczynek jest jego dokonanie.*

Koniec z odczytami. Nigdy więcej nie będzie stał na scenie, nagradzany oklaskami. Nigdy więcej nie zobaczy spojrzeń pełnych szacunku, gdy padnie jego nazwisko. Teraz będzie je nosił jak piętno. Nigdy nie dostanie od Rady Nordyckiej przyznanej mu nagrody literackiej. Louise nigdy nie będzie żałowała, że go opuściła.

Wszystko zostanie mu odebrane.

Kristoffer wyrwał list z ręki Jana-Erika. Rzucił ostatnie spojrzenie do wykopu, a potem ruszył w stronę furtki.

- Zaczekaj chwilę!

Kristoffer nie zatrzymał się.

- Ależ proszę, zaczekaj, nie moglibyśmy porozmawiać?

On nie był winny. A jednak to on miał ponieść karę.

- Możesz dostać pieniądze, trzysta pięćdziesiąt tysięcy koron. Duńskich.

Kristoffer zatrzymał się nagle i odwrócił. Jan-Erik nie mógł widzieć wyrazu jego twarzy, ale ta odrobina nadziei zgasła, kiedy usłyszał odpowiedź:

- Co za ohyda!

I znów ruszył w stronę furtki z białą groźbą powiewającą w dłoni. Tam, w świetle na zewnątrz, słowa Gerdy rozniosły się na wszystkie strony jak pyłek kwiatowy.

Jan-Erik nie zdążył pomyśleć. Nie myślał, kiedy schylił się i chwycił trzonek łopaty. Ani kiedy zaczął biec, by dogonić Kristoffera. Nawet wtedy, kiedy stał kilka metrów od furtki i patrzył na nieruchome ciało na żwirowej ścieżce. Nic nie myślał. Czuł tylko zdziwienie. Światło ulicznej latarni padało na ręce trzymające łopatę, a on dziwił się, że należą do niego. Poszły za głosem instynktu, prastarym jak ludzkość, który każe zabić w obronie tego, co należy do nas.

Gdzieś w swoim wnętrzu nosił tę zdolność, nie zdając sobie z tego sprawy.

Tak długo walczył, by osiągnąć tak niewiele.

Życie w cieniu obiektu podziwu.

Tak niewiele, a jednak był gotów z tego powodu zabić.

Dół był już wykopany. Ziemia naruszona przez tych, co poszli przodem.

Trzydzieści jeden lat później taki sam los spotkał następne pokolenie, zamieniając to miejsce w rodzinny grobowiec.

Piękny jest świat, piękne niebiosa, cudowna pielgrzymka dusz po ziemi. Przez świata krąg do rajy zmierzamy, sławimy Boga pieśniami swoimi.

Marianne Folkesson siedziała samotnie w kościelnej ławie ze śpiewnikiem w dłoniach. Znała psalm na pamięć, teraz śpiewano go na tak wielu pogrzebach. Pompatyczne dźwięki organów grzmiały pomiędzy kamiennymi ścianami, nie było niczego, co mogłoby je stłumić. Nie było też nikogo poza nią, pastorem, kantorem i przedsiębiorcą pogrzebowym. Nie było Kristoffera Sandebloma, nikogo z rodziny Ragnerfeldtów, nie było Torgny'ego Wennberga.

Gerda Persson miała się udać na wieczny spoczynek tak samo samotnie, jak żyła.

Wieki przychodzą, wieki mijają, rody ludzkie idą w przodków ślad. Nigdy nie milkną pieśni niebieskie w naszej pielgrzymce poprzez świat.

Przyglądała się białej trumnie przystrojonej różami, jak zaproponował Jan-Erik Ragnerfeldt. Nie była to jakaś zbyt

kosztowna wiązanka, ale kwiaciarka jak zwykle świetnie się spisała. Krwista czerwień obramowana różnymi odcieniami zieleni dodawała scenerii godności i łagodziła poczucie porażki.

Zanim rozdzwoniły się kościelne dzwony i zamknięto drzwi, Marianne wyszła na schody, chcąc skontaktować się z Kristofferem Sandebloomem przez komórkę. Nie odebrał. Pomyślała, że to może przez list od Gerdy zmienił zdanie, może dlatego postanowił nie przychodzić. Ciekawość, co było w tym liście, czy zawierał wyjaśnienie w sprawie testamentu, towarzyszyła Marianne od chwili, gdy wrzuciła go do skrzynki.

Rozczarowana nieobecnością wszystkich spodziewanych uczestników, zajęła miejsce w pierwszej ławce i głową dała młodemu pastrowi znak, że niestety, nie ma na kogo czekać.

Raduj się, ludu, przyszedł Zbawiciel. Pan przyniósł pokój światu.

Dźwięki organów wybrzmiały. Pastor wyszedł naprzód i stanął przy trumnie.

- W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Słyszała, jak organista porusza się na chórze. Odgłos wzmocniony przez pustkę pogłębiał jeszcze jej melancholię. Przed nią pastor rozwijał kartkę, którą mu wysłała. Krótka informacja o Gerdzie. Spisała to, co wiedziała, niewiele, ale miała nadzieję, że pastor będzie umiał zrobić z tego odpowiednią mowę pogrzebową. Zrobiła, co do niej należało, może nawet trochę więcej, a mimo to miała poczucie, że to nie wystarczyło.

Pastor podniósł wzrok znad kartki i zaczął mówić:

- Zebraliśmy się tutaj dzisiaj, żeby pożegnać Gerdę Annę Persson, która odeszła od nas czwartego października dwa tysiące szóstego roku. Zakończyło się długie życie i na świecie

dużo się w tym czasie zdarzyło. Minęły dziewięćdziesiąt dwa lata, odkąd Gerda urodziła się w Borgholm na Ölandii. Po sześciu latach nauki szkolnej w wieku trzynastu lat wstąpiła na służbę w Kalmarze. Cztery lata później udała się do Sztokholmu i tu już pozostała. Przez wszystkie następne lata pracowała jako służąca u różnych rodzin w Sztokholmie i okolicach. Najdłużej była u sławnego pisarza Axela Ragnerfeldta i jego rodziny, gdzie pracowała aż do przejścia na emeryturę w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym.

Opuścił kartkę i włożył ją między stronicę Biblii, którą trzymał w rękach. Marianne obracała w palcach różę, którą zamierzała położyć na trumnie Gerdy, mając nadzieję, że pastor zechce powiedzieć coś więcej. Że postara się dla niej. Już prawie porzuciła tę nadzieję, kiedy kapłan rozejrzał się po pustych ławkach i zaczął mówić, jakby kościół był wypełniony do ostatniego miejsca.

- Kiedy wyobrażamy sobie życie Gerdy, łatwo ulec stereotypom. Muszę przyznać, że mnie też się to przydarzyło, kiedy stanąłem przed tym zadaniem. Mierząc je miarą naszych czasów, na pierwszy rzut oka nie znajdujemy w nim niczego godnego pozazdroszczenia, niczego, czego życzylibyśmy sobie lub naszym dzieciom. Wprost przeciwnie, życie Gerdy sprawia wrażenie monotonnego i dość męczącego. Lecz co my właściwie wiemy o ludzkim życiu? O tym, co dzieje się przez wszystkie dni. O smutkach i radościach. O marzeniach, które ktoś miał, które się spełniły. Nie wiemy o życiu Gerdy wiele ponad to, że teraz należy do tych, którzy otrzymali odpowiedź na zagadkę życia. Postawmy więc sobie pytanie, czy ona dzisiaj mogłaby nas czegoś nauczyć, przypominając nam o skończoności naszego życia?

Marianne oparła się wygodniej. Pastor zrozumiał ją postanowił przy ostatniej okazji, jaka pozostała, odpowiednio uczcić Gerde.

- Obecnie dużo mówi się o szczęściu. Pisze się książki na ten temat, organizuje kursy, niektórzy nawet próbują szczęście kupić. Odczuwanie szczęścia stało się prawem każdego, gonimy za nim w przekonaniu, że kiedy je znajdziemy, otrzymamy także rozwiązanie wszystkich naszych problemów. Brak szczęścia stawiany jest na równi z porażką. Ale czym jest właściwie szczęście? Czy to w ogóle możliwe, żeby być szczęśliwym przez każdą świadomą minutę, dzień za dniem, rok po roku? Czy jest to coś, do czego warto dążyć? Bo jak w ogóle możemy pojąć nasze szczęście, jeśli nigdy nie doświadczyliśmy bólu? Myślę czasami, że nasz dzisiejszy problem ze znalezieniem szczęścia wynika z głębokiego lęku przed cierpieniem. Może zapomnieliśmy o naukach, jakie możemy znaleźć w mroku. Czyż to nie tam musimy czasem wejść, żeby później móc dostrzec światło gwiazd? By do głębi zrozumieć, jak smakuje to szczęście, za którym tak uporczywie gonimy. Życie bez smutku jest jak symfonia bez basów. Czy istnieje choć jeden człowiek, który naprawdę może powiedzieć, że zawsze jest szczęśliwy? Nigdy takiego nie spotkałem. Za to spotykałem ludzi wyglądających na szczęśliwych, którzy mówili, że są zadowoleni. Sprawdziłem znaczenie tego słowa w encyklopedii, to uczucie po otrzymaniu lub osiągnięciu czegoś, co leży w zasięgu naszych możliwości. I kiedy to przeczytałem, pomyślałem, że może błądzimy w naszej pogoni za szczęściem, że może powinniśmy szukać umiejętności bycia zadowolonym. Coś każe nam wierzyć, że to chwilowy zachwyt i ekstatyczne upojenie prowadzą do szczęścia, ale może jest tak, że to raczej odwaga, by zdecydować się na spokój, umiejętność odczuwania zadowolenia z tego, co się ma.

Zwrócił się w stronę trumny.

- Nigdy się nie dowiemy, Gerdo, co ty czułaś. Wiemy tylko, że żyłaś swoim życiem i robiłaś wszystko najlepiej, jak umiałaś w danych ci warunkach. Chciałbym ci podziękować za to wszystko, o czym dzięki tobie pomyślałem, pisząc te słowa.

Marianne uśmiechnęła się. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, skinęła głową w szczerym podziękowaniu. Odwzajemnił uśmiech i podszedł do trumny, wziął podaną mu garść ziemi.

- Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz.

Zobaczyła, że trzy razy sypanął ziemią; wiedziała, że zrobili wszystko najlepiej, jak mogli.

Klucz do mieszkania Gerdy leżał w kopercie z bąbelkami. Włożyła ją do torby, przygotowana, żeby po ceremonii pójść tam razem z Kristofferem Sandeblomem. Zwlekąca jeszcze chwilę na schodach kościoła i znów wybrała jego numer. Już po pierwszym sygnale została połączona z jego pocztą głosową i nagrała prośbę o kontakt. Trzeba było opróżnić mieszkanie, zdecydowała więc, że zabierze się do tego, nawet jeśli on jeszcze tam nie był i nie obejrzał wszystkiego. Jeśli znajdzie coś, co jej zdaniem mógłby chcieć zatrzymać, odłoży to na razie na bok.

Przy ruchomych schodach do metra weszła do kiosku spożywczego, żeby kupić sobie coś do jedzenia. Było już późne popołudnie i wiedziała, że niedługo będzie głodna. Reklamy popołudniówek przypomniały jej o rodzinie Ragnerfeldtów i znów ze złością pomyślała o pustym kościele. Ze też śmierć Gerdy była czymś tak nic nieznaczącym, że wszystko inne było ważniejsze. Nawet Jan-Erik, który sprawiał wrażenie tak zaangażowanego, nie znalazł czasu.

Kupiła kanapkę, jakieś owoce i oderwała wzrok od krzykliwych tytułów, przed którymi trudno było uciec.

PISARZ SFILMOWAŁ
własne
SAMOBÓJSTWO
Film opublikował w internecie

Powiesiła płaszcz w przedpokoju i westchnęła, myśląc o czekającej ją pracy. Decyzjach, które trzeba będzie podjąć w sprawie całego dobytku Gerdy, ocenie, co ma jakąś wartość, a co jest do wyrzucenia. Zdecydowała, że zacznie od szafy w sypialni. Rzeczy, które były całe i czyste, miały iść do organizacji dobroczynnych, reszta na śmietnik.

Pierwsza szafa była pełna ubrań, Marianne przeglądała je sztuka po sztuce i sortowała wedle uznania. Czarny worek na śmieci szybko się wypełnił i tylko jeden płaszcz trafił do pudła na cel dobroczynny. W następnej szafie półki były pełne rękawików i wymaglowanych prześcieradeł. Leżały poukładane w równe stosy i samotny płaszcz w kartonie dobroczynnym znalazł towarzystwo.

Odkryła je podczas opróżniania najwyższej półki. W głębi leżał stos czarnych zeszytów. Jeszcze zanim do nich zajrzała, wiedziała, co to jest. Pierwszy zapis nosił datę: czwartego sierpnia 1956. Marianne zeszła ze stołka. Była zła, że nie znalazła ich przed pogrzebem, może wtedy łatwiej byłoby odszukać krewnych.

Stojąc w sypialni Gerdy i trzymając w rękach wszystkie jej tajemnice, Marianne zadawała sobie pytanie, czy ma prawo. Czego sama by chciała, gdyby pisała dzienniki i ktoś znalazłby je po jej śmierci. W zamyśleniu odłożyła zeszyty na nocny stolik i wróciła do szaf. Czarne zeszyty za plecami przyciągały ją jak magnes, w roztargnieniu wyjęła jakąś

sukienkę. Osoba, która miała odziedziczyć majątek Gerdy, nawet nie pojawiła się na pogrzebie, czy w takim razie byłaby zainteresowana przeczytaniem tych zapisków? Gdyby Gerda chciała, żeby ich nikt nie przeczytał, wyrzuciłaby je. Gdyby przeznaczyła je dla kogoś konkretnego, zostawiłaby karteczkę, jak zrobiła z listem do Kristoffera Sandebloma. Teraz tylko Mariannę interesowała się Gerdą Persson i kolejami jej życia. Jeszcze raz pojawiło się pytanie, czego sama by chciała. I szybka na nie odpowiedź: po śmierci nie będzie to już jej interesowało. Ci, co pozostaną, będą mogli zrobić, co uznają za stosowne.

Podjąwszy decyzję, odłożyła sukienkę, wzięła zeszyty i poszła z nimi do kuchni. Przy kuchennym stole Gerdy zaczęła czytać.

Smuga księżycowego światła przekradła się do pokoju Axela między zasuniętymi zasłonami. Położyli go na plecach, więc mógł wzrokiem śledzić jej wędrówkę po suficie.

Co twoje oko zechce zatrzymać, gdy będziesz wiedział, że to ostatnia rzecz, jaką widzisz? To pytanie postawił w swojej pierwszej powieści, napisanej w bezpiecznej odległości czasowej od chwili, jaka go teraz czekała.

Przez zamknięte drzwi bezszelestnie wśliznęła się do pokoju. Z wdzięcznością wyczuwał obecność tak długo oczekiwanego gościa. Który wreszcie przyszedł, żeby uwolnić go z jego więzienia. Przez całe popołudnie siedział tak w radosnym oczekiwaniu na to, czego się spodziewał.

Dzień zmienił się w wieczór i powoli zapadł mrok. Lecz wraz z coraz bardziej ciemniejącym zmierzchem przybierał także na sile jego lęk. Mieszał się z oczekiwaniem i wzbudził intensywne przeczucia. Ogarnął go gwałtowny strach. Wyobrażał sobie, że dostąpi łaski, tymczasem miał poczucie grożącego rozpadu. Przeczucie chaosu i zgnilizny.

Kiedy przyszli pielęgniarze, by przenieść go do łóżka,

chciał krzyczeć, żeby zostali, nie zostawiali go samego z tym, co czekało w niewidocznym dla niego kącie Tamci, niczego nieświadomi, przykryli go kołdrą; musiał słuchać ich nieważnych rozmów. Patrzył, jak wychodzą, zostawiając go samego w rozpaczy.

Nie chciał umierać. Nie był jeszcze gotowy. Przez pięć lat przywoływał ją, a kiedy przyszła, zrozumiał, że nie jest jeszcze gotowy. Postawiony oko w oko z nieuchronnym, widział nie śmierć, ale siebie samego.

Coraz trudniej przychodziło mu oddychanie, na piersi osiadł jakiś ogromny ciężar. Ciało walczyło szaleńczo o życie, które chciało je opuścić. Gdzieś daleko był czerwony przycisk alarmowy. Niedostępny łącznik z tymi, którzy mogliby przyjść mu na ratunek.

Ciężar na klatce piersiowej był coraz większy. Widział jedynie kontury czegoś, ale już nie wiedział, co to jest.

Chciał zawołać Alice, prosić, żeby przyszła i uratowała go. Ale ona siedziała odwrócona plecami i nie zwracała na niego uwagi. Słyszał odgłos jej maszyny do pisania, pragnął podejść, przyłożyć nos do karku żony i odetchnąć jej zapachem.

Spadał w dół, coraz szybciej i szybciej, a jego bezużyteczne ramiona nie chciały go chronić. Potrzebował pociechy, jednego zdania o prawdziwym sensie życia, jakie przeżył, i śmierci, ku której zmierzał. Chciał pozostawić życie z poczuciem spełnienia, a nie jako uciekinier. Wypchnięty ze swojego schronienia, spadał, bezradny, przy wtórze szeptu głosów. Wszystkie wydarzenia, które spychał w milczenie, przesuwają się obok.

Trząsł się z zimna i błagał, by ktoś przyszedł go ogrzać.

Dopiero teraz zrozumiał, że śmierć istnieje naprawdę. Że wszystkie drogi prowadzą gdzieś w bok od tego, co czują

jego zmysły. Jego myśl przebiegała wszystkie chwile życia, w poszukiwaniu wspomnień, które złagodziłyby lęk.

Jego sława dotarła do najdalszych zakątków świata. Ścisnął dłonie królów i prezydentów. Nieśmiertelny zajął miejsce w historii.

I po co to wszystko? Jedyne, co go czeka, to unicestwienie.

Podziwiany przez wszystkich obcych ludzi na świecie, teraz nie ma przy sobie nikogo, kto by go pocieszył.

Czy to tego zawsze szukał?

I gdy jego piersi się zapadły i serce stanęło, odbiło się echem ostatnie pytanie:

Po co mi była cała ta sława?

Przez dach z liści przedarł się promień słońca i oślepił go. Axel leżał na małym skrawku trawy pod jabłonią. Słyszał, jak ojciec pewnie uderza młotkiem. Matka pracowała w ogródku.

Wrócił do Błogostanu.

Najszcześniejszych godzin swojego życia.